

Victoria Lynne

W pogoni za tęczą.

*Mojemu mężowi Bobowi,
dzięki któremu
mam Swee Pea i Ju-Ju Bean.
Nie mogłabym pragnąć więcej.*

1

Terytorium Kolorado, październik 1866

Jake Moran ściągnął konia i zatrzymał się na skraju Stony Gulch. Nie planował postoju, ale spektakl rozgrywający się pod starym dębem przyciągnął jego uwagę. Gdy chłodny, jesienny wiatr uniósł gruby dywan czerwonych i złotych liści, kapłan zaczął odmawiać modlitwę za umierających. Skazaniec zadrżał, ale pokornie schylił głowę.

Gniadosz potrząsnął łbem i lekliwie uskoczył w bok. Mężczyzna lekko ścisnął go udami.

-- Spokojnie, Weed - powiedział cicho, głaszcząc jedwabisty kark.

W tym momencie dostrzegł go szeryf. Zamienił kilka słów z zastępcą i ruszył w jego stronę.

- Witaj, Jake.

- Dzień dobry, szeryfie.

Roy Cayne był dużym, kościstym mężczyzną o cerze ogorzałej od wiatru, jasnych włosach przyprószonych siwizną i wydatnym brzuchu. Dorównywał wzrostem Moranowi, ale na tym podobieństwa się kończyły.

Obaj przez chwilę milczeli.

- Dawno cię nie widziałem w tych stronach - zauważył Cayne.

- Grałem w Haggerty.

- Z powodzeniem?

Po ustach Jake'a przemknął cierpki uśmiech.

- Bywało lepiej.

Powiódł spojrzeniem po tłumie zebranych na trawiastym pagórku pod drzewem. Kobiety wystrojone w najlepsze perkalowe suknie przechadzały się pod rękę z mężami lub narzeczonymi. Od ognisk płynął smakowity zapach pieczonej wieprzowiny i szałwii. Między wozami biegały roześmiane dzieci. Bawiły się w wieszanie.

- Widzę, że urządziliście sobie piknik - skomentował Moran.

Cayne spochmurniał i popatrzył na mieszkańców Stony Gulch z zatroskaną miną ojca, którego potomstwo źle się zachowuje.

- Chcesz, żeby siedzieli w domach? - Z naganą potrząsnął głową. Strzyknął na ziemię ciemną śliną zmieszaną z tytoniem i wytarł sok z brody. - Sądząc po ich zachowaniu, można by pomyśleć, że to wielka zabawa z tańcami. W dodatku zjawił się jakiś ważny reporter ze wschodu. Robi notatki, gada z ludźmi. Mówi, że napisze artykuł o egzekucji.

Jake poszedł za spojrzeniem Cayne'a ku elegancko ubranemu mężczyźnie, który krążył w tłumie z notatnikiem w ręce. Popatrzył na reportera bez zbytniego zainteresowania i przeniósł wzrok na skazańca.

- Co za jeden?

- Z szajki Pete'a Mundy'ego. Te bandziory mają kryjówkę w Blackwater Canyon. Parę tygodni temu napadli na dylizans, postrzelili woźnicę i zmiennika.

Banda Mundy'ego. Stąd odświętny nastrój tłumu i obecność dziennikarza ze wschodu. Jake uważnie przyjrzał się skazańcowi i stwierdził, że to nie jest człowiek, którego ścigał od dłuższego czasu. Był za niski i zbyt chudy. Miał na sobie obszerną, spraną koszulę z flaneli, grube drelichowe spodnie, które pamiętały lep-

sze czasy, i filcowy kapelusz nasunięty nisko na czoło. Już nie pochylał kornie głowy. Patrzył śmiało na gapiów z mieszaniną gniewu i buńczuczności, ale wyglądał raczej na górnika steranego życiem niż zatwardziałego przestępcę.

Jake zaklął w duchu. Gdyby przybył do miasta parę godzin wcześniej, może szeryf pozwoliłby zadać biedakowi kilka pytań.

- Co z resztą bandy? - zaciekawił się.

- Zwiali. Moi ludzie ruszyli w pościg, ale szybko zgubili ślad.

- Wiesz, gdzie mogli się ukryć?

- Nie mam pojęcia.

A niech to! Jake stłumił niecierpliwe westchnienie i mocniej ścisnął wodze, aż zbieleły mu kostki. Cayne zmierzył go badawczym wzrokiem.

- Interesuje cię banda Mundy'ego?

- Trochę.

- Naprawdę? Nie ciebie jednego. Nie odzyskano pieniędzy z napadu. Nie wiadomo, gdzie chłopaki schowali łup. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów czeka ukryte gdzieś w górach.

Jake skinieniem głowy wskazał na bandytę.

- Nie puścił pary z gęby?

- Nie bardzo. Przyznał się, że należy do szajki Mundy'ego, ale podobno nie miał nic wspólnego z napadem. Twierdzi, że po prostu tamtędy przejeżdżał.

- To dopiero alibi.

Cayne wzruszył ramionami.

- Nie zawsze jest tak, jak się wydaje.

Moran uniósł brew, lekko zdziwiony, że szeryf bierze w obronę skazanego przestępcę.

- Myślisz, że mówił prawdę? Może być niewinny?

- Nie ma znaczenia, co myślę. Ława przysięgłych uznała go winnym i to mi wystarczy.

Odpowiedź całkowicie zaskoczyła Jake'a. Szeryf Cayne rządził Stony Gulch żelazną ręką od prawie dwudziestu lat. Był twardy, ale sprawiedliwy. Moran postawiłby ostatniego centa, że Roy nie należy do ludzi, którzy spokojnie patrzą, jak wieszają niewinnego. Wygląda na to, że przegrałby zakład.

- Wykonuję swoją robotę, Jake - powiedział Cayne, jakby czytał w jego myślach. - Pilnuję poszanowania prawa. Ława przysięgłych chce egzekucji, będzie ją miała. Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale obywatele miasta nie płacą mi za przyjemne spędzanie czasu. Płacą, żebym dbał o bezpieczeństwo na ulicach i egzekwował postanowienia sądu. Zamierzam spełnić swój obowiązek.

- Od nikogo nie można wymagać więcej, niż należy. Szeryf pokiwał głową, minę miał niewyraźną.

- Młody? - zapytał Moran, patrząc na skazańca.

- Za młody. - Cayne sprawiał wrażenie, jakby chciał coś dodać, ale tylko westchnął ciężko. - Do licha, chyba się starzeję. - Wyjął z kieszeni zegarek, otworzył wieczko i zerknął na tarczę. - No, już pora.

Dał znak zastępcy. Mężczyzna ruszył w stronę drzewa, prowadząc skazańca. Zdaniem Jake'a szeryf nie mógł wybrać gorszego człowieka do roli kata. Biedak nadrabiał miną, ale od razu było widać, że jest zwykłym sklepikarzem z blaszaną odznaką. Przygarbiony i chudy jak szczapa, wyraźnie czuł się nieswojo jako obiekt ogólnego zainteresowania. Niezdarnie zrobił pętlę na sznurze i zarzucił ją na konar dębu. Następnie pomógł skazańcowi wsiąść na konia. Drżącymi rękami założył mu stryczek na szyję.

W tłumie panowała cisza pełna wyczekiwania.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, jakby sparaliżowała go potworność zadania, które miał wykonać. Na czoło wystąpiły mu krople potu, choć dzień był chłodny. Przełknął ślinę i klepnął wierzchowca w zad, ale zwierzę uskoczyło przed nim spłoszone. Z gardła skazańca wyrwał się zduszony jęk.

Kat ponowił próbę, tym razem z większym zdecydowaniem i siłą. Koń wierzgnął i pognał przed siebie. Bandyta runął na ziemię.

Jake wstrzymał oddech, czekając na charakterystyczny trzask.

Cisza.

Napięty sznur cofnął się jak sprężyna. Bandzior jeszcze żył. Rozpaczliwie walczył z zaciskającą się pętlą, wydając zdławione dźwięki. Zastępca szeryfa zzieleniał i cofnął się o krok, przerażony skutkami swojego partactwa.

Jake nieraz bywał świadkiem egzekucji. Czasami mijało dwadzieścia minut, nim życie opuściło skazańca. Gniew przeszył mu wnętrzności.

- Mogłeś pokazać zastępcy, jak się wiąże pętlę.

Szeryf wzruszył ramionami.

- Pokazałem. Może następnym razem cholerny głupiec bardziej się przyłoży.

Moran poprawił się w siodle, zde gustowany nie tylko widowiskiem, ale również kamienną obojętnością Cayne'a. Więzień należał do bandy Mundy'ego i tylko z tego choćby powodu zasłużył na śmierć. Lecz nie taką. Nie powinien się dusić i walczyć o oddech przed tłumem podnieconych gapiów. Zainteresowanie Jake'a wygasło w chwili, gdy pętla się zacisnęła. Było za późno na wypytanie bandyty, więc uznał, że pora ruszyć w drogę. W swoim czasie widział za dużo śmierci, żeby traktować ją jak rozrywkę.

W tym momencie ciało bandyty wygięło się w gwałtownym, bolesnym spazmie. Kapelusz spadł na ziemię. Zebrani ujrzeli długie, jasnobrązowe włosy.

Moran spędził pół życia na czytaniu w twarzach ludzi i ocenianiu ich kart po wyrazie oczu. Jednocześnie stał się mistrzem w ukrywaniu emocji, gdyż ta umiejętność również była niezbędna w jego profesji. Teraz jednak nie zdołał pohamować zdumienia.

Skazaniec był kobietą.

Jake ścisnął boki Weeda, ale szeryf chwycił jego wodze.

- Spokojnie - mruknął, nie odrywając wzroku od sceny egzekucji.

- Do diabła, Roy, wieszasz kobietę?

- Robię to, co nakazał sąd. Stój spokojnie, Jake.

Moran potrząsał głową. Ogarnęły go mdłości. W Kolorado *rzadko* wykonywano wyroki śmierci *na* kobietach. Musiały popełnić wyjątkowo okrutną zbrodnię albo być notorycznymi przestępczyniami. Członkowie bandy Mundy'ego z Blackwater Canyon słynęli z celnego oka, brutalności, pogardy dla prawa... oraz z Dzikiej Annie.

Dzika Annie.

Sławą niemal dorównywała Calamity Jane. Z szaloną odwagą stawiała czoło Indianom i zawziętym stróżom prawa. Tak dobrze posługiwała się nożem, że zdierała skórę z grzechotnika, nim wąż poczuł ostrze. Strzelała tak, że jedną kulą umiałaby chyba pozbawić piór ptaka w locie. Lubiła samogon, surowe mięso niedźwiedzia i zaciągnęłaby do łóżka samego diabła.

Jake nigdy nie wierzył w jej istnienie. Dla niego legenda o Annie była tylko jedną z wielu bajeczek, jakie dla zabicia czasu snuli traperzy przy obozowych ogniskach. Ale ona naprawdę istniała. Zobaczył ją teraz na własne oczy. "Wisiała na stryczku.

Nadal się szarpała, choć coraz słabiej. Już niedługo, pomyślał. W tej samej chwili słabo zawiązana pętla poluzowała się pod ciężarem kobiety i pod wpływem jej rozpaczliwej walki.

Trzaskowi jutowego sznura towarzyszył głuchy odgłos. Annie runęła bezwładnie na ziemię pod starym dębem.

Tłum czekał w napięciu, podekscytowany i urzeczony śmiercią, która przychodzi po kogoś innego. Moran też wstrzymał oddech. Żyje? Szeryfa Cayne'a najwyraźniej nurtowało to samo pytanie.

Wreszcie, po długich chwilach dręczącej niepewności, Annie poruszyła się. Jake rozluźnił napięte mięśnie. Szeryf wydał głośne westchnienie ulgi. Moran spojrzął na niego bacznie.

Zastępca, który pełnił rolę kata, niechętnie ruszył ku cudem ocalałej. Pomógł jej wstać. Z tłumu dobiegły gwizdy.

- Powiesić ją jeszcze raz! - ryknął ktoś.

Gapie natychmiast podjęli krwiożerczy okrzyk.

- Powiesić ją! Powiesić!

Roy Cayne czekał. Wyraźnie miał upodobanie do dramatycznych efektów. Gdy wrzaski osiągnęły punkt kulminacyjny, wypalił z pistoletu. Natychmiast zapadła cisza. Szeryf ruszył przed siebie bez słowa. Tłum rozstał się i od razu zamknął za jeźdźcem jak woda opływająca skałę.

Dotarłszy pod dąb, Cayne odwrócił się do mieszkańców Stony Gulch.

- Widowisko skończone - oświadczył. - Sędzia Carter nakazał egzekucję w południe. Mieliście swoje. Możecie się rozejść.

Rozległy się protesty. Mężczyzna gniewnie zmarszczył brwi.

- Powiedziałem, że to już koniec. Wracajcie do domów. Szeryf wypełnił polecenie sądu, ale Moran wiedział, że

gdyby Roy Cayne naprawdę chciał śmierci kobiety, sam zawiązałby pętlę. Wyzaczył zadanie najgorszemu z zastępców - i gamoń go nie zawiódł. Cayne od początku wszystko zaplanował. Jego spryt wzbudził podziw Jake'a. Mieszkańcy Stony Gulch najwyraźniej byli innego zdania.

- Powiesić to znaczy zabić, szeryfie, a ona dochodzi do siebie!

- Powiesić ją!

- My to zrobimy, jak ty nie chcesz!

Cayne przez długą chwilę mierzył wzrokiem tłum.

- Naprawdę? - Splunął tytoniowym sokiem, odpiął od kamizelki zniszczoną gwiazdę i uniósł ją w górę. - W takim razie możecie ją sobie wziąć. Nie chcę mieć nic wspólnego z miastem, w którym zaczyna panować terror i samowola.

Ludzie zamilkli, ważąc groźbę. Zanim Roy Cayne został szeryfem, Stony Gulch było rajem dla koniokradów, złodziei, bandziorów wszelkiej maści i indiańskich rene-gatów. Gdyby Cayne odszedł, w ciągu paru tygodni miasto ponownie wpadłoby w bagno bezprawia. Wobec takiej możliwości słuszny gniew tłumy szybko się ulotnił.

- Co ją teraz powstrzyma przed sprowadzeniem do miasta bandy i szukaniem zemsty? - zapytał ktoś.

- Twierdzi, że ma nieruchomość w Cooperton - odparł szeryf. - To dobre sto mil od Blackwater Canyon i kolejne sto mil od naszego miasta.

- Skąd mamy wiedzieć, dokąd naprawdę pojedzie? Skąd pewność, że nie kłamie?

Cayne ściągnął brwi. Odsunął kapelusz i podrapał się po głowie, jakby głęboko się zastanawiał.

- Dobre pytanie. Wydaje mi się, że jedyny sposób to odstawić ją na miejsce. - Powiódł wzrokiem po zebranych. - Kto zgłasza się na ochotnika?

- To twoja praca, szeryfie. Ty i twoi ludzie powinniście jechać.

- Świetnie. Pojedziemy, a wy zajmiecie się bandą Pete'a Mundy'ego, kiedy dla draki zjawi się w mieście.

- Musimy bronić swoich rodzin - odezwał się głos z tłumu. - Nie możemy jechać przez pół terytorium, ryzykując własną skórę dla takich jak ona.

Cayne milczał, przyglądając się mieszkańcom Stony Gulch.

- Więc to tak - powiedział w końcu. - Nie ma nikogo, kto odwiózłby tę kobietę do Cooperton.

Jake Moran wahał się tylko przez chwilę. Dawno temu odkrył sekret, że wygrana nie zależy od szczęścia, ale od umiejętności wykorzystania kart, które się dostało. Stracił już trzy miesiące na tropieniu szajki Mundy'ego. Nieraz był blisko celu. Podróż u boku Dzikiej Annie mogła stanowić przełom, na który czekał.

Nie spodziewał się kłopotów ze strony samej kobiety, raczej zwykłych trudów i uciążliwości długiej jazdy. Zresztą, nawet para trefli jest lepsza niż nic.

-Ja dopilnuję, żeby dotarła do Cooperton - oznajmił.

Przez tłum przebiegł szmer zaskoczenia. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Jake zignorował wścibskie spojrzenia i podniecone szepty. Skierował oczy na Dziką Annie.

Kobieta zareagowała na jego słowa jak na wystrzał. Błyskawicznie opuściła ręce, jakby sięgała po rewolwer, a nie znalazłszy go, zacisnęła dłonie w pięści. Nie zbита z tropu, hardym wzrokiem zmierzyła mężczyznę od stóp do głów. Na koniec z pogardą skrzywiła usta.

Moran zsiadł z konia i odwzajemnił taksujące spojrzenie. Ubranie Dzikiej Annie było brudne, twarz urnazana ziemią, włosy zmatowiałe i potargane. Brązowe

oczy o szyderczym wyrazie ciskały pioruny. Kobieta wyglądała na nie więcej jak dwadzieścia lat. Mimo młodego wieku odznaczała się niezachwianą pewnością siebie. Sprawiała wrażenie, że potrafi dać sobie radę z całym światem. Zważywszy na okoliczności taka postawa wydała się Jake'owi niedorzeczna.

Więc to była Dzika Annie.

Słyszał, że ma sześć stóp wzrostu i waży ponad dwieście funtów. Podobno kiedyś walczyła z grizzly gołymi rękami... i zwyciężyła. Przepłynęła Niagarę. Rzeczywistość przeczyła wszelkim opowieściom i plotkom. Legendarna kobieta rewolwerowiec nie budziła grozy. Przypominała raczej szczeniaka, którego kopnięto o jeden raz za dużo.

Annie odgarnęła włosy z twarzy. Jake zauważył, że jej palce są długie i kształtne, a nadgarstek szczupły i delikatny. Poza tym mógł jedynie stwierdzić, że jest średniego wzrostu, bo resztę ciała maskowało workowate ubranie. Jeśli nawet były pod nim jakieś krągłości, i tak go nie interesowały.

Najważniejsze, doszedł do wniosku, że da się ją okiełznać, choć wyglądała na twardą i zawziętą, prawdziwy diabeł wcielony.

- Dopilnuję, żeby dotarła do Cooperton - powtórzył.

Szeryf zmierzył go badawczym wzrokiem, a potem spojrzał na tłum.

- Czy ktoś nie chce, żeby Jake Moran wywiózł Dziką Annie z miasta? Jeśli tak, niech się odezwie.

Odpowiedziało mu milczenie.

- W takim razie sprawa załatwiona.

Cayne sięgnął do szyi Annie. Kobieta drgnęła i zamknęła oczy, ale od razu je otworzyła i wyprostowała plecy, zawstydzona przejawem słabości. Szeryf nie pokazał po sobie, że dostrzegł jej strach.

- Daję ci drugą i ostatnią szansę, panienko - zagrział głosem zdolnym skruszyć najtwardszego przestępcę. - Jeśli kiedykolwiek dowiem się, że jesteś na bakier z prawem, złapię cię i sam powieszę. Jasne?

Annie patrzyła na niego buntowniczo.

Cayne czekał.

- Możesz mi podziękować, jeśli chcesz.

Kobieta przełknęła ślinę i wychrypiała:

- Idź do diabła.

Szeryf przyglądał się jej przez chwilę, a potem westchnął ze znużeniem i odwrócił się do Morana.

- Jake, poznaj pannę Annabel Lee Foster.

Serdecznie klepnął go po ramieniu.

- Gratulacje, jest twoja.

2

Annabel Lee Foster z niedowierzaniem potrząsnęła głową. To zwykły podstęp. Chcą wzbudzić w niej nadzieję, sprawić, żeby im uwierzyła, a potem dokończyć egzekucji. Fakt, że wrócili do miasta, nie zmniejszył jej strachu. Brudna sztuczka szeryfa. Powieszają ją, bez dwóch zdań.

Annie przełknęła ślinę i odpędziła od siebie tę myśl. Ścisnęła ją w żołądku, a kolana trzęsły się pod nią tak, że ledwo stała. Lecz niech ją diabli, jeśli okaże lęk i okryje się hańbą. Jeśli nadszedł jej czas, opuści ten świat tak, jak nauczył ją Doc Mundy: dumna i wyprostowana, a nie skamłająca o litość.

Choć bardzo starała się nie myśleć o wieszaniu, przy każdym oddechu przypominał o tym piekący ból w gar-

dle. Zupełnie jakby miała w środku gniazdo rozwścieczonych szerszeni. Drżącymi rękami dotknęła opuchniętej szyi. Chyba nie doznała poważnych obrażeń. W każdym razie jeszcze nie odczuwała ich skutków.

Uświadomiwszy sobie, że takie rozważania tylko wywołują w niej panikę, powiodła wzrokiem po biurze szeryfa. Roy Cayne rozmawiał z jednym z zastępców. Niestety, mówili tak cicho, że nic nie mogła podsłuchać. Od czasu do czasu zerkali w jej stronę, ale na ogół ją ignorowali. I bardzo dobrze. Miała dość ich zainteresowania jak na jeden dzień.

Nieznamy, który zgłosił się na ochotnika, żeby odeskortować ją do Cooperton, stał oparty ramieniem o framugę okna. Ręce skrzyżował na szerokiej piersi i wyglądał przez okno ze znudzoną i nieobecną miną. Zupełnie nie zwracał uwagi na nią, szeryfa i jego ludzi, ale instynkt podpowiadał Annie, że mężczyzna jest wychulony na najmniejszy ruch w pokoju.

Jake Moran. Tak przedstawił go szeryf Cayne. Nazwisko nic jej nie mówiło. Domyślała się tylko, że jest pokerzystą. Ubrany na czarno jak pastor, nie miał w sobie nic z tandetnej świątobliwości, często widywanej u duchownych. Marynarka i spodnie uszyte z wełny w doskonałym gatunku podkreślały szerokość ramion, wąskie biodra i długie, silne nogi. Na strój składała się ponadto kamizelka z szarego jedwabnego brokatu, wykrochmalona biała koszula, wąski, czarny krawat i bardzo elegancki kapelusz.

U znanych jej mężczyzn Annie nigdy nie widziała tak czystych ani nowych rzeczy, pokerzystą zaś nosił wytworne ubranie ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do wszystkiego, co najlepsze. Miał na grzbiecie więcej pieniędzy, niż ona wydała przez całe życie. Musiała

jednak niechętnie przyznać, że mimo wyglądu miejskiego dandysa Jake Moran jest muskularny i bardzo męski.

Obejrawszy mężczyznę od stóp do głów, Annie zwróciła uwagę na jego profil. Piękny. Tylko takie określenie przyszło jej do głowy. Jednocześnie uznała, że Moran jest aż nazbyt przystojny. Miał wydatne kości policzkowe, zmysłowe usta, skórę zbrązowiałą od słońca, mocny podbródek i prosty nos z lekkim garbkiem, być może pamiątkę po partyjce kart z niewłaściwymi osobami. Odcień gęstych włosów zachodzących na kołnierzyk przypominał jej bardzo mocną kawę.

Ale najbardziej zafascynowały Annie oczy w oprawie niezwykle gęstych, czarnych rzęs. Dopiero po uważnej obserwacji rozstrzygnęła, że są koloru zimowego nieba tuż przed opadami śniegu. Kryła się w nich zapowiedź burz i niebezpieczeństwa.

Mężczyzna o takim wyglądzie mógł oznaczać jedynie kłopoty, a Annabel Lee Foster miała ich dość do końca życia. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, było zadawanie się z kimś takim jak on.

Jakby czytając w jej myślach, Moran odwrócił głowę od okna tak szybko, że nie zdążyła spuścić wzroku. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że doskonale zdawał sobie sprawę, że mu się przygląda. Może nawet był tym lekko rozbawiony.

Gdy spoczęły na niej jego oczy, Annie oblała się warem. Pokerzysta patrzył na nią z zadowoloną miną wieprza, taplającego się w kałuży. Świadomy własnego uroku, najwyraźniej oczekiwał, że każda kobieta omdleje pod jego spojrzeniem. Cóż, tym razem spotka go zawód. Ona na pewno nie zachowa się jak gęś tylko dlatego, że Bóg nazbyt hojnie obdarzył go urodą.

- Na co się gapisz, bażancie? - rzuciła tonem, który

chłopcy z bandy Mundy'ego uznaliby za znak niebezpieczny.

- Na panią - powiedział mężczyzna, zupełnie nie spe-
szony jej obcesowością. Nawet nie próbował ukryć we-
szości. - Na Dziką Annie.

- Tak myślałam - prychnęła kobieta pogardliwie.

Moran uniósł brew w milczącym pytaniu.

- Pański głos brzmi tak, jak się spodziewałam. Jest
gładszy niż dupcia niemowlaka.

Jake pokazał idealnie równe, białe zęby.

- Przyjmuję te słowa jako komplement.

- Jak pan chce. Ale nie o to tu chodziło.

Uśmiech stał się szerszy.

- Nie marnujesz kul, prawda, kochanie?

Annie zmierzyła go nieruchomym wzrokiem. Ręce
trzymała na biodrach.

- Nigdy. I nie chybiam. Zwłaszcza kiedy celuję w serce.

- W takim razie powinniśmy się dogadać. - Wyraz
twarzy Morana nie zmienił się, ale w oczach pojawił się
lodowaty błysk. - Przekonasz się, że jest to moje naj-
mniej wrażliwe miejsce.

W tym momencie Annie zrozumiała, co nie dawało
jej spokoju. Dziwne, że wcześniej tego nie spostrzegła.
Jake Moran miał oczy zabójcy. Wystarczająco długo
przebywała w towarzystwie chłopców z bandy, żeby je
rozpoznać: czarujące w jednej minucie, śmiertelnie
groźne w następnej. Ten człowiek nieraz zabijał i pew-
nie nieraz zabije w przyszłości.

Annie przyjrzała mu się baczniej. Mówił jak południo-
wiec, lekko przeciągając słowa. Ciekawe. Mimo swobodnej
postawy wyczuwało się w nim drapieżnika, głodną pumę
czającą się w jaskini. Moran na coś polował. Była gotowa
założyć się o najdroższą parę spodni z kozłej skóry.

Z zamyślenia wyrwał ją głos szeryfa.

- Posłuchaj, panienko, powinnaś być wdzięczna Jake'owi. To jedyny człowiek w mieście, który zgodził się z tobą jechać. Gdyby nie on, wisiłabyś teraz na starym dębie.

- I co?

- Może nie powinnaś tak bardzo zaglądać darowanemu koniowi w zęby?

- Czemu nie? - Spojrzała na Morana z zimną pogardą. - A po co mi cała stajnia ochwaconych, starych szkap, choćby i za darmo?

Jake skłonił się z wdziękiem, ani trochę nie obrażony jej słowami.

- Pochlebiasz mi, kochanie.

Cayne westchnął, potrząsnął głową i zmienił temat, przyznając się do porażki.

- Oto twoje doczesne dobra - powiedział i rzucił na biurko jutowy worek.

Annie niechętnie oderwała wzrok od Morana.

- Z wyjątkiem tego, co mi ukradliście, pan i pańscy ludzie - mruknęła pod nosem.

Zajrzała do worka i stwierdziła, że jest wszystko, czyli niewiele. Oprócz dwóch rzeczy.

- Moja broń, szeryfie. Co z moimi rewolwerami?

- A, rzeczywiście! Jak mógłbym o nich zapomnieć?

Podał jej pas z pustymi kaburami.

Annie zapięła pas i czekała niecierpliwie. Bez broni kabury były równie bezużyteczne jak wiadro na mleko pod bykiem. Cayne nie ruszył się, więc go ponagliła:

- Kolty, czterdziestki piątki, orzechowe rękojeści z wrytymi inicjałami A. F.

- Nosiła je Dzika Annie, a nie panna Annabel Lee Foster. Nie zapominaj, panienko, że rozpoczynasz no-

we życie. Nie zapominaj. Zresztą, przy Jake'u nie będzie ci potrzebna broń. On cię ochroni.

A więc to tak. Annie wzięła głęboki oddech. Z trudem nad sobą zapanowała.

- Nie potrzebuję ochrony, szeryfie. Chcę dostać moje rewolwery.

Cayne zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi.

- Powiem ci, co zrobię. - Wyjął z szafki dwa kolty. - Dam je Jake'owi na przechowanie. To odpowiedzialny gość. Jak będziesz grzeczną dziewczynką i nie sprawisz mu kłopotów, na pewno ci je odda. Mam rację, Jake?

Moran wzruszył ramionami.

Annie zacisnęła pięści. Lodowata obojętność pokrzyżowała jej złość tak samo jak władczość szeryfa Cayne'a.. Bez rewolwerów czuła się naga i bezbronna jak nowo narodzone dziecko.

- Są moją własnością, słyszy pan?

- Wygląda na to, że decyzja należy do mnie - odezwał się Jake. - Będziesz zachowywać się jak prawdziwa dama, skarbie?

- Co, do diabła, wiesz o prawdziwych damach, ty drańniu, ty złodzieju, ty oszuście...

- Możesz zatrzymać rewolwery, szeryfie.

- Nie!

Moran uśmiechnął się z lekka.

- Czy to znaczy, że obiecujesz być grzeczną, kochanie?

Annie stłumiła wściekłość i ugryzła się w język. Następne słowa tylko pogorszyłyby sprawę, a Bóg wie, że już dość przeszła jak na jeden dzień.

- Tak.

Z bezsilną złością patrzyła, jak szeryf podaje Moranowi jej rewolwery.

- Nie martw się, kochanie. Dobrze ich przypilnuję - powiedział mężczyzna, chowając broń za pas.

Wyraźnie ją prowokował. Najmądrzejszą teraz rzeczą byłoby milczeć, lecz Annie nie należała do osób, które cofają się przed walką, nawet w sytuacji beznadziejnej.

- Tyle możesz zrobić, bo założę się, że nie potrafiłbyś z nich strzelić. Odzyskam kolty, a wtedy lepiej miej się na baczności. Zobaczysz, co się stanie.

Ostatnie zdanie wypowiedziała ochrypłym szeptem. Moran pokonał odległość między nimi dwoma długimi krokami. Jedną rękę położył jej na ramieniu, a drugą przesunął lekko po szyi. Annie cofnęła się odruchowo, ale za plecami poczuła ścianę.

- Weź łapy - syknęła.

Jake zignorował jej słowa i uważnie obejrzał czerwoną pręgę. Między jego brwiami pojawiła się lekka zmarszczka.

- Masz coś na to? - rzucił do szeryfa.

Cayne podszedł do biurka.

- Może znajdzie się jakaś maść.

- Powiedziałam, żebyś zabrał ręce - wyszeptała Annie groźnie.

Pokerzysta nie zwrócił na nią uwagi. Patrzył na szeryfa, grzebiącego w szufladzie biurka. Cóż, ostrzegała Morana dwa razy. Mocny kopniak w pachwinę przekona go, że nie żartowała. Zgięła nogę w kolanie, ale mężczyzna odgadł niecny zamiar, uchylił się i przyszpilił ją do ściany własnym ciałem. Błyskawicznym ruchem złapał kobietę za nadgarstki i jedną ręką unieruchomił je bez trudu nad jej głową.

Annie próbowała walczyć. Lecz im bardziej się szarpała, oddychając gwałtownie, tym mocniej Jake na nią

napierał. Torsem zgniół jej piersi, nogami przycisnął uda. Intensywny, męski zapach obezwładniał. Niechętna przyznać się do porażki, Annie spojrzała w lodowato niebieskie oczy z taką furją, że inny mężczyzna natychmiast by się cofnął.

Jake Moran tylko skrzywił wargi w uśmiechu.

- Podoba ci się, kochanie?

- Ty sukinsynu.

- Słyszałeś, szeryfie? Miłymi słówkami próbuje mnie nakłonić, żebym ją puścił. - Odwrócił się do Annie i powiedział ściszone głosem: - Chcesz grać ostro, Annie, proszę bardzo. Ja też to potrafię. Radzę ci pamiętać.

Pamiętać? Do licha, nigdy nie zdoła uciec od wspomnienia, że przyciskał się do niej tak, jakby próbował stopić w jedno ich ciała. Powściągnęła gniew i skinęła głową.

- Zapamiętam - wykrztusiła.

- Dobrze.

Mężczyzna puścił jej ręce i cofnął się o krok. Annie zanurkowała pod jego ramieniem i skoczyła w drugi koniec pokoju. Odwróciła się i położyła pięści na biodra.

- Ty też powinieneś coś zapamiętać, Moran. Jeszcze raz tego spróbujesz, a podzielę cię w łeb.

Cayne uniósł w górę słoiczek z maścią. Miał zakłopotany wyraz twarzy.

- Jake próbował tylko...

- Wiem, czego próbował - przerwała mu Annie, piorunując wzrokiem Morana. - Nie lubię być dotykana. Rozumie pan? Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka.

Choć usiłowała zachować spokój, jej głos zabrzmiał piskliwie. Miała nadzieję, że obecni przypiszą zdenerwowanie niedawnym przeżyciom, a nie silnym emocjom, jakie w tej chwili nią targały. Niestety jedno spojrzenie na twarz Morana rozwiało jej złudzenia. W jego

oczach pojawił się błysk zrozumienia. Zniknął tak szybko, że Annie zaraz zwątpiła, czy w ogóle go widziała.

- Rób jak chcesz, kochanie. To twoja szyja - powiedział Jake.

Doskonale obojętny ton Morana utwierdził ją w przekonaniu, że się pomyliła. Z dumą uniosła podbródek.

- Niech tak będzie.

W tym momencie drzwi otworzyły się szeroko i do pomieszczenia wpadł chłodny podmuch. Jeden z zastępców szeryfa wtaszczył do środka pijaka.

Wdzięczna za chwilowe odwrócenie uwagi od jej osoby, Annie opadła na krzesło, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Elegancki pokerzysta zrobił na niej większe wrażenie, niż odważyła się przyznać. Serce waliło jak młot, krew pulsowała w żyłach, żołądek podchodził do gardła. Mając do wyboru dotyk męskich rąk na skórze a siedzenie w wannie pełnej oślizłych węży, wybrałaby węże. Powtarzała sobie w duchu, że nie wolno jej okazać słabości, nie teraz.

Moran na pewno już nie zbliży się do niej. Annie wzięła głęboki oddech, rozkoszując się myślą, że w końcu odzyska rewolwery. Niech wtedy drań spróbuje ją tknąć.

Zajęta sobą, nie słuchała rozmowy, która toczyła się w biurze. Jej uwagę przyciągnęła dopiero nagła cisza. Annie podniosła wzrok i zobaczyła, że wszyscy patrzą na nią wyczekująco.

- Co masz do powiedzenia, panienko? - zapytał szeryf.

- O czym?

Cayne westchnął i przysiadł na biurku. Wypluł strugę soku tytoniowego, z wprawą celując prosto w mosiężną spluwaczkę.

- Mówiłem o sposobie działania Mundy'ego. Pamiętam, że kiedyś on i jego chłopaki wcale nie byli ban-

dziorami, tylko grupą wyrzutków, ukrywających się w górach. Czasami ukradli parę sztuk okulawionego bydła albo trochę złotego proszku pijanym górnikom. Jakieś dwa lata temu raptem stali się groźni i cwani. Zaczęli robić skoki, które przynoszą duże pieniądze, ale wymagają sprytu i talentu, chociażby napady na dyliżanse i oczyszczanie banków.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Wszystko się zmienia.

- Może wszystko, ale nie ludzie.

Annie zerknęła na Jake'a. Mężczyzna bez pośpiechu wyjął z kieszeni kamizelki paczkę tytoniu, skręcił papierosa i zapalił, skrzęsawszy ogień o podeszwę buta. Zachowywał się ze zwykłą nonszalancją, ale lekkie napięcie mięśni szczęki świadczyło, że temat rozmowy wyraźnie go interesuje.

- Gdzie mogę znaleźć Pete'a Mundy'ego?

- Chyba w piekle.

- Twierdzisz, że Pete nie żyje?

- Nie żyje. Reszta chłopców także - powiedziała Annie stanowczo.

- Naprawdę? - Szeryf zmarszczył brwi. - Słyszałem, że ty i Pete byliście w sobie bardzo zakochani.

- Złe pan słyszał.

- Możliwe. Albo nadal go osłaniasz. Wiele kobiet pewnie uważa takie życie za ekscytujące. Przystojny bandzior, kryjówka w lasach, łatwy pieniądz...

- Nie jestem taka jak większość kobiet, szeryfie.

- Nie zaprzeczę. - Cayne wstał z biurka i położył wielkie łapska na biodrach. - Powiesz mi, gdzie mogą być pieniądze z napadu na dyliżans?

Annie wzruszyła ramionami.

- Chłopcy nie byli zbyt rozmowni w takich sprawach.

- Więc nie masz pojęcia.

- Obawiam się, że nie.

Szeryf przyglądał się jej przez długą chwilę.

- Jesteś najbardziej upartą i niezdolną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Chcesz wiedzieć, czemu nie pozwoliłem ci powiesić?

Annie dumnie uniosła podbródek. Jeśli Cayne oczekiwał wdzięczności, grubo się pomylił.

- Czemu?

- Bo wierzę, że nie miałaś nic wspólnego z napadem na dylizans. Uważam, że po prostu związałaś się z niewłaściwymi facetami. Nie obchodzi mnie, co orzekli przysięgli. Sądzę, że nie chodziło im o sprawiedliwość, ale o zemstę. Nie w taki sposób rządę moim miastem.

Annie w milczeniu ważyła słowa szeryfa.

- Kłopot polega na tym, że nie wszyscy są tak rozsądni jak ja - ciągnął dalej mężczyzna. - Ten i ów może uznać, że zmusi cię do mówienia i odzyska łup. Lepiej mnie nie okłamuj. Nie warto ginać dla pieniędzy. Niektórzy chłopczy potrafią być bardzo brutalni. Rozumiesz, panienko?

Annie zmierzyła go spokojnym wzrokiem.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. W takim razie dlaczego po prostu nie powiesz mi, gdzie są pieniądze? Odjedziesz stąd wolna i czysta. Nikt nie będzie miał powodu, żeby cię szukać.

Usta kobiety wykrzywił gorzki uśmiech.

- Więc o to chodzi.

- Co masz na myśli, panienko?

- Mam kupić sobie wolność. Oddam pieniądze z napadu, a w zamian pan pozwoli mi wyjechać z miasta. Niezły plan. Szkoda, że nie mogę panu pomóc, szeryfie, ale niestety nic nie wiem.

Twarz **Cayne'a** pociemniała z gniewu.

- Oskarżasz mnie, że chcę zatrzymać łup?

Annie wzruszyła ramionami.

- Stróże prawa bywają różni.

- Te pieniądze należą do bogobojnych, ciężko pracujących obywateli naszego miasta. Jeśli zostało w tobie choć trochę uczciwości, panienko, postarasz się, żeby je odzyskali.

- To mój cel w życiu, szeryfie. Uczynić ich szczęśliwymi. Tych samych ludzi, którzy dwa razy chcieli mnie powiesić. *Cuando las ranas crien poco...*

Cayne ściągnął brwi.

- Co to, meksykański?

- Panna Foster chciała chyba powiedzieć *Cuando las ranas crien pelo* - odezwał się Jake z rozbawieniem na twarzy. - „Kiedy żabom wyrosną włosy”.

Annie zauważyła, że wymowa Morana jest bezbłędna i płynna. Ona zawsze kaleczyła hiszpański mimo wyśiłeków Diega.

Szeryf westchnął z irytacją.

- Jeśli panna Foster nagle przypomni sobie, gdzie są pieniądze, daj mi znać - rzucił do Jake'a.

Mężczyzna skinął głową. Przysłuchiwał się rozmowie, ale wyraz jego oczu pozostał obojętny. Najwyraźniej sama banda Mundy'ego interesowała go bardziej niż dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Podczas gdy Annie zastanawiała się nad tym spostrzeżeniem, szeryf zwrócił się do zastępcy.

- Biegnij do Ella's Cafe i każ przygotować na wieczór parę kanapek. Potem idź do sklepu i kup trochę jedzenia. Tyle, żeby im starczyło do Aquio Pass. - Z szuflady biurka wyjął blaszaną puszkę, a z niej banknot. - Powinno wystarczyć.

Zastępca schował pieniądze do kieszeni i wyszedł

z biura. Tymczasem szeryf z niezwykłą zręcznością jak na mężczyznę o takiej masie doskoczył do Morana, sięgnął do jego kamizelki i wyciągnął z niej portfel. Na widok pliku banknotów zagwizdał cicho.

- Nieźle. Jakież trzy tysiące.

- Dwa tysiące osiemset - uściślił Jake. Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę. Choć zachował całkowity spokój, w pokoju można było wyczuć napięcie.

- Zechcesz wyjaśnić, Roy?

- Muszę się ubezpieczyć, Jake. Obiecałem, że Annabel Lee Foster dotrze do Cooperton, i zamierzam tego dopilnować. Co zrobię, jeśli po dwóch dniach rozmyślisz się i pojedziesz w swoją stronę? W żaden inny sposób nie mogę cię skłonić do dotrzymania obietnicy.

- Masz moje słowo - odparł pokerzysta tonem człowieka, który wierzy, że jego słowo coś znaczy.

- Człowiek ma skłonność do zapominania obietnic, jeśli nic go nie zmusza do ich dotrzymania.

- Nie martw się, Moran - powiedziała Annie, nie ukrywając zadowolenia. - Szeryf to rozsądny gość. Jak będziesz naprawdę grzecznym chłopcem i nie sprawisz mu kłopotów, na pewno odda ci forszę. Prawda?

Cayne poczerwieniał z gniewu.

- To tylko środek ostrożności. Gdy dotrzecie do Cooperton, poprosisz tamtejszego szeryfa, żeby do mnie zatelegrafował, a ja już zadbam, żebyś dostał z powrotem wszystko co do grosza.

- Jasne.

Mężczyzna posłał Moranowi urażone spojrzenie.

- Nie ma jak zaufanie. W miłym świecie żyjesz, Jake. Gdybyś chciał się rozmyślić, zrób to teraz. W przeciwnym razie zatrzymuję całą sumę jako zastaw póki nie dotrzecie do Cooperton.

Jake obojętnie wzruszył ramionami.

- Nawet mi się nie śni opuszczać panny Foster - powiedział gładko. - Nie teraz, kiedy zapałała do mnie wyraźnym afektem.

Annie pominęła milczeniem drwiącą uwagę. Odwróciła głowę do okna i ujrzała zastępcę z workiem zakupów w jednej ręce, a wodzami klaczy w drugiej. Serce skoczyło jej w piersi na widok Dulcie. Do tej chwili nie wierzyła, że szeryf naprawdę zamierza puścić ją wolno. Uważała, że tylko ją zwodzi. Najwyraźniej się myliła.

Spojrzała na Cayne'a. Zobaczywszy milczące skinienie głową, wyszła z aresztu na ulicę.

Blade, październikowe słońce poraziło ją w oczy, chłodny wiatr zmierzwił włosy i przyniósł zapachy jesieni: mokrych liści, dymów, świeżo ciętego drewna, ciasta owocowego z goździkami i cynamonem. Kobieta stała bez ruchu, chłonąc atmosferę małego miasteczka. A więc szeryf Cayne jej nie okłamał. Dostała szansę na rozpoczęcie nowego, uczciwego życia. W obawie, że radość odmaluje się na jej twarzy, ruszyła w stronę Dulcie. Przytuliła policzek do ciepłego końskiego karku, skrywając uczucia. Po chwili poczuła na łydce lekkie muśnięcie. Spojrzała w dół i zobaczyła znajome białe futerko. Nachyliła się i wzięła kota na rękę.

Bezpańskie stworzenie dotrzymywało jej towarzysztwa w ciągu długich nocy przed egzekucją. Zwykle zjawiało się koło północy; wchodziło przez okno, podczas gdy zastępca chrapał przy biurku. Dzieląc się z kotem resztkami kolacji, powoli zdobyła sobie jego zaufanie. W końcu pozwolił się pogłaskać, a kiedyś został do rana, zwinięty w jej nogach na więziennej prycy.

Kiedy Annie czule głaskała przybłądę, na jej twarz padł cień, zasłaniając słońce. Kobieta podniosła wzrok.

Ujrzała przed sobą Morana i szeryfa. Obaj łypali spode łba na futrzaste zwierzątko, które trzymała na rękach.

- To najpaskudniejszy kocur, jakiego kiedykolwiek widziałem - stwierdził Cayne.

Annie skwitowała uwagę wzruszeniem ramion.

- Ma jakieś imię? - zapytała.

Mężczyzna zaśmiał się krótko.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, jak chłopaki go nazywają.

- Do kogo należy?

- A kto by go chciał? Jest na pół zdziczały.

- Biorę kota ze sobą - oświadczyła Annie porywczo.

- Nie ma mowy - wtrącił się Moran.

Kobieta spiorunowała go wzrokiem.

- Nie pytałam o zgodę. - Podrapała zwierzątko po łepku. Z jego gardła wydobyło się głębokie mruczenie.

- Poza tym on mnie lubi.

- Karmiłaś go.

Annie zrobiła krok w stronę mężczyzny. Kot natychmiast zjeżył sierść, fuknął i wysunął ostre pazury. Kobieta uśmiechnęła się i nagrodziła przybłędę głaskaniem.

- Może po prostu jest dobrym sędzią charakterów.

Trzymając stworzenie pod pachą, wsunęła stopę w strzemień i dosiadła Dulcie. Rzuciła Moranowi długie, twarde spojrzenie, a następnie odwróciła się do Cayne'a.

- Nie potrzebuję eskorty, szeryfie. Sama dotrę do Cooperton. Ten goguś będzie tylko włókł się za mną i opóźniał jazdę.

- Nie sądzę, żebyś miała duży wybór w tej kwestii, panienko. Chcę, żebyś opuściła terytorium, i zamierzam tego dopilnować. Jeśli Jake zrezygnuje, będę musiał wysłać jednego ze swoich zastępców, ale oni i tak harują bez wytchnienia.

Upewniwszy się w końcu, że szeryf naprawdę puszcza ją wolno, Annie rozważyła w myślach plusy i minusy towarzystwa Morana. Szybko doszła do wniosku, że wolałaby ruszyć w drogę z którymś z tępych podwładnych szeryfa. Łatwiej byłoby nim manipulować. Jake Moran wyglądał na człowieka, którego równie trudno określić jak teksańskiego byka cierpiącego akurat na niestrawność.

- Na takiego mężczyznę jak pan gdzieś chyba czeka żona - rzuciła od niechcienia, dając mężczyźnie pretekst do wymigania się od uciążliwej podróży.

Przez twarz pokerzysty przemknął wyraz szczerego rozbawienia.

- Moje uwielbienie dla piękniejszej płci jest zbyt głębokie, żeby wystarczył mi jeden obiekt.

Annie prychnęła z lekceważeniem.

- Czyli że ugania się pan za spódnicami.

- To też, kochanie.

Mężczyzna płynnym ruchem dosiadł gniadosza.

- Lepiej mnie polub. Póki nie dotrzemy do Cooper-ton, nie odstąpię cię na krok, skarbie.

Mina panny Foster dobitnie świadczyła o niezadowolaniu.

Jake wzruszył ramionami i poprawił kapelusz.

- Mam nadzieję, że nie będzie tak źle. Może nawet się zaprzyjaźnimy. Kto wie?

- Nie założyłabym się o to na pańskim miejscu.

Mężczyzna ruszył lekkim kłusem. Przelotny uśmiech złagodził jego rysy.

- Ja również, kochanie. Ja również.

3

Jake Moran nieraz dostawał kiepskie karty, ale tym razem los spłatał mu wyjątkowego figla. Eskortowanie Dzikiej Annie do Cooperton. Szaleństwo. Nawet jeśli nic złego się nie wydarzy, podróż zajmie im co najmniej dwa tygodnie. Jake potrząsnął głową. Szanse, że nic złego nie wydarzy się w czasie podróży z Annabel Lee Poster, były bliskie zeru.

Od początku prześladował ich pech. Weed stracił podkowę, pękł worek z jedzeniem i zawartość wysypała się na drogę, kot zawieruszył się gdzieś na dwie godziny. Tego dnia niedaleko ujechali. O zmierzchu rozbili obóz niecałe dziesięć mil od Stony Gulch. Będzie dobrze, jeśli przy tym tempie dotrą do Cooperton przed pierwszymi śniegami.

Jake siedział oparty plecami o płaską skałę. Długie nogi wyciągnął przed siebie. Między nimi trzymał butelkę i od czasu do czasu z niej pociągał, rozważając możliwości. Rano mógł wyruszyć na północ albo z powrotem na wschód, ale pozostawał problem nieszczęsnego listu gończego z jego podobizną. Wcześniej czy później stróże prawa dopadną go. Prawdę mówiąc, miał piekielne szczęście. Gdyby ten afisz wcześniej dotarł do Stony Gulch, szeryf Cayne pewnie zaprosiłby go do celi opuszczonej przez Annie.

Jako oskarżony o morderstwo za bardzo ryzykowałby, odjeżdżając w siną dal. Jeśli chciał oczyścić nazwi-

sko, jego jedyną szansą było wytropienie bandy Mundy'ego, a to oznaczało, że musi trzymać karty przy pierśsi i nie odstępować Annie.

Właściwie miał jeszcze jedno wyjście. Mógł wrócić do Gunpowder Falls i oddać się w ręce sprawiedliwości. Niestety nie wierzył, żeby mała osada, znana z surowości, była zdolna do przeprowadzenia uczciwego procesu.

Wolałby nie pamiętać, ilu ludzi zabił, ale nikomu przecież nie strzelił w plecy w ciemnej uliczce za barem. Udowodnienie, że Beckera zamordował Pete Mundy, stało się dla niego kwestią dumy i zwykłej konieczności.

Jake wrócił myślami do rozmowy w Stony Gulch. Annie kłamała, mówiąc szeryfowi, że chłopaki z szajki Mundy'ego nie żyją. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej widziano, jak kupowali żywność w Gunnison. Choć sumienie protestowało przeciw wykorzystaniu kobiety, Moran wiedział, że nie ma innego sposobu, by dotrzeć do zabójcy.

Zerknął na towarzyszkę podróży. Annie rozłożyła na pół kanapkę z żylastą wołowiną i dała ją kotu.

- Jak go nazwałaś?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Kot.

Jake pokiwał głową. Niezbyt oryginalne, ale zawsze lepsze niż Mruczek albo Puszek.

Annie spojrzała na butelkę.

- Zamierzasz się upić, Moran?

- Nie myślałem o tym. Dlaczego pytasz? Czy Pete się upijał?

- Pete robił różne rzeczy.

Ostentacyjnie zajęła się nowym ulubieńcem, kończąc rozmowę. Może i dobrze, stwierdził Jake, pociągając następny łyk. Nie ma sensu bliżej jej poznawać. Albo Dzi-

ka Annie zaprowadzi go do człowieka, którego szuka, albo ich drogi się rozejdą. Kobieta chyba uważała tak samo, bo nie przejawiała najmniejszego zainteresowania jego osobą. Od opuszczenia miasta nie zamienili ze sobą więcej jak kilkanaście słów.

Jake przesunął wzrok od tańczących, srebrno-czarnych cieni topoli i karłowatych dębów ku atramentowemu masywowi San Juan, ale myślami wciąż był przy Annie. Na Zachodzie spotykało się tylko dwa rodzaje kobiet: złe i dobre. Dobrymi były żony i córki, nauczycielki, sprzedawczynie, a złymi barmanki, kelnerki, tancerki, prostytutki. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, do jakiego świata należy Dzika Annie. Póki jednak istniała nadzieja, że kobieta wywabi z kryjówki bandę Mundy'ego, nie obchodziło go nic więcej.

Rozmyślenia Jake'a przerwało posępne wycie wilka, któremu zaraz odpowiedziały następne. Mężczyzna wstał.

- Lepiej się prześpijmy - powiedział. - O świcie wyruszamy.

Spojrzał na ognisko, zastanawiając się, czy je wygasić. Uznał jednak, że samo się dopali za parę godzin, a tymczasem da trochę ciepła. Noc była chłodna, bez wiatru, który mógłby roznieść żar albo wzniecić płomienie.

Annie chyba doszła do podobnego wniosku, bo wstała i bez słowa ruszyła do swojego pośłania. Jake lekko skrzywił wargi na widok niewielkiego stosiku kamieni i patyków, który wcześniej ułożyła przy legowisku.

Wskazał głową na skromny arsenał.

- To na mnie czy na wilki?

- Nie widzę dużej różnicy.

Moran potrząsnął głową.

- Wiesz, jak pochlebić mężczyźnie, kochanie.

Annie usiadła, zdjęła buty i kapelusz.

- Nigdy nie próbowałam. Nie widziałam w tym sensu.
- Myślę, że chodzi o uwodzenie... - zrobił pauzę. -
Czy ktoś zalecał się do ciebie, Annie?

Kobieta zmrużyła oczy.

- Lepiej wyjaśnijmy od razu, panie strojnisiu, że nie jestem taka, jak te łatwe dziewczyny ze Stony Gulch. Jeszcze raz zbliżysz się do mnie, a podzielę cię w łeb. Jasne?

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Słyszałeś, Moran?

Jake nie wiedział, co jest śmieszniejsze: groźny ton Dzikiej Annie czy jej obawa, że naprawdę mógłby rzucić się na nią w nocy. Poważnie skinął głową.

- Chyba będę w stanie oprzeć się twoim kobiecym wdziękom.

Annie nachmurzyła się i zadarła podbródek. Drwiący ton nie umknął jej uwagi.

- Już ja tego dopilnuję.

Jake zdjął marynarkę i koszulę. Annie przyglądała mu się otwarcie, nie wykazując zwykłego kobiecego zmieszania na widok jego nagiego torsu.

- Zawsze ubierasz się tak wytwornie, Moran?

- To niezbędne w mojej pracy. Gdy ludzie mają kilka dodatkowych dolarów w kieszeni, zaczynają się rozglądać, gdzie by je wydać. Zwykle wolą przegrywać pieniądze do dobrze ubranego dżentelmena niż brudnego hochsztaplera, który wygląda nie lepiej od nich.

- Zawsze wygrywasz?

- Zawsze.

- Dlaczego? Oszukujesz?

Jake puścił zniewagę mimo uszu.

- Może mam szczęście. - Rzucił jej uwodzicielski uśmiech. - Albo po prostu jestem taki sprytny.

Annie przez długą chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Wątpię w twoje szczęście. I z całą pewnością nie jesteś sprytny.

Mężczyzna uniósł brew.

- Dlaczego tak uważasz?

- Gdybyś miał choć trochę sprytu, nie byłoby cię tu teraz.

W ubraniu wsunęła się pod koce i odwróciła do niego plecami.

Nocną ciszę przerwało żalosne wycie. Kot zjeżył sierść. Dulcie i Weed wierzgnęły nerwowo.

Zapowiadała się długa, zimna noc.

Jake'owi przyszło do głowy, że Annie chyba ma rację.

- Za czym gonisz, Moran?

Mężczyzna poprawił się w siodle, żeby zyskać na czasie. Nie spodziewał się takiego pytania. Nie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

Jechali ostro przez cały ranek, a teraz zwolnili, żeby dać koniom wytchnienie. Podążali wzdłuż brzegu strumienia, który rzeźbił sobie drogę przez skalne podłoże i czerwoną gliniastą ziemię. Po obu stronach wznosiły się poszarpane ściany wąwozu. Dzień był bezchmurny, pełen jesiennych barw i chłodnych podmuchów wiatru. Powietrze przesycił delikatny zapach cedrów i sosen.

- No więc? - ponagliła Annie niecierpliwie.

-Ja tylko pomyślałem, że w drodze przyda ci się ktoś życzliwy, powiedzmy, przyjaciel.

- Nie jesteś moim przyjacielem.

Jake wzruszył ramionami.

- Szeryf Cayne potrzebował pomocy, a ja mam do załatwienia pewną sprawę w tamtych stronach. Poza tym jest jeszcze kwestia pieniędzy...

- Jakich pieniędzy?

- Dwóch tysięcy ośmiuset dolarów, które Cayne wziął na przechowanie.

- To drobiazg dla kogoś takiego jak ty, Moran. - Annie omiotła go taksującym spojrzeniem, jakby w myślach liczyła wartość jego ubrania, butów, siodła, konia. - Założę się, że masz co najmniej dziesięć razy tyle w jakimś banku na Wschodzie.

Jake ukrył zaskoczenie trafnością domysłu, choć kwota była dwa razy większa i znajdowała się w banku w St. Louis.

- Więc jeśli nie o pieniądze, musi chodzić o coś innego - stwierdziła kobieta. - Szeryf Cayne coś na ciebie ma albo ty czegoś chcesz ode mnie, Moran. Być może jedno i drugie. Wcześniej czy później cię rozgryzę.

- Daj mi wtedy znać.

- Jasne.

Sięgnęła po manierkę i napiła się wody. Otarła usta wierzchem dłoni. Nieświadomie kobiecym gestem zdjęła kapelusz i uniosła twarz do słońca. Ruch odsłonił długą, gładką szyję. Pod grubą, flanelową koszulą zarysowały się piersi. Lśniące pasma o barwie miodu i pszenicy opadły luźno na plecy.

Jake nareszcie mógł dobrze się przyjrzeć rysom Dzikiej Annie. Nie tak jak w biurze szeryfa, gdzie nasunęła na czoło zniszczony kapelusz, czy przy nikłym blasku obozowego ogniska. Oczy w oprawie długich, podwiniętych rzęs wcale nie miały ciemnobrązowej barwy, jak Moran z początku sądził. Mieniły się różnymi odcieniami złota, zieleni i orzecha. Gdy nie płonęły w nich gniew i wrogość, iskrzyły się życiem i ciepłym blaskiem. Kości policzkowe były wyraźnie zarysowane, owal twarzy delikatny, usta różowe i pełne. Brzoskwiniową opaleniznę Jake uznał za dużo bardziej

atrakcyjną niż porcelanową błądź, jaką starała się zachować większość kobiet.

Jeszcze większe wrażenie niż sama uroda zrobiła na nim inteligencja oraz determinacja i siła ducha, które malowały się na twarzy kobiety. Zauważył je już w czasie egzekucji. Razem wzięwszy, Annie stanowiła piorunującą mieszanekę kobiecości i nieugiętego charakteru. Nie należała do osób, które łatwo onieśmielić... ani zapomnieć.

Gdyby nie przeciwności losu, panna Annabel Lee Foster byłaby prawdziwą damą. Jake spróbował wyobrazić ją sobie w eleganckim stroju zamiast w spranych drelichach i kraciastej flaneli. Suknia ze złotego aksamitu podkreśliłaby jej niezwykłą cerę, upięte wysoko włosy odsłoniłyby twarz, a perły ozdobiłyby smukłą szyję. Zstępowałyby majestatycznie po schodach w blasku słońca padającym od tyłu, a na dole czekałaby na nią gromadka niecierpliwych adoratorów.

Annie wybrała akurat ten moment, żeby na niego spojrzeć. Zrazu zakłopotana jego badawczym wzrokiem, szybko odzyskała rezon. Upchnąwszy włosy pod kapelusz, nasunęła go na czoło.

- Na co się gapisz, Moran?

Obraz Dzikiej Annie jako kobiety stylowej i wytwornej roztrzaskał się w drobne kawałki.

- Patrzę na ciebie, kochanie.

- To nie patrz. Nie lubię tego.

- A co lubisz?

Skręcili na południe i ruszyli przez olchowy las, oddalając się od strumienia. Choć Jake zadał pytanie tylko dla podtrzymania rozmowy i rozproszenia nudy, ze zdziwieniem stwierdził, że jest naprawdę ciekaw odpowiedzi.

- Lubię Kota - odparła Annie po chwili, głaszcząc zwierzątko, które siedziało przed nią na siodle zwinie-

te w kłębek. - I Dulcie. - Poklepała klacz po karku.

- Co jeszcze?

Kobieta rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Mężczyzn, którzy nie zadają zbyt wielu pytań.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Muszę ci oddać, że masz swój styl, kochanie.

Mina mu zrzędała, gdy Annie bez słowa puściła się kłusem na wschód. Popędził za nią galopem. Dogoniwszy ją, zatrzymał gwałtownie Dulcie, chwytając za cugle.

- Do Cooperton jedzie się w przeciwną stronę.

Annie wyszarpnęła mu wodze.

- Muszę najpierw załatwić pewną sprawę.

-Jaką?

- Nie twój interes, Moran.

Jake westchnął ciężko.

- Widać nie wyraziłem się jasno. Póki nie wjedziemy do Cooperton, interesuje mnie wszystko, co robisz. Przez następne dwa tygodnie będę podążał za tobą jak cień.

- Strasznie gadatliwy cień.

Mężczyzna zignorował uwagę.

- Co to za sprawa?

Annie przyglądała mu się przez chwilę z zaciętym wyrazem twarzy. W końcu wzruszyła ramionami. .

- Mam coś do zabrania. Możesz za mną jechać, jeśli chcesz, Moran. Tylko nie spodziewaj się, że na ciebie poczekam.

Wbiła pięty w boki klaczy i popędziła przez skalisty teren, zostawiając za sobą tuman kurzu. Wiatr smagał jej twarz. Jake galopował za kobietą i podziwiał jej kunszt jeździecki. Annie poruszała się z nieświadomą gracją, w idealnej harmonii z wierzchowcem.

Zwolniła dopiero po południu, kiedy dotarli do starej kopalni srebra. Zeskoczyła z Dulcie. Jake poszedł

w jej ślady i przywiązał Weeda do starego cedru.

- Chcesz pobawić się w górniką? - spytał.

- To prawda, że będę kopać, ale nie dla paru kawałków bezwartościowej skały.

Wyraźnie starała się zachować obojętność, w jej oczach błyszczało dziecięce podniecenie.

Jake rozejrzał się po okolicy. Kopalnia wyglądała na opuszczoną przed laty. Wejście do głównego szybu zarosło krzakami i bylicami. O zbocze góry stała oparta jak pijak zniszczona szopa. Przed nią walały się połamane i zardzewiałe narzędzia. Nad dawno wygasłym ogniskiem wisiał obtłuczony dzbanek do kawy. Lekki wiatr wzniewał tumany kurzu i niósł słaby zapach siarki.

- Zostało nam coś do jedzenia? - spytała Annie.

Moran też poczuł głód. W torbie znalazł parę sucharów, kawałek żółtego sera, cienkie plastry szynki i dwa zielone jabłka. Pod cienistym cedrem rozłożył derkę.

Jedli w milczeniu, słuchając szelestu liści przeczesywanych wiatrem. Po skończonym obiedzie Annie ruszyła na poszukiwanie Kota, który swoim zwyczajem gdzieś powędrował. Jake rozprostował kości. W pewnym momencie jego wzrok padł na rozchylony jutowy worek z całym ziemskim majątkiem Annie. Silniejszy podmuch mógł w każdej chwili całkiem go otworzyć.

Jake trochę pomógł losowi, kopiąc torbę. W pierwszej chwili zawahał się, ale po krótkim namyśle stwierdził, że wyrok śmierci za morderstwo jest gorszy niż naruszenie czyjejś prywatności. Rozejrzał się czujnie i wysypał zawartość worka na koc: stare łachy, ułamane wędzidło, garść nabożów do strzelby, małą aksamitną portmonetkę, w której zabrzączały drobne, bardzo zniszczoną książkę, równie sponiewieraną Biblię i starą fotografię. Najpierw wziął do ręki książkę, zdziwiony, że Annie po-

trafi czytać. Jednak dostała jakieś wykształcenie. „Poradnik dobrego wychowania i manier dla dystyngowanych dam”, głosiły złocone litery na okładce. W górnym rogu strony tytułowej Jake zobaczył nazwisko skreślone ozdobnym kobiecym pismem: Catherine Elizabeth Foster. Potem sięgnął po zdjęcie, które przedstawiało dwie dziewczynki w odświętnych strojach, trzymające się za ręce. Niemal słyszał szelest krynolin pod świeżo wykrochmalonymi sukienkami, czuł jedwabistą gładkość wstążek. Starsza dziewczynka, w wieku około ośmiu lat, miała bardzo uroczystą minę. Młodsza natomiast sprawiała wrażenie, jakby nie mogła ustać w miejscu. Na jej wargach igrał figlarny uśmiezek, oczy się jarzyły, policzki barwił rumieniec. Jasne loki były potargane, broda umorusana, koronka spódnicy oberwana.

Młodszą dziewczynką była Dzika Annie.

- Zawsze grzebiesz w cudzych rzeczach, Moran?

Jake obejrzał się. Za nim stała Annie i patrzyła na niego spode łba. W ramionach trzymała Kota. Niemal wszystkie cechy uroczego dziecka, którym kiedyś była, zniknęły, ale rysy nie zmieniły się tak bardzo: delikatnie zarysowane usta, mały nosek, lekko skośne, pełne wyrazu oczy.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Pięć - burknęła Annie..

Puściła Kota i sięgnęła po fotografię. Schowała ją z powrotem do worka.

- Starsza dziewczynka to twoja siostra?

Kobieta skinęła głową.

- Catherine.

- Gdzie...

- Nie żyje. - Annie oparła pięści na biodrach. - Masz jeszcze jakieś pytania?

Kilka, odparł Jake w duchu. W dolnym rogu zdjęcia dostrzegł pieczętkę zakładu fotograficznego: Johnston&Sons, Filadelfia. Ubrania sióstr były w doskonałym gatunku. W jaki sposób dziewczynka z zamożnej filadelfijskiej rodziny trafiła do bandy wyrzutków z Kolorado? Dlaczego Annie kryła Pete'a Mundy'ego i jego kompanów?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Żadnych, które nie mogłyby poczekać parę dni, kochanie - rzucił obojętnym tonem.

Upychając rzeczy do worka, Annie zawahała się przy aksamitnej sakiewce. Rozwiązała sznurki i zerknęła do środka. Najwyraźniej zadowolona, schowała ją i zmierzyla Jake'a długim spojrzeniem.

- To moje pieniądze, Moran. Trzysta dwadzieścia dziewięć dolarów i czterdzieści osiem centów. Jeśli chodzi ci po głowie, żeby je ukraść albo pożyczyć...

- Zdzielisz mnie w łeb.

- Widzę, że zapamiętałeś.

Dokończyła pakowania i poszła do zniszczonej szopy. Po chwili wróciła z dwiema zardzewiałymi łopatami. Jedną wcisnęła do ręki Jake'owi.

- Umiesz się tym posługiwać, fircyku?

Mężczyzna uniósł brew.

- Mniej więcej.

Annie prychnęła z lekceważeniem.

- Chyba z obserwacji. Sam pewnie nigdy nie miałeś pęcherzy, Moran.

Okręciła się na pięcie i pomaszerowała ku wejściu do nieczynnej kopalni. Z wprawą zaczęła kopać u podstawy starej topoli. Jake patrzył na nią w milczeniu. Po kilku minutach Annie przerwała pracę i spiorunowała go wzrokiem.

- O co chodzi, Moran? Boisz się ubrudzić ładne ubranko?

Jake pozostawił uwagę bez komentarza.

- Może mi łaskawie powiesz, czego szukamy?

- Podejrzewam, że odpowiedź „to nie pański interes” nie wystarczy?

- Nie, jeśli chcesz mojej pomocy.

Annie mruknęła coś pod nosem. Spojrzała na wykopaną dziurę, a potem na mężczyznę. W końcu westchnęła ciężko, odstawiła łopatę i sięgnęła do tylnej kieszeni drelichów.

- Masz, skoro jesteś taki ciekawy.

Jake usłyszał w głosie kobiety nutkę dumy, choć wyraz twarzy mówił co innego. Wziął brudny i zmięty świstek papieru, przetarty na złożeniach niczym pieczołowicie przechowywany list miłosny. Okazało się jednak, że jest to stara ulotka reklamowa. Wielkie litery głosiły: „Raj! Odwiedźcie wytworny Pałace w Cooperton, w Kolorado, hotel dla dystyngowanych dam i dżentelmenów. Pałace: kultura i cywilizacja w samym środku Dzikiego Zachodu”.

- Brzmi nieźle. - Oddał ulotkę. - Zamierzasz go obrabować?

Annie ściągnęła brwi.

- Jestem właścicielką. Tu zakopałam odpowiedni dokument. Będziesz zadawał więcej pytań czy mi pomożesz?

Jake zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Stara topola, którą Annie wybrała jako znak orientacyjny, sporo urosła przez parę lat, tak że musieli okopywać grube korzenie. Dwie godziny później, brudni, spoceni i zadyszani, trafili wreszcie na sosnową skrzynkę. Annie otworzyła wieko i wyjęła ze środka pożółkły pergamin.

- Nie przypuszczam, żebyś legalnie weszła w jego posiadanie. Mam rację, skarbie?

Kobieta otarła pot z czoła i rzuciła mu chmurne spojrzenie.

- Ten dokument jest bardziej legalny i prawdziwy niż świadectwo, że twoja mama i tata wzięli ślub w dniu, kiedy się urodziłeś.

Jake z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Przekonałaś mnie.

Podszedł do Weeda i wyjął z juków butelkę whisky. Usiadł przy gładkiej skale i oparł się o nią plecami. Z rozkoszą pociągnął długi łyk. Annie bez słowa siedła naprzeciwko niego. Po kilku minutach zjawił się Kot i syknąwszy na mężczyznę, usadowił się na swojej pani. Jej rysy złagodniały.

- Więc to koniec życia na bakier z prawem - zagaił Jake, próbując skłonić kobietę do zwierzeń.

Annie pokiwała głową.

- Tak.

- Będiesz damą z towarzystwa, właścicielką dużego hotelu.

Kobieta przesunęła palcami po leżącej obok niej ulotce reklamowej. Uśmiech zadowolenia rozpromienił jej twarz.

- Zgadza się.

Gdy cisza się przedłużała, Jake zrozumiał, że niczego więcej nie wyciągnie z kobiety. Rozejrzał się po okolicy. Skrzywił nos, kiedy wiatr przyniósł odór siarki.

- Co to za zapach?

- Za wzgórzem są gorące źródła.

Jake wstał i ruszył we wskazanym kierunku. Po zaledwie kilkuset metrach trafił na parujące sadzawki. Wcześniej postanowił, że nie rozbiją obozu przy starej

kopalni, ale pojedą dalej. Teraz doszedł do wniosku, że nie warto przepuścić okazji wykąpania się w ciepłych źródłach. Na szczęście Annie ochoczo przystała na jego propozycję.

- Ty pierwszy, Moran. Nie rozbiore się, póki będziesz w odległości pięćdziesięciu metrów ode mnie.

- Obawiam się, że nic z tego, kochanie. Co cię powstrzyma przed zabranie obu wierzchowców i ucieczką, gdy ja będę siedział po szyję w ukropie?

- Skąd mam wiedzieć, że nie planujesz tego samego?
- odparowała Annie.

Sprzeczali się jeszcze przez dziesięć minut, nim w końcu doszli do porozumienia. Sadowki były oddzielone skałami i gęstymi krzakami, tak że mogli kąpać się jednocześnie.

Jake zdjął ubranie, położył je na siodle i zanurzył się w parującym źródle. Po chwili usłyszał szelest krzaków, a po nim błogie westchnienie. Annie poszła za jego przykładem.

Niedługo oddawali się rozkoszy.

Chłodne wieczorne powietrze rozdarł kobiecy krzyk, a po nim stek przekleństw.

Jake wyskoczył z sadowki. W tym momencie obok niego przegalopowały dwa konie. Moran padł na ziemię i potoczył się, o włos unikając stratowania. Gdy się zerwał, dostrzegł, że na grzbiecie Weeda siedzi obcy jeździec.

Błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Ktoś ukradł im konie. Zapadała noc. On i Dzika Annie zostali na pustkowiu bez koców, broni, pieniędzy i zapasów jedzenia.

Oboje byli zupełnie nadzy.

4

- Zrobisz jeden krok, a...

Annie urwała w pół słowa. Nie przychodziła jej do głowy żadna groźba, którą mogłaby spełnić, siedząc goła w wodzie.

Odpowiedział jej grzmiący śmiech.

- Widzę, że nic ci nie jest, kochanie.

Moran wyglądał bardzo śmiesznie w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu i w skórzanych butach. Stroju dopełniała gęsta sosnowa gałązka.

Annie powiodła po nim spojrzeniem. Po latach opatrywania ran chłopakom z bandy widok mężczyzny w całej okazałości nie wzbudził w niej popłochu, tylko ciekawość, której do tej pory nie znała.

Sposób bycia, gładkie maniery, ubranie szyte na miarę i niespieszne, płynne ruchy nadawały Moranowi wygląd dandysa, ale wrażenie okazało się mylące. Wbrew pozorom Jake miał silną budowę, mięśnie wyraźnie zarysowane, klatkę piersiową szeroką i porośniętą miękkimi, ciemnymi włosami. Brzuch był płaski jak deska, biodra wąskie, nogi długie i mocne.

Annie niechętnie przeniosła wzrok na twarz. Arogancki uśmiech, lodowato niebieskie oczy i ciemne jedwabiste włosy pozostały takie same jak przedtem. Kobieta w milczeniu zastanawiała się nad odkryciem, że męska uroda może urzekać i kusić jak grzech w sobotnią noc. Oczywiście, gdyby interesowali ją mężczyźni.

Zaskoczyło ją jedynie, że może bez przykrości patrzeć na wymuskanego pokerzystę o gładkim języku.

- Wyjdiesz sama czy mam po ciebie przyjść?

Głos Jake'a przerwał jej rozważania. Annie gwałtownie zanurzyła się w wodzie aż po brodę.

- Zostań, gdzie stoisz, Moran.

Mężczyzna zsunął kapelusz na tył głowy i uśmiechnął się szeroko.

- Zamierzasz tam siedzieć, aż wypuścisz liście?

Może, pomyślała Annie. Nie był to taki zły pomysł. Sama myśl, że Jake obejrzałby ją sobie dokładnie, budziła przerażenie.

- Złodziej uciekł? - spytała.

- Z końmi i wszystkimi rzeczami. Na szczęście buty i kapelusz zostawiłem na skale. A ty? Mam czegoś poszukać?

- Butów.

Kobieta wskazała na kępę krzaków. Moran skinął głową i odwrócił się. Annie ujrzała muskularne plecy, smukłe biodra i... zgrabne męskie pośladki.

Zamknęła oczy. Ostatnią rzeczą, o jakiej powinna myśleć w obecnej sytuacji, był tyłek Jake'a Morana.

Mężczyzna wrócił chwilę później i położył buty na brzegu sadzawki. Annie nie podniosła wzroku. Uparcie wbijała go w ziemię.

- I?

- Co „i”?

- Na co czekasz?

Niech ziemia się rozstąpi i mnie pochłonie. Albo jeszcze lepiej niech pochłonie tego zbyt przystojnego elegancika. Nie zanosiłoby się jednak na cud, musiała wcześniej czy później wyjść ze źródła i ruszyć na poszukiwanie Dulcie.

Tylko jak zebrać się na odwagę?.

Wzięła głęboki oddech. W obecności Morana nie czuła się zagrożona, ale mogła się mylić co do niego. Ostatecznie był mężczyzną. Niczym nie różnił się od Garveya Wężowej Skóry. Nawet Pete Mundy, zwykle miły i czarujący chłopiec o manierach gładszych niż mokry rzeczny kamień, potrafił wpaść w szal, zwłaszcza gdy się upił.

- Odwróć się - burknęła, ukrywając strach.

- Jak sobie życzysz, kochanie.

Annie wybiegła z sadzawki, chwyciła buty i schowała się za gęstym niebieskim świerkiem. Minutę później wyszła z ukrycia. Przed sobą, niczym ponadwymiarowy wachlarz, trzymała gałąź o długich igiełkach. W drugiej ręce ścisnęła kamień. Odchrząknęła nerwowo.

- Niech ci nie przyjdą do głowy żadne głupie pomysły, Moran.

- Wierz mi, kochanie, że nie ma nic zabawnego w tkwieniu tutaj z...

Słowa zamarzyły Jake'owi na ustach, gdy obejrzał się przez ramię. Po raz pierwszy, odkąd Annie go poznała, zniknął wyraz pewności siebie, jaki na stałe, zdawało się, przyrósł mu do twarzy. Mężczyzna przesunął po niej wzrokiem, lecz w jego oczach nie dostrzegła nic groźnego ani lubieżnego. Raptem zrobiło się jej gorąco. Gałąź zasłaniała piersi, brzuch i górną część ud, ale między igłami prześwitywała nagość. Nogi były zupełnie odkryte, podobnie jak ramiona i plecy. Mokre włosy przykleiły się do barków. Promienie zachodzącego słońca dokładnie oświetlały każdy skrawek ciała. Annie zaniósła cichą modlitwę dziękczynną, że nie ma skłonności do rumieńców. W przeciwnym razie z pewnością byłaby czerwona jak pole truskawek w czerwcu.

Jake przyglądał się jej przez długą chwilę z nieodgad-
nionym wyrazem twarzy.

- Może poczekaś tutaj, a ja pójdę tropem złodzieja
- zaproponował.

Kobieta hardo potrząsnęła głową.

- Łotr ukradł mi konia, pieniądze, dokument i ubra-
nia. Idę z tobą albo bez ciebie, Moran.

Na twarz mężczyzny wrócił znajomy uśmiezek,
a w oczach pojawiła się niemal aprobata.

- Muszę ci oddać, kochanie, że masz charakter.

Annie uniosła podbródek.

- Nie mam nic do stracenia.

Jake szedł kilka kroków przed Annie i wypatrywał
śladów kopyt. Nie tylko czuł się jak kompletny osioł,
ale wiedział, że tak też wygląda. Przeszukawszy opusz-
czoną szopę, znaleźli czerwone, flanelowe gatki nadgry-
zione przez mole. Jake zatrzymał je dla siebie. Jego strój
składał się teraz z butów, kapelusza i bielizny z wy-
wietrznikiem; w spodenkach brakowało połowy tyłu.

Dla Annie wygrzebali starą derkę, sztywną od potu
i brudu. Kobieta rozdarła ją pośrodku i zarzuciła na sie-
bie jak pelerynę. Choć łydki i przedramiona miała go-
łe, ubiór był o niebo lepszy niż świerkowa gałąź.

Jake potrząsnął głową na wspomnienie Annie odzia-
nej w iglastą szatę. Jeśli planowała zrobić na nim wra-
żenie, sztuka jej się udała. Gdyby chciała go uwieść, bez
trudu osiągnęłaby cel.

Dzika Annie miała pełne i krągłe piersi, smukłą talię,
płaski brzuch i rozkosznie zaokrąglone biodra. Jeździe
konnej zawdzięczała brak pulchnej rozlazłości, tak czę-
sto widywanej u barmanek i kelnerek. Jej gładka skóra
i rzeźbione mięśnie stanowiły kontrast z miłymi krągło-

ściami. Przez gałązkę, którą się zastaniała, Jake wyraźnie dojrzał niemal każdy skrawek jej wspianego ciała. A to, czego nie zobaczył, bez trudu potrafił sobie wyobrazić.

Ale uwiedzenie go z pewnością nie było zamiarem Annie. Wręcz przeciwnie. W drugiej ręce wciąż trzymała kamień. Była gotowa ruszyć w pościg za koniokradem i zdecydowana walczyć o swoje za wszelką cenę. Taki rodzaj odwagi nawet u mężczyzn spotykało się bardzo rzadko.

Moran obejrzał się przez ramię. Annie nie poskarżyła się ani słowem, choć od dwóch godzin maszerowali przez trudny teren, robiło się coraz zimniej, zapadała noc. Jej postawa budziła w nim niechętny szacunek. Niestety, ani trochę nie poprawiała ich sytuacji.

Jake zatrzymał się i przyjrzał śladom na ziemi. Światła dziennego ubywało z każdą minutą. Rozsądek nakazywał zrobić postój i ruszyć o świcie w dalszą drogę.

- Musimy rozbić obóz - oznajmił. - Po ciemku na pewno zgubimy trop.

Annie tylko skinęła głową. Nie chciała przerywać poszukiwań, ale zdawała sobie sprawę, że nie mają innego wyjścia.

Moran rozejrzał się po okolicy, wypatrując miejsca na nocleg. Na horyzoncie dostrzegł słabą poświatę. Zerknąwszy na Annie, stwierdził, że jej oczy są utkwione w tym samym punkcie.

- Masz pojęcie, co to za miasteczko? - zapytał.

- Nie.

- Ja też. - Zastanawiał się przez chwilę. - Do licha, jakie to ma znaczenie. Chodźmy tam!

Kobieta ściągnęła brwi.

- O czym ty mówisz, Moran? Zostajemy tutaj. Nie zamierzam ryzykować, że koniokrad nam się wymknie.

Jake popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Kochanie, przyglądałaś się nam ostatnio? Co zrobimy, jeśli nawet go dogonimy? Postraszymy butami? Możemy liczyć tylko na to, że nas nie trafi, zgięty w pół ze śmiechu.

Annie położyła ręce na biodrach.

- Co w takim razie proponujesz, Moran?

- Pójdziemy do miasteczka, zdobędziemy jakieś ubrania, rewolwery, amunicję, może konia. Tutaj zamrzniemy na śmierć, a jeśli nawet nie, to co zdziałamy bez broni i na piechotę.

- Nie mamy pieniędzy. Zapomniałeś?

Jake skinął głową ku odległej poświacie.

- To pewnie osada górnicza, a więc są w niej prawie sami mężczyźni, co z kolei oznacza bar.

- I co z tego?

- Skoro jest bar, można być pewnym, że gra się tam w pokera. - Przez twarz przemknął mu zadowolony uśmiech. - Ruszajmy, kochanie.

Miasteczko górnicze było dokładnie takie, jak Annie się spodziewała. Po obu stronach głównej ulicy mieściły się: kuźnia, biuro nieruchomości, sklep, stajnia, zakład pogrzebowy i oczywiście bar. Konie i juczne muły stały uwiązane do słupków. W płynnym błocie zmieszonym z końskim nawozem taplały się świny, między budynkami spacerowały kury, szukając jedzenia. Obrazu dopełniały bezpańskie psy, pijani górnicy i nawiedzony kaznodzieja, który do nielicznych przechodniów wygłaszał kazanie o piekle i siarce. Annie ogarnęła całość jednym spojrzeniem. Najgorsze okazały się gwizdy, cmoknięcia i okrzyki skierowane do niej i Morana. Z domów wylegli chyba wszyscy mieszkańcy, żeby popatrzeć na dwoje przybyszów paradujących nago główną ulicą. Kobieta zacisnęła zęby, uniosła głowę i starała się nie zwr-

cać najmniejszej uwagi na gapiów. Jake maszerował przez osadę jak nowo wybrany burmistrz. Na gwizdy i pokrzykiwania odpowiadał uchYLENIEM kapelusza i szerokim uśmiechem.

W końcu dotarli do baru. Wnętrze było równie surowe i zaniedbane jak miasteczko: ubite klepisko, prowizoryczny szynkwas z deski opartej na dwóch ciężkich beczkach po piwie, kilka stołów i krzeseł, kopcające lampy naftowe zawieszane na gwoździach wbitych w nagie ściany. Żeliwny piec ustawiony w kącie dawał niewiele ciepła. Mroczne pomieszczenie cuchnęło wilgotną ziemią, niemytymi ciałami, olejem do lamp. Pachniało świeżo ciętą sosną.

W barze przebywało około dwudziestu mężczyzn łącznie z barmanem. Obcych powitały takie same zdumione spojrzenia i dosadne komentarze jak na ulicy.

- Zdaje się, że zgubiłeś pan spodnie!

- Wygląda na to, że twoja przyjaciółka zgubiła jeszcze więcej!

- Może pozwolisz się ogrzać, ślicznotko?

Jake zdjął kapelusz i ukłonił się grzecznie, cierpliwie znosząc rubaszne docinki. Annie z trudem zachowywała obojętność. Moranowi nie przeszkadzało, że jest pośmiewiskiem, ale ona miała dość męskiego zainteresowania.

Gdy gwar w końcu ucichł, barman zapytał bez ogródek:

- Co wam się przytrafiło?

Jake krótko powiedział, jak ukradziono im konie, ekwipunek i ubrania przy gorących źródłach.

Zwalisty mężczyzna o śniadej cerze i ciemnych oczach, pokiwał głową ze współczuciem.

- W tych stronach grasuje banda, kradnąca bydło. Jedni mówią, że to meksykańscy bandyci, inni, że Apa-

cze. Łotry ukrywają się w kanionach na wschód od miasta. Nasz cholerny szeryf jest za bardzo strachliwy, żeby skrzyknąć ludzi i ruszyć za nimi.

Annie uznała, że są na właściwym tropie. Ślady złodzieja prowadziły ku kanionom.

- Ilu ich jest? - zapytał Jake.

Barman wzruszył ramionami.

- Czterech, może pięciu, ale to podłe sukinsyny i mają sporo amunicji.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział Jake i zwrócił się do obecnych: - Panowie, mimo przykrości, które mnie spotkały, czuję, że to moja szczęśliwa noc. Czy ktoś ma ochotę na przyjacielskiego pokera?

- Nie gramy tutaj o zapałki. Ukrywasz forszę w bucie, człowieku? - zawołał jakiś głos z drugiej strony izby.

- Nie, ale myślę, że one same są coś warte. - Usiadł, ściągnął skórzane buty i postawił je na barze obok kapelusza. - Szyto je na zamówienie w Denver. Kosztowały mnie siedemdziesiąt pięć dolarów, a kapelusz pięćdziesiąt. Są oferty?

- Dam dziesięć dolarów za obie rzeczy - zaproponował człowiek, który odezwał się pierwszy. Wyjął z portfela banknot. - Nie są tyle warte, ale może uda się je sprzedać w moim sklepie.

W tym momencie wstał drugi chętny, ale mężczyzna spiorunował go wzrokiem. Górnik usiadł pospiesznie. Właściciel sklepu, potężnie zbudowany, o jasnych włosach i świńskich oczkach, wyglądał na tchórza terroryzującego słabszych. Annie dobrze znała ten typ ludzi.

- Bierz pan pieniądze albo nie - rzucił z uśmiechem zadowolenia na twarzy. - Zdaje się, że nie dostaniesz lepszej ceny.

Choć oferta była skandaliczna, Jake, o dziwo, jej nie odrzucił.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, przyjacielu - powiedział z miłym uśmiechem.

Gdyby nie lodowaty wyraz oczu, Annie pomyślałaby, że Moran nie uważa się za oszukanego.

- Też tak sędzę - stwierdził mężczyzna, cisnął pieniądze na bar i sięgnął po buty.

Jake chwycił go za rękę.

- Chyba da mi pan szansę odkupić je na koniec wieczoru?

- Jasne. Niestety cena wzrosła. Towar takiej jakości powinien kosztować jakieś sto dolarów. - Wyrwał rękę z uścisku Morana. - Ale ponieważ są używane, a ty i twoja przyjaciółka mieliście ciężki dzień, sprzedam je za dziewięćdziesiąt pięć.

W barze zapadła cisza. Zebrani w napięciu czekali na bijatykę, do której musiało dojść po takiej wymianie zdań. Gdyby Annie miała rewolwery, nie oparłaby się pokusie, żeby zestrzelić sklepikarzowi kapelusz z głowy. Ale Jake znowu zaskoczył ją opanowaniem.

Popatrzył na mężczyznę nieruchomym wzrokiem.

- Jak już powiedziałem, jest pan równym gościem.

Osiłek wyglądał niemal na rozczarowanego.

- Dobrze, że zgadzasz się ze mną, człowieku - burknął. - Nazywam się Connors. Przyjdź do mojego sklepu, kiedy będziesz miał pieniądze.

Jake zasiadł do pokera z siedmioma graczami, łącznie z Connorem. Annie nie uważała Morana za tchórze, ale gdyby ktoś próbował okpić Pete'a Mundy'ego... leżałby teraz dwa metry pod ziemią.

Zaczęła obserwować grę. Jake wygrał w pierwszym rozdaniu.

- Szczęście początkującego - stwierdził niedbałym tonem i zamówił szklankę whisky.

Barman przyniósł drinka, łypnął na Annie i powiedział do Morana:

- Obawiam się, że pańska przyjaciółka musi wyjść. Nie wpuszczamy dam do baru. To miejskie rozporządzenie. - Rzucił krzywe spojrzenie na Kota, siedzącego przy nodze właścicielki. - Zwierząt też nie wpuszczamy.

Jake oderwał wzrok od kart.

- Proszę mi wierzyć, że żadna z kobiet, jakie dotrzymują mi towarzystwa, z pewnością nie jest damą. Ona i kot zostają.

Annie zeszywniała. Gracze ryknęli śmiechem i obrzucili ją taksującymi spojrzeniami.

- Ty...

- Jesteś głodna, kochanie? - przerwał jej Moran.

- Tak.

- Co dzisiaj serwujecie? - zwrócił się Jake do barmana.

- Ostrygi, pieczone kurczaki, stek albo odgrzewaną fasolę i tortillę. Co sobie życzyacie?

Jake zamówił stek, natomiast Annie poprosiła o kurczaka. Uważała, że w ich obecnym położeniu głupotą jest wydawanie pieniędzy, ale nie zamierzała głodować, skoro Moran postanowił nie liczyć się z groszem.

Gdy już napełniła brzuch, rozparła się wygodnie na krześle. Jake wygrał dwa rozdania, a potem kilka przegrał. Jak na człowieka, który podobno utrzymywał się z pokera, nie było to imponujące osiągnięcie. Najwyraźniej Moran nie miał żadnej strategii. Grał jak żółtodziób ledwo znający podstawowe zasady.

Ciche uderzenia kart o stół niemal ukołysały Annie do snu. Gwałtownie ocknęła się z drzemki, kiedy gracze zamilkli w napięciu. Pośrodku stolika piętrzył się

stos monet i zielonych banknotów. Connors mocno ścisnął talię w ręce.

- Wchodzisz czy nie?

Moran spojrział w swoje karty i pchnął do puli wszystkie centy, które mu zostały.

Przez twarz rozdającego przemknął zadowolony uśmiešek.

- Obawiam się, że to nie wystarczy. Stawka poszła wysoko.

Jake zmierzył go wzrokiem i wskazał głową na Annie.

- Ile dasz mi za nią?

Kobiecie serce podeszło do gardła.

- O czym *ty* mówisz, *do* diabła? - wrzasnęła, zrywając się z krzesła.

Jake obojętnie wzruszył ramionami.

- Mówię o jednej nocy z Connorsem, jeśli przegram, albo o podziale wygranej między nas dwoje. Co ty na to, kochanie? Nie uważasz, że masz dzisiaj szczęście?

Właściciel sklepu przesunął lubieżnym spojrzeniem po jej ciele.

- Tak czy inaczej, dama wygrywa, no nie?

Odpowiedział mu głośny rechot.

Annie skierowała oczy na Morana, ale wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony. Mógł trzymać w ręce królewski sekwens albo blefować, drań. Zerknęła na jego szklankę. Nie liczyła, ile wypił: jedną, dwie czy dwadzieścia. Z wyglądu też nic nie potrafiła odczytać.

Niezdecydowana przygryzła dolną wargę. Connors był odrażającym, aroganckim wieprzem, bez dwóch zdań. Wolałaby kąpiel w mulim łajnie niż jego dotyk. Z drugiej strony, gdyby wygrali całą pulę, kupiliby ubrania, broń, amunicje, a nawet konia. Ruszyliby tropem złodziei i odzyskali skradzione rzeczy. Jake miał

rację. Ściganie ich na piechotę i bez broni rzeczywiście byłoby czystym szaleństwem. Do diabła! Uniosła podbródek i spojrzała Moranowi prosto w oczy.

- Przyjmij zakład.

Usłyszała szmer podniecenia.

Jake skinął głową. W jego stalowych oczach chyba błysnął podziw.

- Słyszeliście, chłopaki - powiedział Connors i pewnym gestem wyłożył karty. - Mam sekwens od siódemki. A ty, człowieku?

- Dwie pary.

Annie zamarło serce, a po chwili ogarnęła ją wściekłość. Moran blefował! Postawił ostatniego centa i jej ciało na nędzne dwie pary! Samolubny łajdak!

- Dwie pary nie biją niczego - stwierdził Connors z triumfującą miną i sięgnął po pulę.

Jake uśmiechnął się chłodno.

- Owszem, jeśli to są takie pary. - Położył karty na stole. - Cztery damy, panowie.

Mężczyzna rozdziawił usta.

- To niemożliwe. Niemożliwe - wymamrotał, gapiąc się na karty, jakby wyrosły im rogi i ogony. Podniósł wzrok na Morana, purpurowy na twarzy. - Forsa i kobieta są moje.

- Ej że?

- Tak, do diabła.

- Zabawne. O ile wiem, cztery damy zawsze biją zwykły sekwens.

- Oszukiwałeś, człowieku. Wszyscy widzieli.

- Ty rozdawałeś, Connors.

W barze zapadła grobowa cisza. Nikt nie śmiał nawet odetchnąć. Gracze trzymali na stole tylko lewe ręce. Prawe opuścili po bokach.

Annie uświadomiła sobie z przerażeniem, że Moran ma na sobie jedynie flanelowe spodni, zjedzone przez mole. Nagle Connors zerwał się i sięgnął po broń.

W tej samej chwili Jake odepchnął krzesło i wstał... z rewolwerem w dłoni, gotowym do strzału. Przeciwnik nawet nie zdążył wyciągnąć kolta z kabury. Zamrugał z osłupieniem.

- Jak to zrobiłeś, u licha? - wysapał.

Mężczyzna wskazał głową na sąsiada.

- Pożyczyłem.

Annie dużo w życiu widziała, ale jeszcze nigdy tak błyskawicznej reakcji. Moran poruszał się z szybkością grzechotnika i był równie groźny jak ten jadowity wąż.

- Niezbyt chwalebne zachowanie, Connors - zauważył tonem nagany. - Atakować nieuzbrojonego człowieka. Zaczynam wierzyć, że honor już się nie liczy na tym świecie.

- Co, do diabła, wiesz o honorze, ty i ta twoja dziwka... Szare oczy Jake'a pociemniały.

- Przepraszam, ładnie tę damę albo odstrzelę ci łeb.

Connors spiorunował go wzrokiem, ale nie odezwał się. Moran wrzucił ramionami.

- Strasznie głupi powód, żeby umrzeć, ale widać taki jest twój wybór.

Wymierzył rewolwer prosto w twarz sklepikarza. Mężczyzna najpierw pobladł, a potem zzieleniał.

- Jezu! Przepraszam... panią. Bardzo przepraszam!

Jake z aprobatą pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. A teraz jeszcze jedna rzecz. - Uśmiechnął się. - Chcę dostać z powrotem buty i kapelusz.

- Bierz, tylko odsuń broń od mojej twarzy.

- To bardzo miłe z pańskiej strony. Wręcz wspaniałomyślne. Ale zamierzam uczciwie zapłacić. Annie, daj

temu człowiekowi dziesięć dolarów - rzucił, nie odrywając wzroku od olbrzyma.

Kobieta wzięła banknot ze stołu i wsadziła go do kieszeni koszuli Connorsa.

- A teraz wynoś się stąd - powiedział Jake, opuszczając kolta.

Mężczyzna zaczął się cofać do wyjścia, potykając się o krzesła. Gdy zniknął za drzwiami, Jake oddał pożyczony rewolwer.

- Następnym razem niech będzie załadowany, dobrze?

Właściciel broni zaśmiał się nerwowo i pokiwał głową. Annie poczuła, że sama jest na skraju hysterii. Żołądek podszedł jej do gardła. Szaleństwo. Czyste szaleństwo.

Moran nonszalancko zgarnął ze stołu pieniądze i wrzucił je do kapelusza. Następnie powiódł wzrokiem po oniemiałych mężczyznach.

- To przykre, że niektórzy uważają przegraną za osobistą zniewagę - stwierdził potrząsając głową.

Odpowiedziały mu niepewne śmiechy.

- Grałeś pan uczciwie - oświadczył barman, podchodząc do gości. - Jeśli Connors pobiegnie na skargę do szeryfa, dopilnuję, żeby właściwie przedstawił całą historię. - Wskazał kciukiem za siebie. - Jak chcecie przemocować, mam w stajni miejsca do spania.

- Dzięki. Chętnie skorzystamy.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Był już najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie utarł nosa Connorsowi. Cieszę się, że mogłem to zobaczyć na własne oczy.

Annie ruszyła za Moranem do wyjścia. W głowie jej wirowało.

- Cały czas planowałeś wykorzystać mnie jako przynętę, prawda? - spytała, gdy znaleźli się na tyłach baru.

- Tak.

- Skąd wiedziałeś, że ten człowiek przyjmie zakład?
Jake zatrzymał się i odwrócił do niej. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Annie raptem uświadomiła sobie, że jest prawie naga.

- Na zachód od Missisipi nie ma mężczyzny, który nie przyjąłby takiego zakładu.

Stwierdzenie wypowiedziane rzeczowym tonem, o dziwo, pochlebiło Annie.

- A gdybyś przegrał, Moran?

- Byłem gotów podjąć takie ryzyko.

Zadowolenie i duma wyparowały w jednej sekundzie.

- Podjąć ryzyko? Ty? Gość mi się zdaje, że grano o mój tyłek.

- W takim razie miałabyś kłopot. - Jake wzruszył ramionami. - Na tym właśnie polega hazard, skarbie.

- Dlaczego... ty... ty...

Annie zaniemówiła. Jake przyglądał się jej przez długą chwilę. Na jego wargach pojawił się charakterystyczny uśmiezek.

- Connors oszukiwał.

Annie zamrugała.

- Co?

- Oszukiwał przez cały czas, i to bardzo kiepsko. Dał mi trzy damy ze spodu talii. Ja dobrałem czwartą.

Oczy kobiety rozszerzyły się. To dlatego Connors był taki pewny wygranej i wpadł we wściekłość, gdy przegrał. Moran miał wielkie szczęście... albo popisał się zręczną sztuczką.

Tak czy inaczej przez cały czas panował nad sytuacją. Zwiódł wszystkich i tylko czekał na odpowiedni moment. Proste.

- Nieźle.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Chodźmy spać.

Ruszył do szerokich drzwi stajni. Gdy je otworzył, Annie ostrożnie zajrzała do środka. Przez szpary w deskach sączył się nikły blask księżyca. W boksach drzemały dwa konie. Obudzone uniosły łby, parsknęły z niezadowoleniem i ponownie zapadły w sen. Jake podszedł do sterty świeżej słomy, uklepał ją trochę i wyciągnął się z rozkoszą.

Po krótkim wahaniu Annie przygotowała sobie legowisko kilka kroków od niego. Słoma trochę kłuła, ale przynajmniej było ciepło. Ich sytuacja znacznie się poprawiła w ciągu ostatnich paru godzin. Mieli pełne brzuchy, w kieszeniach pieniądze i dach nad głową. Mogło być gorzej.

Kobieta przez chwilę leżała w milczeniu, słuchając oddechu mężczyzny. Przez dziury w dachu widziała gwiazdy, migoczące na hebanowym niebie.

- Myślisz czasami o tym, żeby do czegoś dojść, Moran? Nie spędzić całego życia na podrózach od baru do baru?

- Nie.

- Jesteś zmęczony, prawda?

- Już późno, Annie.

- Wiesz co? Mówisz jak południowiec. Od czasu do czasu słyhać to wyraźnie. Zwłaszcza kiedy wypijesz albo jesteś zmęczony.

- Mój akcent ci przeszkadza?

- Nie. A powinien?

- Nie podoba się niektórym ludziom w tych stronach.

- Hmm. - Annie zastanawiała się przez chwilę, patrząc na krokwie. - Może nic nie chcesz zrobić z własnym życiem, Moran, ale ja owszem. Poczekaj, a zobaczysz. Nie będę zawsze Dzika Annie. Gdy tylko mój

hotel ruszy, zostanę największą damą na zachód od Missisipi. Jeszcze wszystkim pokażę.

- Doprawdy?

- Tak. Całkiem odmienię swoje życie. Moim zdaniem wystarczy jedna rzecz, żeby sobie radzić na tym świecie. Może dał mi ją dobry Bóg, bo mam jej dużo.

- Co takiego?

- Dzielność.

- Co dokładnie masz na myśli?

Annie usłyszała rozbawienie w głosie Morana, ale postanowiła nie reagować.

- Ludzie różnie rozumieją tę cechę, ale chodzi o to, że nie sposób cię pokonać, nigdy się nie poddajesz i nigdy nie cofasz.

W ciemności rozległ się szelest słomy.

- Wiesz, czego ci potrzeba, kochanie?

- Czego?

- Rozsądku, żeby wreszcie zasnąć.

Annie zignorowała uwagę. Myśli kłębiły się jej w głowie.

- Dobrze strzelasz?

Jake westchnął.

- Dalej chodzę po ziemi, prawda?

- To czemu nie zabiłeś tamtego faceta?

- Uważasz, że powinienem?

- Zasłużył sobie, to pewne.

- Wszyscy sobie zasłużyliśmy - do głosu Morana wkradła się nuta melancholii. - Wcześniej czy później każdy dostanie za swoje. To chyba jedyna pewna rzecz na tym przeklętym świecie. - Nasunął kapelusz na twarz. - Teraz śpijmy. Jutro od świtu będziemy tropić bandytów.

5

Annie obudziło łaskoczące w nos źdźbło słomy. Wydawało się jej, że dopiero co zamknęła oczy. Usiadła i rozejrzała się nieprzytomnie. Gdy zobaczyła Morana, wróciła jej pamięć. Mężczyzna stał kilka kroków od niej. Na sobie miał czarne spodnie z wełny, szarą flanelową koszulę, długi nieprzemakalny płaszcz oraz własne buty i kapelusz. W kaburach zawieszonych u pasa tkwiły dwie trzydziestki ósemki.

- Dobrze, że się obudziłaś. Przyniosłem ci ubranie.

Annie zobaczyła, że obok niej leży niewielki stosik: spodnie z granatowej wełny, flanelowa koszula w czerwono-granatową kratę, bawełniane kalessony, grube skarpety, skórzana kurtka koloru miodu, podszyta owczą wełną i rękawiczki do jazdy konnej.

- Coś nie w porządku? - spytał Jake lekko zniecierpliwionym tonem. - Wiem, że strój jest mało kobiecy, ale nie sądziłem, że takie rzeczy mają dla ciebie znaczenie.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Wszystko jest bardzo ładne, naprawdę.

- To czemu masz taką minę?

Dorastając Annie na co dzień nosiła rzeczy po Pete'em. Do kościoła zakładała skrócone suknie pani Mundy. Później sama przerabiała sobie ubrania, które wpadły jej w ręce.

- Nigdy nie miałam nowych strojów, kupionych w sklepie. - Choć starała się powściągnąć emocje, w jej

głosie brzmiał zachwyty dziecka rozpakowującego prezenty gwiazdkowe. - Są takie czyste, że aż lśnią. I nie widzę żadnej dziury.

Nagle poczuła wstyd, że zachwyca się rzeczami, które dla eleganckiego pokerzysty bez wątpienia były co najwyżej średniej jakości. Spuściła oczy, żałując, że nie może zagrzebać się w słomie.

- Dobrze, że ci się podobają.

Annie zmusiła się do podniesienia wzroku. Nie potrafiła stwierdzić, czy Moran uważa ją za prostytutkę. Znowu miał nieprzeniknioną twarz. W jego oczach dostrzegła dziwny błysk, ale nie wiedziała, jak go odczytać.

- Są naprawdę piękne - zapewniła szczerze.

- Zostawię cię, żebyś się przebrała. W rogu stoi wiadro wody, jeśli chcesz się umyć. Czeką nas czterogodzinna jazda. Spotkamy się w restauracji i coś przegryziemy przed drogą.

Na śniadanie zamówili jajecznicę z cebulą, plastry solonej szynki, świeże bułki z masłem i miodem, gorącą kawę. Nie rozmawiali prawie wcale, lecz Annie nie czuła się skrępowana ciszą. Była zbyt zajęta pałaszowaniem. W ciągu dwóch dni spędzonych z Moranem jadła lepiej niż przez wiele ostatnich miesięcy. Nałożyła na spodeczek trochę jajecznicy dla Kota.

Dowiedziała się, że Jake kupił rano od barmana starego wałacha o imieniu Sawdust oraz podniszczone siodło. Niestety, nie wystarczyło mu pieniędzy na drugiego wierzchowca, więc musieli jechać razem. Annie usiadła z przodu, a Kot *zwinął* się przed nią w *kłębek*.

Kilka mil za miastem zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu. Jake luźno trzymał wodze, ale chcąc nie chcąc otaczał ją ramionami. Jej uda od czasu do czasu ocierały się o jego uda, plecy o jego pierś, a męski

podbródek lekko drapał ją w czubek głowy. Annie siedziała wyprostowana, starając się unikać wszelkiego kontaktu. Ale im bardziej usztywniała kręgosłup, tym częściej koń trafiał na dziurę lub koleinę, a wtedy ona wpadała na mężczyznę.

- Robisz to specjalnie? - warknęła w końcu, gdy Sawdust raptownie przeszedł z kłusa w galop.

- Co? - zapytał Jake niewinnym tonem.

- Celowo tak szarpiesz?

- Nie wiem, o czym mówisz.

Ostro skręcił w lewo, aż pierś kobiety musnęła jego ramię.

- Bardzo zabawne.

Usłyszała gardłowy śmiech. Na karku poczuła ciepły, korzenny oddech. Mężczyzna ściągnął konia i przeszedł w równego kłusa.

- Odpręż się, Annie. Więcej tego nie zrobię.

Kobieta zacisnęła zęby i przysunęła się jak najbliżej łątku siodła. Dobrze chociaż, że miała na sobie kompletny strój zamiast podartej derki.

Lekko skrzywiła wargi. Choć denerwowały ją gierki Morana, nie czuła się zagrożona. Nieswojo, owszem, ale po raz pierwszy od lat dotyk męskiego ciała nie budził w niej paniki. Zdumiona odkryciem, niemal zapragnęła, żeby Jake wykonał gwałtowny manewr. Mogłaby wtedy dokładniej zbadać swoją reakcję.

Lecz Moran dotrzymał słowa i Annie odbyła resztę podróży bez zbytnych wstrząsów. Wreszcie pojawiły się przed nimi kaniony. Annie wyteżyła wzrok i dostrzegła cienką smużkę szarego dymu, unoszącą się w pogodne niebo.

Jake ściągnął wodze.

- Zdaje się, że dopadliśmy naszych złodziei.

Annie wpatrywała się intensywnie w ścianę kanionu.
- Może tak, może nie. Lepiej sprawdźmy.

Choć mówiła spokojnym głosem, ścisnęła ją w żołądku. Jake popędził Sawdusta. Wkrótce dotarli do wozu. Powitało ich echo męskich głosów i ochryplego śmiechu.

Zsiedli z konia. Jake nie zadał sobie trudu przywiązania zwierzęcia do drzewa. Annie nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. Wiedziała, że albo odzyskają konie i ekwipunek, albo nie ujdą stąd z życiem. Tak czy inaczej nie będą już potrzebowali starego wałacha. Mądry Sawdust sam znajdzie drogę do domu.

Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów. Trzech, może czterech mężczyzn, na tyle podpitych, by zachowywać się głośno i nieostrożnie, lecz nie tak zamroczonych, żeby szybko zapaść w pijacki sen. Jake bez słowa wskazał na kamienistą ścieżkę, która pięła się na skalną ścianę. Annie pokiwała głową, wzięła Kota pod pachę i ruszyła pod górę wąską półką. Zatrzymała się w naturalnej niszy utworzonej przez dwa głązy, skąd miała doskonały widok na obóz rozбитý w dole.

Przy małym ognisku siedzieli trzej mężczyźni o groźnym wyglądem i podawali sobie z rąk do rąk butelkę whisky. Brudne ubrania, zmierzwiłone włosy i niechlujny zarost świadczyły o latach surowego życia pod gołym niebem i niechęci do regularnych kąpieli. Obok nich na ziemi leżały dwa kołty, strzelba myśliwska i pistolet.

Po lewej stronie obozowiska znajdowała się prymitywna zagroda. Stało w niej pięć koni, łącznie z Dulcie i Weedem. Annie na chłodno rozważyła sytuację. Trzech uzbrojonych bandytów, trochę pijanych i prawdopodobnie zdesperowanych, przeciwko nim dwojgu. Wychodziła cało z gorszych tarapatów. Moran zapewne też.

- Podkradniemy się...

- Idę sam - przerwał jej Jake cichym, ale stanowczym głosem.

Annie nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Całą uwagę skupiła na obozie koniokradów.

- Akurat. Nie bądź idiotą, Moran.

- Mówię poważnie.

Tym razem kobieta go nie zignorowała. Ściągnęła brwi.

- Posłuchaj, mój panie - wyszeptała. - Nie ufam ci tak samo jak ty mnie. Brak zaufania kosztował nas konie i ekwipunek, pamiętasz? Postawmy sprawę jasno. Gdyby chodziło o strojenie się i utrzymywanie z gry w karty, zrobilibyśmy po twojemu, ale jeśli mamy rozprawić się z bandą złodziei, będzie po mojemu. Zrozumiano?

Jake usiłował zachować cierpliwość. Rzucił spojrzenie na obóz. Mężczyźni nadal raczyli się whisky, nieświadomi, że nad ich głowami toczy się ostry spór.

- Nie mamy czasu - warknął Moran. - Zostajesz tu, słyszysz?

Annie dumnie zadarła podbródek.

- Spróbuj mnie powstrzymać. Dasz mi jeden ze swoich rewolwerów czy nie?

- Do diabła, Annie, jest ich tylko trzech. Poradzę sobie.

- Skąd ta pewność? A może inni gdzieś się ukryli? Barman mówił, że jest ich czterech albo pięciu.

Mężczyzna westchnął z irytacją.

- Każdy głupiec widzi, że...

Za nimi rozbrzmiał głośny metaliczny dźwięk odwołanego kurka.

- Co widzi każdy głupiec, *senor*? - rozległ się ochrypły głos.

Annie zamarła, a potem wolno uniosła ręce i odwróciła się. Jake poszedł za jej przykładem.

Wielki, brzuchaty Meksykanin mierzył w nich z dwóch rewolwerów. Był o głowę wyższy od Morana i ze dwa razy grubszy w pasie. Annie zauważyła, że na jego masę składa się nie tylko tłuszcz, ale również mięśnie. Mężczyzna miał na sobie zniszczone ubranie, z plamami od tłuszczu, krwi i błota. Uśmiechnął się szeroko, pokazując szerniałe zęby.

- Może dama ma rację, że jest nas więcej?

Moran wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że się pomyliłem.

- *Si, señor*. Pomyliłeś się. Bardzo się pomyliłeś. - Bandyta spowaźniał. - Trzymać łapy w górze. Jeśli któreś z was się poruszy, zabiję oboje. *Comprende?*

Uniósł broń wycelowaną w Annie i strzelił w niebo, a potem krzyknął coś po hiszpańsku do kompanów.

- Oddaj rewolwery, *gringo* - zwrócił się do Jake'a. - Kolbami do mnie.

- Spokojnie, amigo. Są twoje.

Gdyby Annie nie widziała na własne oczy tego, co wydarzyło się później, nigdy nie uwierzyłaby, że taka rzecz jest możliwa. Jake wyjął kolty z kabur i podał je bandycie, skierowane kolbami w jego stronę. Palce przez cały czas trzymał na spustach. Gdy olbrzym sięgnął po broń, Moran odwrócił ją jednym błyskawicznym ruchem, równie sprawnie jak tasował karty. Meksykanin ujrzał nagle przed nosem wyloty dwóch luf.

Annie znała tę sztuczkę. Wielu rewolwerowców umiało zrobić ją na pokaz. Pete też próbował, ale za każdym razem omal nie odstrzelił sobie palców u nóg. Dokonać jej, kiedy przeciwnik trzyma człowieka na muszce, to gwarantowany sposób na dziurę w głowie. Gdy napastnikiem jest meksykański bandyta, taki manewr zakrawa na szaleństwo.

Może dlatego się udał.

A raczej udałby się, gdyby Annie nie straciła głowy. Niestety, olbrzym otrząsnął się ze zdumienia prędzej niż ona. Chwytał ją za włosy i przyciągnął do siebie. Zimna, twarda lufa boleśnie wbiła się w skroń.

- Chcesz, żebym ją zabił, *gringo*? - wyszczał odciągając głowę kobiety do tyłu.

Moran stał nieruchomo przez całą wieczność. Mierzył bandytę chłodnym, uważnym wzrokiem. Potem lekko wzruszył ramionami i opuścił broń.

- Bueno.

Meksykanin pchnął Annie na stromą ścieżkę, która prowadziła w dół do obozu koniokradów. Zdobywcze rewolwery wepchnął za pas i rzucił krótko:

- Ruszać.

Przeklinając samą siebie w duchu, Annie zerknęła przez ramię na Jake'a. Jeśli był na nią wściekły, nie okazywał tego po sobie. Na jego twarzy malował się całkowity spokój. Nim kobieta odwróciła wzrok, ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Mężczyzna wyraźnie przekazywał jej coś spojrzeniem, ale nie potrafiła odczytać wiadomości. Ruszyła ostrożnie w dół, licząc w duchu na to, że bliżej wierzchowców i broni znajdą lepszą okazję do ucieczki.

Próbowała odpędzić Kota, ale uparte zwierzę lojalnie dreptało u jej nóg, wykazując nie więcej rozsądku niż niedawno jego pani. Moran szedł za nią, popędzany bronią przez bandytę.

Jego towarzysze czekali z wycelowanymi strzelbami. Trio składało się z kolejnego Meksykanina, Apacza i białego o twarzy naznaczonej bliznami od noża. Wszyscy mieli obojętne miny i oczy zimne jak śmierć. Na rozłożonym kocu leżały rzeczy wyjęte z juków Dulcie

i Weeda. Annie rozpoznała zegarek i ubrania Morana oraz swoją książkę, Biblię i drogocenną fotografię.

Drobniejszy Meksykanin zrobił krok do przodu. Sądząc po postawie, był hersztem bandy.

- *Que tenemos aqui?* Co tutaj mamy?

Annie doskonale wiedziała, że mężczyzna wcale nie czeka na odpowiedź. Fakty mówiły za siebie. Ona i Moran tropili bandytów i sami zostali schwytani. Pozostawało jedynie pytanie, co bandyci z nimi zrobią, nim pozwolą im umrzeć.

Niestety, nie trzeba było dużej przenikliwości, by się domyślić, co ich czeka. Zwłaszcza gdy się widziało, jakim wzrokiem na nią patrzą. Choć próbowała ukryć strach, kolana ugięły się pod nią, ręce drżały.

Niczym wilk podkradający się do ofiary przywódca wyczuł jej lęk. Podeszedł bardzo blisko.

- Kim jesteś?

Annie nie odpowiedziała.

- Gdzieś już ją widziałem, Santo - odezwał się bandyta o pokiereszowanej twarzy.

- *De veras?* - Przywódca dumął przez chwilę. - Ty i Henry się znacie, *senorita?*

Annie milczała jak głaz.

- Odpowiadaj.

- Idź do diabła, *ladrón*.

Santo zaśmiał się ochryple.

- Odważne słowa. - Spojrzał przez ramię na kompanów. - Ona nazywa mnie złodziejem. Nie jest miła, co?

- Przestał się uśmiechać i dotknął jej brody kościstym palcem z plamami od tytoniu. - Lepiej bądź miła, *senorita*. Do rana bardzo się zaprzyjaźnimy.

- Prędzej zaprzyjaźnię się z kłębowiskiem wygłodniałych grzechotników.

- Możemy ci to zapewnić - odparł Santo, wruszając ramionami. - Ale dopiero kiedy z tobą skończymy.

- Trial City - wykrzyknął nagle Henry. - Tam ją widziałem. Trzy miesiące temu. Kupowała zapas jedzenia.

- Razem z nim? - zapytał Santo, zerkając na Morana.

- Nie. Tego faceta nigdy wcześniej nie spotkałem. Kobieta była z Petem Mundy i jego chłopakami. Wyglądało na to, że ona i Pete są ze sobą blisko. Bardzo blisko.

Bandyci popatrzyli po sobie niepewnie. Potem Santo przeniósł wzrok na kobietę.

- Czy to prawda? Senorita Dzika Annie?

Na ustach Annie pojawił się zimny uśmiech.

- Pete zabijał ludzi tylko za to, że na mnie spojrzeli. Ciekawe, co zrobi z wami.

Twarz koniokrada wykrzywił lubieżny grymas.

- Chłopcy Mundy'ego już cię nauczyli tego i owego, *senorita*? A może będziesz wierzgać pod nami jak dzika klacz?

Mężczyzna wyciągnął zza pasa pistolet i wolno przesunął lufą w górę po wewnętrznej stronie uda Annie.

- Zobaczymy, jakie będą twoje groźby, zanim noc się skończy.

Jake zacisnął szczęki. Z wielkim trudem powstrzymał się od zdzielenia drania pięścią. Choć Annie próbowała nadrabiać miną, jej oczy miały bezradny, przerażony wyraz łani, która zaplątała się w drut kolczasty. Nie po to uratował ją od stryczka, żeby teraz zostawić na pastwę łotrów i szumowin. Żadna kobieta nie zasługuje na taką śmierć.

Przyjrzał się mężczyznom, gorączkowo zastanawiając nad następnym ruchem. Doszedł do wniosku, że istnieje tylko jedno wyjście. Odwrócić uwagę bandytów, żeby przynajmniej Annie mogła uciec.

- Niestety, nie będziecie mieli okazji tego sprawdzić
- oznajmił spokojnym tonem. - Pani i ja nie zostaniemy na noc.

Santo cofnął pistolet i przeniósł wzrok z kobiety na Morana.

- Mówiłeś coś, *senor*?

- Powiedziałem, że pani i ja nie zostajemy na noc.

Bandyta uniósł krzaczastą brew i w milczeniu zmierzzył jeńca wzrokiem.

- Chyba nie rozumiesz swojej sytuacji, *senor*- stwierdził w końcu z lekkim rozbawieniem. - Nie ty tutaj decydujesz.

- Mam propozycję. Wy oddacie nam konie, a my stąd odjedziemy. Zapomnimy, że kiedykolwiek was widzieliśmy, *hombres*.

Bandyty wybuchnęli gromkim śmiechem. Jake czekał cierpliwie, aż zapadnie cisza.

- Wyglądacie na ludzi, którzy lubią zabawę. Może stoczymy walkę o konie. Jeden na jednego, zwycięzca bierze wszystko.

- Dlaczego mielibyśmy to robić, *senor*, skoro zabicie was jest o tyle łatwiejsze?

- To prawda - przyznał Jake. - Ale pomyślałem sobie, że znajdzie się między wami mężczyzna, który nie jest nędznym tchórzem i zmierzy się z nieuzbrojonym *gringo*, nie sięgając po strzelbę. - Wzruszył ramionami.

- Widać się myliłem.

Annie głośno wciągnęła powietrze, ale Moran nie odrywał wzroku od bandytów. Na ich twarzach odmalowało się najpierw zaskoczenie, potem wściekłość, a na koniec pogardliwe lekceważenie. Złowrogą ciszę przerwał Santo.

- Stwierdzam, że jesteś bardzo głupim człowiekiem, *senor*.

- Nie tak głupim, żebym nie potrafił wytropić waszej czwórki.

- *Si*. Jak udało ci się znaleźć naszą małą kryjówkę?

- Całkiem łatwo. Po prostu wypatrywałem ptaków latających brzuchami do góry.

Herszt zrobił niewyraźną minę.

- *Que?*

Jake uśmiechnął się.

- Nie miały na co srać.

Rysy Santo wykrzywiła wściekłość.

- Manuel, *ven aqui*- warknął do jednego z towarzyszy. - *Gringo* postanowił umrzeć wolno.

Olbrzymi Meksykanin ruszył ku jeńcowi % wyrazem satysfakcji w oczach. Po drodze zrzucił kurtkę, a pas z bronią podał Apaczowi. Stał przed Moranem z zacisniętymi pięściami.

- Chcesz coś powiedzieć przed śmiercią, *hombre?*

Jake pominął milczeniem tę zaczepkę i odwrócił się do Santo.

- Wygrywam, kobieta odchodzi nietknięta. Bierze konie i wszystkie rzeczy.

Przywódca wzruszył ramionami.

- Może.

- Puszczacie kobietę wolno - powtórzył Jake stanowczym tonem.

Na twarzy Santo pojawił się wyraz łagodnej wymówki.

- Uważasz, że nie jesteśmy ludźmi honoru, *senor?*

Jego słowa skwitował gardłowy rechot kompanów. Jake uchylił kapelusza drwiącym gestem.

- Bez wątplenia twoje słowo jest warte tyle co moje, *senor*. - Odciągnął Annie na bok i powiedział z naciskiem: - Daj mi dziesięć minut, a potem biegnij do koni. Uciekaj stąd i nie waż się nawet oglądać.

Kobieta rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Nie wytrzymasz dziesięciu minut.

Mimo powagi sytuacji Jake odpowiedział jej uśmiechem. Zdjął płaszcz i wręczył go Annie. Podwinął rękawy koszuli.

- Dzięki za tyle zaufania, kochanie.

- Widywałam byki, które ważyły mniej niż ten facet.

- Pewnie ma mniej rozumu niż byk.

- Tak jak ty, skoro naprawdę chcesz się bić.

- Masz inny pomysł?

Kobieta powędrowała wzrokiem ku bandytom.

- Zaatakujmy ich. Spróbujmy zdobyć broń - wyszeptowała z przejęciem. - Nas dwoje na nich czterech. Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się oboje niepodziurawieni jak sito.

Moran dopiero po chwili zorientował się, że Annie nie żartuje.

- Chodziło mi o dobre pomysły.

- Posłuchaj...

- Mam dość twojej pomocy - przerwał jej Jake. - Nie znalazłbym się w takim położeniu, gdyby nie ty. Wskakuj na konia i uciekaj. Wynoś się stąd do diabła.

Brazowozłote oczy Annie zabłyśły, a na twarzy odmalowała się wyniosła obojętność.

- Świetnie. Jeśli chcesz zginać, proszę bardzo. Tylko nie spodziewaj się ode mnie podziękowań.

W tym momencie rozległ się drwiący śmiech Santo.

- Jakiś problem, *senor*? Rozmyśliłeś się? Próbujesz namówić swoją kobietę, żeby walczyła za ciebie?

Rzucił po hiszpańsku jakiś rozkaz swoim ludziom, Wielkolud skinął głową i ruszył przed siebie.

Jake już przed laty odkrył, że gdy szanse są wyrównane, zwycięstwo na ogół przypada człowiekowi, któ-

ry zrobi pierwszy ruch. Tym razem nie było mowy o równych siłach, więc uznał, że nie zaszkodzi wykorzystać każdą przewagę. Bez wahania zaatakował olbrzyma, uderzając go głową w brzuch. Z równym powodzeniem mógłby rzucić się na mur. Bandyta nawet nie stracił oddechu, tylko cofnął się o krok. Błyskawicznie uniósł kolano, celując prosto w pachwinę Morana. Jake zręcznie uniknął ciosu. Wyglądało na to, że cała walka będzie taka, jakie lubił. Szybka i nieczysta.

W tym momencie Meksykanin złapał go w niedźwiedzi uścisk. Jake'owi omal nie popękały żebra. W końcu udało mu się wyrwać. Zamarkował lewy prosty, a następnie wymierzył serię potężnych prawych sierpowych w szczękę przeciwnika. Mężczyzna zachwiał się, ale przyjął razy bez mrugnięcia okiem. Jego reakcja utwierdziła Jake'a w podejrzeniach, że gigant jest silniejszy od wołu, lecz brakuje mu szybkości i finezji.

Ponowił atak, jednak bandyta obronił się i sam zadał mu silny cios w obolałe żebra. Moran zatoczył się, ale nie upadł.

Kątem oka dostrzegł kobietą postać pędzącą ku zagrodzie. Usłyszał wrzaski, huk wystrzału i rzenie wystraszonych koni. Zaraz potem rozległ się szalony tętent, który wkrótce ucichł w oddali.

Udało się, pomyślał Jake triumfalnie.

Chwila roztargnienia okazała się kosztowna. Raptem oślepiła go krew z rozciętego łuku brwiowego. Nie tracąc czasu, Meksykanin podciął mu nogi i rzucił się na niego z całym impetem. Na szczęście Jake'owi udało się lekko przesunąć na bok. O włos uniknął przygniecenia wielkim cielskiem.

Wytarł krew z oka i wstał chwiejnie, szykując się na kolejne uderzenia. Z satysfakcją stwierdził, że przeciwnik jest w równie opłakany stanie jak on.

Dostrzegł ponadto, że zagroda dla koni jest otwarta. Annie zniknęła razem z Dulcie. W obozie zostali Santo i Apacz, obaj wściekli. Koniokrad z bliźniami prawdopodobnie ruszył w pościg za uciekinierką. Niestety, Jake nic nie mógł zrobić.

Dzika Annie była zdana na siebie.

Meksykanin dźwignął się z ziemi, dysząc ciężko. Łypnął na Morana z niechętnym szacunkiem, a następnie przesunął wzrok na Indianina i ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Apacz rzucił mu sztylet.

Jake, który uczył się walki na noże w Luizjanie, uskończył błyskawicznie przed pchnięciem wycelowanym prosto w serce. Ostrze przecięło mu skórę na piersi.

Bandyta zaatakował ponownie. Tym razem Moran chwycił go za nadgarstek. Mocował się przez chwilę, ale nie zdołał wytrącić olbrzymowi broni. Spróbował innej taktyki. Potknąwszy się rozmyślnie o krąg kamieni usypany wokół ogniska, runął na ziemię.

Meksykanin wyczuł szybkie zwycięstwo. W jego oczach pojawił się triumfalny błysk. Nóż ze świstem przeciął powietrze milimetry od szyi Morana. Jake uniósł się do klęku, chwycił kamień i uderzył nim wroga w pachwinę. Mężczyzna zawył z bólu, opadł na kolana i zgiął się wpół. Broń wypadła mu z ręki.

Jake błyskawicznym ruchem chwycił nóż i zatopił go w brzuchu przeciwnika. Oczy Meksykanina rozszerzyły się gwałtownie, z gardła wydobył się bulgoczący charkot. Z rany trysnęła krew. Ciałem wstrząsnęły drgawki, głowa opadła do tyłu, puste spojrzenie skierowało się ku niebu.

Moran poczuł mdłości, ale nie odwrócił wzroku od zabitego. Jeden człowiek mniej do pogoni za Annie. Wyprostował się, mocno ściskając nóż w garści. Santo

i Apacz stali kilka metrów dalej z groźnymi minami.

Herszt bandy mierzył z rewolweru w jego pierś.

- Czas, żeby połała się twoja krew, gringo.

Powietrze rozdarł huk wystrzału.

6

Jake odruchowo sięgnął ręką do piersi, szukając krwawej, ziejącej rany. Trafił jedynie na draśnięcie od noża. Nie poczuł również piekącego bólu, który zawsze towarzyszy postrzałom z bliskiej odległości.

Zaskoczony wrócił spojrzeniem do bandyty. W tym momencie Santo runął twarzą na ziemię. Oczy miał wybałuszone, z kącika ust ciekła wąska strużka krwi.

Jake usłyszał za sobą tętent końskich kopyt. Odwrócił się i ujrzał niezapomniany widok. Annabel Lee Foster szarżowała na obóz niczym anioł śmierci. W jej oczach płonął słuszny gniew, złotobrazowe włosy opadały na plecy spletanymi falami. Kobieta trzymała wodze zębami, a w rękach ścisnęła dymiące strzelby.

Moran szybko otrząsnął się z osłupienia, gdy wokół niego rozpętało się piekło. Kule zaczęły mu świstać koło uszu. Gęsty, gryzący dym wypełnił powietrze. W chwili gdy Annie strzeliła w Apacza, bandyta, który ją ścigał, wypalił do niej, a Indianin do Jake'a.

Moran chwycił rewolwer Santo i posłał gorący ołów w nogę zbira z bliźniami. Resztę pocisków wystrzelił w Apacza, ale chybił, osłepiony dymem. Został bez naboju. Krzyknął do Annie i przywołał ją do siebie gestem ręki. Następnie potoczył się pod osłonę, uciekając przed

kulami. Schował się za wysoką stertą kamieni i głazów.

Kobieta spięta wierzchowca ostrogami i popędziła w jego stronę. Zeskoczyła z Dulcie i przycupnęła obok Jake'a. Bez słowa podała mu dwa cudze pasy z nabojami i dwa rewolwery. Jego własne. W obozie zapanował chwilowy spokój. Bandyci też szukali schronienia.

Jake obrzucił Annie badawczym spojrzeniem.

- Jesteś ranna?

- Nie. A ty?

- Też nie. Co, do diabła, tutaj robisz? Przecież kazałem ci uciekać.

Kobieta łypnęła na niego spode łba.

- Po pierwsze, nie będziesz mi mówił, co mam robić. Po drugie, nie chcę tobą obciążać sumienia, kiedy w życiu zaczyna mi się układać.

Moran uniósł brew. Obrabowano ich, zostawiono na pastwę losu, strzelano do nich.

- Co według ciebie znaczy „układać się”?

Annie wzruszyła ramionami.

- Musiałam wrócić. - Zerknęła na koc, na którym leżały jej skarby. - Nie odjadę bez tytułu własności.

Jake popatrzył na drugą stronę obozu, gdzie wśród skalnego rumowiska ukryli się Apacz i Bliznowaty. Bandyci szykowali się do walki.

- Mam nadzieję, że warto za niego umierać.

Annie załadowała rewolwer.

- Jeśli jesteś choć w połowie tak dobry w strzelaniu jak w mieleniu ozorem, nie będę miała okazji tego sprawdzić.

Moran wykrzywił wargi w niechętnym uśmiechu.

- Jestem ci wdzięczny, kochanie. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem...

- Cholera. Zamek się zaciął.

Jake zmarszczył brwi i podał jej jeden ze swoich rewolwerów, gotowy do strzału.

- Potrafisz strzelać z trzydziestki ósemki?
- Tak, ale w nic nie trafię. Jest za duża na moją rękę.
- A z trzydziestki dwójki?
- Już lepiej.

Moran podał jej pistolet Santo. Kobieta zważyła go w dłoni i najwyraźniej zadowolona, wskazała głową na obóz.

- Sądzisz, że dasz radę mnie osłonić, gdy pobiegnę do koca?

- Nie mówisz poważnie.

Annie zacisnęła usta z determinacją.

- Nie odjadę bez dokumentu. Odzyskam go... z twoją *pomocą* albo bez *niej*. - Wyrzała *zza osłony*. - To za ledwie parę kroków...

Tuż nad jej głową ze świstem przeleciała kula. Annie padła na ziemię.

- Rozmyśliłaś się?

Kobieta spiorunowała go wzrokiem. Otrzepała ubranie i kucnęła przy skale. Po chwili namysłu powiedziała cichym głosem:

- Chyba jednak nie obejdę się bez ciebie, Moran.
- Niech mnie diabli.

Na twarzy Annie odmalowało się zakłopotanie i jednocześnie ośli upór.

- Pomożesz mi czy nie?
- Umiesz strzelać?
- Zwykle trafiam w cel.

To dobrze, pomyślał Jake. W bitwie na ogół wolał fi-nezję, ale teraz sytuacja wymagała frontального ataku.

- Osłaniaj mnie - powiedział.
- Dlaczego ja ciebie?

- Po pierwsze, biegam dużo szybciej niż ty, zwłaszcza jeśli ktoś do mnie strzela. Wierz mi, kochanie, że mam spore doświadczenie w tej dziedzinie. Po drugie, muszę uwolnić Weeda. Na Dulcie nie ujedziemy więcej niż dziesięć mil. Apacz siedzi za tamtymi skałami. - Pokazała ręką. - Bliznowaty schował się za kępą topoli. Jest ranny w nogę. Ruszam na trzy. Są pytania?

Ku jego zdziwieniu i uldze Annie potrzęsnęła głową.

- Na trzy?

- Tak. Raz, dwa... trzy!

Moran nasunął kapelusz na czoło i wyskoczył zza kamieni. Annie zerwała się i zaczęła strzelać. Jake biegł zygakiem, nisko pochylony. W ziemię wokół niego biły pociski, wzniecając chmury kurzu. Jedna z celniejszych kul omal nie oderwała mu ucha. Psiakrew! Chyba postradał rozum, licząc, że plan się powiedzie.

Po chwili, która wydawała mu się wiecznością, dopadł koca, chwycił go za rogi i potoczył się po ziemi, jednocześnie strzelając w kierunku skał. Usłyszał krzyk bólu, ale nie chciał sprawdzać, czy unieszkodliwił przeciwnika. Zrzucił sobie koc na plecy i pognął do zagrody. Gwizdnął na Weeda, odmawiając w duchu modlitwę dziękczynną, że bandytom nie chciało się rozkulbaczyć wierzchowców. Wskoczył na siodło i leżąc na końskim grzbiecie pogalopował w stronę kryjówki Annie. Z ulgą stwierdził, że kobieta jest gotowa do jazdy.

- Ruszaj! - zawołał.

Annie oddała kilka strzałów, płosząc resztę zwierząt, i spięła Dulcie ostrogami.

W tym momencie rozległo się donośne miauczenie. Zerknąwszy przez ramię, Jake dostrzegł znajome białe futerko. Aż jęknął cicho. Chyba Annie nie będzie taka głupia, żeby...

Kobieta gwałtownie ściągnęła wodze.

- Do diabła, tylko nie...

Annie przemknęła obok niego bez słowa. Miała dzioki wzrok. Nagle rozległ się huk wystrzału. Kobieta drgnęła gwałtownie. Przez jedną straszliwą chwilę Jake myślał, że została trafiona. Nie spadła jednak z konia ani nie zatrzymała się. Schyliła się w pędzie z wielką gracją, zgarnęła Kota z ziemi, zawróciła Dulcie i puściła się galopem przed siebie.

Moran wbił pięty w boki Weeda i popędził za nią, oddając kilka ostrzegawczych strzałów w stronę obozu.

Przez cały czas nasłuchiwał odgłosów pościgu. Im dłużej jechali, tym bardziej się uspokajał. Bliznowaty był ranny, Apacz również dostał kulę. Poza tym co najmniej godzinę zajęłoby im schwywanie koni.

Jake zerknął na Annie. Kobieta jechała sztywno, patrząc tylko przed siebie i mocno tuląc Kota. Opóźniona reakcja, pomyślał.

- Wszystko w porządku? - zawołał.

Annie odwróciła ku niemu bladą, ściągniętą twarz, ale przemówiła swoim zwykłym tonem.

- Masz mój dokument?

- Tak.

Kobieta skrzywiła wargi w bladym uśmiechu.

- W takim razie wszystko w porządku.

Za milczącą zgodą wkrótce przeszli z galopu w spokojny kłus. Tymczasem na niebie zebrały się chmury i zaczął siąpić drobny deszcz. Raptownie się ochłodziło. Jechali zmarznięci, żeby przed nocą jak najbardziej oddalić się od obozu bandytów.

Jake powoli zaczynał odczuwać skutki walki z potężnym Meksykaninem. Bolały go wszystkie mięśnie i kości. Skóra piekła jak otarta do żywego mięsa. Na twa-

rzy Annie również odbijało się zmęczenie i napięcie.

Moran przeszukał wzrokiem okolicę, wypatrując miejsca na postój. W końcu dostrzegł wąski strumyk, który wił się przez gęsty sosnowy zagajnik porastający czerwone, gliniaste wzgórze. Teren opadał łagodnie w dół. Ze szczytu roztaczał się widok aż po horyzont. Niezłe miejsce na obozowisko. Ziemia usłana sosnowymi igiełkami zapraszała jak puchowa pościel i satynowe prześcieradła.

- Chcesz trochę odpocząć? - zapytał.

W odpowiedzi kobieta ściągnęła wodze Dulcie. Jake w ulgą zsiadł z konia, tłumiąc jęk.

Kot wypuszczony przez panią przeciągnął się, wyginając grzbiet w łuk, a potem usiadł i zaczął się wylizywać. Jake obserwował go bez zbytniego zainteresowania. Z ubrania właścicielki przywarły do białego futerka błoto i brunatna plama...

Jake rzucił spojrzenie na Annie. Kobieta ostrożnie zsunęła się z grzbietu Dulcie. Zamknęła oczy i chwyciła się łęku siodła.

Mężczyzna przyskoczył do niej w dwóch długich krokach.

- Gdzie?

Annie nie udawała, że nie rozumie pytania.

- Lewy bok.

Moran delikatnie namacał ranę, ale szybko cofnął rękę, gdy usłyszał syk bólu. Dłoni miał całą we krwi. Przeniósł wzrok na kobietę, ogarnięty strachem i jednocześnie gniewem.

- Czemu, do diabła, nic mi nie powiedziałaś?

- Myślałam, że to tylko draśnięcie. - Wykrzywiła usta w nikłym uśmiechu. - Wyobraź sobie, że jeszcze nigdy nie byłam ranna. A teraz, gdy wróciłam na ścieżkę prawa... -

Urwała raptownie i przełknęła ślinę. - Niedobrze mi.

Jake otoczył ją ramieniem.

- Spokojnie, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Annie nie zeszywniała pod dotykiem mężczyzny, tylko ciężko oparła się na nim, co przejęło go tym większym lękiem.

- Zaraz obejrzę ranę.

Wziął ją na ręce i ruszył ku sosnowemu zagajnikowi. Głowa Annie opadła bezwładnie na jego ramię. Jej skórę pokrywał zimny pot. Ranna walczyła z bólem i mdłościami. Powieki i usta miała zaciśnięte.

Jake położył ją delikatnie na igliwiu i wyprostował się. W tym momencie poczuł, że Annie łapie go za kostkę. Spojrzał w dół, ale kobieta szybko cofnęła rękę, wyraźnie zakłopotana gestem.

- Wiem, że odjedziesz i mnie tu zostawisz - powiedziała tonem rezygnacji.

- Nie zrobię tego.

W jej oczach Jake dostrzegł ból, oszołomienie, strach i niedowierzenie.

- Nie zostawiam cię, Annie. Potrzebuję paru rzeczy z juków. Zaraz wrócę.

Zgodnie z obietnicą zjawił się wkrótce z nożem, starą płócienną koszulą, whisky i manierką wody. Wsunął ramię pod plecy rannej i uniósł ją do pozycji półsiedzącej. Przystawił jej do ust butelkę z alkoholem. Annie zakaszła gwałtownie, a jej drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Chcesz mnie otruć.

- To świetna whisky z Kentucky, kochanie. Tylko nie wymiotuj, bo nigdy ci nie daruję, że zmarnowałaś dobry trunek.

Sam pociągnął solidny łyk i odstawił butelkę. Na-

stępnie rozciął ostrożnie ubranie kobiety. Udawał spokój i pewność siebie, wiedząc, że Annie bacznie obserwuje każdy jego ruch. Na widok dużej ilości krwi serce zaczęło tłuc mu się w piersiach, a puls raptownie przyspieszył. Delikatnie zbadał ranę. W miejscu, gdzie utkwiała kula, wymacał twarde zgrubienie.

Kobieta przygryzła wargi i spojrzała mu w oczy.

- Potrafisz ją wyjąć?

- Chyba tak - odparł, starając się panować nad głosem.

- To dobrze. - Na ustach Annie pojawił się słaby uśmiech. - Jeszcze nie jestem gotowa umierać.

Paniczny strach zmroził i obezwładnił mężczyznę na mgnienie. Ale i Jake nie mógł sobie pozwolić na słabość. Zapadała noc. Musiał się spieszyć, póki było dość światła. Podał rannej butelkę.

- Chcesz jeszcze łyka?

Annie potrząsnęła głową. Oczy miała niepokojąco przytomne. Czaił się w nich lęk.

Jake obficie polał whisky ostrze noża.

- To na szczęście? - zapytała kobieta.

-Tak.

W czasie wojny secesyjnej podpatrzył, że niektórzy chirurdzy moczyli narzędzia w alkoholu, a na koniec operacji płukali nim samą ranę. Z jakiegoś powodu ich pacjenci przeżywali częściej niż inni nieszczęśnicy. Niech to diabli, jeśli wiadomo dlaczego. Prawdę mówiąc, doktorzy również nie mieli pojęcia.

Jake odstawił butelkę i wytarł dłonie o spodnie. Dość zwlekania. Wziął głęboki oddech i spojrzał Annie w oczy.

- Nie musisz być dzielna, kochanie. Możesz krzyczeć do woli.

Przytknął ostrze do skóry rannej.

Przerażona Annie biegła co sił w krótkich, pulchnych nóżkach czterolatki. Trzy lata starsza, długonoga Catherine już zniknęła jej z oczu. Mama ostrzegała, żeby trzymały się z daleka od gniazda pszczół, ale miód, który tata przyniósł do domu, był taki słodki, że nie mogły się oprzeć, by nie wrócić po więcej. Wokół niej roiły się teraz wściekle owady. Nie mogła uciec, choć pędziła najszybciej, jak umiała. Zaczęły wbijać kłujące żądła w jej lewy bok. Lewy bok...

Annie miała bardzo wysoką gorączkę. Mama, tata i Catherine już nie żyli. Leżała sama w sypialni starego wiejskiego domu przy potoku. Opiekował się nią Doc Mundy. Szeptał jej do ucha kojące słowa. Duże dłonie lekko muskały rozpaloną skórę, kiedy wycierał ją chłodną, wilgotną szmatką. Mundy i jego żona byli dobrymi ludźmi, ale zbyt łagodnymi wobec syna Pete'a. Nie mogła im jednak tego powiedzieć. Oni ją tylko przygarnęli.

Teraz Doc i jego żona nie żyli. Pete i chłopaki zostawili ją samą w leśnej chacie i pojechali zabawić się w mieście. Raptem zjawił się Garvey Wężowa Skóra. Próbowwała dobiec do drzwi, ale złapał ją za nadgarstek, rzucił na łóżko i przygniótł swoim cielskiem. Nie mogła się poruszyć ani oddychać, uciec, ani krzyknąć. Gdyby chociaż zdołała sięgnąć po rewolwery...

Annie ocknęła się raptownie.

W ustach miała sucho, serce waliło jej młotem. Od ruchowo zaczęła macać wokół siebie w poszukiwaniu broni, przerażona i dezorientowana. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani skąd się tutaj wzięła. Leżała w sosnowym zagajniku, na miękkim iglastym łożu, przykryta stertą koców. Parę kroków dalej tliły się resztki ogniska.

Dźwignęła się do pozycji siedzącej. W lewym boku poczuła przeszywający ból. Z sykiem wciągnęła powietrze,

zatrzymała je w płucach i wypuściła wolno. Ból stopniowo przeszedł w tępe pulsowanie. Gdy spojrzała w dół, przypomniała sobie, że postrzelili ją bandyci. Bezskutecznie próbowała wydobyć z pamięci więcej szczegółów.

Tak, jedno wiedziała na pewno. Została sama na pustkowiu. Otaczała ją głęboka cisza. Dobrze choć, że wymuskany pokerzysta opatrzył jej ranę, zanim się wyniósł. Na sobie miała jedną ze starych flanelowych koszul, dostatecznie luźną, żeby mogła służyć jako koszula nocna. Na myśl, że Jake Moran widział jej ciało, dotykał go, przesuwał silnymi dłońmi po nagiej skórze, Annie przebiegł dreszcz. Stwierdziła jednak, że nie czuje odrazy ani oburzenia, tylko zmieszanie.

Dobrze, że zwiął. Przynajmniej oszczędził jej wstydu. Zaraz jednak ogarnął ją niepokój, kiedy rozejrzała się i spostrzegła, że zabrał ze sobą wszystko, co do niej należało. Konia, pistolety, dokument. Niech go diabli. Gdy parę metrów od prowizorycznego posłania usłyszała nagle szelest krzaków, zrozumiała w pełni, jaka jest bezbronna..

Może to jeden z bandziorów trafił po śladach albo głodny wilk. Albo...

Z krzaków wyszedł Jake Moran, niosąc chrust i trzy upolowane zające. Towarzyszył mu Kot. Annie doznała wielkiej ulgi. Jednak jej nie zostawił.

Mężczyzna przystanął raptownie. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Obudziłaś się.
- Na to wygląda.

Położył na ziemi drewno i zające, a następnie ruszył w jej stronę. Kot wskoczył pani na kolana. Annie zaczęła go głaskać. Stworzenie zwinęło się w kłębek, mrużąc z zadowolenia.

Jake kucnął obok rannej i przyjrzał się jej uważnie.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Annie zalały emocje trudne do nazwania. Przytłaczała ją obecność Jake'a Morana, peszyło badawcze spojrzenie. Na jego twarzy nie dostrzegała ani śladu dawnej wyniosłości, znudzenia czy lekceważenia. Męczyzna sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. Nie mogła uciec od intensywnego spojrzenia niebieskich oczu, w których pojawił się dziwny blask. Ścisnęło ją w żołądku, dręczyła świadomość, że wygląda okropnie.

Chwila przedłużała się w nieskończoność. Annie wiedziała, że koszula jest zapięta pod szyję, a koc dokładnie okrywa nogi, lecz nie potrafiła zapomnieć, że Moran widział ją nagą.

Z drugiej strony, Jake w czarnych spodniach i jasnoniebieskiej koszuli, która podkreślała barwę oczu, był po prostu zbyt przystojny i męski, żeby go zlekceważyć. Szczególnie gdy siedział tak blisko. Annie zbesztala się w myślach i zmusiła do podniesienia wzroku.

Przyjrawszy się uważnie twarzy Morana, dostrzegła lekką opuchliznę na szczęce i kościach policzkowych oraz bliznę nad prawym okiem. Skóra na dłoniach była otarta.

Annie potrząsnęła głową i gwizdnęła cicho.

- Wyglądasz jak po całym dniu ciężkiej pracy. Ostrzegałam, żebyś nie bił się z tamtym *hombre*.

Męczyzna dotknął ręką jej czoła. Zasepioną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Gorączka spadła - stwierdził.

Annie odepchnęła dłoń Morana, karcąc go za czuły gest.

- Uważasz chyba, że jestem ci winna wdzięczność za to, że mnie pielęgnowałeś?

Jake wzruszył ramionami. Wyraz twarzy miał nieodgadniony.

- Nic mi nie jesteś winna, kochanie.

- W takim razie wyrównaliśmy rachunki. Ja też uratowałam ci skórę, pamiętasz?

- Skoro tak twierdzisz.

Annie odwróciła wzrok, zawstydzona własną szorstkością. Nie umiała się pohamować. Doszła do wniosku, że ma tylko dwa wyjścia. Ulec wdziękowi Jake'a Morana i wpaść jak mucha w pajęczą sieć albo uciekać co sił w nogach.

- Oprawisz zające czy poczekasz, aż skóra sama odpadnie?

- Domyślam się, że jesteś głodna.

- Nie jadłam od wczorajszego ranka.

Mężczyzna wstał i dorzucił świeżych gałązek do tlącego się ogniska.

- Nie jadłaś od trzech dni. Tak długo byłaś nieprzytomna.

- Trzy dni? - powtórzyła Annie z niedowierzaniem. Jake skinął głową.

- Rana okazała się niezbyt groźna. Kula utknęła tuż pod skórą. Wyjąłem ją, ale straciłaś dużo krwi.

Został i opiekował się nią przez trzy dni. Nic nie pamiętała. Śniło się jej, że jest przy niej Doc Mundy. Myślała, że to jego głos cicho szepcze kojące słowa, że to on wyciera ją mokrą, chłodną szmatką. A może były to gorączkowe majaczenia? Mogła oczywiście zapytać Jake'a wprost, ale obawiała się kłopotliwej rozmowy. Uznała, że lepiej nie budzić licha.

Zresztą tak naprawdę chciała zadać Moranowi tylko jedno pytanie. Zmrużyła oczy, przyglądając mu się badawczo.

- Dlaczego zostałeś? Mogłeś zabrać mojego konia, dokument, pieniądze i odjechać. Dlaczego mnie nie zostawiłeś? Mężczyźni, których znam, zabraliby wszystko i uciekli.

Jake mierzył ją wzrokiem przez długą chwilę.

- Widocznie znasz niewłaściwych mężczyzn. A może po prostu jestem inny.

- Każdy pies ma pchły - skwitowała jego odpowiedź.

- Miłe podziękowanie, skarbie.

Mężczyzna potrząsnął głową, bardziej rozbawiony niż urażony. Wprawnie obdarł zające ze skóry, nadział je na patyk i zawiesił nad ogniskiem.

- Ani śladu bandytów? - zapytała Annie.

- Uhm.

Kobieta zmarszczyła brwi, słysząc lekkie wahanie w głosie Morana.

- Jakieś kłopoty?

- Nic, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić - odparł Jake wymijająco. - Chcesz się umyć przed kolacją?

Annie nie miała ochoty dalej go naciskać. Po trzech dniach choroby była osłabiona, zeszywniała i obolała. Zdjęła Kota z kolan i wstała niepewnie. Jake natychmiast przyskoczył i chwycił ją za ramię.

- Spokojnie. Minie dzień albo dwa, nim dojdiesz do siebie.

Gdy szorstki materiał spodni otarł się o jej udo, uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest półnaga. Natychmiast oprzytomniała. Uznawszy, że mocno stoi na nogach, odsunęła się od mężczyzny.

- Zmienię ci bandaż.

Annie potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku. Czuję się dobrze.

Na twarz Jake'a wypłynął charakterystyczny uśmiech.

- Czego się boisz, kochanie?

Ciebie, pomyślała. Zwłaszcza dotyku dużych, szorstkich rąk na skórze. Prędszej pocałuje ropuchę, niż pozwoli się tknąć.

- Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Moran, ale teraz sama o siebie zadbam. - Od razu poczuła się lepiej. Omiotła wzrokiem obozowisko w poszukiwaniu swoich rzeczy. - Gdzie schowałeś mój worek?

Jake wskazał na ścieżkę prowadzącą ze wzgórza.

- Na dole przy strumieniu. Dulcie i Weed również tam są. - Obserwował ją przez chwilę ze zmarszczonym czołem. - Chcesz, żebym ci pomógł?

- Sama pójde - odparła. - Za chwilę pewnie zaproponowałbyś, że mnie wykąpiesz.

Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersi. Jego usta wykrzywił złośliwy uśmiezek, a w oczach pojawił się uwodzicielski błysk.

- Tylko jeśli będziesz nalegać, kochanie.

Annie poczuła w nogach słabość, która nie miała nic wspólnego z raną. Uniosła podbródek i z godnością ruszyła przed siebie.

Wykąpać, też coś! Zachowuj się tak dalej, dziewczyno, a pomyśli, że go prowokujesz.

Co oczywiście nie było prawdą.

Zdecydowanie nie.

Taka rzecz nawet nie przyszlaby jej do głowy.

Czy tylko dlatego, że ten mężczyzna miał spojrzenie tajemnicze i głębokie jak morze, uśmiech, który samego diabła zwabiłby do kościoła, pierś tak szeroką, że pomieściłaby mapę Teksasu, a...

Annie?

Co?

Zamknij się!

7

Jake siedział oparty o zwalony pień, z butelką whisky między nogami i talią kart w ręce. Normalnie paliłby się do jazdy, ale zwolnił tempo podróży ze względu na Annie. Minał tydzień, odkąd została postrzelona. Przez trzy dni była nieprzytomna, a przez następne cztery wracała do zdrowia. Nie chciał jej poganiać. Choć rana goiła się dobrze, przy dużym wysiłku mogła się otworzyć.

Poza tym czekał na zmianę pogody. Od dłuższego czasu świat tonął w gęstej mgle. Wilgoć stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Niewiele pomagało suszenie koców na gałęziach ani ognisko. Jake z trudem znosił bezruch i nudę.

Annie siedziała kilka metrów od niego z książką w ręce i Kotem na kolanach. Sądząc po wyrazie twarzy, też była niespokojna. W pewnym momencie kocur wystawił nos z fałdów jej płaszcza, prychnął niezadowolony na cały świat i pomaszerował do lasu. Annie patrzyła za nim przez chwilę, a potem zaskoczyła Morana, podchodząc i siadając naprzeciwko niego. Ostatnio prawie nie odzywali się do siebie, więc Jake chętnie powitał odmianę. Najwyraźniej kobieta też miała dość samotności.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Annie wzruszyła ramionami.

- Jestem znudzona. I zniecierpliwiona.

Z pewnością nie można było zarzucić tej kobiecie, że mówi ogródkami.

- Miałem na myśli twój bok.

Od momentu gdy odzyskała przytomność, nie pozwalała mu zbadać rany.

- Ukąszenie pszczoły.

- Opuchlizna?

Annie potrząsnęła głową.

- To dobrze. W takim razie wyruszamy jutro rano.

- Świetnie.

Kobieta przez chwilę mierzyła go wzrokiem pełnym dezaprobaty.

- O co chodzi?

- Za dużo pijesz.

Jake westchnął ciężko.

- Oszczędź mi wykładu o skutkach nadużywania alkoholu.

- Po prostu stwierdziłam fakt. Nie musisz zaraz się obruszać.

Moran pociągnął kolejny łyk z butelki.

- A co według ciebie mam robić w taką pogodę?

- Nie wiem. Moglibyśmy porozmawiać.

Mężczyzna uniósł brew.

- Co za oryginalny pomysł.

- Od urodzenia masz taką gadkę, Moran?

- Przyszedłem na świat w jednoizbowej ruderze w miasteczku, które rozłożyło się na bagnistych brzegach Missisipi zamiast wybrać lepsze miejsce.

- Nie pochodzisz z bogatej rodziny o wyniosłych manierach? - spytała Annie zaskoczona.

- Niestety nie.

- Niech mnie licho. - Kobieta przyjrzała mu się takim wzrokiem, jakby raptem zobaczyła go w nowym

świetle. - Jacy oni byli? To znaczy twoi starzy.

Jake wzruszył ramionami. Alkohol wyraźnie poprawił mu nastrój.

- Ojciec był wielkim i hałaśliwym kapitanem statków kursujących po Missisipi. Nauczył mnie bić się i pić, a kiedy miałem trzynaście lat, zaprowadził do pierwszej dziwki.

W przeciwieństwie do innych kobiet Annie nie udawała, że jest zgorzozona.

- A matka?

- Była Cajunką, gorącokrwistą pięknoscią. - Bezmyślnie obracał w rękach butelkę whisky, pogrążony we wspomnieniach. - Pochodziła z jeszcze biedniejszej rodziny niż mój ojciec, ale miała wysokie aspiracje. Chciała należeć do towarzystwa i robiła wszystko co w jej mocy, żeby marzenie się spełniło. Byliśmy nędznymi, rzeczonymi szczurami, ale dzięki jej naukom, odrobinie dobrych manier i ogłady, porządnym ubraniom, uchodziliśmy za rodzinę godną szacunku. Prawda jest taka, kochanie, że ludzie widzą to, co chcemy, żeby widzieli. Rzadko dostrzegają więcej niż fasadę.

W oczach Annie błysnęło zainteresowanie.

- Myślisz, że mogłabym tego dokonać?

- Czego?

- Zostać wielką damą gładko się wystawiającą. Wystrój się w falbaniastą suknię, założyć kapelusz podobny do ptasiego gniazda, nosić elegancką parasoleczkę. Jak sądzisz?

Jake wzruszył ramionami. Stwierdził w duchu, że nie rozumie kobiet.

- Skąd to nagłe pragnienie, żeby wejść do towarzystwa?

- Wcale nie nagłe. Skoro mam być nową właścicielką Palace, muszę wiedzieć, co wypada, a co nie. - Wy-

jęła z kieszeni zniszczoną ulotkę i machnęła mu nią przed oczami. - Widzisz? Najlepszy hotel na zachodzie. Wyłącznie dla dystyngowanych dam i dżentelmenów. Założę się, że są w nim kryształowe żyrandole, piękne obrazy, grube dywany, chińska porcelana, aksamitne zasłony, łóżka z baldachimem, puchowe materace i takie rzeczy. Jako właścicielka muszę mieć takie same maniere jak moi goście.

- Widzę, że dużo nad tym myślałaś - stwierdził Jake, mierząc ją uważnym wzrokiem.

Jeszcze nigdy nie wygłosiła równie długiej przemowy, a w dodatku mówiła całkiem poważnie.

- Przeczytałam cały - oznajmiła Annie z dumą, wskazując na poradnik w skórzanej oprawie.

- Podoba ci się?

Kobieta skrzywiła się.

- Nie bardzo, ale przynajmniej uczę się reguł.

- Reguł?

- Zasad obowiązujących w towarzystwie. Nie miałam pojęcia, że jest ich aż tyle. - Otworzyła książkę i zaczęła czytać na głos. - „Dobrze wychowana dama nie rozmawia z dżentelmenem, który nie został jej przedstawiony. Prawdziwa dama zawsze zostawia na talerzu trochę jedzenia. Prawdziwa dama nie śmieje się głośno i nie wygłasza opinii na tematy inne niż szycie lub wychowanie dzieci, nawet zapytana. Prawdziwa dama w żadnych okolicznościach nie bierze pieniędzy od dżentelmena. Prawdziwa dama nigdy, przenigdy nie wspomina o niewymownych”.

Annie westchnęła ze zniecierpliwieniem i odłożyła książkę.

- Co to są niewymowne? A skoro są niewymowne, dlaczego, do diabła, Winston tyle o nich gada?

Jake powstrzymał się od uśmiechu.

- Sądzę, że chodzi mu o damską bieliznę.

- Więc jeśli pije cię gumka albo za luźne majtki opadają ci do kostek, lepiej o tym nie wspominać?

- Raczej nie należy poruszać tego tematu.

- Aha... - Annie zastanawiała się przez chwilę. - Mogłabym stosować się do niektórych zasad, gdyby Winston dokładniej je wyjaśnił, ale nie wziął pod uwagę wielu sytuacji.

- Na przykład jakich?

- Co robić, jeśli dżentelmen ukradnie damie konia? Miałabym mu parę rzeczy do powiedzenia, niezależnie od tego, czy został mi właściwie przedstawiony. Poza tym, skoro płacę za wystawny posiłek w restauracji, dlaczego mam nie zjeść wszystkiego do ostatniego kawałeczka? Co jest stosownego w marnowaniu dobrego jedzenia? Natomiast gdy ktoś pyta mnie o zdanie, z pewnością chce je znać, bo inaczej po co by pytał? A jeśli dżentelmen przegra w pokera, dama chyba może wziąć od niego forszę, prawda? Co twoim zdaniem jest ważniejsze: wymagania etykiety czy płacenie długów honorowych?

- Może ten Winston przegrał do dam dużą sumę?

Annie od razu się rozpromieniła.

- Nie pomyślałam o tym.

Jake zachował poważną minę.

- Znalazłaś w poradniku jeszcze inne mądrości?

- Jak gadać tak jak ty, Moran. - Annie wyprostowała się i zaczerpnęła powietrza. - Zawsze słucham rad ludzi mądrzejszych ode mnie, licząc na ich cierpliwość i tolerancję - wyrecytowała sztucznym tonem.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Na twarzy kobiety odmalowało się zaskoczenie.

- Tutaj jest napisane... - Przesunęła wzrokiem po stro-

nicy, szukając odpowiedniego fragmentu: - „Zwrot bardzo stosowny dla kobiety, przydatny w wielu sytuacjach...”

- Mogę? - zapytał Jake, wyciągając rękę po książkę.

Przewertowawszy ją, doszedł do wniosku, że Winston jest mizoginem i nadętym osłem, a jego poradnik służy wychowaniu pustych damulek, których największą ambicją jest umiejętność nakrywania do stołu i wyszywania serwetek.

- To dopiero dzieło. Już nauczyłaś się wszystkich tych reguł, kochanie?

- Jeszcze nie, do diabła.

Moran uśmiechnął się szeroko. Był ciekaw, co zrobi Annie, gdy dojdzie do rozdziału, w którym zabrania się kobietom przeklinać.

Jej oczy rozbłyły przekorą.

- Uważam, że dobre maniery czasem się przydają, ale jest tylko jedna reguła, którą powinna znać każda kobieta mieszkająca na Zachodzie.

- Jaka?

- Najpierw strzelać, a potem pytać. - Na jej ustach zaigrał figlarny uśmieszek. - Jak sądzisz, co o tym powiedziałyby stary Winston?

Jake też się uśmiechnął.

- Chyba dostałby spazmów i zemdłał.

- Też tak myślę.

Zaśmiała się perliście. Dźwięk skojarzył się Jake'owi ze strumykiem płynącym po kamieniach. Słuchał go z przyjemnością, jakby śmiech Annabel Lee Foster był tym, na co czekał przez całe życie.

Annie umilkła i spojrzała w niebo, jakby wypatrywała oznak, że deszcz wkrótce ustanie. Jake mógł przyrzec jej bez przeszkód. Znowu poraziła go uroda tej kobiety. W szarym świetle pochmurnego dnia jasnobrą-

zowe włosy lśniły niczym płynne złoto. Lekka, rozpylona mgiełka nadawała skórze świeży wygląd. Błyszczące oczy wydawały się raczej piwne niż złote czy zielone. Brwi, o ton ciemniejsze od włosów, tworzyły delikatne łuki, rzęsy o takim samym odcieniu miały jasne końce. Wargi przypominały barwą dojrzały melon. Chyba jedynym rysem odbiegającym od ideału był podbródek. Kwadratowy i zbyt mocno zarysowany, do Annie jednak pasował.

Panna Foster nie należała do piękności, które od pierwszej chwili robią piorunujące wrażenie na mężczyznach. Jej uroda była subtelna, ujawniała się zależnie od oświetlenia lub wyrazu twarzy. Tego rodzaju kobiety nie wyróżniają się w tłumie, ale gdy raz się je dostrzeże, nie można oderwać od nich oczu.

- Annabel Lee. To twoje prawdziwe imiona?

- Dostałam je na cześć pewnej pani z wiersza. Moja mama czytała mi go, kiedy byłam mała.

Jake pociągnął łyk whisky i zaczął recytować:

*Wiele, o wiele już temu lat,
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi,
Żyła dziewczyna jak wonny kwiat,
Imię jej było Annabel Lee.*

*Jam w tym dziewczęciu miał cały świat,
A sam znów byłem światem jej.**

Annie wytrzeszczyła oczy.

- Znasz ten wiersz?

- Edgar Allan Poe. Jeden z największych poetów Południa. - Uniósł butelkę i uśmiechnął się. - I największych pijaków.

Tłum. Miriam.

- Chciałabym nią być.
- Kim?
- Damą z wiersza.
- Ona umarła.
- To nic. Najważniejsze, żebym była kochana tak jak ona. - Odwróciła wzrok zakłopotana. - Mówię głupoty, prawda?
- Umiera się z gorszych powodów.
- Ale tak się nie stanie?
- Nie umrzesz?
- Chodzi mi o miłość.
- Tak? Dlaczego nie?
- Wiem, czego mężczyźni szukają w kobiecie.
- Jesteś piękna, Annie.
- Wcale nie. Kobieta powinna być miękka i apetyczna. Zresztą mężczyźni pragną czegoś więcej. Chcą mieć posłuszną, delikatną i dobrą żonę, która regularnie chodzi do kościoła i potrafi wychowywać dzieci. Nie potrzebują kogoś takiego jak ja.
- Dlatego postanowiłaś się zmienić. Stać się dobra.
- Raczej godna szacunku. W życiu, jakie do tej pory prowadziłam, nie miałam na to najmniejszej szansy. - Wzruszyła ramionami. - Może to i lepiej. Wolę być silna niż dobra. Widziałam zbyt wielu szlachetnych ludzi doświadczonych przez los.
- Pokorni odziedziczą ziemię.
- To, co z niej zostanie - odparowała Annie. Podciągnęła nogi, oparła brodę na kolanach i zamyśliła się. - Nie, nie należę do osób, które czekają, aż im ludzie powiedzą, co mają robić. Każdy jest odpowiedzialny za swój los i może zrobić z własnym życiem co chce.
- Naprawdę wszystko jest dla ciebie takie proste? - zapytał Jake niepewnie.

- Oczywiście. - Annie przyjrzała mu się uważnie, zaskoczona jego reakcją. - A dla ciebie nie?

- Nie.

Mężczyzna powędrował wzrokiem ku szaremu horyzontowi. Wiedział swoje. Człowiekowi sprzyja szczęście albo nie. Świat nie jest życzliwy, ani sprawiedliwy. Rządzi nim przypadek. Żli nie zawsze ponoszą karę, niewinnych nie zawsze kocha się i hołubi. Każdego może spotkać wszystko w dowolnej chwili.

- Ile masz lat, Moran?

- Dwadzieścia dziewięć. A ty?

- Dwadzieścia dwa.

- Wyglądasz na młodszą.

- Czuję się starsza.

Mężczyzna uśmiechnął się i pociągnął z butelki.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Kot wybrał akurat ten moment, żeby wrócić z lasu. Tym razem nie fuknął na Jake'a, tylko łypnął na niego z dezaprobatą i ułożył się na kolanach pani.

- Chyba zaczyna cię lubić - stwierdziła kobieta, głaszcząc kocura.

- Nie wyobrażasz sobie, jaki jestem zachwycony.

- Nie chodzi akurat o ciebie. On nie lubi mężczyzn. Moran pozostawił uwagę bez komentarza.

Annie patrzyła teraz na karty, które Jake zaczął rozkładać. Podeszła do niego. Sięgnęła po bliższą kupkę. Cztery króle i dwójka.

- Chcesz zagrać?

Kobieta zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem i odwróciła jego karty. Cztery asy i ósemka. Skrzywiła usta z przyganą.

- Mówiłeś, że nie oszukujesz.

- To nie jest oszustwo, kochanie, tylko drobna

sztuczka. Trening pomaga utrzymać się w formie.

W rzeczywistości Jake wcale nie ćwiczył, tylko zabił czas. Na podstawie wagi potrafił stwierdzić, w jakim stanie jest talia i czy brakuje w niej karty. Jeśli byłaznaczona, od razu to wyczuwał. Nie potrzebował żadnych podajników ukrytych w rękawach ani innych wynalazków, z jakich korzystali szulerzy. Polegał na instynkcie. Znał się również na przeciwnikach. Od razu wiedział, kto blefuje, a kto naprawdę ma dobre karty.

- Dokonasz tej sztuki na moich oczach? - zapytała Annie tonem wyzwania.

- Spróbuję.

Mężczyzna z wprawą potasował talię i dał jej do przełożenia.

- Co sobie życzysz?

- Sekwens. Od asa.

Gdy Jake rozdał karty, Annie skwapliwie sięgnęła po swoje. Chwilę później rzuciła je na ziemię z triumfalnym uśmiechem. Miała trójkę pik oraz dziesiątkę, waleta, damę i króla kier.

- Ha! Pomyliłeś się. Gdzie mój as?

Moran uniósł brew.

- Chcesz zatrzymać trójkę? Większość ludzi by ją wyrzuciła.

Kobieta zerknęła na resztę talii. W jej oczach błysnęło najpierw zaskoczenie, a potem niedowierzanie. Z wahaniami odwróciła pierwszą od góry. Zobaczyła asa kier. Uśmiechnęła się z podziwem.

- Dlatego grasz? Bo jesteś w tym dobry?

- Chyba tak. - Jake zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. - Po prawdzie niewiele rzeczy potrafię robić dobrze. Umiem grać w karty, zabijać i pić. Same grzeszne zajęcia, ale najbardziej odpowiada mi pierwsze z nich.

- Podoba ci się takie życie?

- Owszem.

Lubił napięcie, niepewność, ryzyko. Lubił zadymione bary, hałaśliwe górnicze osady, atmosferę domów publicznych. Przed wojną wykonywał swój zawód na eleganckich statkach kursujących po Missisipi. Po wojnie grywał przy stukocie kół pociągów parowych, którymi jeździł po całym kraju. Zachód czy wschód, miejsce nie miało dla niego znaczenia.

- Nie chcesz się ustatkować - stwierdziła Annie po chwili.

Jake uśmiechnął się.

- Tak myślisz?

Nie zaprzeczył, nie oznaczało to jednak, że ma dość kobiet. Dalej je uwielbiał. Bez nich świat byłby bezgranicznie smutny. Kochał ich miękką skórę, łagodny dotyk, srebrzysty śmiech, kokieteryjne spojrzenia, uwodzicielski chód. Najbardziej jednak lubił kobiety, które znały reguły gry. Doświadczone, zmysłowe i wyrafinowane. Chętniej zadowalały się nowymi sukniami i brylantowymi świecidełkami niż obietnicami nieśmiertelnej miłości i wiecznego oddania. Takich przyrzeczeń nigdy zresztą nie składał i wątpił, czy kiedykolwiek złoży.

Wszystko sprowadzało się do wymiany handlowej. Jeszcze nie spotkał kobiety, dla której byłby gotów wyrzec się wolności w zamian za wątpliwą nagrodę w postaci domowego szczęścia. Małżeństwo uważał za rzecz przeciwną naturze, jak tańczącego niedźwiedzia w spódniczce i szpiczastym kapelusiku.

- Więc kim według ciebie jestem? - zapytał.

Annie przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

- Włóczęgą. Dandysem o gładkim języku. Wykorzystujesz swój urok jak nieuczciwy szeryf odznakę. Strze-

lasz palcami i dostajesz whisky, kobiety, pieniądze. Dla ciebie wszystko jest grą.

Jake uniósł brew.

- Dlaczego w twoich ustach te słowa brzmią jak zniewaga?

- Stwierdziłam jedynie fakt. Ludzie są różni - powiedziała z westchnieniem. - Ja nie jestem typem hazardzistki. Założyłam się tylko raz, z tym skunksem J. D. Thomasem.

- Kto to jest J. D. Thomas?

- Dawny właściciel hotelu Palace.

- Co się stało?

Annie wzruszyła ramionami.

- Pewnego dnia pojechałam do miasta na zakupy i Thomas mnie rozpoznał. Zaczął się głośno przechwalać, że jeszcze nie urodziła się kobieta, która pokonałaby go w strzelaniu. Powiedział, że baby nadają się tylko do jednej rzeczy i nie jest nią strzelanie. - Annie skrzywiła się z pogardą. - Na pewno znasz takich facetów. Wielki, hałaśliwy, o ptasim mózdzku i paskudnej gębie. *Mas feo que el pecado.*

Brzydszy niż grzech. Jake pokiwał głową.

- Normalnie nie zwróciłabym uwagi na zaczepki, ale J. D. Thomas wyjątkowo mnie rozzłościł. W sklepie były inne kobiety, nie takie jak ja, ale prawdziwe damy. Im również nie spodobało się jego gadanie. Mężczyźni bali się interweniować, więc uznałam, że sama muszę utrzyć facetowi nosa. Powiedziałam mu, że albo się zamknie, albo pokaże wszystkim, co umie.

- I co?

- Zrobił się jeszcze pewniejszy siebie. Rzucił mi wyzwanie. Wygrywa ten, kto pierwszy strąci z murku pięć puszek. Postawił akt własności hotelu Palace przeciwko mojemu siodłu, rewolwerom i Dulcie.

- Domyślałam się, że **nie** miałaś żadnych kłopotów. Annie prychnęła z lekceważeniem.

- Jedyna rzecz, w **której był** dobry ten facet, to mienie ozorem.

Jake przyjrzał się jej uważnie.

- Więc w taki sposób Dzika Annie została dumną właścicielką Pałace?

- Mniej więcej. J. D. Thomas wpadł we wściekłość. Twierdził, że go oszukałam i ukradłam mu hotel. Na szczęście miałam wielu świadków, więc nikt mu nie uwierzył. Tak jak przewidziałam, Thomas ruszył za mną i w nocy próbował odebrać mi dokument. Udawałam, że śpię. Gdy się zbliżył, przestrzeliłam mu portki. Zmykał z podwiniętym ogonem.

Kilka rzeczy uderzyło Morana w tej opowieści. Po pierwsze, odwaga, z jaką Annie dwukrotnie stawiała czoło agresywnemu osiłkowi. Po drugie, fakt, że nieokrzesany J. D. Thomas był właścicielem Palace. Wszystko wskazywało na to, że powinien raczej prowadzić nędzną spelunkę, a nie elegancki hotel. I wreszcie Jake musiał niechętnie przyznać, że poruszył go rzeczowy ton i łatwość, z jaką Annie wyłączyła się z kategorii „prawdziwych dam”, mimo oczywistych i szczerych aspiracji do tego miana.

Przed wszystkim jednak historia pobudziła jego ciekawość. Umiejętności strzeleckie Dzikiej Annie otaczała legenda. Czy naprawdę miała tak celne oko, jak twierdzili ludzie?

- Słyszałem, że z czterdziestu kroków potrafisz strącić szyszkę z gałęzi, stojąc tyłem i trzymając strzelbę przewieszoną przez ramię.

Annie wzruszyła ramionami.

- To nic wielkiego.

- Możesz mi pokazać?

- Nie ćwiczyłam od wieków.
- Rozumiem. Więc nie potrafisz tego zrobić.

Kobieta natychmiast podjęła wyzwanie.

- Co chcesz stracić, gogusiu?

Jake uśmiechnął się.

- Przegrywający gotuje dzisiaj i sprząta po kolacji.
- Potrzebuję broni i cynowego talerza.

Jake podał jej swoją strzelbę, trochę za ciężką dla kobiety. Annie zważyła ją w rękach i oddała kilka próbnych strzałów w krzaki.

Zadowolona, rozejrzała się po okolicy i wskazała na stary dąb. Drzewo płonęło jesiennym listowiem z wyjątkiem jednej nagiej gałęzi. Na jej końcu wisiała kiść żołądzi. Annie przyjrzała się im dokładnie, a następnie odmierzyła czterdzieści kroków od drzewa. Przewiesiła strzelbę przez ramię, lewą ręką uniosła cynowy talerz.

Jake obserwował ją sceptycznie. Uważał się za dobrego strzelca, ale nawet dla najlepszego wyczyn byłby niezwykły. Kobieta wzięła głęboki oddech i nacisnęła spust.

Kiść żołądzi spadła z drzewa.

Jake potrząsnął głową.

- Nieźle.

- To jedna ze sztuczek, jakie pokazał mi Diego. - Annie wzruszyła niedbale ramionami i odłożyła broń. - Uczył mnie również mówić po hiszpańsku, ale nie miałam do tego smykałki. W każdym razie nie taką jak do strzelania.

Moran domyślił się, że chodzi o Diego Martineza, jednego z członków szajki Mundy'ego. Nim jednak zdążył spytać o bandę, Annie spojrzała na płytka dolinę rozciągającą się u stóp wzgórza.

- Głupio zrobiliśmy, ściągając na siebie uwagę - powiedziała. - Sądysz, że on nadal tam jest?

Jake ukrył zaskoczenie. Nie miał pojęcia, że Annie wie o tropiącym ich człowieku. Po raz pierwszy zauważył go niedługo po strzelaninie z koniokradami. Z początku myślał, że ruszył za nimi któryś z bandytów. Opatrzywszy Annie, próbował zająć go od tyłu, pokonując kilka wyschłych strumieni. Prześladowca najwyraźniej go dostrzegł, bo Jake trafił tylko na ciepły popiół ogniska. Kolejne podchody również spełzły na niczym. Obcy za każdym razem znikał w ostatniej chwili.

Moran powiódł wzrokiem po okolicy, ale deszcz ograniczał widoczność. Wszystko zlewało się w jedno w gęstej, szarej mgle.

- Może pojechał w inną stronę - rzucił niedbałym tonem.

Po wargach Annie przemknął ironiczny uśmiech.

- Wierzysz w to?

- Nie, ale myślałem, że ty uwierzysz.

Kobieta prychnęła z pogardą, wpatrując się w dal.

- O co mu chodzi, jak sądzisz? - zapytała po chwili.

- O ciebie.

Annie popatrzyła na niego wyraźnie zdumiona.

- Czemu tak uważasz?

Jake obojętnie wzruszył ramionami.

- Gdyby to był jeden z tych *hombres*, co ukradli nam konie i ekwipunek, już dawno wykonałby jakiś ruch. A on tylko nas śledzi i trzyma się dostatecznie daleko, bym nie mógł go podejść, choć na tyle blisko, żebyśmy wiedzieli o jego obecności.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że pozwoliby ci zbliżyć się do siebie. Oczywiście, gdybyś chciała.

Annie ściągnęła brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Myślę, że to twój przyjaciel.
- Nie mam żadnych przyjaciół.
- Tak? A jak nazywasz chłopaków z bandy Mundy'ego?

Kobieta zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Nieboszczykami.

Jake tylko pokiwał głową. Czul się dziwnie rozczarowany. Do tej pory podziwiał uczciwość i szczerłość panny Foster. Teraz jednak miał pewność, że kobieta kłamie. Od miesiący tropił szajkę Mundy'ego. Gdyby zginęli, pierwszy usłyszałyby nowinę. Najwyraźniej Dzika Annie ich chronić. W innych okolicznościach jej lojalność byłaby godna pochwały, ale nie teraz, kiedy chodziło o jego głowę.

Sięgnął do kieszeni po tytoń i bibułki. Skręcił papierosa i zaciągnął się głęboko. Ciepły dym wypełnił mu płuca.

Annie obserwowała go w milczeniu.

- Może to ciebie śledzi - powiedziała wolno. - Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś poszukiwany?

Moran uniósł brew.

- Czy szeryf Cayne wysłałby cię w drogę z przestępcą?

Argument najwyraźniej trafił kobiecie do przekonania, choć w jej oczach nadał czaiła się nieufność.

Jake z początku rzeczywiście brał pod uwagę możliwość, że tropiącemu chodzi o niego. Minęły trzy miesiące, odkąd w ciemnej uliczce Gunpowder Falls zabito Harlana Beckera. Szeryf miał dość czasu, żeby wydrukować i rozesłać plakaty z podobizną Morana. Łowca głów dawno mógł ruszyć na szlak, tyle że z pewnością przystąpiłby już do działania. Poza tym nie śledziłby go tak otwarcie. Po co bez potrzeby wyrzekać się możliwości zaskoczenia?

- A może to jakiś głupiec, który myśli, że doprowadzę go do pieniędzy z napadu na dylizans? - podsunęła Annie.

- Niewykluczone - zgodził się Jake, trochę zaskoczony jej bezpośredniością. - Wiesz, gdzie są pieniądze?

- Tylko się domyślam. Chłopcy mieli kilka ulubionych miejsc, gdzie ukrywali łup, póki sprawa nie przycichnie.

- Warto by poszukać tych dwudziestu pięciu tysięcy. Annie spojrzała mu prosto w oczy.

- Są splamione krwią. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Nie zmienię przeszłości, ale zamierzam ją pogrzebać raz na zawsze.

- Miło mi to słyszeć - odparł Jake dyplomatycznie.

Jeśli Dzika Annie sądziła, że ucieknie przed dawnym życiem, bardzo się myliła. Ktoś ją śledził i starał się nawiązać kontakt. Jake poczuł gorzką satysfakcję. Od paru miesięcy ścigał szajkę Mundy'ego, a teraz role się odwróciły. Jeszcze kilka tygodni albo nawet dni i stanie twarzą w twarz z bandytami. Pokażą się wcześniej czy później, a on będzie gotowy na ich powitanie.

- Wyruszamy jutro. Może w końcu dowiemy się, kto za nami jedzie.

Annie spojrzała ku horyzontowi. Między jej brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

- Nie postawiłabym na to ani centa, Moran.

Jake ostatni raz zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek.

- Ja też nie, kochanie - odpowiedział cicho, niemal do siebie. - Ja też nie.

8

Two River Flats zmieniło się tak bardzo, że Annie prawie go nie poznała. Powstało jako osada górnicza, złożona jedynie z namiotów i prymitywnych chat z cegły suszonej na słońcu. W błocie leżącym na ulicach mógłby utopić się człowiek razem z koniem. Gdy wydobyto już całe złoto, doprowadzono kolej i miasteczko rozwinęło się w spory, tętniący życiem ośrodek handlowy. Main Street, główna ulica, szczyliła się teraz rzędem imponujących budynków, między innymi bankiem, urzędem telegraficznym, hotelem i biurem nieruchomości. Annie dostrzegła również szkołę, kościół, parę sklepów z tekstyliami, stajnię, dom modlitw, kuźnię i oczywiście wszechobecne bary.

Tymczasem mżawka przeszła w zacinający deszcz ze śniegiem. Lodowata woda spływała Annie za kołnierz i przyprawiała o dreszcze. Zdecydowanie nie była to noc na obozowanie pod gołym niebem.

Z barów, więzienia i hotelu wylewał się na ulicę ciepły blask lamp naftowych. Inne domy w mieście były pozamykane i ciemne. Podróżni zatrzymali się przed hotelem. Jake wyciągnął do Annie rękę, lecz ona jak zwykle odrzuciła ofertę pomocy. Zsunęła się z siodła i przywiązała Dulcie do słupka. Bok nadal ją pobolevał, ale skoro miała dość siły, żeby jechać przez cały dzień, mogła sama zsiąść z konia. Poza tym nie chciała, żeby mężczyzna ją dotykał. Już i tak za mocno na nią działał. Lepiej unikać pokus.

Jake nie wyglądał na obrażonego. Nie zważając na jej

zły humor, zarzucił sobie juki na ramię i pomaszerował do hotelu, wesoło pogwizdując „Camptown Ladies”. Kurtuazyjnym gestem otworzył kobiecie drzwi.

Wnętrze okazało się równie surowe jak fasada: gołe ściany, podłoga z szerokich, nierównych desek, żadnych dywanów ani obrazów. W holu stały zwykłe drewniane krzesła, pękaty żelazny piec i duży stół, który służył jako recepcja.

W środku było prawie tak samo zimno jak na zewnątrz. Wokół pieca rozsiadło się pięciu górników, grzejąc w skąnym ciepłe. Dwaj spojrzeli w kierunku nowo przybyłych. Najwyraźniej nie uznali ich za groźnych ani interesujących, bo zaraz odwrócili wzrok.

Moran potrząsnął małym dzwonkiem, który stał obok kasy. Gdy nikt się nie zjawił, zadzwonił głośniejsze.

- Tracisz czas - odezwał się gburowaty głos. - Sam poszedł do szeryfa Pogue'a, żeby złożyć skargę. Jakiś gość wymknął się z miasta, nie płacąc rachunku.

Jake skinął mężczyźnie głową.

- Dzięki za informację. Wiadomo, kiedy wróci?

- Wróci, kiedy wróci.

- Czy szeryfem jest Walter Pogue?

- Tak się nazywa - odburknął górnik.

- Niech mnie diabli - mruknął Jake pod nosem.

Annie zdusiła niecierpliwe westchnienie. Z trudem powstrzymywała szczęknięcie zębami.

Jake chyba czytał w jej myślach. Wskazał na piec.

- Może się ogrzejemy?

Górnicy, którzy wcześniej zajęli najlepsze miejsca, nawet na nich nie spojrzeli, tylko bardziej się skupili. Nie zbity z tropu Moran powiedział uprzejmie:

- Z pewnością nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żeby podzielić się z nami ciepłem.

Jego prośbę skwitowano wrogim milczeniem.

- Nie zawracaj sobie głowy, Moran - powiedziała Annie, szykując się na długie czekanie w zimnie.

Jake wzruszył ramionami. Twarz miał całkiem spokojną.

- Może poproszę jeszcze raz.

Nim kobieta odgadła jego zamiary, sięgnął do pasa, wziął garść naboju i cisnął je nad głowami mężczyzn w płomienie.

Rozpętało się piekło. Kule zaczęły eksplodować z hukiem i rykoszetować o wewnętrzne ściany żelaznego pieca, hałasując jak rój rozwścieczonych szerszeni. Posypały się iskry. Zaskoczeni górnicy zerwali się z miejsc i uciekli w popłochu, szukając bezpiecznego schronienia.

Gdy wreszcie zapadła cisza, przy piecu stało pięć pustych krzeseł, a pięciu oszołomionych i zawstydzonych mężczyzn leżało na podłodze, łypiąc ze złością na intruzów. Po chwili wolno zaczęli się gramolić. Jake powiódł po nich zadowolonym wzrokiem.

- Następnym razem, kiedy do pokoju wchodzi dama, ustępujcie jej miejsca - pouczył cierpliwie tonem nauczyciela przemawiającego do wyjątkowo tępych uczniów.

Annie poczerwieniała na twarzy, kiedy skierowały się na nią wszystkie oczy. Górnicy z niedowierzaniem przesunęli spojrzeniami po mokrym filcowym kapeluszu, obszernej flanelowej koszuli, drelichach, ciężkich buciorach.

- Do diabła, skąd mieliśmy wiedzieć, że to dziewczyna? - odezwał się któryś.

Moran wzruszył ramionami.

- To twój problem, przyjacielu, a nie mój. - Wyjął z kieszeni srebrną monetę i cisnął w ich stronę. - Jeśli chcecie się ogrzać, idźcie do baru. Pierwsza kolejka na mój koszt.

Mężczyźni skwapliwie skorzystali z propozycji.

Wyraźnie zadowolony Jake odwrócił się do Annie. Zamaszystym gestem zdjął kapelusz i podsunął jej krzesło.

- Proszę, kochanie. Niech nikt nie ośmieli się twierdzić, że na Zachodzie nie ma już dżentelmenów.

Annie spojrzała na niego z zakłopotaniem i podejrzliwością. Moran wyglądał na całkowicie poważnego. Zachowywał się z taką samą kurtuazją jak mężczyźni wobec kobiet w eleganckich herbaciarniach. Wprawdzie musiał przegnać nieokrzesanych górników, żeby mogła usiąść, ale ten drobiazg nie umniejszył jej satysfakcji, że jest traktowana jak dama. Poczowała dziwne ściskanie w żołądku.

„Prawdziwa dama nigdy nie ogląda się za siebie, tylko wyczuwa krzesło tylną częścią kolan i delikatnie siada”. W chwili gdy miała zastosować się do wyuczonej na pamięć rady pana Winstona, łypnęła przez ramię na Morana.

- Nie odsuniesz krzesła w ostatniej chwili?

W oczach mężczyzny pojawił się błysk rozbawienia. Usta wykrzywił uśmieszek.

- Masz słowo dżentelmena.

- Hmm.

Nie do końca przekonana Annie doszła do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak zaufać Moranowi.

Gdy usiadła, Jake przyciągnął sobie krzesło i oparł nogi na drugim. Annie poszła za jego przykładem, sadząc się wygodnie. Kot wskoczył jej na kolana i zwinął się w ciasny kłębek. Piec wprawdzie nie buchał gorącem, ale wkrótce przestały nimi wstrząsać dreszcze. Przez dłuższą chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu, rozkoszując się ciepłem.

- Znasz tutejszego szeryfa? - zapytała wreszcie Annie.

- Tak, jeśli to ten sam Walter Pogue, o którym myślę.

- Wsadził cię do więzienia za oszukiwanie w grze?
Jake nie obraził się, tylko uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Razem walczyliśmy na wojnie.

- Północ czy Południe?

- Południe.

- Dlaczego?

- Urodziłem się w Luizjanie - odparł krótko.

W pewnym sensie taka odpowiedź rzeczywiście wystarczyła. Annie wiedziała o wojnie domowej tyle, co przeczytała w gazetach wydawanych w Denver City. Walki toczyły się w miejscach o nazwach tak osobliwych jak Chattanooga, Chickamauga czy Chancellorville. Rozpisywano się również o bitwach w Gettysburgu, Wilderness i Antietam, a liczba ofiar była tak ogromna, że nie mieściła się w głowie. Setki tysięcy mężczyzn uzbrojonych w bagnety, karabiny i działa atakowały się zaciekle. Jednego dnia ginęły dziesiątki tysięcy ludzi. Rzeki całymi tygodniami spływały krwią.

Annie zadrżała, próbując sobie wyobrazić Jake'a pośród tej rzezi. Nie widziała go jako żołnierza w oliwkowym mundurze, słuchającego rozkazów pod gradem kul. Obraz nie pasował do Morana, którego znała albo wydawało się jej, że zna.

- Jak sobie radziłeś?

Mężczyzna uniósł brew.

- Przegraliśmy.

- Na pewno nikt cię za to nie wini - pocieszyła go Annie pod wpływem impulsu.

Jake w pierwszej chwili zdziwił się, a potem uśmiechnął szeroko.

- W każdym razie nie za całą wojnę.

- Więc jak było?

- Na wojnie? - Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.
- Jak w piekle. Pchły, błoto, krew, dyzenteria. Pałacy żar latem, trzaskający mróz zimą. Długie miesiące nudy, przerywane od czasu do czasu panicznym strachem i okropieństwami. A żarcie najgorsze, jakie jadłem w życiu. I zawsze za mało.

- Gdzie walczyłeś?

- W Wirginii i w Karolinie. Byłem w kawalerii. Parę lat spędziłem w siodle.

- Dlaczego każdy południowiec, którego spotykam, twierdzi, że był w kawalerii?

- Bo byliśmy najlepsi, skarbie - odparł mężczyzna z dumą. - Najlepsi.

Annie popatrzyła na niego w zamyśleniu. Uświadomiła sobie, jak mało wie o Jake'u Moranie oprócz tego, że jest pokerzystą, dobrze posługuje się bronią i za dużo pije. Stwierdziła, że chce poznać go lepiej..

- Jakie było Południe przed wojną? - zapytała.

- Bogate i piękne, pospolite i brzydkie.

- Czyli w końcu jakie?

- Właśnie takie. - Jake potrząsnął głową i westchnął.

- Południe było niczym kusicielka. Pełne fałszywych obietnic. Jak piękna kobieta, z której mężczyzna w pośpiechu zdiera wspaniałą satynową suknię i raptem widzi, że jej ciało jest brudne i posiniaczone.

- Masz na myśli niewolnictwo?

- Tak. Powinno być zniesione wiele lat temu.

- Ale walczyłeś po stronie Południa. Nie rozumiem.

- Czytałaś konstytucję, skarbie? Ludzie, którzy ją napisali, oddali władzę stanom, żeby mogły same się rządzić i decydować o sobie. Południowcy niczym nie różnią się od Jankesów czy mieszkańców Zachodu. Gdyby dano im czas, sami znieśliby niewolnictwo.

Najważniejsze to pozwolić każdemu stanowi dojrzeć do takiej decyzji.

Annie nie do końca zgadzała się z rozumowaniem Morana.

- Myślę, że powinniśmy trzymać się razem. Stan nie może występować z Unii tylko dlatego, że nie podoba mu się to, co każą robić inni członkowie.

Jake pokiwał głową.

- Prawa stanowe a zachowanie Unii. Właśnie ta drobna kwestia była powodem wojny. - Dotknął palcami brzegu kapelusza. - Gratulacje, kochanie, wygraliście.

W jego tonie zabrzmiała gorycz i rezygnacja, których Annie nigdy wcześniej nie słyszała. Miała ochotę zadać więcej pytań, ale w tym momencie otworzyły się drzwi frontowe i do środka wszedł przysadzisty mężczyzna o wojowniczej minie. Za nim szła wysoka kobieta, ubrana na czarno. Miała zaciętą, ponurą twarz, jakby życie nie spełniało jej słusznych wymagań. Na widok nowych gości oboje zatrzymali się pośrodku holu. Właściciel zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów i westchnął ze znużeniem, a jego żona zacisnęła usta z dezaprobatą.

- Pewnie szukacie pokoju - stwierdził mężczyzna takim tonem, jakby właśnie usłyszał tragiczną wieść.

Annie nie dziwiła się ich reakcji. W mokrych i zabłoconych ubraniach ona i jej towarzysz wyglądali jak bepańskie kundle.

Moran wstał.

- Dwóch pokoi.

Właściciel musiał odchylić głowę do tyłu, żeby na niego spojrzeć. Jake potrafił budzić w ludziach respekt.

- Na tydzień czy na jedną noc?

- Na jedną noc.

- Osiemdziesiąt centów za pokój i dwadzieścia dodatkowo za kąpiel, płatne z góry.

- Dobrze. Dwa pokoje i kąpiel dla obojga. Gorąca woda?

- Za gorącą jeszcze dwa centy od wiadra. Ile wiader?

- Żadnego - wtrąciła Annie pospiesznie.

- Po pięć dla każdego z nas - zdecydował Jake.

O dziwo, właściciel dał im ręczniki i mydło, nie wspominając nawet o cenie. Jego żona zmierzyła Annie wzrokiem od stóp do głów i szepnęła mu coś do ucha. Mężczyzna łypnął na Kota spode łba.

- Chyba nie zamierzacie wziąć tego parszywego zwierzaka na górę? Prowadzimy porządny hotel i nie chcemy...

- Kot zostaje - przerwał mu Jake stanowczo i zarzucił sobie torby na plecy. - Wezwijcie kogoś ze stajni. Niech rozsiodła, wyczyści i nakarmi nasze konie. - Położył na ladzie pięciodolarowy banknot. - To powinno wystarczyć.

Annie otworzyła usta, ale Sam błyskawicznie schował pieniądze do kieszeni, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Cisnął na stół dwa klucze.

- Wasze pokoje są na piętrze, po lewej stronie.

Jake uchylił kapelusza.

- Miło robić z tobą interesy, Sam.

Idąc na górę, Annie zastanawiała się, czy Moran rzeczywiście potrafi radzić sobie w każdej sytuacji. Emanował pewnością siebie, zdecydowaniem i władczością, które razem z imponującą posturą i parą rewolwerów u pasa niewątpliwie działały na jego korzyść. Ani razu nie stracił zimnej krwi, czy to w obliczu groźnych bandytów, przeciwnika oszukującego przy karcianym stoliku czy też gburowatego właściciela hotelu.

W pokoju znajdowały się tylko podstawowe sprzęty:

wąskie łóżko, miska z dzbanem, komoda z szufladami i lustrem. W oknie wisały muślinowe zasłony. Kopająca naftowa lampa dawała niewiele światła. Annie opadła na łóżko i stwierdziła, że materac jest nierówny. Czując zapach pleśni, skrzywiła nos i przyjrzała się ścianom. Jediną ozdobę stanowił tani obrazek Jezusa o bardzo smutnym spojrzeniu.

Przez ścianę słyszała krzątanie Jake'a. Odgłos kroków na drewnianej podłodze. Cichy dźwięk... kurtki rzuconej na oparcie krzesła? Stuk czegoś cięższego. Rewolwerów? Po chwili jęknęły sprężyny łóżka. Mężczyzna prawdopodobnie się rozbierał. Annie wyobraziła sobie, jak zdejmuje buty, koszulę, spodnie...

Zerwała się na równe nogi. Kot, bezceremonialnie strącony na ziemię, miauknął z urazą. Zawstydzona własnymi myślami kobieta doszła do wniosku, że ściany są stanowczo za cienkie. Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, brać do ręki różne przedmioty i bezmyślnie je odkładać.

Po kilku minutach usłyszała pukanie do sąsiednich drzwi i szczęk wiader, a potem plusk wody wlewanej do balii i polecenia wydawane władczyim głosem.

Gdy rozległo się głośne stukanie, Annie popędziła do drzwi. Właściciel hotelu i młody pomocnik wnieśli kilka wiader gorącej wody, napełnili balię i wyszli. Chwilę później Sam wrócił z glinianą miską.

- Gdzie postawić? - zapytał burkliwie.

- Zależy, co to jest.

- Śmietanka. Gość z sąsiedniego pokoju kazał mi ją przynieść dla zwierzaka.

Annie powstrzymała się od uśmiechu i wskazała na kąt pokoju.

- Może być tam.

Mężczyzna postawił miskę we wskazanym miejscu

i opuścił pokój. Wzruszona troskliwością Jake'a Annie przez chwilę obserwowała Kota ze smakiem chłepczącego śmietankę. Potem ochoczo ruszyła do parującej balii. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz brała porządną kąpiel. Rozebrała się błyskawicznie i zanurzyła w ciepłej wodzie, wzdychając z rozkoszy.

Gdy odchyliła głowę i zamknęła oczy, usłyszała plusk dobiegający z sąsiedniego pokoju. W jej wyobraźni natychmiast pojawił się obraz nagiego Jake'a. Przez ścianę niosły się wesołe dźwięki „Camptown Ladies”. Annie z zaskoczeniem stwierdziła, że Moran ma bardzo dobry głos. Podziałał na nią kojąco. Jej myśli znowu zaczęły błądzić.

Mężczyźnie musiało być trochę za ciasno w balii. Może wystawił kolana i ramiona z wody albo usiadł prosto zamiast się kłaść. Był namydlony i śliski? A może już się spłukał? Ciekawe, czy całą skórę miał brązową od słońca...

Annie skarciła się w duchu i schowała głowę pod wodę. Przez lata opatrywała chłopaków i widziała ich w różnym stopniu nagości, ale nigdy nie pobudzali jej zmysłów tak jak Jake Moran. Pod wzrokiem Snakeski na Garveya przebiegał jej po plecach zimny dreszcz. Gdy patrzył na nią Jake, czuła w środku ciepło i ściskanie. Dziwne, ale nie miała nic przeciwko temu.

Próbując oderwać się od zdrożnych myśli, wychłapała trochę wody z balii i patrzyła, jak Kot ściga bąbelki po podłodze. Raptem stworzenie pośliznęło się i z hukiem wpadło na ścianę.

Śpiew ucichł.

- Wszystko w porządku?

Annie odruchowo zanurzyła się po brodę, choć Jake nie mógł jej zobaczyć. Sama świadomość, że rozmawia z kompletnie nagim mężczyzną, przyprawiała ją o niepokój.

- Tak - odkrzyknęła.
- Co się stało?
- Nic. Kot wpadł na ścianę.
- Jesteś w balii?
- Nie twój cholerny interes.

Dobiegł ją głęboki śmiech, a po nim plusk wody. Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, potem ostrożnie wyszła z balii, uważając, żeby nie pośliznąć się na mokrej podłodze. Wyjęła z juków czyste ubranie, żałując, że nie ma czasu wyprać stroju, który kupił jej Moran. Na razie założyła stare drelichy i flanelową koszulę. Przeczesła palcami wilgotne włosy, zwinęła je w węzeł i upchnęła pod stary filcowy kapelusz. Na koniec przypięła pas i wzięła buty.

Uważnie obejrzała się w lustrze. Odbicie utwierdziło ją w podejrzeniach. Przez ostatnich kilka lat nie zwracała uwagi na wygląd i teraz widać było skutki. Nic dziwnego, że górnicy nie dostrzegli w niej kobiety. Wyglądała równie ponętnie jak kwoka o zmokłych piórach. Cóż, w tej chwili nic na to nie poradzę, stwierdziła.

Kilka minut później rozległo się pukanie. Annie otworzyła drzwi. W progu stał Jake w czarnym, świetnie skrojonym garniturze, wykrochmalonej białej koszuli i lśniących butach. Włosy miał mokre po kąpieli. Był jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Pachniał mydłem i tonikiem po goleniu.

Annie tym boleśniej zdała sobie sprawę z własnego wyglądu. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Na wszelki wypadek przybrała bojową postawę.

- W samą porę. Omal nie umarłam z głodu.
- Jake uśmiechnął się szeroko.
- Czy to znaczy, że jesteś gotowa?
- A nie wyglądam na gotową?

Moran przezornie powstrzymał się od komentarza na temat jej stroju.

- Ależ tak, kochanie.

W jedynej czynnej o tej porze restauracji przy barze jedzenie było proste, ale gorące i świeże, a porcje ogromne. Oboje zamówili stek, górę frytek i cebuli, gotowany zielony groszek, chrupiące placki kukurydziane i gorącą kawę. Na koniec Jake zjadł jeszcze gruby kawałek szarlotki. Choć ciastko wyglądało smakowicie, Annie z żalem zrezygnowała z deseru.

Po kolacji nie mieli ochoty wracać do hotelu. 2 baru płynęły głośne rozmowy, śmiech i dźwięki rozstrojonego pianina.

Kelnerka podeszła do nich z dzbankiem kawy. Miała ładną, ale pospolitą twarz, na ustach grubą warstwę czerwonej szminki, na policzkach róż i dużo pudru. Uśmiechnęła się kokieteryjnie do mężczyzny i nachyliła nad stołem. Piersi wylewały się z dużego dekoltu. Ignorując całkowicie obecność Annie, kobieta wyprostowała się i rzuciła Moranowi zapraszające spojrzenie.

- Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

- Whisky.

- Tylko?

Jake uśmiechnął się grzecznie, choć chłodno, jak zauważyła Annie.

- Wszystko tu wygląda bardzo apetycznie, skarbie, ale chyba więcej nie dam rady.

Kelnerka odęła usta.

- Jak pan się namyśli, proszę dać mi znak.

Patrząc za nią, Annie nie mogła przewyciężyć uczucia zazdrości. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie umiała zachowywać się wobec mężczyzn równie swobodnie jak niektóre kobiety. Ta świadomość dopiero teraz za-

częła jej doskwierać niczym opuncja wsunięta pod przescieradło.

- Podoba ci się, prawda, Moran?

Przez twarz Jake'a przemknął wyraz zaskoczenia i rozbawienia.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Każdy facet poleci na dziewczynę, która zachowuje się jak klacz na łące tuż po wiosennym deszczu.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

- Może jestem trochę bardziej wybredny.

Umilkli, kiedy wróciła kelnerka z zamówionym trunkiem. Jake podziękował jej skinieniem głowy. Nie spuszczać wzroku z Annie, napił się whisky. Gdy kobieta odeszła od stolika, zapytał:

- Byłabyś zła, gdyby mi się podobała?

Annie poczuła się nagle jak na skraju przepaści. Jedno niewłaściwe słowo, a runie w dół. Wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno.

Jake przesunął po niej wzrokiem.

- Rozumiem. A co z tobą, skarbie? Czy mężczyźni padają z wrażenia na twój widok?

Annie, która do tej pory cieszyła się lekką pogawędką, raptem straciła humor. Zraniona pytaniem, opuściła wzrok.

- Nie musiałeś być taki przykry.

- Mówiłem szczerze.

Kobieta wolno uniosła oczy. Chciała mu wierzyć, ale nie mogła ignorować gorzkiej prawdy.

- W moim pokoju jest lustro. Wyglądam jak nieszczęście.

- Jesteś piękną kobietą, Annie. Dziwię się, że nikt ci tego wcześniej nie powiedział.

- Moja matka była piękna. Nie jestem do niej podobna.

- Opowiedz mi o niej?

Ucieszona zmianą tematu Annie zastanawiała się przez chwilę, sięgając do odległych wspomnień.

- Była wspaniała i dobrze wychowana. Wciąż powtarzała Catherine i mnie, żebyśmy zwracały uwagę na maniere i zachowywały się jak małe damy. Miała łagodny głos i jeszcze łagodniej się śmiała. Nosiła wytworne, szeluszczące suknie we wszystkich kolorach tęczy, a kiedy szła przez pokój, wydawało się, że płynie.

- Co się z nią stało? Gdzie jest teraz twoja rodzina?

- Straciłam wszystkich, kiedy miałam sześć lat. Mój ojciec był profesorem w Filadelfii. Tamtej wiosny wyruszyliśmy na zachód, żeby mógł zrobić pewne badania. Przeprowadziliśmy się akurat przez rzekę, kiedy uderzyła fala powodziowa. Nasz wóz się przewrócił. Usłyszałam krzyk mamy, poczułam, że woda zalewa mi twarz. Następna rzecz, jaką pamiętam, to to że jechałam armijnym wozem. Żołnierze zawieźli mnie do fortu, skąd zabrali mnie ludzie, którzy tamtędy przejeżdżali.

- Reszta twojej rodziny zginęła w wypadku?

-Tak.

Annie żałowała, że pozostały jej tylko zatarte wspomnienia oraz stara fotografia, Biblia i poradnik dobrego wychowania, które woda wyrzuciła na brzeg. Wszystko inne przepadło na zawsze.

- A co z ludźmi, którzy cię przygarnęli? - spytał Jake.

- Doc Mundy i jego żona? To byli dobrzy ludzie. Zaopiekowali się mną, posłali do szkoły, dobrze karmili i pielęgowali w chorobie.

- Doc Mundy i jego żona - powtórzył Moran wolno.

- Więc tak poznałaś Pete'a.

Zaabsorbowana przeszłością Annie nie zwróciła uwagi na dziwną nutę w głosie mężczyzny.

- Zawsze marzyli o córeczce, a ponieważ **pani** Mundy nie mogła już mieć dzieci, wzięli mnie do siebie.

- Jak się dorastało z Pete'em?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Pod pewnymi względami Pete nigdy nie dorósł. Rodzice mówili, że jest niesforny. Czasami wstępował w niego diabeł. Nie żeby był złym człowiekiem, ale miał w sobie dzikość. Chciał, żeby wszystko przychodziło mu łatwo. Uważał, że któregoś dnia zdobędzie sławę i bogactwo. Zostanie groźnym rewolwerowcem albo kimś w tym rodzaju.

- Dlatego założył gang?

- Tak sądzę. Po śmierci Doca i jego żony Pete stał się jeszcze gorszy. Gazety zrobiły z nas bandę krwiożerczych zabójców, ale to nieprawda. Chłopaki nigdy nikogo nie zabili, wiesz? Głównie włóczyli się po barach i dużo gadali. Od czasu do czasu ukradli chorą krowę, która odłączyła się od stada, albo złoty proszek rozsypany na podłodze baru, oto ich całe wyczyny. Nieszkodliwe psoty i czece przechwałki. Przynajmniej tak było na początku. Szeryf Cayne miał rację, określając ich jako garstkę bezdomnych wyrzutków.

Jake patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Ale wszystko się zmieniło, prawda?

Annie westchnęła.

- Tak. Pete poznał w Woodbine pewną kelnerkę i ubzdurał sobie, że jest zakochany. Szalał za nią. Zachowywał się jak ślepy pies w jatce. Nigdy nie miał głowy do szczegółów, a tu raptem zaczął wymyślać plany napadów na banki i dylizanse, sposoby na zdobycie łatwych pieniędzy. Chciał udowodnić, że jest mężczyzną. Porywał się z chłopakami na coraz większe roboty. Wtedy zdecydowałam się odejść.

- Tak po prostu odeszłaś?

- Nie uciekłam, jeśli o to pytasz. Zawarłam z nimi pokój. Powiedziałam, że pakują się w kłopoty, ale nie chcieli słuchać, tak byli pewni siebie. - Zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową. - Miałam wrażenie, że dzielą jakiś sekret, coś przede mną ukrywają. Zupełnie jak uczniacy, którzy wykradli nauczycielowi kartkę z tematami na klasówkę.

- Dlaczego tak długo z nimi trzymałaś?

- Ci chłopcy, dobrzy czy źli, byli moją jedyną rodziną. Dbali o mnie, więc uważałam, że jestem im winna to samo. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym, gdzie miałam się podziąć?

Jake zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Zawsze istnieje wybór.

- Naprawdę? Nie twierdzą, że zrobiłam dobrze, zostając z chłopakami, szczególnie kiedy zaczęli krzywdzić ludzi, ale po prostu nie wiedziałam, dokąd pójść. Nie mogłam zostać nauczycielką, choć potrafię czytać i liczyć. Ludzie baliby się, że będę miała zły wpływ na ich dzieci. Do sklepu też nikt nie przyjąłby Dzikiej Annie ze strachu, że go obrabuje. Praca barowej dziewczyny mnie nie interesuje. Mężczyźni doskonale zabawiają się bez mojej pomocy. Zresztą ich nie obchodziłoby, czy ja dobrze się bawię, więc do diabła z nimi wszystkimi. Mam rację?

Przez wargi Morana przemknął ledwo dostrzegalny uśmiešek.

- Oczywiście, kochanie. Do diabła z nimi.

- Więc rozumiesz, dlaczego...

Annie urwała w pół zdania, gdy otworzyły się drzwi wahadłowe oddzielające restaurację od baru. Serce zaczęło walić jej jak młot, głos uwiązł w gardle.

Pete Mundy patrzył na nią z odległości paru kroków. Nim się poruszyła, nim zdołała wydusić z siebie choć słowo, skinął krótko głową i cofnął się w półmrok baru.

- O co chodzi, Annie?

Głos Morana brzmiał tak, jakby dochodził z oddali. Kobieta oblizła spierzchnięte wargi i otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Annie?

- Co?

Nie mogła oderwać wzroku od wahadłowych drzwi.

- Co się stało?

- On wyglądał jak ktoś, kogo znałam.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak. - Zmusiła się do uśmiechu. - Chyba za dużo zjadłam.

- Wezwać lekarza?

- Lekarza? Tylko dlatego, że się opchałam? - To nie mógł być Pete. Po prostu nie mógł. - Stary Wintson chyba miał rację. Dama powinna zawsze zostawiać trochę jedzenia na talerzu.

Jake rzucił banknot na stół i wstał.

- Chodźmy.

Mimo protestów kobiety uparł się, że odprowadzi ją do hotelu. Dopiero kiedy Annie znalazła się w swoim pokoju, pozwoliła sobie na strach. Może to tylko światło sprawiło, że mężczyzna wyglądał jak Pete. Albo rozmowa o umarłych przywołała wspomnienia, które lepiej było pogrzebać. A może zwyczajnie się pomyliła.

Niestety, fakty mówiły za siebie. Obcy miał taką samą sylwetkę jak Pete, ten sam kolor włosów, ten sam wzrost. W dodatku nosił ubranie Mundy'ego. Annie wszędzie rozpoznałaby kamizelkę z płowozółtego zamazu, ozdobioną długimi frędzlami oraz kwiatami i wi-

norosłą, które własnoręcznie wyhaftowała przy pomocy pani Mundy. Pete nigdzie się nie ruszał bez tego stroju. Podobnie jak bez kapelusza z brązowej skóry. Mężczyzna nasunął go jednak na czoło tak nisko, żeby nie rozpoznała twarzy.

Dlatego właśnie nie dowierzała teraz własnym oczom. Drugi powód był jeszcze prostszy: Pete Mundy nie żył. Sama widziała, jak umiera.

Pamiętając, że Jake słyszy każdy jej ruch, zdjęła buty i dopiero wtedy zaczęła chodzić cicho po pokoju. Myśli kłębiły się jej w głowie. Kilka godzin później odpięła pas z rewolwerami i zawiesiła go na poręczy łóżka, w zasięgu ręki. Zmęczona wyciągnęła się na łóżku i przytuliła do siebie poduszkę.

Choć była pewna, że nie zmruży oka, w końcu zasnęła. We śnie przeniosła się do wielkiej sali balowej hotelu Pałace, wystrojona w jedwabną suknię, taką samą jak te, do których miała słabość jej matka. Mężczyzna o błyszczących, niebieskoszarych oczach i zniewalającym uśmiechu poprosił ją do następnego tańca. W jego objęciach zaczęła wirować po parkiecie. Gdy ją mocniej przyciskał, ugiwały się pod nią nogi. Bez końca okrążyli salę balową, aż wreszcie Annie pomyślała, że zemdleje. Kurczowo chwyciła partnera za ramiona i... raptem znalazła się w starej chacie, przygnieciona ciężarem Garveya Wężowej Skóry.

Krzyknęła o pomoc, ale uświadomiła sobie, że Pete nie żyje. Była zdana na siebie. Próbowała wstać, ale Garvey przyszpilił ją do łóżka. Nie mogła się wyrwać i uciec.

- Jesteś mi coś winna, dziewczyno - wysapał jej do ucha. - Jesteś mi coś winna.

Annie obudziła się gwałtownie.

Otoczała ją cisza i zupełna ciemność. Łapiąc powie-

trze, nasłuchiwała przez chwilę, ale wyłowiła uchem tylko zwykłe nocne odgłosy: ciche pochrapywanie Kota, spokojny oddech Jake'a dobiegający zza ściany, pokąsywanie na dole w holu. Za długo jednak przebywała z bandą Mundy'ego, żeby lekceważyć instynkt. Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Wstała z łóżka, wyjęła rewolwer z kabury i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała. Po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna i patrzył na hotel. Najwyraźniej wyczuł jej wzrok, bo ukłonił się krótko i zniknął w bocznej uliczce.

Annie poczuła ściskanie w żołądku. Krew zastygła jej w żyłach, a przez głowę przemknęły słowa Morana. „On chce, żebyś wiedziała o jego obecności”.

Deszcz ze śniegiem przestał padać, ale dął lodowaty wiatr, skowycząc jak potępieniec. Po plecach Annie przebiegł dreszcz, jakby dotknęły ją zimne ręce śmierci.

Zwalczyła impuls, żeby pobiec i obudzić Jake'a. Co by mu powiedziała? Że duch Pete'a Mundy'ego patrzył w okno jej sypialni?

Jakiś człowiek śledził ich od wielu dni. Teraz pojawił się w przebraniu Pete'a. Annie myślała gorączkowo, kto to może być. Wzdrygnęła się gwałtownie na wspomnienie nocnego koszmaru.

Garvey Wężowa Skóra. Obwiniął ją za to, że Pete wyrzucił go z bandy. Poprzysiągł zemstę. „Mundy nie zawsze będzie pod ręką, żeby cię bronić, dziewczyno. Wtedy się zjawię. Tylko poczekaj, a zobaczysz. Jeszcze nie skończyliśmy ze sobą”.

Annie głośno przełknęła ślinę i dotknęła chłodnej lufy rewolweru. Takie zachowanie rzeczywiście pasowało do Garveya. Czaić się w ciemności, ukrywać jak tchórz, wyczekiwać na okazję do ataku.

Przybył więc, żeby wyrównać rachunki? Dobrze. Spotka się z nim, ale na własnych warunkach. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie poprosić Morana, żeby jej towarzyszył, ale doszła do wniosku, że sama zajmie się Garveyem Wężową Skórą. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi rano.

9

Annie nie zjawiła się rano na śniadaniu, więc Moran poszedł do jej pokoju. Gdy nikt nie odpowiedział na liczne pukania, nacisnął klamkę. Okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Ostrzem noża otworzył zamek, wykonany równie niedbale jak reszta hotelu.

Jednym spojrzeniem objął niewielki pokój. Annie zniknęła. Jej rzeczy leżały starannie złożone na łóżku, co oznaczało, że nie pojechała daleko.

Jake wyszedł z hotelu mocno zaniepokojony. Bez celu zaczął kręcić się po mieście. Nie wiedział dokładnie, czego szuka. Kierował się intuicją i niejasnym przeczuciem, że coś jest nie w porządku. Nie dostrzegł jednak niczego niezwykłego ani interesującego. Normalne, codzienne życie małego miasteczka.

Wozy, konie, juczne muły i powoziki rozchlapwały błoto zalegające ulice. Wszędzie biegały psy i roześmiane dzieci. W powietrzu unosił się aromat pieczonego chleba, smażonego mięsa i ciasta, które stygło na parapetach okien. Złociste jesienne słońce zalewało blaskiem świat, dodając mu barw i energii. Od San Juan wiał łagodny wietrzyk. W miasteczku wyczuwało się podniecenie.

Po Main Street przetoczył się z turkotem, skrzypieniem skóry i jękiem resorów poranny dyliżans. Siedzieli w nim czterej mężczyźni, ale wysiadł tylko jeden. Jake obrzucił go pobieżnym spojrzeniem. Mężczyzna nie miał broni, był ubrany jak bankier albo księgowy. Otrzeptał ubranie z kurzu, wziął bagaż i poszedł do hotelu. Woźnica i pomocnik zeskoczyli z kozła. Jeden ruszył do sklepu, a drugi z torbą kurierską do biura szeryfa. Cotygodniowa poczta, pomyślał Jake i skierował się ku stajni. Weed stał w narożnym boksie i z zadowoleniem żuł owies. Tak jak Moran się spodziewał, nie było śladu Dulcie.

- Mogę w czymś pomóc, proszę pana?

Jake odwrócił się i zobaczył chłopca w wieku około trzynastu lat, w spranych ogrodniczkach, z wiadrem i łopata w ręce.

- Widziałeś dzisiaj rano kobietę odjeżdżającą na siwej kłaczy z nakrapianym zadem?

Chłopak zmarszczył brwi.

- Kobietę w dziwnym stroju, z rewolwerami u pasa?

- Ujrawszy skinienie głową, powiedział: - Wyjechała o świcie.

Mężczyzna zaklął pod nosem. Dochodziła dziewiąta, co oznaczało, że Annie nie ma już od czterech godzin.

- Powiedziała, dokąd się wybiera?

Stajenny wzruszył ramionami.

- Nie. Dała mi miedziaka za osiodłanie konia i pojechała.

Moran podziękował chłopcu i wyszedł ze stajni, zastanawiając się nad następnym ruchem. Szukanie Annie nie miało sensu. Nie podobał mu się również pomysł bezcelowego włóczenia po mieście w oczekiwaniu na powrót kobiety. Rozejrzał się, zły na siebie, że nie pilnował jej lepiej. Wtem jego uwagę przyciągnęła wy-

wieszka nad biurkiem szeryfa. Zachodząc tam sporo ryzykował, *zważywszy* na poranną dostawę poczty, ale wolał niebezpieczeństwo niż bezczynność.

Otworzył drzwi i zjrzał do środka. Pokój był pusty, ciepły i czysty. Przez duże okno wpadało sporo światła. Na solidnym biurku panował wzorowy porządek. Dwie małe cele znajdujące się w głębi niedawno zamieciono, a koce wyglądały na całkiem świeże. W rogu stał żeliwny piecyk. Grzał się na nim dzbanek z kawą. Jake stwierdził, że pomieszczenie wygląda o wiele lepiej niż hotel, w którym zatrzymali się z Annie. Zauważył, że torba kurierska leży nieotwarta na biurku. Zerknąwszy najpierw przez ramię, rozwiązał paski i przejrzał zawartość. Wśród informacji o lokalnych wyborach i posiedzeniach sądu objazdowego natknął się na to, czego szukał: gruby plik listów gończych. Wyjął je z torby i przewertował szybko.

- Tego szukasz, Jake?

Moran zamarł, a potem wolno się odwrócił ku drzwiom. Walter Pogue nie zmienił się od czasu, kiedy widział go ostatnio. Oczywiście, po wojnie trochę przybrał na wadze, jak każdy żołnierz walczący po stronie Południa. Nie nosił już zniszczonego munduru konfederackiego, lecz typowy strój mieszkańca Zachodu: drelichy, flanelową koszulę, skórzany pas i kamizelkę. Na jego piersi lśniła metalowa gwiazda. Nie licząc tych drobnych zmian, Walter miał takie same blond włosy i orzechowe oczy. Zachował też miękki, wirginijski akcent oraz wygląd prostego i naiwnego chłopaka ze wsi, ale Jake dobrze wiedział, że pod młodzieńczą powierzchownością kryje się mężczyzna o żywej inteligencji i niezawodnym instynkcie.

Uchylił kapelusza i siadł na brzegu biurka.

- Miło cię widzieć, Walt.

- Ciebie również, Jake.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Moran powędrował wzrokiem ku dużej kartce papieru, którą szeryf trzymał w ręce.

- Mogę?

Walter podał mu ją bez słowa. Jake przyjrzał się rysunkowi, który zajmował dwie trzecie strony. Z zadowoleniem stwierdził, że podobieństwo jest niewielkie. Przeczytał tekst obwieszczenia. „Poszukiwany za morderstwo. Jake Moran. Pokerzysta. Wysoki, mocna budowa, brak zarostu. Południowy akcent, słabość do eleganckich strojów. W lewej kieszeni nosi srebrny zegarek na łańcuszku. Włosy czarne, oczy szaroniebieskie. Jeździ na gniadym ogierze z czarną grzywą. U pasa nosi dwa kołty ze srebrnymi rękojeściami. 500 dolarów nagrody. Żywy albo martwy”.

Żywy albo martwy. Jake odłożył list gończy, rozdrażniony niską ceną wyznaczoną za jego głowę.

- Kiedy przyszedł? - zapytał.

- Ponad tydzień temu. Wraz z raportem. W Gunpowder Falls podobno grałeś w pokera z bankierem o nazwisku Harlan Becker. Mocno zdenerwowany dużą przegraną poszedłeś za nim w boczną uliczkę i strzeliłeś mu w plecy.

Walter nalał kawy do dwóch kubków i postawił je na biurku. Wskazał gościowi krzesło.

Jake usiadł, pociągnął spory łyk gorącego napoju i skrzywił się.

- Nadal robisz najgorszą kawę na świecie.

- A ty mimo wszystko ją pijesz.

- Pewnie nie masz whisky dla poprawienia smaku?

Po chwili wahania Pogue wyjął butelkę z szuflady

i dolał do kubka Morana sporą porcję alkoholu.

Jake spróbował kawy, popatrując na przyjaciela.

- Dobrze wyglądasz, Walter.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Nieźle mi się wiedzie. Po wojnie Elena i ja przywdrowaliśmy na Zachód i tu osiedliśmy. Dziecko ma już trzy Jata, następne w drodze.

- Cieszę się. Widać, że służy ci takie życie.

Zapadło milczenie. Walter odchylił się na krześle i łyknął kawy.

- Chcesz mi opowiedzieć całą historię?

Moran uniósł brew.

- Jako przyjacielowi czy szeryfowi?

- Jedno i drugie.

Uczciwe podejście, stwierdził Jake w duchu.

- To prawda, że grałem z Beckerem. Straciłem jakieś dwa tysiące.

Pogue zagwizdał cicho.

- Sporo.

- Miewałem gorsze noce. Wyszedłem z baru całkiem spokojny. Nie doszło do żadnej awantury ani bójki. Nie podejrzewałem Beckera o oszukiwanie. Człowiek miał po prostu szczęście. Było już późno, po północy, ale jeszcze nie chciało mi się wracać do hotelu. Łaziłem trochę po mieście, żeby rozprostować nogi.

- Ktoś cię widział?

- Nie wiedziałem, że będę potrzebował alibi, Walt - powiedział Jake z nutą irytacji w głosie.

- W porządku. Mów dalej.

- Gdy wracałem do baru, zobaczyłem tłum w bocznej uliczce. Dowiedziałem się, że Becker nie żyje. Strzelono mu w plecy. Kobieta, która tamtej nocy obsługiwała stoliki, słyszała, jak dwaj mężczyźni kłócą się

o pieniądzu. Zaraz potem padły strzały. Oczywiście, uznano, że Becker sprzeczał się ze mną. Trafiłem w sam środek zamieszania. Tuż po strzałach ta sama kobieta zobaczyła mężczyznę odjeżdżającego na północ i wtedy pomyślała, że to ja, ale widać się pomyliła. Paru mężczyzn zatrzymało mnie, ktoś pobiegł po szeryfa.

- Opowiedziałeś mu swoją wersję?

Jake uniósł brew.

- Kupiłbyś tę historyjkę, gdyby próbował ci ją sprzedać jakiś górnik?

Walter poruszył się niespokojnie na krześle.

- Chyba nie.

- Też tak sądzę. Uznałem, że jedyną szansą na oczyszczenie nazwiska jest ruszyć na północ i schwycić zabójcę. Pomyślałem, że jeśli nawet go nie dogonię, może coś zobaczę albo czegoś się dowiem... sam nie wiem. Nie miałem jasnego planu. Wiedziałem tylko, że nie zabiłem Beckera. Wyciągnąłem więc rewolwery i przekonałem dobrych obywateli Gunpowder Falls, żeby pozwolili mi jechać za mordercą.

- Tak po prostu cię puścili?

- Powiedzmy. Skrzyknęli ludzi i ścigali mnie przez dwa dni. Głównie pili, spali i brali pieniądze za stracony czas. W końcu chyba doszli do wniosku, że nie jestem wart takiego zachodu.

- A co z człowiekiem, którego tropiłeś?

- Ciekawa sprawa. Deptałem mu po piętach przez trzy miesiące, ale zawsze spóźniałem się o parę dni albo nawet godzin. Z czasem dostrzegłem pewną prawidłowość. Gdziekolwiek się pojawiał, za nim przybywała banda Mundy'ego. W każdym mieście, o które zawadził, szajka dokonywała napadu dzień później.

W oczach Waltera błysnęła iskierka zainteresowania.

- Uważasz, że jest związany z bandą?

- Myślę, że to Pete Mundy. Jest jeszcze coś, co powinienś wiedzieć. Pogrzebałem w przeszłości Harlana Beckera. Miał dużo forsy i szastał nią na prawo i lewo. Okazuje się, że podczas wszystkich napadów dokonanych przed jego śmiercią, rabowano wypłaty przewożone z banku, w którym pracował.

- Sądziś, że Becker dawał cynk złodziejom?

- Myślę, że współpracował z bandą Mundy'ego. Zrobił się chciwy, więc Pete go zabił. To dlatego kłócili się o pieniądze i zaraz potem Becker dostał kulę w plecy.

Walter milczał przez długą chwilę.

- Interesująca historia, Jake. Masz jakieś dowody?

- Jeszcze nie.

Szeryf oparł nogi o biurko i zaczął się bawić pustą filiżanką.

- Słyszałem, że wczoraj przyjechałeś z jakimś facetem.

- Jesteś bardzo dobry, Walt.

- Robię swoje. Za to mi płacą.

- Więc poradź swoim informatorom, żeby następnym razem uważniej patrzyli. Podróżuję z kobietą, a nie z mężczyzną. Nazywa się panna Annabel Lee Foster.

Walter przyjrzał mu się z zastanowieniem.

- Nazwisko brzmi znajomo. Spotkałem ją kiedyś?

- Może. Jest znana również jako Dzika Annie.

Pogue z hukiem opuścił nogi na podłogę i zerwał się z krzesła.

- Jezu, Jake! Sprowadzasz mi do miasta bandę Mundy'ego? Dlaczego, do diabła, nic mi wcześniej nie powiedziałeś?

- Nie wiem, czy bandyci się pokażą. Na wszelki wypadek trzymam się blisko niej, ale chyba będziemy musieli cierpliwie poczekać.

- Jezu! - Szeryf potrząsnął głową. - Kiedy ostatnio sły-
szałem o Dzikiej Annie, mieli ją powiesić w Stony Gulch.

- Tak zrobili, ale sznur się urwał.

Jake stwierdził zaskoczony, że odczuwa dziwną du-
mę, mówiąc o Annie. Ta kobieta potrafiła stawić czoło
wszelkim przeciwnościom losu, wybrnąć z każdych ta-
rapatów.

Musiał go zdradzić ton albo wyraz twarzy, bo Wal-
ter zrobił podejrzliwą minę.

- Opowiedz mi o niej. Rzeczywiście jest taka dzika,
jak słyzałem?

Jake zastanawiał się przez chwilę, jak w kilku w sło-
wach oddać wszystkie sprzeczności, które cechowały
pannę Foster. Annabel Lee umiała przeklinać, strzelać,
jeździć konno. Była uparta, lojalna i nieustraszona. Z po-
czątku traktował ją jako środek do celu, ale teraz musiał
przyznać, że plany często biorą w łeb. Annie intrygowa-
ła go, bawiła, przykuwała uwagę, a jednocześnie budziła
w nim opiekuńczość, o którą siebie nie podejrzewał.

- Bardzo się różni od kobiet, które do tej pory spo-
tykałem. Naprawdę chce zacząć wszystko od nowa.

- Tak uważasz?

- Jeszcze nie mam pewności.

- Gdzie jest teraz?

- Zniknęła o świcie. Ktoś nas śledził przez ostatni ty-
dzień. Domyślam się, że pojechała złożyć mu wizytę.

Na twarzy Waltera odmalował się niepokój.

- Myślisz, że to banda Mundy'ego?

- Całkiem prawdopodobne, nie sądzisz?

- Mogę zebrać ludzi i ruszyć za nimi.

- Wystarczy was, żeby poradzić sobie z szajką?

- Do diabła, nie. Trzej moi najlepsi zastępcy są na
północy. Tropią koniokradów.

Jake poczuł ulgę. Musiał dopaść bandę Mundy'ego, ale nie chciał, żeby Annie została ranna w strzelaninie.

- W takim razie załatwimy sprawę po mojemu. Spróbuję dotrzeć do bandytów, trzymając się blisko Annie.

- Zawahał się. - Oczywiście jeśli ufasz mi na tyle, żeby wypuścić z miasta. Gdy będzie można zastawić na nich pułapkę, wyślę ci telegram. Decyzja należy do ciebie.

Szeryf znowu położył nogi na biurku i namyślał się przez dłuższą chwilę.

- Jesteś gotów przysiąc, że nie oszukasz mnie, by wymigać się od aresztowania?

Moran uniósł brew.

- Jako stróż prawa zrobiłeś się podejrzliwy, Walt.

Pogue rzucił mu twarde spojrzenie.

- Wiesz, co widuję niemal każdego dnia, Jake? Ludzi takich jak my, wypalonych rebeliantów, którzy nie mają domu ani celu w życiu. Wędrują od miasta do miasta, za dużo piją i sprawiają kłopoty. Po pewnym czasie zaczynają się nudzić, wpadają w złość. Postanawiają obrabować parę banków z Północy, żeby wyrównać rachunki. W taki właśnie sposób powstała banda Jamesa i Daltonów.

Jake wiedział, że Walter ma rację, ale nie podobało mu się, że przyjaciel wrzuca go do tego samego worka co sfrustrowanych weteranów.

- Czemu mi to wszystko mówisz?

- Jak mnie oszukasz, Jake, osobiście cię złapię.

Moran westchnął.

- Nie obawiaj się, Walt. Mam o wiele więcej do stracenia niż ty. Ze swoimi ludźmi możesz w dowolny sposób podzielić się nagrodą za schwytanie bandy. Ja muszę oczyścić swoje nazwisko. - Odstawił kubek i wstał. - Jedziemy do Cooperton. Przewidujesz jakieś kłopoty?

- Nie. Jeśli zawiadomisz mnie w porę, dotrzemy tam w ciągu tygodnia.

- Dobrze. - Jake włożył kapelusz i ruszył do drzwi.
- Pamiętaj o jednym. Jeśli chodzi o Annie, robię dobry uczynek, eskortując ją do Cooperton.

- To niezupełnie w twoim stylu.

Moran uśmiechnął się.

- Zabawne, że ona powiedziała to samo.

Opuścił biuro szeryfa i przez chwilę obserwował ruchliwą ulicę. W pewnym momencie jego wzrok padł na drobną, siwą klacz, przywiązana przed jednym ze sklepów. Była bardzo podobna do Dulcie. Gdy do niej podszedł, zobaczył Kota zwiniętego w kłębek na siodle i wygrzewającego się w słońcu. Zwierzę nie otworzyło oczu, ale musiało wyczuć jego obecność, bo fuknęło wojowniczo i wysunęło pazury.

- Nawzajem, kochanie - mruknął Jake i ruszył do drzwi.

Powitał go zapach mięty, skóry, tytoniu i solanki. Sklep był bardzo dobrze zaopatrzony. Rozejrzawszy się po wnętrzu, Moran zobaczył suszone i wędzone mięso wiszące z krokwi, beły materiałów, wyroby ze skóry, indiańskie koraliki, wszelkiego rodzaju eliksiry i toniki, naczynia kuchenne. Eleganckie koronki leżały na półkach obok kowbojskich butów i ostróg, strzelby i amunicja obok dziecięcych czapek i kocyków. Były również gazy ze Wschodu. Niektóre pochodziły sprzed miesiąca.

Zamiast podejść do głównej lady, Jake stanął z boku i obserwował Annie. Kobieta wędrowała bez celu po sklepie, dotykając różnych rzeczy i odchodząc z żalem. Kilka razy bezskutecznie próbowała zwrócić na siebie uwagę dziewczyny obsługującej niezbyt licznych klientów.

Wreszcie Moran nie wytrzymał. Na widok jego ubrania, kapelusza i broni sprzedawczynie zabłysły oczy,

a usta rozciągnęły się w służalczym uśmiechu.

- Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc?

Jake uchylił kapelusza.

- Tamta pani chyba była pierwsza - powiedział.

Na dźwięk jego głosu Annie podniosła zaskoczony wzrok i uśmiechnęła się niepewnie.

Dziewczyna nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

- Pani z pewnością chętnie zaczeka.

- Może pani ją spyta? - zaproponował Moran, nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy.

Sprzedawczyni bez śladu uśmiechu zmierzyła klientkę od stóp do głów i z wyraźną niechęcią ruszyła w jej stronę.

- Czym mogę służyć?

Annie odchrząknęła i wyprostowała plecy.

- Chciałabym kupić suknię. Nie jestem pewna, jaki rozmiar noszę, ale wiem, czego szukam.

Wyjęła z kieszeni „Poradnik Winstona”, znalazła odpowiednią stronę i podsunęła ją ekspedientce.

- Ma pani coś takiego?

Dziewczyna zerknęła na rysunek i skrzywiła usta w wyniosłym uśmiechu.

- Obawiam się, że takie rzeczy wyszły z mody ponad dwadzieścia lat temu.

- Aha. - Annie wzruszyła ramionami, zamknęła książkę i schowała ją do kieszeni. Następnie pokazała na białą, płócienną bluzkę i granatową spódnicę sprzedawczyni. - Skoro nie macie tu nic eleganckiego, może znajdzie się coś w tym stylu.

Jake przygryzł wargę, widząc reakcję dziewczyny na niezamierzoną zniewagę.

- Pokażę pani, co mamy.

Ruszyła sztywno w kierunku lady ustawionej na

środku pomieszczenia. Leżały na niej bawełny, cienkie percale, grube wełny.

- Sprzedajemy je na metry. Cena zależy od gatunku tkaniny.

Annie ściągnęła brwi.

- Mam sama szyć?

- Tak. Albo wynająć szwaczkę.

- Materiały są bardzo ładne. Kłopot w tym, że potrzebuję sukni już teraz. Ma pani gotowe?

- Gotowe? - powtórzyła dziewczyna z wyraźnym niesmakiem i wskazała na rząd strojów wiszących na drążku. - Sprzedała je nam wdowa Porter. Choć nie są takiej jakości, jakiej zwykle wymagamy, mój ojciec kupił je w akcie dobroczynności. Może coś się pani spodoba.

Jake nawet nie spojrzeł na stare łachy, natomiast Annie z czią dotknęła rękawa wyblakłej, brązowej sukni z perkalu, ozdobionej małym, koronkowym kołnierzykiem.

- Sądzi pani, że ta będzie na mnie pasować?

Wargi sprzedawczyni wykrzywił uśmiech złośliwej satysfakcji.

- Na pewno będzie w sam raz.

- Ile?

Dziewczyna wymieniła kwotę. Moran uznał ją za oburzającą, zważywszy na stan niemodnej i miejscami przetartej sukni. Już zamierzał się wtrącić, ale zrezygnował w ostatniej chwili. To była sprawa panny Foster, a nie jego.

Annie skwapliwie przystała na wygórowaną cenę, najwyraźniej nieświadoma, że daje się oszukać. Kilka minut spędziła na dobieraniu odpowiedniej bielizny. Jake tymczasem zajął się oglądaniem broni i amunicji. Gdy kobieta skończyła zakupy, wyszedł za nią ze skle-

pu. Annie kurczowo trzymała pakunek pod pachą. Oczy błyszcząły jej dziecięcym podnieceniem.

- Jeszcze nigdy nie kupowałam sukni. Ładna, prawda? Ma koronkowy kołnierzyk i w ogóle jest elegancka, nie sądzisz? Myślisz, że brązowy to odpowiedni kolor dla mnie? Powinnam kupić do niej rękawiczki? Może również kapelusz? Nie wiesz, czy inne damy będą miały kapelusze?

- Jakie inne damy? - zdziwił się Jake.

Policzki Annie były świeże i zaróżowione od rześkiego, jesiennego powietrza, w oczach tańczyły ogniki. Moran nie mógł uwierzyć, że zaledwie parę minut wcześniej rozmawiał o jej przynależności do bandy morderców.

- Te, które przyjdą dzisiaj na tańce. Nie słyszałeś?

- Nie.

- Żona burmistrza w zeszłym tygodniu urodziła bliźniaki. Mąż wydaje wielkie przyjęcie w ratuszu. Zaprasza wszystkich z Two River Flats.

Jake pokiwał głową. Wyjaśniła się atmosfera oczekiwania i podniecenia, wyczuwalna na ulicach. Wieczorki taneczne były dla małych, pogranicznych społeczności prawie taką samą rozrywką jak wesela, egzekucje i pogrzeby.

- Od lat nie byłam na tańcach. Od dzieciństwa. Powinnam jednak nauczyć się zachowania w towarzystwie. Znajomość manier jest równie ważna jak umiejętność strzelania. Nie można czekać, aż będzie potrzebna. Wymaga sporej praktyki. Mam już nową suknię i dzisiaj wieczorem będę ćwiczyć się w uprzejmych rozmowach. Założę się, że tutejsi ludzie nie wiedzą, kim jestem.

Położyła pakunek na siodle Dulcie. Kot, któremu przerwała sen, miauknął z wyrzutem.

- Cicho - uspokoiła go Annie, głaszcząc delikatnie. - Nie masz nic przeciwko temu, żeby tu zostać na jeszcze jedną noc, Moran?

- Nie.

Przez chwilę stali na chodniku i w przyjaznym milczeniu obserwowali ruch koła ratusza. Kobiety kręciły się jak w ulu, wносиły ciasta, pasztety, wiązanki jesien-nych kwiatów, ozdobne lampki i papierowe lampiony. Po ulicach hasał lekki wietrzyk, słońce przygrzewało.

- Miły dzień na przejażdżkę - rzucił Jake od niechcienia. Annie spojrzała na niego badawczo.

- Zdaje się, że w ten sposób pytasz, dokąd pojechałam dzisiaj rano. Zastanawiałam się, jak długo wytrzymasz.

Jake uśmiechnął się. Bystra kobieta.

- Masz coś przeciwko temu, żeby mi powiedzieć?

- Uważam, że to nie twój zakichany interes, ale niech ci będzie. Pojechałam nakryć faceta, który nas śledził.

Tak podejrzewał. Zaskoczyła go jedynie szczerość Annie.

- Udało się?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Widać ruszył w dalszą drogę. Pewnie to jakiś górnik jadący na zachód. Chyba niepotrzebnie się martwi-liśmy.

Jake zerknął na nią z ukosa. Czyżby tylko mu się zda-wało, że Annie mówi to z dziwną ulgą?

- Powinnaś mnie wziąć ze sobą. Gdybyś go znalazła, miałybyś kłopoty.

- Sam powiedziałaś, że ten człowiek śledzi nie ciebie, tylko mnie. To była moja sprawa.

Annie zachowała się w typowy dla siebie sposób, nieustraszenie i zarazem lekkomyślnie. Oczywiście, jeśli mówiła prawdę i wybrała się tylko na zwiad. Morana naszła ochota, żeby nią potrząsnąć i wbić do głowy tro-chę rozsądku. Brawura może pewnego dnia wpędzić ją w poważne tarapaty.

Bardziej jednak prawdopodobny wydawał się inny scenariusz. Doświadczenie mówiło Jake'owi, że życie nie jest aż tak skomplikowane. Annie latami przestawała z bandą wyrzutków. Dobrze wiedziała, kto ich teraz śledzi. Wykradła się z miasta na prywatne spotkanie. Wciąż należała do szajki Mundy'ego, nadal ją chroniła. Moranowi nie podobało się takie wyjaśnienie, ale nie mógł zamykać oczu na fakty.

Obok nich przeszedł jakiś mężczyzna. Po paru krokach obejrzał się i zawrócił. Jake rozpoznał w nim pasażera, który wysiadł rano z dylizansu. Nieznajomy wyglądał na trzydzieści parę lat, był średniego wzrostu i budowy, dość przystojny. Miał łagodne rysy, ciemnobrązowe włosy i oczy, wypielęgnowany wąsik, lekko pucołowatą twarz. Ubranie zdradzało, że pochodzi ze Wschodu, ale dużo czasu spędził na Zachodzie, co podkreślał kapeluszem z szerokim rondem, skórzanym pasem i długimi butami.

- Przepraszam, czy panna Annabel Lee Foster?

Kobieta zmarszczyła brwi, mierząc nieznajomego wzrokiem od stóp do głów.

- A kto pyta?

Obcy uśmiechnął się i zdjął kapelusz.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Peyton VanEste, reporter „Philadelphia Gazette”. Oto moja wizytówka.

Annie zerknęła na wizytówkę i oddała ją mężczyźnie z obojętną miną.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Proszę wybaczyć, ale niewiele jest rzeczy, których bym o pani nie wiedział. Nie potrafię wyrazić, jak cieszę się z tego spotkania. Czy mogę prosić o kilka minut prywatnej rozmowy?

- Może pan rozmawiać tutaj - odezwał się Jake.

VanEste spojrział na towarzysza panny Foster, jakby dopiero teraz go zauważył, choć trudno było przeoczyć Morana.

- A pan kim jest?

Jake obrzucił go długim spojrzeniem, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się pytanie.

- Przyjacielem tej damy.

VanEste przesunął wzrok z Morana na Annie i z powrotem. Prychnął z dezaprobatą.

- W porządku. Niech będzie tutaj. Przypuszczam, że nie zna pani moich artykułów?

- Nie znam.

- Rozumiem. W takim razie przedstawię krótko moje dokonania i wyjaśnię, dlaczego panią zagadnąłem, panno Foster. Co miesiąc ukazuje się w „Gazette” odcinek cyklu pod tytułem „Życie na Dzikim Zachodzie”. Jest w nim trochę fikcji, trochę prawdy, biografie i reportaże ukazujące piękno, surowość i niebezpieczeństwa Zachodu. Wojna się skończyła i moi czytelnicy domagają się innych ciekawych tematów. Chcą posmakować przygody i dreszczu emocji, które wy macie na co dzień. Pisałem już o Bloody Billu Andersonie, Texas Pete’u, Eddiem Hoyle’u i Wesleyu Hardinie, że wymienię tylko kilku.

Jake od razu się zorientował, o czym mówi dziennikarz. VanEste tworzył nieprawdopodobne, melodramatyczne historie, które miały *niewiele* wspólnego z prawdą.

Annie też chyba знаła te jego dzieła.

- Nie jestem zainteresowana.

- Jeśli to kwestia pieniędzy, zapewniam panią, że „Gazette” zawsze jest hojna dla bohaterów moich artykułów.

Jake zmarszczył brwi.

- Pani wyraźnie powiedziała, że nie jest zainteresowana.

- Rozumiem. - VanEste zrobił wyniosłą minę. - Proszę tylko, żeby pani zastanowiła się nad moją propozycją, panno Foster. Mogę uczynić panią nie tylko sławną, ale i bogatą. „Gazette” przystąpiła właśnie do budowy miasteczka z Dzikiego Zachodu, które stanie się konkurencją nawet dla pokazów Hickoka. Mogę zrobić z Dzikiej Annie gwiazdę. Z całego kraju będą ściągali ludzie, żeby zobaczyć, jak pani jeździ i strzela. Zostanie pani legendą swoich czasów. - Ukłonił się grzecznie. - W Two River Flats zatrzymam się przez tydzień. Potem znajdzie mnie pani przez redakcję „Gazette”. Do widzenia państwu.

Annie potrząsnęła głową, odprowadzając mężczyznę wzrokiem.

- Wyobrażasz sobie. Ktoś chce o mnie pisać. Zabawny facet, co?

Jake wzruszył ramionami.

- Na Zachodzie spotyka się najróżniejszych facetów. Miał dziwne wrażenie, że skądś zna tego człowieka.

- Chyba kupię coś do jedzenia i pójdę do swojego pokoju - oznajmiła Annie. - Muszę się trochę pouczyć.

- Pouczyć?

- Przed dzisiejszymi tańcami chcę zapamiętać wszystkie reguły z „Poradnika Winstona”. Wiem, że nie jest to wyrocznia, ale nie mam nic innego. Może wezmę kąpiel, choć już brałam wczoraj. Muszę dobrze się przygotować. - Ujęła wodze Dulcie. - Chodź, mała.

Jake patrzył za nią przez chwilę, a następnie osiodłał Weeda i ruszył na przejażdżkę w kierunku, w którym rano pojechała Annie. Nie znalazł świeżych tropów, opuszczonych obozowisk, żadnych śladów bandy Mundy’ego. Nic. Otaczała go zupełna pustka. Podróżując przez rozległe, otwarte przestrzenie, często można było wyczuć innych jeźdźców, nim zjawili się w polu wi-

dzenia. Lecz Jake nie miał wrażenia, że jest obserwowany. Gdy zaczęło się ściemniać, wrócił do miasta. Zaprowadził konia do stajni i poszedł do hotelu. Kiedy miajął pokój Annie, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

- Psst. Wejdz na chwilę, Moran.

Jake zatrzymał się zdziwiony. Kobieta chwyciła go za ramię i wciągnęła do pokoju.

- Jak ci się podoba?

Zrobiła piruet, trzymając rąbek brązowej sukni. Doskonała szmata do szorowania podłóg, pomyślał Jake. Lecz gdy uważniej się przyjrzał, stwierdził, że pannie Foster jakimś cudem udało się tchnąć życie w znoszony łachman.

Suknia była dopasowana. Podkreślała dziewczęcą niewinność Annie i jednocześnie kobiece krągłości. Linia guzików biegnących od szyi do pasa wybrzuszała się lekko na piersi. Nie za mocno, ale na tyle, żeby przykuć wzrok mężczyzny i obudzić ciekawość, który guzik urwie się pierwszy. Strój podkreślał również wąską talię i opływową linię bioder. Nieco za krótka, odkrywała kostki, ale efekt psuły ciężkie buty. W dodatku Annie nie omieszkała założyć pasa z bronią.

Na jej czole pojawił się mars.

- O co chodzi? Nie wyglądam dostojnie?

Uroczo, owszem, ale z pewnością nie dostojnie, miał ochotę powiedzieć Jake.

- Wyglądasz świetnie, kochanie.

Jego słowa nie brzmiały jak zwykła pochwała, lecz Annie nie zauważyła w nich ironii. Uśmiechnęła się radośnie, jakby właśnie usłyszała największy komplement.

- Naprawdę? - Wykonała jeszcze jeden piruet. - Założę się, że w pierwszej chwili nie poznałeś mnie bez spodni.

- Mylisz się.

Annie nerwowo wygładziła materiał na bokach.

- Wdowa Porter jest trochę drobniejsza ode mnie, ale najważniejsze, że zdołałam wcisnąć się w jej suknię.

Nie czekając na komentarz, wzięła z komody garść szpilek i podała je Moranowi.

- Próbowałam upiąć włosy, ale ciągle mi się rozsypują. Może ty spróbujesz? Są świeżo umyte.

Na jej plecy spływała lśniąca kurtyna o barwach orzecha, pszenicy i miodu. Jake zastanawiał się przez chwilę, czy panna Foster ma pojęcie, o jak intymną rzecz go prosi, ale nie potrafił nic wyczytać z jej ufnego wzroku. Z wahaniem podszedł do Annie i odwrócił ją twarzą do lustra. Wziął do rąk długie, jedwabiste pasma. Rzeczywiście, okazały się niesforne. Choć robił, co mógł, wciąż mu się wymykały, przelewały między palcami, opadały na ramiona kobiety, odurzając go wiosennym aromatem. Dotykanie ich i wdychanie kwietnego zapachu było dla Morana czystą torturą.

W końcu Annie westchnęła z rezygnacją.

- Też nie masz szczęścia.

Zebrawszy wszystkie siły, Jake cofnął się o krok.

- Obawiam się, że moją specjalnością jest rozpuszczanie kobiecych włosów, a nie ich upinanie.

Po wargach Annie przemknął lekki uśmiech.

- Chyba tak. - Zastanawiała się przez chwilę. - Może nie powinnam ich upinać?

Jake przypomniał sobie papierowe lampiony, którymi ozdobiono ratusz. Rozpuszczone włosy Annie lśniłyby jak złoto w ich łagodnym blasku, przyciągając mężczyzn jak pszczoły do miodu. Na samą myśl poczuł irytację.

- Zwiąż je z tyłu - poradził krótko.

Annie odęła usta.

- W takiej fryzurze nie ma nic ładnego.

- Może tym? - zaproponował, biorąc z komody jasnoniebieską wstążkę.

- Och, zapomniałam! To dla Kota. - Wzięła zwierzątko na ręce, związała mu kokardkę na szyi i przygładziła futerko. - Widzisz, jaki ładny z ciebie kotek? Teraz też wyglądasz szacownie.

Sama przewiązała włosy zwykłym rzemykiem i spojrzała w lustro. Nie dostrzegając własnej urody, wrzuciła ramionami i odwróciła się do Morana.

- I jak?

Jake przyglądł się jej przez chwilę w milczeniu. Powiedz jej, że wygląda doskonale, i wyjdź. Zignorował jednak głos rozsądku i uległ pokusie. Ostrożność nigdy nie należała do cech, które szczególnie podziwiał w mężczyznach. Podszedł wolno do kobiety, nie odrywając od niej wzroku.

- Tylko jedną rzecz bym zmienił.

Annie stała czujna jak łania, gotowa czmychnąć w każdej chwili, ale jej oczy płonęły ciekawością. Jake powoli sięgnął do klamry skórzanego pasa. Kobieta zrobiła krok w tył.

- Nikt nie ma prawa dotknąć moich rewolwerów - wyszeptała.

Mężczyzna uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- Nikt?

- Nikt.

Jake powoli rozpiął pas i odłożył go na łóżko.

- Nie potrzebujesz ich, kochanie. Gdy kobieta jest ubrana tak jak ty teraz, ma przeciwko mężczyźnie zupełnie inną broń.

-Jaką?

Jej usta zapraszały. Zapach skóry uderzał do głowy

jak mocne wino. W powietrzu wyczuwało się erotyczne napięcie.

Nie rób tego. Znajdź sobie inną kobietę, ostrzegął instynkt. Lecz Moran nie chciał żadnej innej. Pragnął Annabel Lee Foster, która stała przed nim, tylko czekając na pocałunek.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Taką.

Delikatnie musnął ustami wargi Annie. Jedną dłonią zaczął gładzić jej kark, drugą lekko przesuwając po ramieniu. Gdy kobieta zeszywniała pod jego dotykiem, uczynił wysiłek i pohamował niecierpliwość.

Ale czuła pieśczoła nie nasyciła go, tylko rozpałiła w nim krew. Chciał od Annie czegoś więcej, gorącego pocałunku kochanków. Najchętniej zdarłby z niej ubranie, dotykał ją całą, głaskał, całował. Marzył o wybuchu namiętności, po którym oboje leżeliby bez sił i tchu. Czuł, że Annabel Lee wiedziałyby, kiedy być dziką, a kiedy łagodną. Potrafiłyby ukoić mężczyznę w te noce, gdy cały ciężar świata zdaje się spoczywać na jego barkach.

Jake pragnął rozniecić ogień, który tlił się w tej kobiecie. Ustami rozchylił wargi Annie. Poczował, że przebiegło przez nią drżenie. Zaczął masować smukłe plecy niespiesznymi, kolistymi ruchami.

Kobieta zaskoczyła go swoją reakcją. Przywarła do niego z taką gwałtownością i pożądaniem, że omal nie jęknął, i śmiało odwzajemniła pocałunek.

Jake przesunął dłonie niżej, ucząc się jej kształtów. Annie była dokładnie taka, jak się spodziewał. Doskonała. Miała ciało stworzone do miłości. Naśladowując mistrza, zaczęła łagodnie pieścić jego ramiona, plecy, pośladki. Ich usta nadal się stykały.

Mężczyzna delikatnie zamknął w dłoni krągłą pierś.

Annie drgnęła odruchowo, a potem przytuliła się do niego z cichym jękiem. Przez cienki materiał sukni Jake wy-czuł, że brodawka twardnieje w jego dłoni. Ogarnęła go niepohamowana żądza. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila i nic nie zdoła go powstrzymać. Opanował się całym wysiłkiem woli i niechętnie wypuścił kobietę z objęć. Cofnął się o krok. Annie spojrzała na niego płoną-cym wzrokiem. Wargi miała różowe i obrzmiałe. Nie okazywała wstydu ani zakłopotania.

Jake nie wiedział, co powiedzieć. Wyciągnął rękę i za-łożył Annie za ucho luźne pasmo włosów.

- Lepiej już pójdę.

W oczach kobiety pojawiło się rozczarowanie i jed-nocześnie ulga.

- Jesteś gotowy, Moran? Nie chciałabym się spóźnić.

- Ja nie idę.

- Nie? - Na twarzy Annie odmalowało się zaskocze-nie, potem uraza, a na koniec smutek. - Myślałam, że pójdziesz. - Odwróciła się do okna i wyszeptwała: - *Me das perro?* Sprawiasz mi przykrość.

Jake poczuł się winny. Nigdy nie obiecywał, że wybie-rze się z nią na tańce, ale miał wrażenie, że złamał słowo.

- Nie przepadam za publicznymi zabawami. Pomy-ślałem, że pójdę do baru i spróbuję zagrać w pokera.

-Aha.

Annie wyglądała jak mała dziewczynka, która wła-snie się dowiedziała, że odwołano jej przyjęcie urodzi-nowe. Jake stłumił przemożną chęć, żeby wziąć ją na kolana i ukołysać. Albo, co dziwniejsze, żeby pójść z nią na tańce. Powinien ochłonać i zastanowić się w spoko-ju, nim zrobi coś, czego będzie naprawdę żałował.

- Annie, skarbie?

-Co?

- Doskonale poradzisz sobie sama. - Wziął z łożka pas z bronią. - Zmieniłem zdanie w sprawie rewolwerów. Jeśli ktoś spróbuje zrobić to, co ja przed chwilą zrobiłem, pozwalam ci go zastrzelić.

10

Annie szła Main Street w stronę ratusza. Tak spokojna i zadowolona nie czuła się od lat. Wszystko układało się po jej myśli. Po pierwsze, kiedy rano wyruszyła na zwiad, nie znalazła śladu Garveya Wężowej Skóry. Doszła do wniosku, że po prostu jechał za nimi jakiś włóczęga. Po drugie, wystrojona w nową suknię szła na prawdziwą zabawę. I wreszcie, znajdowała się już blisko hotelu Palace. Oceniała, że za tydzień dotrą do Cooperton.

Lepiej byłoby jeszcze, gdyby towarzyszył jej Jake Moran. W żołądku poczuła lekkie ściskanie. Teraz wiedziała, że całowanie wcale nie jest takie okropne. Prawdę mówiąc, nie mogła równać się z nim ani jedna z rzeczy, jakie robiła w życiu.

Zawsze myślała, że każdy mężczyzna będzie taki jak Garvey Wężowa Skóra: twardy, rozpalony, brutalny. Ale Jake okazał się zupełnie inny. Nie miała nic przeciwko temu, że ją dotykał. Na wspomnienie pocałunku jej kolana zrobiły się miękkie, a po plecach przebiegł lekki dreszcz. W ramionach Morana nie czuła się zagrożona, tylko krusza i pożądana. Uśmiechając się do siebie, stwierdziła w myślach, że tamta chwila mogłaby trwać dłużej.

2 podniecenia omal nie zaczęła skakać. Z okien ratusza wylewało się na ulicę jasne światło. Dobiegały

skoczne dźwięki skrzypiec i gwar wesołych głosów. Annie zatrzymała się, poprawiła suknię, sprawdziła rewolwery i po raz ostatni przygładziła włosy. Cóż, nie ma ze mną Jake'a, ale nie wejdę sama, pomyślała. Towarzystwa dotrzymywał jej Kot.

Wzięła głęboki oddech i przywołała na twarz dziarski uśmiech. Po raz pierwszy w życiu miała być prawdziwą damą. Uniosła spódnicę i po schodach wkroczyła do ratusza z odpowiednią dozą elegancji i godności. Przynajmniej taką miała nadzieję. Ogromną, wysoką salę wypełniali roześmiani ludzie. Po parkiecie wirowały pary. Wielki stół oparty o jedną ze ścian ugiął się od wypieków, słodczy, ciasteczek i waz z ponczem.

Annie chłonęła widok, stojąc niepewnie w progu. Przez tłum przebiegły podniecone szepty. Głowy odwróciły się w jej stronę, zaciekawione oczy zmierzyły ją od stóp do głów. Wszędzie rozbrzmiewały słowa: Dzika Annie, banda Mundy'ego, złodzieje, bandziory. Wreszcie głosy ucichły i w sali zapadła grobowa cisza. Ciekawość zmieniła się we wrogość.

Kobieta przełknęła ślinę i z dumą uniosła podbródek. Nie oczekiwała, że zostanie powitana z otwartymi ramionami, ale nie przypuszczała, że samo jej wejście wywoła takie poruszenie. Serce tłukło się jej w piersi, gdy gorączkowo myślała, co powiedzieć i jak się zachować. Nie mogła dłużej znieść ciszy, więc ujęła brzeg sukni i dygnęła z wdziękiem. Popatrzyła na gniewne twarze i zmusiła się do uśmiechu.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedziała nienaturalnie wysokim tonem i aż się skrzywiła.

Odpowiedziały jej puste spojrzenia, a po chwili szmer wzburzonych głosów.

Jakiś mężczyzna ruszył w jej stronę, przedzierając się

przez tłum. Odgłos ciężkich kroków napełnił echem duże pomieszczenie. Nieznajomy, zapewne ranczer, miał siwe włosy i ogorzałą twarz człowieka, który długie dni spędza na słońcu. Zmierzył kobietę surowym wzrokiem i powiedział:

- Nie pozwalamy wnosić broni do ratusza, panienko. Możesz zostawić broń albo wyjść. Więc jak będzie?

- Nazywam się panna Annabel Lee Foster - oświadczyła Annie dumnie, zdjęła pas i podała go mężczyźnie. Następnie zwróciła się do wszystkich obecnych. - Dziękuję za miłe zaproszenie. Chętnie zostanę.

O dziwo, choć kolana jej drżały, głos zabrzmiał mocno i pewnie.

Ranczer w milczeniu wziął rewolwery i schował je do skrzyni ustawionej obok drzwi. Mieszkańcy miasta powoli wrócili do zabawy.

Annie poczuła się głupio i nie na miejscu. Rozejrzawszy się po sali, dostrzegła sprzedawczynię, u której kupiła suknię po wdowie Porter. Dziewczyna stała w ciasnym kręgu paru rówieśniczek. Wprawdzie nie zostały sobie oficjalnie przedstawione, ale już wcześniej rozmawiały. W dodatku Annie wydała pieniądze w jej sklepie. Miała nadzieję, że ten fakt coś znaczy.

Wyczekała, aż dziewczyna na nią spojrzy, posłała jej uśmiech i ruszyła w stronę małej grupki. Sprzedawczyni odwzajemniła się chłodnym grymasem i szepnęła coś głośno do przyjaciółek. Kobiety wybuchnęły piskliwym chichotem, zerknęły na Annie i odwróciły się do niej plecami. Zadowolona sprzedawczyni uniosła wysoko głowę i odeszła wraz z koleżankami w drugi koniec sali.

Annie przystanęła w pół kroku, niepewna jak zareagować na zniewagę. Chłodny podmuch, idący od drzwi wejściowych, pchnął ją wreszcie do działania.

„Poradnik Winstona” uczył, że obowiązkiem gościa jest najpierw przywitać się z gospodarzem. Annie powiodła wzrokiem po sali. Pod ścianą dostrzegła kobietę, trzymającą w ramionach dwa niebieskie tobołki.

Gdy do niej podeszła, osoby składające gratulacje cofnęły się z zaskoczeniem lub oburzeniem na twarzach. Nie zwracając uwagi na ich reakcję, Annie skinęła głową młodej matce.

- Pani jest zapewne żoną burmistrza.

- Tak - odparła kobieta chłodno.

Annie dygnęła.

- Miło mi panią poznać. Chciałam podziękować za wydanie przyjęcia i zaproszenie wszystkich obecnych w mieście. Nigdy wcześniej nie byłam na równie eleganckim balu.

Żona burmistrza zacisnęła usta.

Annie odchrząknęła nerwowo i podjęła następną próbę. Uśmiechnęła się do noworodków i powiedziała:

- Piękne dzieci. Musi pani być bardzo dumna...

W tym momencie wkroczył między nie jakiś mężczyzna i wyciągnął ręce po dzieci.

- Pozwól, moja droga.

Wręczył tobołki najbliższej stojącej kobiecie i pomógł żonie wstać. Pani burmistrzowa oddaliła się pospiesznie, nawet nie zaszczycając Annie spojrzeniem. Mąż zmierzył kłopotliwego gościa rozgniewanym wzrokiem.

- Wolałbym, żeby pani więcej nie rozmawiała z moją żoną. W naszym mieście panuje spokój. Nie potrzebujemy kłopotów ze strony takich jak pani. Jasne?

Odwrócił się na pięcie i ruszył przez salę sztywnym krokiem.

Liczne głosy nagrodziły burmistrza pochwałami za dzielną obronę żony. Annie poczuła, że twarz płonie jej

ze wstydu. Uniosła brodę i zaczęła torować sobie drogę przez tłum. Szła na oślep. Głośne tony banjo i skrzypiec oraz wirujący tancerze przyprawiali ją o zawrót głowy i mdłości. Kobieta miała wrażenie, że od wymuszonego uśmiechu zaraz pękną jej wargi. Nie zamierzała jednak się poddać. Jeszcze nie.

Jakimś trafem znalazła się przy zastawionym stole. Wątpiła, czy przełknie choć jeden kęs, ale doszła do wniosku, że przynajmniej czymś się zajmie.

- Może mi pani powiedzieć, ile jestem winna za placek?

Kobieta posłała jej wyniosłe spojrzenie. Zatrzasnęła wieko kasetki i odeszła bez słowa.

Annie odstawiła talerz, zacisnęła pięści po bokach i skierowała się ku rzędowi krzeseł stojących pod ścianą. Usiadła i niewidzącym wzrokiem zaczęła obserwować tańce. Ze wszystkich sił udawała, że bawi się jak nigdy.

W pewnym momencie zauważyła w głębi sali grupkę pięciu kowbojów, którzy podawali sobie butelkę. Z tonu głosów i natarczywych spojrzeń, jakie rzucali w jej kierunku, wywnioskowała, że jest obiektem ich zainteresowania. Próbowwała na nich nie zważać, ale gapił się coraz bezczelniej. W końcu podeszli do niej.

- Chcesz zatańczyć? - spytał buńczucznie najbardziej pijany mężczyzna.

- Nie, dziękuję.

- Chyba mnie nie dosłyszałaś. - Nim Annie się spostrzegła, kowboj chwycił ją za ramiona i brutalnie dźwignął z krzesła. Cuchnął whisky. - Pytałem, czy chcesz zatańczyć.

Kobieta popatrzyła na niego z wściekłością.

- A ja powiedziałam, że nie.

Próbowwała się uwolnić, ale mężczyzna był zbyt silny. Ścisnął ją mocniej i z obleśnym uśmiechem przesunął

wzrokiem po jej ciele. Następnie zerknął ku drzwiom wychodzącym na ciemną uliczkę za ratuszem.

- Jeszcze raz ostrzegam. Puść mnie.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

- A co zrobisz, jak cię nie posłucham?

Na te słowa koleżkowie, którzy tłoczyli się za nim, ryknęli gromkim śmiechem.

Annie odruchowo sięgnęła po rewolwery... i trafiła na puste kabury. W tym momencie przypomniało się jej, że broń oddała przy wejściu.

Jake odchylił się na oparcie krzesła i wolno powiódł wzrokiem po barze. W środku było pustawo, bo większość mieszkańców Two River Flats zdecydowała się pójść na zabawę w ratuszu. Moran znalazł tylko jednego człowieka chętnego do pokera. Wkrótce zaczął żałować, że nie poszedł z Annie, bo nieznajomy okazał się kiepskim graczem. Przez cały czas sącył whisky i miał coraz większe trudności z odróżnianiem kart.

Tłumiąc westchnienie, Jake powędrował myślami ku Annie. Był ciekaw, czy panna Foster dobrze się bawi. Podejrzewał, że krąży już wokół niej tuzin adoratorów, prosząc o taniec. Nie poprawiła mu nastroju myśl, że w swoim niewinnym entuzjazmie kobieta z pewnością przyjmuje wszystkie zaproszenia.

Doskonale zdawał sobie sprawę, ile odwagi wymagało od niej pójście na tańce bez towarzystwa. Potrząsnął głową, odpędzając od siebie wyrzuty sumienia. Trzymał się Dzikiej Annie, żeby dopaść bandę Mundy'ego. Z żadnego innego powodu. Całując ją w pokoju hotelowym, kierował się głupią ciekawością. Uległ pokusie. Nie powinien o tym zapominać, jeśli ma choć trochę oleju w głowie.

Poprawił się niespokojnie na krześle. Mógł z uporem przekonywać samego siebie, że związek z tą kobietą jest niemożliwy, ale instynkt mówił mu co innego. Pocałunek był zapowiedzią czegoś poważniejszego. Doświadczenie nauczyło go, że nie należy walczyć z przeznaczeniem. Wiedział, że człowiek nie uniknie swego losu.

Nie uważał się za sentymentalnego ani skłonnego do mistycyzmu, ale parę rzeczy mocno go w życiu poruszyło, unaoczniało mu jego małość.

Pamiętał, jak pierwszy raz wziął na ręce noworodka, dwudniową dziewczynkę. Niemal wepchnięto mu w ramię kruchą, kwilącą istotkę, różową i pomarszczoną, a on nie miał innego wyboru, jak ją potrzymać. W pierwszej chwili czuł tylko strach, że upuści dziecko. Potem dziewczynka przestała się wiercić i zacisnęła małą piąstkę wokół palca Jake'a. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę.

Pamiętał jak po bitwie na Wilderness generał Lee przejechał konno wzdłuż szeregów. Twarz miał ściągniętą i zasmuconą. Głodni i zmarznięci żołnierze w podartych mundurach, ranni i chorzy, bez rozkazu stanęli na baczność i oddali milczący hołd ukochanemu dowódcy. Poszliby w ogień, gdyby im rozkazał. I często to robił.

Tamte chwile zrobiły na Moranie ogromne wrażenie, wryły mu się w pamięć. Nie miał co do siebie złudzeń. Był włóczęgą, pokerzystą o niewielu zasadach. Ale te drobne wydarzenia sprawiały, że życie stawało się trochę lepsze. Uświadamiały mu, choćby na krótko, że nie jest bezcelowe i pozbawione sensu.

Z niejasnego powodu panna Annabel Lee Foster poruszyła w nim tę samą głęboką strunę. Często pożądał kobiet, darzył je szacunkiem i sympatią, ale żadna nie działała na niego tak jak Annie. Nigdy do tej pory nie doświad-

czył takich uczuć jak wtedy, gdy ją obejmował i całował.

Nie mógł odpędzić od siebie niepokojących myśli, więc postanowił zakończyć grę. Uznał, że nie ma sensu przesiadywać w barze. Równie dobrze mógł pójść do ratusza i zobaczyć, jak Annie sobie radzi.

- Chwi... chwileczkę - wybełkotał pijak z oburzeniem, kiedy Moran wstał od stolika. - Nie dajesz mi nawet szansy się odegrać, człowieku?

- Może najpierw wytrzeźwiejesz?

- Nie jestem pijany.

Jake westchnął i włożył kapelusz.

- Trzymasz karty odwrotnie.

Mężczyzna popatrzył na swoją rękę, wytrzeszczył oczy zdziwiony i zarechotał pijackim śmiechem.

W tym momencie z ulicy dobiegły gniewne krzyki. Chwilę później do baru wpadł młody chłopak.

- Pożar! - wrzasnął. - Ta kobieta z szajki podpaliła ratusz!

Annie miała przed sobą morze wrogich twarzy. Serce waliło jej jak młot. Za nią dopalał się miejski ratusz, sypiąc iskrami. Na tle atramentowego nieba jaśniała karmazynowa łuna. Powietrze wypełniał gęsty, duszący dym. Popiół osiadał na skórze, wciskał się w usta. Gdy w końcu ugaszono ogień, zapadła cisza. Ostatnie płomienie zgasły z sykiem.

Lecz kobiety nie interesował w tej chwili pożar ani gniewny tłum. Patrzyła ponad jego głowami ku północnemu krańcowi miasta. Pośród bieganiny i wrzasków, szczękania wiader z wodą, trzasku płomieni i ogólnego zamieszania, usłyszała odległą kanonadę. Przywykła do odgłosów strzelaniny, od razu ją rozpoznała. Ze ściśniętym żołądkiem czekała na rozwój wydarzeń.

Przecucie mówiło jej, że jeszcze nie koniec kłopotów.

Obawy wkrótce się sprawdziły. Ulicą nadchodził pewnym krokiem wysoki mężczyzna. Był dość przystojny, szczupły, jasnowłosy. 2 młodzieńczą twarzą kontrastowały oczy, zimne, surowe, badawcze. Annie nie dostrzegła odznaki pod grubą, wełnianą marynarką, ale nie miała wątpliwości, że to on sprawuje tutaj władzę. Towarzyszyli mu dwaj potężni mężczyźni ze strzelbami w rękach.

Tłum rozstał się z szacunkiem. Szeryf z zasepioną miną rzucił okiem na pogorzelnisko.

- Czy ktoś chce mi powiedzieć, co się tutaj wydarzyło?

Natychmiast odezwały się pomieszane głosy. Szeryf uciszył je gestem ręki i wskazał na człowieka w średnim wieku, wystrojonego w przyciasny trzyczęściowy garnitur.

- Parnell. Mów.

Mężczyzna rozprostował plecy i powiódł dumnym wzrokiem po zebranych. W końcu wycelował gruby palec w Annie. Na jego czerwonej twarzy malowało się oburzenie.

- Ta kobieta spowodowała pożar, szeryfie, oto co się zdarzyło.

Wszyscy mieszkańcy Two River Flats zgodnie potwierdzili jego oskarżenie. Zachowywali się, jakby Anabel Lee Foster wpadła do ratusza z pochodnią i celowo wznieciła ogień. Szeryf słuchał ich przez minutę, a następnie odwrócił się do podpalaczki i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Annie wiedziała, że w porwanej i osmalonej sukni, umazana sadzą, z rozczochranymi włosami wygląda jak nieszczęście, ale nic nie mogła zrobić.

Stała bez ruchu i patrzyła szeryfowi w oczy. Mogła wziąć na siebie część winy za pożar, ale nie całą. To był

wypadek, zwyczajny wypadek, choćby mieszkańcy nie wiadomo co pletli.

- Pani zapewne jest Dzika Annie - stwierdził Pogue. Kobieta wyprostowała się i uniosła podbródek.

- Wolę, żeby mówiono do mnie panno Foster, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, szeryfie - powiedziała uprzejmym tonem.

- Dobrze. Może przedstawi mi pani swoją wersję, panno Foster?

- Tamten mężczyzna poprosił mnie do tańca. - Annie wskazała na kowboja. - Kiedy odmówiłam, stał się natarczywy i próbował wyciągnąć mnie na parkiet. Powiedziałam mu, żeby mnie puścił, ale nie słuchał. Zaczęliśmy się szarpać. Mojemu Kotu nie spodobał się widok paskudnej gęby tego człowieka, więc wskoczył mu na plecy.

- Ta bestia rozorała mi pazurami kark - wtrącił kowboj.

- Wstrzymaj się chwilę, Dwight - uciszył go szeryf.

- Też będziesz miał okazję zabrać głos. Niech pani mówi dalej.

Annie wzruszyła ramionami.

- To już prawie wszystko. Próbując strącić Kota, mężczyzna zatoczył się do tyłu i przewrócił jedną z lamp naftowych. Tak wybuchł pożar.

Pogue przeniósł wzrok na kowboja.

- Tak było, Dwight?

Mężczyzna splunął tytoniowym sokiem i otarł brodę rękawem.

- A co miałem robić, do cholery, jak nie chciała tańczyć?

- Uważam, że dama może decydować, na co ma ochotę - rozległ się donośny głos.

Na widok Jake'a, torującego sobie drogę przez tłum, Annie doznała niewytłumaczalnej ulgi. Gdy ich oczy się

spotkały, natychmiast przestała czuć się osamotniona.

- Pozwól, że ja zajmę się tą sprawą, Jake - powiedział szeryf.

- Proszę bardzo, Walt. - Mówił przyjaznym tonem, ale spojrzenie, którym obrzucił zebranych, było twarde i nieustępliwe. - Nie chcę tylko, żeby obwiniano pannę Foster za coś, czego nie zrobiła.

- Nikt nie został o nic oskarżony. Przynajmniej na razie. - Pogue odwrócił się do tłumu. - Zabawa skończona. Ci, co chcą pomóc moim zastępcom w sprzątanii, będą mile widziani. Reszta może iść do domów. Ciebie, Dwight, chcę widzieć w biurze jutro o ósmej rano. Jeśli się nie zjawisz, wyślę zastępców na ranczo Parkerów i każę ci zapłacić grzywnę za marnowanie mojego cennego czasu. Zrozumiałeś?

Kowboj skinął głową z posępną miną. Ludzie rozeszli się posłusznie, choć tu i ówdzie słychać było pomruki niezadowolenia.

Annie odwróciła się i zrobiła kilka kroków w stronę hotelu, ale zatrzymał ją głos szeryfa.

- Mam do pani kilka pytań, panno Foster. Zechce pani pójść ze mną do biura?

Pytanie zadano tonem uprzejmej prośby, ale towarzyszyło mu stalowe spojrzenie. Kobieta zerknęła na Morana. Jake wzruszył ramionami i bez słowa udał się za Pogue'em. Annie nawet nie pomyślała o proteście, choć kilka tygodni wcześniej nie zniosłaby wtrącania się w jej sprawy.

Gdy dotarli na posterunek, Walter Pogue usiadł za szerokim, topornym biurkiem i wskazał gościom krzesła naprzeciwko siebie. Od razu przeszedł do sedna.

- Słyszałem, że wybrała się pani rano na małą przejażdżkę, panno Foster?

Annie nie zapytała, skąd szeryf ma tę informację. W takiej miejscinie jak Two River Flats nic nie uchodziło uwagi obywateli.

- Czy prawo tego zabrania, szeryfie?

- To zależy. Rozmawiała pani z kimś podczas wybieżki?

- Z moim koniem.

Pogue zachował kamienną twarz.

- Ja mogę tak rozmawiać przez całą noc, panno Foster, ale pani chyba chętniej wróciłaby do hotelu i poszła spać. Proszę odpowiadać na moje pytania, a wyjdzie stąd pani szybciej. Rozumiemy się?

Annie spojrzała na niego zimno.

- Tak.

- To dobrze. - Mężczyzna odchylił się na krześle i położył nogi na biurku. - Więc może zaczniemy od tego, z kim pani spotkała się za miastem?

- Z nikim.

- Chyba nie wyjechała pani tylko po to, żeby podziwiać widoki. Kogo pani szukała?

- Ktoś nas śledził przez kilka ostatnich dni - odpowiedziała Annie niechętnie po chwili wahania. - Podejrzewałam, że to Jim Garvey. Znajomi nazywają go Garvey Wężowa Skóra.

- Wężowa Skóra?

- Facet nosi buty ze skóry węża, wężowy pasek, wężową kamizelkę. Nawet otok na kapeluszu jest ze skóry węża.

- Należał do bandy Mundy'ego?

- Niedługo. Pete go wyrzucił, a wcześniej omal nie zatłukł na śmierć. Garvey obwiniał mnie o to, co się stało. Przysiągł, że wróci i porachuje się ze mną, gdy nie będzie Pete'a!

- Dlaczego Pete wyrzucił go z bandy?

Annie zeszywniała, a potem wzruszyła ramionami.

- Miał swoje powody.

- Rozumiem. - Szeryf wymienił ukradkowe spojrzenie z Moranem. - Trafiła pani na jakiś ślad tego człowieka?

- Niczego nie znalazłam. Wróciłam do miasta koło południa.

- W porządku. - Pogue wstał i podszedł do żeliwnego piecyka stojącego w rogu. Napełnił kawą kubki i podał je gościom. Przez dłuższą chwilę w milczeniu obserwował Annie. - Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Pete'em Mundym?

- Trzy miesiące temu. Rankiem tego dnia, kiedy on i chłopcy zostali zabici.

- Może mi pani opowiedzieć, jak to się stało?

Annie poprawiła się na krześle, walcząc z naturalną niechęcią do rozmowy z przedstawicielem prawa. Takie same pytania zadawał jej szeryf Cayne. Wiedziała, że jeszcze nieraz je usłyszy. Najlepiej będzie odpowiadać, aż wreszcie jej uwierzą.

- Chłopcy zaplanowali napad na pociąg przewożący wypłaty. Zwykle czekałam w domu na wypadek, gdyby któryś został ranny. Tamtego ranka jednak miałam wyjechać na dobre. Banda stała się zbyt brutalna jak na mój gust, a akcje coraz poważniejsze. Nie chciałam brać w tym wszystkim udziału. Zanim jednak ich opuściłam, pojechałam za nimi do torów i znalazłam sobie kryjówkę. Musiałam się upewnić, że żaden nie potrzebuje pomocy. Uważałam, że przynajmniej tyle jestem im winna.

- I co dalej?

- Okazało się, że to zasadzka. W wagonie pocztowym nie było pieniędzy, tylko stróże prawa. Otworzy-

li drzwi i zaczęli strzelać do chłopaków, zanim ci zdążyli sięgnąć po broń albo podnieść ręce.

Annie wzdrygnęła się na straszne wspomnienie. Wszystko trwało niecałą minutę, ale jej zdawało się, że całą wieczność. Pamiętała zgrzyt rozsuwanych drzwi wagonu pocztowego i widok uzbrojonych ludzi w środku. Słyszała każdą wystrzeloną kulę, a musiały być ich setki. Słyszała krzyki chłopców. Patrzyła przerażona, jak spadają z wierzchołków i widać się w agonii. Czuła zapach krwi.

Ukrywała się w lesie, za daleko, żeby strzelać albo w jakikolwiek sposób ich ratować. Mogła tylko patrzeć, jak umierają. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, poruszyć się ani nawet odwrócić wzroku. Siedziała na koniu jak skamieniała. Przed oczami miała scenę niczym z koszmarne snu. Tyle że ten koszmar rozgrywał się na jawie.

- Jest pani pewna, że zginęli? - zapytał szeryf.

Annie głośno przełknęła ślinę.

- Wiem, jak wygląda martwy człowiek.

•! - Wszyscy?

- Tak.

Pogue zmarszczył brwi.

- Przekonajmy się, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Twierdzi pani, że Pete Mundy, Frank Wade, Neil Abbott, Woodie Harold i Diego Martinez zginęli z rąk stróżów prawa, którzy zastawili na nich pułapkę i wystrzelali ich z zimną krwią?

- Zgadza się.

- Nie zastanowiło pani, że ci ludzie wykończyli słynną bandę Mundy'ego i nie pisnęli o tym ani słowa, nie odebrali nagrody? Nie wydaje się pani dziwne, że taka sensacyjna wiadomość nigdy nie trafiła do gazet? Wszyst-

kie gazety powinny o niej trąbić przez wiele tygodni.

- Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania, szeryfie, ale wiem, co widziałam.

- Do czego zmierzasz, Walt? - odezwał się Jake.

- Zaraz ci powiem. - Pogue skierował wzrok na Annie. - Nie wierzę w zbiegi okoliczności, panno Foster, a mamy ich tutaj sporo. Zaczniemy od tego, co wydarzyło się w północnej części miasta, gdy pani przypadkowo wzniciła pożar w ratuszu. Pięciu mężczyzn próbowało włamać się do banku.

Niedawna strzelanina! Annie zeszywniała, czekając na dalszy ciąg złych nowin.

- Na twarzach mieli chustki, ale moi ludzie i ja zobaczyliśmy dość szczegółów, żeby się domyślić, kim są bandyci. Chciałaby pani usłyszeć?

- Tak - wykrztusiła.

- Dobra. Jeden z mężczyzn to Meksykanin. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, czarne kręcone włosy. Duża kara klacz i czarne siodło ozdobione czerwonymi krzyżami.

Diego. Opisy trzech kolejnych mężczyzn pasowały do Franka, Neila i Woodiego.

- Przywódca gangu był wysokim, szczupłym facetem o długich jasnych włosach. Miał na sobie skórzaną kamizelkę z długimi frędzlami i wymyślnym haftem oraz czarne buty z niezwykle ostrogami. Wyglądały jak małe srebrne strzały. Jechał na gniadym wałachu z białą skarpetką na lewej przedniej nodze. Zna pani takiego człowieka?

Pete.

Nieemożliwe. Chłopcy z gangu nie żyli. Widziała, jak umierają.

Annie uniosła głowę i spojrzała szeryfowi w oczy.

- Nie wiem, kim są ci ludzie, **ale** na pewno nie **banda** Mundy'ego.

- Czyżby?

Jake poprawił się na krześle i utkwiał w szeryfie nieruchome spojrzenie.

- Myślałem, że się zrozumieliśmy, Walt.

Pogue spiorunował go wzrokiem.

- Nie jest dobrze. Jeśli obywatele Two River Flats dowiedzą się, że puściłem wolno Dziką Annie po tym, jak szajka Mundy'ego próbowała obrabować bank, w przyszłym roku będę miał kłopoty z ponownym wyborem na stanowisko szeryfa. Zwłaszcza kiedy wyjdzie na jaw, że podpaliła ratusz dokładnie w chwili, gdy bandyci dokonywali napadu. Ludziom nie podobają się takie zbiegi okoliczności.

- Ile? - zapytał Jake bez ogródek.

Annie i Pogue jednocześnie spojrzeli na Morana.

- Ile będzie kosztowało załatwienie sprawy?

- To nie jest kwestia pieniędzy.

Jake uśmiechnął się półgębkiem.

- Wszystko jest kwestią pieniędzy, Walt. - Sięgnął po papier i pióro, napisał kilka słów oraz cyfr i podał kartkę szeryfowi. - To polecenie wypłaty. Zanieś je rano do banku. Suma wystarczy na pokrycie szkód i jeszcze trochę zostanie.

Wyciągnął rękę *do Annie* i pomógł *jej wstać*.

- Zrobiłeś dobrą robotę, Walt. Powstrzymałeś bandę Mundy'ego przed obrabowaniem banku, pozbyłeś się z miasta Dzikiej Annie i znalazłeś pieniądze na odbudowę ratusza po pożarze. Moim zdaniem uczciwie zapracowałeś na pensję.

Annie drgnęła, słysząc swój dawny przydomek z ust Morana. On też nie uwierzył w jej zapewnienia, że

chłopcy z gangu nie żyją. Z jakiegoś powodu jego nieufność zabolą ją szczególnie.

Walter Pogue schował świstek do kieszeni i wstał z za biurka. Popatrzył na Morana niemal z wrogością.

- Spodziewam się od ciebie wiadomości w ciągu kilku następnych tygodni, Jake.

Mężczyzna skinął głową.

- Dostaniesz ją.

Gdy wyszli na ulicę, Annie spojrzała na Jake'a.

- O co chodziło?

- O nic. Interesy między starymi przyjaciółmi.

Dochodziła północ. Miasteczko opustoszało. Rzeźkie jesienne podmuchy, którymi Annie rozkoszowała się w dzień, teraz zmieniły się w mroźny wiatr przenikający do szpiku kości. Z okien hotelu sączył się łagodny blask, obiecując ciepło i bezpieczeństwo. Kobieta przyspieszyła kroku.

Dotarłszy na miejsce, od razu ruszyli na górę. Annie zatrzymała się przy swoim pokoju, szukając w myślach odpowiednich słów. W końcu uśmiechnęła się i stwierdziła wesołym tonem:

- Przynajmniej zrobiłam wrażenie.

Jake patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a następnie potrząsnął głową. Jego wargi wykrzywiły się w lekkim uśmiechu.

- Następnym razem, kochanie, postaraj się zrobić dobre.

11

Opuścili miasto następnego ranka tuż po świcie. Annie jechała ostro, gnana strachem, desperacją i wściekłością. Nie analizowała swoich uczuć ani nie rozmawiała o nich z Moranem. Po prostu pędziła bez wytchnienia. Chciała jedynie zostawić Two River Flats jak najdalej za sobą.

Po południu zatrzymali się na brzegu rzeki, wezbranej po ostatnich deszczach. Pamiętając ostatni raz, kiedy przejeżdżała tędy z chłopcami, Annie policzyła w myślach odległość do najbliższego brodu. Co najmniej trzy dni jazdy i trzy dni z powrotem. Razem prawie tydzień. Oboje przez dłuższą chwilę patrzyli w milczeniu na wodę.

- Nadłożymy drogi - powiedział w końcu Jake z westchnieniem.

- Przeprowadzimy się - oświadczyła Annie, wsadziła Kota pod kurtkę i spięła Dulcie ostrogami.

- Do diabła, Annie! Zaczekaj!

Kobieta nie zważała na jego okrzyk. Jake Moran mógł pójść w jej ślady albo nie. Wybór należał do niego. Teraz pozostało jej jedynie mocno trzymać się w siodle. Klacz zesłała po mulistym brzegu. Wystraszyła się, gdy woda sięgnęła jej po kolana. Annie ścisnęła udami boki Dulcie, kierując ją na środek nurtu.

Po chwili usłyszała za sobą głos mężczyzny.

- Mam nadzieję, że dobrze się zastanowiłaś.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Lodowata, błotnista

ciecz spryskała jej twarz i przemoczyła ubranie. Ostre wiry groziły pociągnięciem na dno. Woda okazała się znacznie głębsza, niż można by przypuszczać. Dulcie zaczęła pływać. Annie zsunęła się z siodła i kurczowo chwyciła strzemia. Jednocześnie starała się trzymać głowę na powierzchni, chronić Kota przed utonięciem i siebie przed kopytami klaczy. Coraz bardziej realne było niebezpieczeństwo porwania przez prąd.

Obejrzała się przez ramię, ale nie zobaczyła Jake'a i Weeda. Zimna woda zalewała jej oczy. Moran na pewno walczył z nurtem tak samo jak ona.

Dulcie w końcu dotarła na drugi brzeg i wyskoczyła z rzeki, prychając i ciężko dysząc. Annie na czworakach przedarła się przez krzaki i wygramoliła na twardy grunt. Prąd porwał jej kapelusz, włosy opadły na twarz niczym rzeczne wodorosty. Oblepiało ją co najmniej dziesięć kilo błota i mułu, w butach chlupotało. Na domiar wszystkiego straciła połowę dobytku. Ale żyła.

Odwróciła się, słysząc odgłos kopyt. Jake siedział na grzbiecie Weeda, w miarę suchy i czysty. Spojrzał na nią i parsknął śmiechem.

- Wyglądasz jak zmokła kura, skarbie.

Annie wypuściła nieszczęśliwego Kota spod kurtki i wstała z godnością.

- Dziękuję.

- Czy kiedykolwiek zdarza ci się pomyśleć, zanim coś zrobisz?

- Udało się nam, prawda? - warknęła, tracąc cierpliwość.

- Dlaczego zawsze musisz być taki zadowolony z siebie?

- Nie jestem zadowolony, tylko po prostu mam rację.

- Oszczędziliśmy sześć dni.

- Jak twoje rewolwery?

Annie spojrzała w dół, przerażona i zmieszana. Nie

tylko niewłaściwie oceniła głębokość rzeki, ale również nie wpadła na pomysł, żeby zabezpieczyć broń. Rewolwery i pas z amunicją zamokły. Stały się całkiem bezużyteczne. Jake nie dość że został w siodle, to jeszcze owinął pas z nabojami i koltami wokół piersi, a strzelbę uniósł wysoko nad głowę.

Ona natomiast była przemoczona do suchej nitki, zmarznięta na kość i bezbronna. Chłodny podmuch wiatru przejął ją dreszczem. Napięcie ostatnich dni, egzekucja, bandyci, pożar, pojawienie się bandy Mundy'ego... Za dużo tego wszystkiego na jedną osobę. Emocje, które do tej pory trzymała na wodzy, wykipiały z niej jak z nie pilnowanego garnka.

Annie poczuła w gardle bolesne ściskanie. Do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugała szybko i przełknęła ślinę, odwracając się plecami do Jake'a.

Mężczyzna westchnął i zsiadł z konia. Podeszedł, otoczył ją ramieniem, przytulił i łagodnie zaczął głaskać po włosach.

- Śmiało, Annie. Wypłacz się, jeśli masz ochotę.

Annie wzięła głęboki oddech i zacisnęła pięści po bokach.

- Nigdy nie płaczę.

- Wiem.

Jego ton sprawił, że zaczęła płakać jeszcze mocniej.

- Cii, kochanie. Wszystko w porządku. Będzie dobrze.

Moran usiadł na ziemi i wziął ją na kolana. Kołysał delikatnie i pozwalał się wypłakać, od czasu do czasu mrucząc bezsensowne słowa i delikatnie gładząc po karku. Wreszcie łzy obeschły. Kobieta wytarła twarz o kołnierz męskiej kurtki.

- Już lepiej? - zapytał Jake, podając jej chusteczkę.

Annie wydmuchała nos.

- Nie.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyjął z kieszeni butelkę.

- Łyknij sobie. To ci poprawi humor.

- Nie chcę.

- Pij.

Annie pociągnęła duży łyk. Alkohol zapiekł ją w gardle, ale kiedy dotarł do żołądka, rozlało się po niej miłe ciepło. Kobieta napiła się jeszcze trochę.

Jake wyjął jej butelkę z ręki.

- Wystarczy, kochanie. Już doszłaś do siebie.

Annie oparła się o szeroką pierś mężczyzny i westchnęła z zadowoleniem. Było jej wygodnie i przyjemnie jak w puchowej pościeli. Po chwili uniosła głowę i spojrzała na Jake'a. Serce zabiło jej mocniej, gdy w jego oczach dostrzegła ten sam wyraz, który zobaczyła, kiedy się całowali. Nie odrywając od niego wzroku, bez wahania podsunęła mu usta. Mężczyzna wolno przesunął po niej spojrzeniem i... odsunął się.

- Lepiej przebierz się w suche ubranie, nim dostaniesz zapalenia płuc.

Annie skinęła głową i wstała zmieszana. Moran podszedł do swoich juków i wyjął czyste kalesony, grube wełniane skarpety, dwie flanelowe koszule i drelichy do jazdy konnej.

- Będą na ciebie za duże, ale przynajmniej suche. Możesz się ubrać za krzakami, a ja tymczasem poszukam chrustu na ognisko.

Annie wzięła od niego rzeczy i podziękowała mrukliwie. Rzeczowy ton mężczyzny pomógł jej uwolnić się od zakłopotania. Ubranie, choć zbyt obszerne, było ciepłe i pachniało Jake'em.

Gdy wyszła ostrożnie z ukrycia, zobaczyła, że Moran nie tylko rozpałił ogień, ale także oporządził konie

i nastawił kawę. Annie rozłożyła swoje rzeczy do wyschnięcia i usiadła przy ognisku. Mężczyzna podał jej parujący kubek oraz dwie kanapki z szynką i serem, kupione przed wyjazdem w restauracji.

Jadła wolno, patrząc na migoczące płomienie. W pewnym momencie powędrowała wzrokiem ku mężczyźnie. Celowo położył rewolwery pod ręką czy tylko jej się zdało? Wyglądał na spokojnego i odprężonego, ale czuła w nim gotowość. Zupełnie jakby obawiał się kłopotów.

- Myślisz, że ludzie mogą wracać z zaświatów? Wierzysz w duchy?

- Nie.

- Ja też nie.

- Mówisz o Mundyach.

Annie zaśmiała się niepewnie, ramionami objęła kolana i położyła na nich brodę.

- A o kimże by innym? Nasuwają się dwa pytania. - Westchnęła głęboko. - Po pierwsze, kto zeszłej nocy próbował obrabować bank i dlaczego ci ludzie przebrali się za bandę Mundy'ego? Po drugie, dlaczego kłamię, że chłopaki nie żyją? - Zmierzyła Morana uważnym spojrzeniem. - Powiedz, które z nich sobie zadajesz?

- Oba.

Na jej wargach pojawił się cierpki uśmiech.

- Jeszcze się nie zdecydowałeś, czy mi ufać?

- A ty mi ufasz? - odparował Jake.

Annie patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła wzrok ku horyzontowi. Myślała o pocałunku w hotelu i o tym, przed którym mężczyzna niedawno się cofnął.

- Zabawna sytuacja. Jesteśmy jak dwa obwąchujące się kundły.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Wyraziłbym to inaczej, ale owszem, masz rację. -
A po krótkiej pauzie dodał: - Istnieje jeszcze trzecia
możliwość. Chłopcy wcale nie zginęli. Zostali ciężko
ranni, ale przeżyli.

Annie gwałtownie potrząsnęła głową.

- Wiem, co widziałam. Z całą pewnością byli martwi.

- Dobrze. Powiedzmy, że nie żyją. Myślisz, że za na-
padem może stać Wężowa Skóra? Skoro znał Pete'a
Mundy'ego, nie miałby trudności z zajęciem jego miej-
sca, nie sądzisz?

- Wężowa Skóra? - powtórzyła Annie z lekcewaze-
niem. - Do diabła, nie. To tchórz, chętnie rzucający się
na słabszych i prostak pozbawiony krzty rozumu.

Zapadła cisza.

- Czas, żebyśmy porozmawiali ze sobą szczerze -
stwierdziła kobieta po chwili pogodniejszym tonem.

Jake uniósł brew.

-Jestem za.

- Ludzie, którzy podszywają się pod bandę Mun-
dy'ego, wcześniej czy później mnie odnajdą. Tak należy
przypuszczać, skoro znaleźli się w Two River Flats w tym
samym czasie co ja. Zgadzam się z szeryfem Pogue'em,
że to dziwny zbieg okoliczności. Może być gorąco. Nie
ma potrzeby, żebyś nadstawiał karku. Ci faceci to moja
sprawa, a nie twoja. Jedźmy osobno i spotkajmy się
w Cooperton. Będziesz mógł nawet zatelegrafować do
szeryfa, że eskortowałeś mnie przez całą drogę. Wtedy od-
zyskasz pieniądze. Nie pisnę ani słowa.

Moran przyglądał się jej przez dłuższą chwilę z nie-
przeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie zamierzam uciekać.

- Jesteś pewien?

Miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać ulgi.

- Tak.

- W takim razie porozmawiajmy o moim długi. Ile wyniosły straty w ratuszu?

Jake wymienił sumę. Annie zamrugała, starając się ukryć przerażenie.

- Oddam ci wszystko, ale dopiero w Cooperton. Wezmę pożyczkę pod zastaw hotelu.

- Mogę poczekać. - Jake spojrzał jej w oczy. - Czy właśnie z powodu pożaru ratusza byłeś ostatnio w złym nastroju?

Annie odwróciła wzrok, zakłopotana.

- Między innymi. Póki ci faceci rabują banki i dyliżanse, podszywając się pod bandę Mundy'ego, ludzie nie uwierzą w moją przemianę, choćbym nie wiem co zrobiła. Nigdy nie stanę się szanowaną osobą.

Jake dolał kawy do kubków, oparł się o zwalony pień i wyciągnął przed siebie nogi. Na jego twarzy malował się wyraz zrozumienia.

- Może opowiesz mi o wczorajszym wieczorze - zaproponował.

Annie wzruszyła ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Ludzie potraktowali mnie nie tak, jak oczekiwałam.

- Może tylko tak ci się wydawało.

Kobieta gwałtownie potrząsnęła głową.

- Wiem to na pewno, uwierz mi. Byłam równie mile widziana jak pryszcz na nosie.

- Co się stało?

- Nie wiem. Wystroiłam się w nową suknię i w ogóle, ale łypali na mnie spode łba i szydzili za moimi plecami. Wszędzie słyszałam: Dzika Annie i nieprzyjemne chichoty. Zwłaszcza wśród dam. Po prawdzie, te damy są gorsze od wielu wyrzutków, jakich znałam. Szczegół-

nie te w eleganckich kapeluszach. Zauważyłaś, że im bardziej wymyślny kapelusz, tym wredniejsza baba. Gdy podchodziłam, żeby się przedstawić, pokazywali mi plecy. Może zasłużyłam na takie traktowanie, skoro należałam do bandy, ale myślę, że każdy powinien dostać szansę, prawda?

Jake pokiwał głową.

- Jasne.

Annie dumiała przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

- W końcu postanowiłam, że zostanę, by chociaż posłuchać muzyki i popatrzeć, jak ludzie tańczą. Poza tym chciałam im pokazać, że mnie nie wypłoszą. Ja przynajmniej jestem na tyle dobrze wychowana, żeby odpowiedzieć, jak ktoś wita mnie uprzejmie.

- A co z Dwightem?

- Z nim? - Annie skrzywiła się z niesmakiem. - To wszystko wydarzyło się trochę później. Podszedł do mnie razem z kolegami. Śmiali się głośno i hałasowali. On wypił więcej niż pozostali. Miał szklane oczy i kłopoty z chodzeniem. Nogi mu się plątały. Oddech cuchnął whisky.

- Co było dalej?

- Bełkotał, że chce ze mną zatańczyć, ale odmówiłam. Powiedziałam „Nie, dziękuję”, tak jak nakazuje „Poradnik Winstona”.

- Domyślam się, że Dwight nie uznał tego za odpowiedź.

- Rzeczywiście. Może mężczyźni w Nowej Anglii przeczytali tę książkę i znają maniery, ale na Zachodzie dziewczyna musi czasem użyć siły, żeby jej posłuchano, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Jake nie zadał sobie trudu ukrycia uśmiechu.

- A jakiej siły użyłaś?

- O, niewielkiej. Próbował mnie wyciągnąć na par-kiet, więc walnęłam go w tłusty bęc. Niezbyt mocno, ale dostatecznie, żeby mnie puścił i zgiął się w pół. Wte-dy wmieszał się Kot.

Jakby wyczuwając, że o nim mowa, stworzenie wsko-czyło Annie na kolana i fuknęło na mężczyznę z mniej-szą złością niż zwykle. Potem machnęło ogonem, łaska-wie pozwalając pani dokończyć opowieść, i zwinęło się w kłębek.

- Chyba uznał, że jestem w tarapatach, i postanowił mi pomóc. Wskoczył Dwightowi na plecy. Głupiec za-czął wyć i miotać się, jakby dopadł go wilk, a nie słodki mały kociak. Zatoczył się do tyłu i przewrócił kilka lamp, jak już opowiadałam szeryfowi. Tak wybuchł pożar.

- Teraz rozumiem.

Annie przygryzła dolną wargę.

- Myślisz, że dobrze postąpiłam? Chyba nie wie-rzysz, że celowo podpaliłam ratusz, co?

- Uważam, że zachowałaś się właściwie.

Kobieta nie przeoczyła faktu, że Moran nie wypowie-dział się, czy wzniesienie przez nią pożaru uważa za umyślne czy przypadkowe. Dręczyły ją jednak ważniej-sze sprawy.

- A jeśli coś podobnego wydarzy się w Pałace? Jak mam udowodnić, że już nie jestem Dziką Annie, tylko damą?

- Nie musisz niczego udowadniać. Kobieta zawsze jest damą, chyba że bardzo nie chce nią być. Tak czy inaczej, ciężar dowodu nigdy nie spoczywa na damie.

Annie od razu się rozpromieniła.

- Naprawdę? Gdzie się tego dowiedziałeś? Wyczyta-łeś w jakiejś książce prawniczej?

Jake uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Dobre południowe wychowanie, zapamiętaj sobie.

Przez parę minut siedzieli w milczeniu, pograżeni we własnych myślach. Wreszcie Annie przerwała ciszę.

- Kto wie? Może ci bandyci, którzy udają chłopaków Mundy'ego, wcale za mną nie pojedą. Może skierują się na północ albo znikną gdzieś na zachodzie. Może ostatnie wydarzenia nie mają ze mną nic wspólnego.

- Naprawdę w to wierzysz?

Kobieta zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, ale pomyślałam, że ty dasz się nabrać.

- Posłuchaj, kochanie, dotrzemy do twojego wytwornego hotelu i wszystko będzie dobrze.

Annie bez przekonania pokiwała głową. Wątpiła też, czy Jake Moran wierzył we własne zapewnienia.

Jake nie wiedział, co sądzić o opowieści Annie. Kilka ostatnich godzin podróży spędził na rozmyślaniach, ale nie doszedł do ostatecznego wniosku. Nawet teraz, kiedy się zatrzymali i szukali miejsca na obozowisko, nie przestawał dumać.

Chciał dać wiarę słowom Annie, więc sam siebie przekonywał o jej niewinności. Wszystko wskazywało na to, że kobieta szczerze pragnie zacząć nowe życie. Była zbyt bezpośrednia i prostolinijna, żeby wymyślić rozbudowane kłamstwo o śmierci chłopców. Co prawda, jej kilkugodzinne zniknięcie w tym samym dniu, kiedy banda Mundy'ego próbowała dokonać napadu na bank, budziło podejrzenia, ale rzeczywiście mógł to być zbieg okoliczności.

Annie nie należała do kobiet, które chroniłyby szajkę morderców. Jake'owi przypomniała się chwila, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Stała wtedy z pętlą na szyi i patrzyła na wrogi tłum z mieszaniną odwagi

i gniewu. Wspomniał, jak go pocieszała, że nie z jego winy Południe przegrało wojnę. Pamiętał, jak zaatakowała uzbrojonych bandytów, a później ryzykowała życie dla bezpiecznego kota. Najmocniej jednak wrył mu się w pamięć obraz nagiej Annie, przesłoniętej jedynie sosnową gałązką. Choć żaden z tych faktów nie dowodził bezpośrednio niewinności, wszystkie razem przewały szalę na jej korzyść.

Nauczony doświadczeniem, Moran nie lekceważył również intuicji, a ta podpowiadała mu, że Annie mówi prawdę.

- Może tam?

Kobieta wyrwała go z zamyślenia, wskazując na trawiastą polankę, otoczoną wysokimi topolami.

Jake skinął głową i zsiadł z konia. Została jeszcze godzina dziennego światła, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby wcześniej się zatrzymać. Ostatniej nocy niewiele spał. Annie zapewne też. Rozejrzał się bez entuzjazmu po miejscu na obóz. Marzył o miękkim łóżku i dobrej kolacji: pieczonym kurczaku, tłuczonych ziemniakach, pomidorach, zielonym groszku i wielkim kawałku ciasta czekoladowego na deser.

Rozłożył koc na zimnej, twardej ziemi i wygrzebał z juków suszoną dziczyznę, jabłka i parę twardych ciasteczek. Podzielił zapasy na dwie części. Mięso było twarde jak podeszwa i bardzo słone, jabłka mączyste i bez smaku. Annie zjadła wszystko bez narzekania. Jake poszedł za jej przykładem.

Spojrzał w niebo. Chmury nad nimi były delikatne jak koronka, ale znad horyzontu nadciągały już inne, czarne i groźne. W ścianach kanionu znajdowało się kilka płytkich jaskiń, do których mogli się schronić w razie burzy.

Tymczasem Annie korzystała z resztek dziennego światła, żeby pilnie studiować „Poradnik Winstona”.

- Jak ci idzie? - zapytał Jake.

Kobieta podniosła wzrok i westchnęła.

- Chyba dobrze. Tyle jest do zapamiętania.

- Chcesz trochę poćwiczyć?

Oczy zabłyśły jej entuzjazmem.

- Byłbyś taki uprzejmy, Moran?

Prawdę mówiąc, Jake'a niepokoiła myśl, że z Annie zrobi się pusta, nudna, rozchichotana damulka, którą Winston i społeczeństwo miało za ideał kobiety. Owszem, potrzebowała nieco ogłady, ale wcale nie musiała się zmieniać. Wszystkie rzekomo złe nawyki doskonale do niej pasowały.

Na przykład śmiech, u Annie donośny i szczery, podczas gdy kobieta powinna śmiać się wysoko i srebrzyście jak dzwonki u sań, sunących po polu w śnieżną, rozgwieżdżoną noc. Kobieta powinna flirtować, wdzięczyć się, trzepotać rękami i skromnie opuszczać wzrok. Annie patrzyła mężczyźnie prosto w oczy. Kobieta powinna unikać wygłaszania opinii. Annie była otwarta i śmiała. Kobieta powinna drobić i kołysać biodrami. Annie wprawdzie kołysała biodrami, ale stawiała długie i zdecydowane kroki. Poruszała się zmysłowo, ale robiła to nieświadomie.

Jeśli jednak hotel Palace Hotel rzeczywiście był tak elegancki, jak twierdziła nowa właścicielka, przydałoby się jej trochę lekcji dobrego wychowania.

- Może zaczniemy od twojego sposobu mówienia?

Annie ściągnęła brwi.

- A co, do diabła, jest nie w porządku z moim sposobem mówienia?

- Myślę, że Winston potępia używanie przekleństw wszelkiego rodzaju.

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

- Chodzi ci o „do diabła” i „cholera”?

- Tak.

Annie westchnęła boleśnie.

- Chrzanić to.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- O tym zwrocie też lepiej zapomnij.

- Jeszcze trochę i w ogóle nie będę mogła się odezwać.

- Jak cię znam, kochanie, zawsze będziesz miała sporo do powiedzenia. Tylko spróbuj pomijać wulgaryzmy.

- Czytałam o tym, ale sądziłam, że Winston ma na myśli naprawdę brzydkie przekleństwa. No wiesz, słowa, które faceci używają, gdy zrzuci ich narowisty koń.

- Wszystkie. W twojej obecności nie może również przeklinać żaden mężczyzna. Powinnaś zawsze dać to jasno do zrozumienia.

- W jaki sposób?

Jake zastanawiał się przez chwilę.

- Za każdym razem, kiedy mężczyzna powie albo zrobi coś, co uznasz za naganne lub obraźliwe, mówisz coś takiego: „Oczekuję lepszego zachowania, proszę pana”.

- Oczekuję lepszego zachowania, proszę pana - powtórzyła Annie z uśmiechem. — Podoba mi się. Proste i dystygowane. Co mi jeszcze doradzisz?

- Mogłabyś również zastanowić się, nim wypowiesz swoją opinię na jakiś temat.

Annie spochmurniała, wyraźnie zaskoczona.

- Dlaczego?

- Jesteś zbyt pewna siebie.

- Co w tym złęgo, do diabła... to znaczy, do licha?

- Mężczyznom nie podobają się takie kobiety.

- Dlaczego?

- Czują się gorsi, bo nie mają nad tobą władzy.

- Naprawdę? - Na ustach Annie pojawił się złośliwy uśmiešek. - Czego jeszcze nie lubią mężczyźni?

- Annie... - zaczął Jake ostrzegawczym tonem.

Kobieta zadarła podbródek.

- W życiu nieraz spotykałam grubiańskich mężczyzn. Czemu miałabym nie odpłacić im równą monetą, gdy trafi się okazja? Spróbuję ograniczyć przeklinanie i może nawet opanować kilka zasad gramatycznych, ale będę mówić, co mi się podoba.

Jake wzruszył ramionami.

- Twój wybór, kochanie. Chcesz zachowywać się jak dama albo nie.

Annie naburmuszyła się i już otworzyła usta, żeby rzucić cierpką uwagę, ale raptem je zamknęła, patrząc ponad ramieniem mężczyzny.

- Skończyliśmy na razie?

- Tak, jeśli chodzi o mnie.

Kobieta powędrowała wzrokiem ku temu samemu punktowi za plecami Morana.

- To dobrze, bo zdaje się, że nasz przyjaciel wrócił.

Jake napiął mięśnie, ale nie obejrzał się. Niedbale wyjął z kieszeni tytoń i skręcił papierosa. Zapalając go, odwrócił się lekko, jakby chronił płomyk przed wiatrem. Nie uniósł głowy, tylko zerknął spod ronda kapelusza. Wśród poszarpanych skał i gęstych krzaków porastających strome zbocze dostrzegł błysk metalu.

- Strzelba.

- Indianin?

- Nie sądzę. Broń za bardzo lśni. - Obrzucił Annie badawczym wzrokiem. - Garvey Wężowa Skóra?

- Może. Niech mnie diabli, bardzo chciałabym się przekonać.

Jake nie poprawił jej, tylko uśmiechnął się szeroko.

- Ja również, kochanie. Ja również.

Zaciągnął się papierosem, obmyślając sposób działania. Wiedział, że nie mogą wprost ruszyć na prześladowcę, bo nie tylko wystawią się na strzał, ale dadzą mu czas na ucieczkę.

- Jesteś dobrą aktorką?

- A co?

Moran szybko przedstawił jej plan.

- Dlaczego ty masz iść?

- Bo to mój pomysł, kochanie.

Jake ruszył do Weeda. Ujął wodze i zaprowadził go w cień gęstego listowia. Zdjął siodło i położył je na widocznym miejscu. Wyjął z juków zgrzebło i spokojnie zaczął szcztokować konia. Po chwili podeszła do niego Annie, prowadząc Dulcie. Gawędzili niedbale, jakby ciągnęli dalej przerwana rozmowę. Moran przesuwiał się stopniowo wraz z Weedem, tak że w pewnym momencie całkiem zasłoniły ich drzewa.

Gdy tylko zniknął z widoku, dosiadł wierzchowca na oklep i ruszył przez zarośla ku skałom, wśród których dostrzegli błysk. Obejrzawszy się przez ramię, z zadowoleniem stwierdził, że Annie swobodnie rozprawia i gestykułuje, jakby stał obok niej.

Zatoczył duży krąg, żeby zająć intruza od tyłu. Pod osłoną krzaków wdrapał się po zboczu. Z góry dojrzał mały obóz.

Obcy kucał za dwoma głazami. Był ubrany w brązową koszulę, czarne spodnie i ciemne buty. Płaski kapelusz miał nasunięty na czoło. W pobliżu stał osiodłany gniady wałach. Nad ogniskiem smażyła się ryba i wisiał dzbanek z kawą. Jake dostrzegł również broń wycelowaną w polankę, na której zostawił Annie.

Natychmiast sięgnął do kabury, ale w tym momen-

cie rozbrzmiał za nim wystrzał. Mężczyzna zerwał się, uniósł strzelbę i nacisnął spust, nim Jake zdążył wyjąć rewolwer.

Moran poczuł żar kuli, która o włos minęła jego ramię. Weed stanął dęba i zrzucił go z grzbietu. Jake uderzył głową o skalę. Pociemniało mu w oczach. Szybko doszedł do siebie i potoczył się pod osłonę skał.

Usłyszał, że nieznajomy ponownie ładuje broń. Dźwignął się, przykląkł na jedno kolano i oddał sześć strzałów w kierunku mężczyzny. Chwycił drugi rewolwer, ale nim zdołał wystrzelić, obcy wskoczył na konia i puścił się galopem przez gęstwinę krzaków porastających stok.

Jake usłyszał za sobą tętent kopyt. Odwrócił się błyskawicznie i uniósł broń. Na widok Annie odetchnął z ulgą i opuścił rękę. Kobieta zeskoczyła z wierzchowca i podbiegła do niego.

- Co to był za strzał, do diabła? - warknął Moran.
Annie poczerwieniała z zakłopotania.

- Upuściłam rewolwer.

- Co takiego?

- Jechałam ci na pomoc. Wyciągnęłam broń z kabury i... sama nie wiem, jak to się stało. Po prostu upadła mi na ziemię. Przepraszam.

- Cholera.

Kobieta położyła ręce na biodrach i gniewnie ściągnęła brwi:

- Nie chciałam jej upuścić.

- Wiem, wiem - powiedział Jake z ciężkim westchnieniem.

Machnął ręką, ale nie potrafił ukryć irytacji. Gdyby Annie trzymała się jego planu, dopadłby obcego, który ich śledził. A tak, omal nie zarobił kuli.

- Co z facetem?

- Uciekł.

- Widzę. Pytam, czy go rozpoznałeś.

- Rozpoznałbym, gdybyś została na swoim miejscu, tak jak cię prosiłem.

- Posłuchaj, naprawdę żałuję.

Uklękła i delikatnie zaczęła rozpinąć mu guziki koszuli. Jake chwycił ją za rękę.

- Co robisz, u licha?

- Twoje ramię krwawi. Głowa też.

- Zostaw - rzucił krótko.

Z oddali dobiegł trzask pioruna. Nagły podmuch wiatru zerwał Jake'owi kapelusz. Mężczyzna przydepnął go piętą, a następnie otrzepał z kurzu. Dulcie i Weed nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

- Wynośmy się stąd - burknął Moran.

- Zaczekaj - powiedziała Annie, nie zważając na jego ton. - Wiele razy opatrywałam chłopców, kiedy byli ranni. Teraz również sobie poradzę.

Zdjęła chustkę z szyi, zmoczyła ją wodą z manierki i wprawnie przyłożyła do głowy Jake'a. Tępy ból ustąpił po kilku minutach. Annie cofnęła rękę.

- To tylko małe skaleczenie.

Zdjęła mu koszulę. Choć kula ledwo go drasnęła, Jake nie protestował, bo dotyk Annie sprawiał mu przyjemność. Miękkie dłonie działały kojąco. Kobieta zmarszczyła czoło w skupieniu i przetarła mu ramię wilgotną chustką. Długie włosy musnęły jego pierś, lekko jak skrzydełka motyli. Powiew wiatru rozsypał je po nagim torsie, odurzając mężczyznę subtelnym zapachem.

Gdy Annie pochyliła się jeszcze niżej, Jake poczuł ciepło jej oddechu na skórze. Miękka flanela koszuli rozchyliła się lekko, odsłaniając krągłe piersi. Na ten widok zawrzała w nim krew. W pewnym momencie ko-

bieta otarła się o niego udem. Moran jęknął cicho. Annie natychmiast się wyprostowała.

- Boli?

- Nie. Nie przeszkadzaj sobie.

- Postaram się być ostrożniejsza.

Mężczyźnie udało się powstrzymać uśmiech.

- Dobrze, kochanie.

Jej bliskość zapierała oddech, przyspieszała bicie serca, doprowadzała do szaleństwa. Jake czuł, że jeszcze minuta słodkich tortur, a eksploduje.

Źle pojęta rycerskość kazała mu ostatnim razem wycofać się mimo oczywistego zaproszenia, które dostrzegł w oczach Annie. Pocieszał ją wtedy, a nie uwodził. Nie chciał wykorzystywać jej chwili słabości. Teraz stwierdził, że dość już respektu jak na jeden dzień. Mama wychowała go na dżentelmena, a nie na zupełnego idiotę.

Jego ręce poruszały się jakby z własnej woli, dotknął jedwabistych pasm. Annie raptownie uniosła głowę. Nie odepchnęła jego dłoni, tylko utkwiała w nim piwne oczy, dzikie i zarazem łagodne. Jak zwykle na jej twarzy wyraźnie malowały się uczucia. Jake dostrzegł zaskoczenie i... chyba przyjemność.

Delikatnie przesunął palcami po satynowym policzku, brodzie, szyi i kruchym obojczyku. Skóra Annie była jak aksamit, miękka i ciepła. Kobieta nie ruszała się, jakby niepewna, co robić. Mężczyzna uniosł rękę i opuszkami powiódł po jej wargach.

Z jakiegoś powodu ten gest przełamał czar. Annie gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. Przebiegł przez nią lekki, prawie niezauważalny dreszcz. Wtuliła twarz w jego dłoń i musnęła ustami jej wnętrze.

Spontaniczny pocałunek wstrząsnął Moranem do

głębi. Zniknęła gdzieś chłodna wyniosłość, z jaką traktował świat. Raptem ukazały mu się tysiące nowych możliwości. W tej kobiecie znajdował nadzieję, ufność, optymizm i determinację.

Choć żywa reakcja na jego dotyk świadczyła o pewnych doświadczeniach, Jake wiedział, że Annie nie jest wprawna i wyrafinowaną kochanką, w jakich gustował. Była dużo bardziej niebezpieczna. Mogła dać z siebie wszystko... i zażądać od niego coś w zamian.

Ta myśl trochę go otrzeźwiła, ale nie zmniejszyła pożądania. Annie rozkwitała pod jego pieściami. W wieczornym blasku jej twarz wypiękniała, włosy nabrały złocistszej barwy, oczy pociemniały, wargi zrobiły się pełniejsze i bardziej kuszące. Nawet kragłości, ukryte pod luźnym strojem, wyraźniej się rysowały. Jake dostrzegł łagodną linię bioder, wąską talię i pełne piersi. Krew w nim zawrzała.

Z żarliwością i pasją niedoświadczonego chłopca rozchylił jej wargi ustami. Rozkoszując się słodkim, klonowym smakiem, przytulił ją mocno do siebie. Annie zarzuciła mu ramiona na szyję, odwzajemniając pocałunek z uczuciem i namiętnością, która niemal pozbawiła Jake'a oddechu.

Nie wypuszczając jej z objęć, przesunął gorącymi ustami po jej policzku, różowym płatku ucha i szyi. Annie westchnęła z rozkoszy, gdy dotarł do ciepłej, wrażliwej skóry za uchem.

Jednocześnie mężczyzna rozpiął powoli guziki flanelowej koszuli i zsunął ją z ramion kobiety. Annie została w prostym bawełnianym podkoszulku, dla niego tysiąc razy bardziej podniecającym niż najbardziej wyszukana koronkowa bielizna. Pod cienkim materiałem rysowały się piersi o ciemnych, stwardniałych brodawkach. Z tru-

dem powściągnął gorącą chęć, żeby ścisnąć je w dłoniach i tylko musnął palcami.

- Jesteś piękna, Annie. Bardzo piękna.

Kobieta oddychała szybko, patrząc na jego ręce. Nie cofnęła się ani nie zachęcała go, tylko po prostu uważnie obserwowała i czekała. Jake nie wiedział, jak tłumaczyć sobie jej rezerwę, szczególnie po zapraszającym pocałunku.

- Podoba ci się, jak cię dotykam, Annie.

Kobieta nie odzywała się przez długą chwilę.

- Nie jest przykre - wyszeptała w końcu, niemal bez tchu.

- Cieszę się.

- Jestem... zaskoczona.

Wyglądała nie tylko na zdziwioną, ale Jake nie chciał tracić czasu na czytanie w jej wyrazistych oczach. Pragnienie, żeby ją pieścić, było tak nieodparte, że nie mógł nad sobą zapanować. Przywarł wargami do jej warg, najpierw lekko, potem natarczywiej. Annie odwzajemniła pocałunek. Jake jęknął cicho i zamknął w dłoniach jędrne piersi, nie przestając całować jej żarliwie.

Annie reagowała z podobnym żarem. Była dokładnie taka, jak Jake się spodziewał, słodka i uległa, podniecająca i namiętna, równie dzika jak w codziennym życiu. Przesunęła dłońmi po jego torsie i ramionach. Mężczyzna zadrżał w oczekiwaniu na bezpośredni kontakt z aksamitną skórą.

Powoli uniósł bawełnianą koszulkę i nareszcie dotknął nagiego ciała. Z żądzty aż zakręciło mu się w głowie. Próbował ściągnąć z niej bieliznę, lecz Annie nagle się odsunęła.

Jake zmarszczył brwi.

- O co chodzi, kochanie?

- Możemy troszkę zwolnić?

- Oczywiście. - Czuł się jak głupiec. - Myślałem, że ci się podoba...

- Tak, ale... ja nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Gdyby wylała mu wiadro zimnej wody na głowę, nie zrobiłaby na nim większego wrażenia. I nie ostudziła go szybciej.

- Myślałem, że... to znaczy, myślałem, że... - zaczął się jąkać.

Annie popatrzyła na niego niewinnym wzrokiem.

- Dlaczego?

Dlatego, że wydawała się taka chętna. Dlatego, że mieszkała w leśnej chacie z pięcioma znanymi bandziorami i raczej nie prowadziła życia siostry zakonnej. I wreszcie dlatego, że uwiedzenie dziewicy byłoby o wiele bardziej naganne.

Annie zmrużyła oczy, odgadłszy jego myśli.

- Myślałeś, że jestem doświadczona, bo należałam do bandy, i w ogóle...

- Annie...

- Myślałeś, że jestem łatwa, prawda?

Mężczyzna posłał jej czarujący uśmiech.

- Cóż, kochanie, takie przypuszczenie byłoby usprawiedliwione, prawda?

- Rozumiem. - Annie zmierzyła go niezmaconym spojrzeniem i dodała chłodnym, opanowanym tonem:

- Chyba masz rację.

- W takim razie...

Nie dokończył zdania. Drobną pięść wylądowała na jego brodzie. Jake osłupiał.

- Za co, do diabła? - zaprotestował, masując szczękę.

- Sama potwierdziłaś, że to naturalne przypuszczenie.

Annie zerwała się na równe nogi, ciskając z oczu iskry. Drżała z oburzenia.

- Co nie znaczy, że nie jest obraźliwe.

Oddaliła się zamaszystym krokiem. Jake patrzył za nią przez chwilę, a potem wybuchnął serdecznym śmiechem. Przynajmniej jedno wiedział na pewno. Póki panna An-nabel Lee Foster jest w pobliżu, nie grozi mu nuda.

12

Annie obserwowała Morana z drugiej strony obozu, próbując zrozumieć, co między nimi zaszło. Przygląda-ła się, jak sprawnie rozpałał ognisko i cierpliwie dokła-dał chrustu, aż buchnęło wysokim płomieniem. Silny podmuch wiatru sypnął w jej stronę deszczem iskier. Annie spojrzała w niebo. Na horyzoncie zbierały się ciemne, groźne chmury.

- Nie sądzisz, że powinniśmy znaleźć inne miejsce na obóz? - spytała.

Jake spojrział w górę i wzruszył ramionami.

- Burza może nas ominąć. Chyba kieruje się na wschód.

Annie nie podała w wątpliwość jego oceny sytuacji. Zaczekała, aż Moran usiądzie, i powiedziała cicho:

- Przepraszam, że cię uderzyłam.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Zasłużyłem sobie, kochanie.

- Dlaczego?

- Nie miałem prawa snuć na niczym nie opartych do-mysłów. Słusznie mnie ukarałaś, ale nie myśl już o tym.

Annie opuściła wzrok, rozczarowana jego słowami. Tam, wśród skał, wcale nie chciała, żeby Jake przestał.

Prawdę mówiąc, była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Potrzebowała jedynie trochę czasu, żeby zebrać myśli. Bała się, że porwie ją fala rozkoszy. Poza tym nie wiedziała, co robić dalej. Pragnęła jedynie zatrzymać się na chwilę, ochłonać i...

Lecz tamta chwila minęła, bezpowrotnie. Ona sama wszystko zniszczyła i nie miała pojęcia, jak naprawić szkodę.

Jake zaczął bezmyślnie grzebać kijem w ognisku. Po twarzy tańczyły mu cienie.

- O czym myślisz, Annie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- O pogoni za tęczą.

Mężczyzna uniósł brew.

- Co masz na myśli?

- Kiedy byłam mała, ojciec opowiadał mi bajki o elfach, jednorożcach i garnkach ze złotem, ukrytych na końcu tęczy. Mówił, że są tam wszystkie bogactwa świata i tylko czekają, aż je znajdzie właściwa dziewczynka. Uważałam, że to ja nią jestem. Za każdym razem, kiedy padał deszcz, łąpałam Catherine za rękę, ciągnęłam ją i prosiłam, żeby biegła ze mną na skraj tęczy.

Jake uśmiechnął się łagodnie.

- Znalazłaś go kiedyś?

Annie potrząsnęła głową. Nigdy nie dotarła do krańca tęczy, ale niejednokrotnie wyobrażała sobie tę chwilę. Byłaby bezgranicznie zadowolona, szczęśliwa i bezpieczna. Wiedziałyby, że jest u siebie, a na świecie dzieje się dobrze.

Czułaby się dokładnie jak wtedy, gdy Jake Moran trzymał ją w ramionach.

Kilka następnych minut upłynęło w całkowitej ciszy.

- Co wiesz o kochaniu się, Annie? - zapytał nagle Jake.

Kobieta popatrzyła na niego spłoszonym wzrokiem.

- A cóż to za pytanie?
- Pytanie, które muszę ci zadać, jeśli mamy dokończyć to, co zaczęliśmy.

- Och.

- Oczywiście jeśli chcesz dokończyć, skarbie.
Annie poczuła w żołądku łaskotanie, jakby dziesiątki małych motyli rozwinęło w nim skrzydełka.

- A ty? - wykrztusiła.

- Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Słowa wypowiedziane z taką pewnością i mocą bez wątpienia były szczere. Annie spłonęła na twarzy, mile połączona i jednocześnie zmieszana.

- Jesteś zaskoczona?

- Nie wiem.

- Co wiesz o kochaniu się?

Annie zaczęła szukać w myślach odpowiedzi, która nie byłaby zbyt naiwna lub niezręczna. Widziała ogiera kryjącego klacz. Kiedy chłopcy myśleli, że ona już śpi, przechwalali się wyczynami w domach publicznych. Podobno kobiety błagały ich o więcej. Wstydziła się jednak wymienić te przykłady, więc tylko potrząsnęła głową.

- Opowiedz mi o Garveyu Wężowej Skórze.

Annie nie miała ochoty poruszać przykrego tematu, ale nie była zaskoczona, że Jake pyta. Nie wścibiał nosa w nie swoje sprawy ani jej nie oskarżał, tylko po prostu zbierał informacje, które mogły mieć znaczenie dla nich obojga. Po namyśle doszła do wniosku, że lepiej powie całą prawdę. Inaczej widmo Garveya Wężowej Skóry będzie wisieć nad nimi i straszyć w najmniej oczekiwanych momentach.

- Chłopaki poznali go w barze w Gentry. Wężowa Skóra twierdził, że zna się na dynamicie i dlatego Pete zainteresował się nim. W tamtym czasie dopiero zaczy-

nał planować poważniejsze skoki, więc uznał, że przyda mu się fachowiec od materiałów wybuchowych. Ale od pierwszej chwili, kiedy chłopcy przyprowadzili Garveya do chaty, wiedziałam, że będą z nim kłopoty.

- Dlaczego?

Annie westchnęła.

- Patrzył na mnie jak wąż na tłustą mysz. Jego oczy stale wędrowały po moim ciele, głodne i pożądlive. Wiesz, co mam na myśli?

Jake tylko skinął głową.

- Pewnego dnia chłopcy pojechali do miasta. Garvey zawrócił w połowie drogi, mówiąc, że *coś* zostawił w chacie. Byłam sama. Szykowałam kolację. Nawet nie wiedziałam, że on jest w domu, póki... nie rzucił się na mnie jak wąż.

- I co?

Annie wzięła do ręki garść ziemi i zaczęła przesypywać ją między palcami, unikając wzroku Jake'a.

- Złapał mnie, rzucił na podłogę i przygniótł ciałem. Nie mogłam się wyrwać. Walczyłam, drapałam i kopałam, ale on tylko się śmiał, jakby mój opór sprawiał mu przyjemność. Próbował zedrzeć ze mnie ubranie. Powtarzał, że będę jego kobietą i że mnie zabije, jeśli komuś pisnę słowo.

Umilkła na chwilę i zaryzykowała spojrzenie na mężczynę. Na szczęście nie dostrzegła w jego oczach litości ani niesmaku, tylko smutek, zrozumienie i cichą furję.

- Pete chyba nabrał podejrzeń i postanowił sprawdzić, co się dzieje. Wrócił w samą porę. Wszedł do chaty i zobaczył Wężową Skórę ze ściągniętymi portkami i mnie pod nim, krzyczącą wniebogłoso. Pete czasami wpadał w szał, ale jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Myślałam, że zabije Garveya gołymi rękami, na moich oczach.

- Powinien był to zrobić - rzucił Moran cicho.

Annie uniosła wzrok i ku swojej konsternacji stwierdziła, że Jake mówi poważnie.

- Właściwie nic mi się nie stało. Byłam jedynie przerażona i roztrzęsiona. Tylko tego brakowało, żeby nad Pete'em wisiał wyrok za morderstwo. W każdym razie Wężowa Skóra zdołał zwiać. Choć mocno poturbowany, mógł utrzymać się w siodle. Gdy odjeżdżał, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział z wściekłością, że to wszystko moja wina i że Pete nie zawsze będzie pod ręką, żeby mnie obronić. Przysiągł, że wróci pewnego dnia i wyrówna rachunki.

Annie zadrżała i potarła ramiona.

- Mówił poważnie. W oczach miał błysk szaleństwa. Wyglądało na to, że nie spocznie, aż mnie odnajdzie.

- Jak wróci, daj mi znać.

Jake był całkowicie spokojny, lecz w jego głosie Annie usłyszała ton groźby, w oczach dostrzegła zimną determinację. W tym momencie bez trudu potrafiłaby wyobrazić go sobie na polu bitwy, szarżującego na nieprzyjacielskie wojsko i działa. Niech Bóg ma w opiece człowieka, który stanął mu na drodze.

Moran potrząsnął głową i westchnął.

- W taki sposób zdobyć wiedzę o rzeczach, które dzieją się między kobietami a mężczyznami. Straszne.

- Wiem, że ludzie nie powinni krzywdzić się nawzajem - zapewniła go Annie pospiesznie, żeby nie wyjść na głupią gęś. - Wiem, że powinno być inaczej.

Jake przez chwilę przyglądał się jej badawczo.

- Czy wiesz, po co ludzie się kochają?

Annie pokiwała głową, zadowolona ze zmiany tematu.

- Dla mężczyzn to po prostu zabawa. Gdy się parzą, są szczęśliwsi niż wieprze taplające się w błocie. Kobie-

ty robią to, żeby mieć dzieci, ale wcale tego nie lubią. Dlatego wymalowanym kokotom z barów trzeba płacić.

Po twarzy Morana przemknął dziwny grymas, ni to bólu, ni rozbawienia.

- Annie?

- Słucham.

- Podobało ci się, jak cię całowałem?

Kobieta spuściła wzrok, zakłopotana.

- Tak - wykrztusiła.

- A gdybym całował cię w ten sposób po całym cie-le? Powoli, cał po cał. Myślisz, że by ci się podobało?

Annie skinęła głową. Obraz Jake'a robiącego właśnie coś takiego na chwilę pozbawił ją mowy.

- Lubię, kiedy mnie dotykasz. Nawet kiedy udajesz, że to przypadek. Jak wtedy, gdy podajesz mi kubek z kawą i nasze palce się stykają albo ściągasz Dulcie po-pręg i ocierasz ramieniem o moją nogę. Albo chwytasz mnie za łokieć, kiedy przechodzimy przez ulicę, a po drugiej stronie natychmiast puszczasz, jakby to był tyl-ko nawyk, którego nie umiesz się pozbyć.

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Więc zauważyłaś?

-Tak.

- nie miałaś nic przeciwko temu? Nie splotyłem cię?

- Nie. - Annie odchrząknęła. - Ani trochę. Po praw-dzie, to było bardzo miłe.

- W takim razie sądzę, że będzie nam dobrze, kocha-nie. - Oczy mężczyzny zabłyśły, a na wargi wypłynął uwodzicielski uśmiech. - Będzie nam dobrze.

Odległość między nimi pokonał czterema długimi krokami. Annie spodziewała się, że Jake od razu przy-stąpi do całowania, ale on wziął ją bez wysiłku na ręce i zaniósł na posłanie z koców.

- Wygodnie ci? - szepnął, kładąc się obok niej.

Annie spojrzała mu w oczy. Czuła się bardziej bezbronna niż kiedykolwiek w życiu, ale, o dziwo, wcale się nie bała.

- Będzie bolało? - zapytała.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz żalu.

- Tak, przez chwilę. Nic na to nie poradzę.

Musnął ustami jej szyję i delikatnie pogłaskał po ramionach.

- W porządku - powiedziała Annie dzielnym tonem.

- Nie teraz, kochanie - zapewnił ją pospiesznie. - Ostrzegę cię zawczasu. Teraz po prostu leż i pozwól mi się całować. Marzyłem o tym od wielu dni.

Świadomość, że Jake pragnie jej równie mocno jak ona jego, dodała Annie pewności siebie i rozwiązała wszelkie obawy. Zadrzała w oczekiwaniu na męski dotyk. Mężczyzna otoczył ją ramieniem w pasie i delikatnie przyciągnął do siebie. Usta, z początku chłodne, szybko się ogrzały pod łagodnym naciskiem. Jake zaczął sunąć dłońmi po jej ciele, jakby chciał wryć sobie w pamięć wszystkie kształty. Annie zapomniała o całym świecie. Ogarnęło ją drzenie. Reagowała instynktownie, dostosowując się do rytmu. Ręce zacisnęła na karku mężczyzny i przytuliła się do niego mocno, unosząc biodra.

Sięgnęła do guzików jego koszuli i zaczęła je rozpinąć. Jake wprawnie, bez pośpiechu zdjął z niej ubranie. Pas, buty, spodnie i koszula wylądowały na niedbałym stosie obok ich nóg. Annie została w samym podkoszulku i w męskich bawełnianych kalesonach.

Czuła się bardziej naga niż kiedykolwiek w życiu. Jake szybko ją uspokoił, dotykając przez materiał z miłością, żarem i jednocześnie niemal z czcią. Następnie,

niezwykle delikatnie, zdjął jej podkoszulek przez głowę i cisnął na ziemię. Gdy chłodne, nocne powietrze owiało skórę, mężczyzna zasypał ją pocałunkami, rozgrzewając ustami ręce, ramiona i piersi. Potem rozebrał ją do końca i dłońmi ogrzał uda, biodra i brzuch. Annie zamknęła oczy. Wyrwał się jej cichy jęk, który był zarazem cichym śmiechem i błogim westchnieniem.

Otworzyła oczy i na tle burzowych chmur zobaczyła piękną, męską twarz, oświetloną blaskiem księżyca. Jake patrzył na nią z nieodgadnioną miną. Jego spojrzenie wręcz paliło skórę. Bez słowa odgarnął jej z ramion długie jedwabiste pasma.

W oddali przetoczył się grzmot. Błyskawica przecięła niebo. Weed i Dulcie wierzgnęły niespokojnie. Annie nie zwracała uwagi na otoczenie, choć wiatr szarpał jej włosami. Spadły pierwsze krople deszczu.

Nagle sparaliżował ją wstyd. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak onieśmielona. A jeśli Jake jest rozczarowany jej wyglądem? Przyjrzała mu się z niepokojem. Tak bardzo pragnęła go zadowolić.

- Jake?

- Jesteś piękna, Annie. Tylko spójrz, jaka jesteś piękna. Mówił głosem ochrypłym z pożądania.

Obawy i wątpliwości kobiety rozwiały się w jednej chwili. Ośmielona pochwałą, zaczęła głaskać jego pierś. Jake pomógł jej skwapliwie, zdzierając z siebie koszulę, buty, pas i spodnie. Ukląkł nad nią nagi, w całej męskiej chwałę, pozwalając się obejrzeć dokładnie. Nie okazywał najmniejszego skrępowania. Zresztą nie musiał. Nie miał na sobie grama zbędnego tłuszczu. Pod gładką skórą grały mięśnie.

Chwycił ją w objęcia. Ich ciała zwały się w uścisku, mokre i śliskie od deszczu. Ręce mężczyzny, rozpalone

i niecierpliwe, zaczęły błądzić po jej ciele, po aksamitnych udach, jędrnych pośladkach, opływowych biodrach, płaskim brzuchu. Na koniec Jake zamknął w dłoniach jej piersi. Gdy brodawki stwardniały pod lekkimi, drażniącymi muśnięciami, nachylił się i wziął w usta twardy różowy guziczek. Annie gwałtownie zaczerpnęła powietrza i wygięła się w łuk. Gdy już myślała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej tej pieśczoły, Jake przesunął się niżej, pokrywając gorącymi pocałunkami jej brzuch i uda.

Kosmyk ciemnych, miękkich włosów opadł mu na czoło. Annie odgarnęła go z czułością.

- Zawsze chciałam to zrobić - szepnęła.

- Dotykaj mnie, kiedy tylko masz ochotę, kochanie. I wszędzie, gdzie zapagniesz.

- Mogę?

Annie położyła dłonie na ramionach Jake'a i stwierdziła, że jego mięśnie napinają się pod dotykiem. Reakcja zdumiała ją i jednocześnie dała poczucie władzy. Bez pośpiechu zaczęła badać męskie ciało: silne barki, szeroką pierś i twardy brzuch.

Z ciekawością powędrowała wzrokiem ku najbardziej intymnej części. Z pewnością siebie, która ją samą zaskoczyła, objęła dłonią jego męskość.

Mężczyzna jęknął i chwycił ją za rękę. Annie spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie podoba ci się?

Jake zaśmiał się ochryple.

- Aż za bardzo, kochanie. W tym rzecz.

Annie nie miała czasu zastanawiać się nad znaczeniem ostatniej uwagi. Jake wziął ją w objęcia i obsypał pocałunkami, zlizując deszcz ze skóry. Kobieta poszła za jego przykładem. Bezwstydnie spełniała

każdą swoją zachciankę. Całowała ramiona, pierś, szyję Jake'a, dorównując mu namiętnością. Oplotła go ramionami i przywarła ustami do jego ust z całym pożądaniami, jakie w niej narosło. Niebo rozdarła druga błyskawica.

Mężczyzna powędrował dłonią do jej ud, a potem wyżej, do miękkiego wzgórka. Annie zeszywniała i odruchowo zacisnęła nogi.

- Cii, kochanie, nie bój się - szepnął Jake.

Kobieta odprężyła się, a wtedy on dotknął najbardziej intymnego miejsca. W żyłach Annie zawrzała krew. Płomień, który zapłonął w brzuchu, ogarnął po chwili całe ciało. Trawiona ogniem i niecierpliwością, wbiła paznokcie w plecy mężczyzny i przywarła do niego ze wszystkich sił, błagając o więcej.

Jake uniósł się na łokciach i patrząc jej w oczy, powoli zaczął w nią wchodzić. Oczy Annie rozszerzyły się ze zdumienia i zachwytu. Więc to jest kochanie się. Ta wspaniała, całkowita jedność dwojga ludzi. Lecz w tym momencie Jake wycofał się ostrożnie. Kobieta spojrzała na niego zaskoczona i rozczarowana. Raptem poczuła się samotna i opuszczona.

- Nie chcę sprawić ci bólu, Annie, ale nie ma innego wyjścia - powiedział mężczyzna zduszonym szeptem.

- Dobrze.

Gwałtownie przyciągnęła go do siebie, ogarnięta dziwnym pożądaniami. Oczy Jake'a też płonęły żarem. Nie miała pojęcia, na co się zgadza. Wiedziała tylko, że nie chce przestać. Każde cierpienie, choćby największe, będzie lepsze niż zatrzymanie się w pół drogi.

Mężczyzna zamknął jej usta pocałunkiem i wszedł w nią zdecydowanym ruchem. Annie znieruchomiała i wstrzymała oddech, a po chwili, gdy przesywający

ból ustąpił, z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Popatrzyła na Jake'a, który zastygł w bezruchu, jakby się bał sprawić jej najmniejszą przykrość.

Zdjęta czułością, pogładziła go po ramionach i uśmiechnęła się promiennie.

- Powiedziałaś, że będzie bolało.

Jake spojrział jej w oczy i zadrżał.

- Annie - wyszeptał.

Przywarł do jej ust w gorącym pocałunku, który wyrażał najgłębsze uczucia, i zaczął się poruszać. Najpierw wolno, zupełnie jakby się drażnił. Kobieta uniosła biodra, wpijając paznokcie w napięte mięśnie jego barków. Miała wrażenie, że wspina się na nieznaną szczyt. Jake przyspieszył tempo, wchodząc w nią głębiej.

Nagle wstrzymała oddech. Dygotały w niej wszystkie nerwy, napięte jak struny. Ciałem wstrząsnęły gwałtowne spazmy, z ust wyrwał się krzyk rozkoszy. Annie zdawało się, że fruwa, roztapia w ekstazie.

W tym momencie Jake mocniej zacisnął wokół niej ramiona i po chwili opadł na nią z cichym jękiem, a następnie przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą. Deszcz padał coraz mocniej.

Annie powoli wynurzyła się ze słodkiego niebytu. Leżała na piersi mężczyzny, oddychając głęboko. Słyszała jego łomoczące serce i krótki, urywany oddech. Jeszcze teraz czuła żar jego pieścizot i smak dzikich pocałunków. Jake pogłaskał ją po plecach.

- Zdaje się, że miałaś rację z burzą - stwierdził. - Lepiej poszukajmy schronienia.

Annie westchnęła. Nie miała ochoty ruszać się z jego objęć.

- Chyba tak, Moran.

Mężczyzna uściskał ją mocno i cmoknął w ramię.

- Annie, skarbie?

- Co?

- Chyba czas, żebyś zaczęła mówić do mnie Jake.

13

Minęło pięć dni, odkąd opuścili Two River Flats. Teraz jechali na południe kamienistym szlakiem, wijącym się wzdłuż rzeki Animas przez góry San Juan. Pięć dni jazdy i kochania się w nocy. Powinna być wyczerpana podróżą i brakiem snu, ale nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa i pełna życia.

Nigdy by *nie* uwierzyła, że tyle jest do nauczenia się o własnym ciele. Nie mogłaby też życzyć sobie lepszego nauczyciela. Moran okazał się cudownym kochankiem, raz cierpliwym i czułym, kiedy indziej dzikim i nieprzewidywalnym. Noce stanowiły dla nich pasmo namiętności i śmiechu, erotycznych niespodzianek i głębokiego zadowolenia. Gdy w końcu Annie zasypiała wtulona w ramiona Jake'a, czuła się całkowicie bezpieczna.

Jej wzrok powędrował teraz ku niemu. Mężczyzna trzymał się w siodle, jakby był stopiony z wierzchowcem. Niemal wyczuwało się wzajemną ufność między jeźdźcą a koniem. Razem stanowili piękny widok. Jake chyba wyczuł jej spojrzenie, bo ściągnął wodze i odwrócił się. Dopiero w tej chwili Annie spostrzegła, że została daleko w tyle. Spięta Dulcie ostrogami i szybko nadrobiła dystans.

- Coś nie w porządku? - zapytał Moran.

- Tylko rozmyślałam.
- O czym?
- O tym, jak trzymasz się na koniu.

Jake przystawił manierkę do ust i uniósł brew w niemym pytaniu.

- Jeździsz jak kobieta.

Mężczyzna zakrztusił się wodą. Na jego twarzy odmalowały się najróżniejsze uczucia: zaskoczenie, rozbawienie, przerażenie i uraza.

- Przepraszam?
- To miał być komplement.

- Zrób mi przysługę, kochanie. Nigdy nie mów mi takich komplementów w czyjejkolwiek obecności.

- Nie ma nic złego w porównaniu do kobiety, przynajmniej jeśli chodzi o jazdę konną - upierała się Annie. - Twierdzą jedynie, że masz władzę nad wierzchowcem, ale pozwalasz mu kierować się własnym rozumem. Nie zmuszasz go do niczego.

Jake przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

- W taki sposób kobieta panuje nad koniem?

Annie uniosła brodę z uśmiechem zadowolenia.

- Między innymi.
- Naprawdę, kochanie?

Gdy ich oczy się spotkały, Annie wyraźnie poczuła intymną zażyłość, jaka się między nimi zrodziła. Jake zawsze był wobec niej uprzejmy, ale raczej obojętny i nieobecny duchem. Teraz jego rezerwa zniknęła bez śladu. Łączyła ich coraz silniejsza więź. Kobieta przyłapywała się na tym, że z fascynacją obserwuje każdy jego ruch. Wszystko w Jake'u Moranie raptem stało się wspaniałe i wyjątkowe, poczynając od tego, jak jeździł na koniu, po sposób trzymania manierki. Mężczyzna oczarował ją bez reszty.

W tej chwili też patrzyła, jak zdejmuje kapelusz i przeczesuje włosy palcami. Stopniowo przyzwyczajala się do jego nowego wyglądu. Kiedy pierwszy raz się spotkali, Jake miał na sobie elegancki strój bywalca barów. Ponieważ nadchodziła zima i robiło się coraz chłodniej, zrezygnował z lekkiego ubrania na rzecz grubej kurtki z owczej skóry, ciemnych prążkowanych spodni z wełny i niebieskiej, flanelowej koszuli. Przystał się golić. W twarzy okolonej ciemnym zarostem oczy błyszczały mocniej niż zwykle. Wszystkie te zmiany nadały mu groźny i bardzo męski wygląd, który budził w niej dreszcz podniecenia.

Ciekawiło ją, czy ona też zmieniła się w jego oczach. Czy nadal widział w niej Dziką Annie? A może zapomniał o jej niechlubnej przeszłości i reputacji? Czy zauważył, że mówi coraz poprawniej, a rzadziej przeklina? Że wciąż się uśmiecha i nuci pod nosem albo że ręce jej drżą, gdy tylko on jest w pobliżu? Może dla niego były to drobiazgi bez znaczenia, ale Annie nie przestawały zadziwiać zmiany, które w niej się dokonały.

Spojrzała w niebo. Deszcz ustał przed kilkoma dniami, ale po nim wyraźnie się ochłodziło. Zaledwie przed tygodniem jechali przez brzezinę płonąca różnymi odcieniami złota i bursztynu, niebo nad nimi było błękitne, powietrze pachniało dymem i ziemią. Teraz, w mgnieniu oka, nastala jesień. Pod kopytami Dulcie chrzęścił szron, drzewa stały nagie, a przy wydechu tworzyły się wokół ust kłębiaste obłoczki.

Jake utkwiał spojrzenie w odległym punkcie horyzontu.

- Widzisz tamto pasmo porośnięte sosnami? Po drugiej stronie leży Abundance. Powinniśmy tam dojechać po południu. Zatrzymamy się na noc, a potem ruszymy do Cooperton, Do Palace dotrzemy jutro.

- Tak?

- Nie wyglądasz na zachwyconą.

- Ależ jestem. Nie mogę się doczekać.

Annie powiodła wzrokiem po czerwonych skalach, które otaczały ich z trzech stron. Niczego szczególnego nie wypatrywała. Po prostu wszystko było lepsze niż badawcze oczy Jake'a. Od razu wyczytałyby kłamstwo z jej twarzy.

Do tej pory przezornie unikała myślenia o tym, co będzie, kiedy znajdą się w Cooperton. Teraz pytanie samo się narzucało. Niestety, odpowiedź była oczywista. Moran zatelegrafuje do szeryfa Cayne'a, że są już na miejscu, odbierze pieniądze i wyjedzie z miasta. Niczego jej przecież nie obiecywał - i nagle zrozumiała, że nie potrafi żyć bez niego. Ogarnęło ją dojmujące uczucie samotności, gdy wyobraziła sobie, jak Jake odjeżdża i na zawsze znika z jej życia.

- Mówisz, że jutro.

- Jeśli wyjedziemy z Abundance o świcie, dotrzemy do Cooperton w południe.

Kobieta skinęła głową, nie patrząc na Jake'a. Nie chciała snuć niewesołych myśli, więc zaczęła podziwiać krajobraz. Widok surowego pasma górskiego San Juan zapierał dech w piersiach. Z gniazda na skałach wzbijał się jastrząb i poszybował nad niebieskimi świerkami. Na bujnych pastwiskach w dolinie pasło się stado dzikich jeleni. Przez czerwony kanion, między nagimi ścianami, biegł wąski szlak.

Raptem, wysoko nad drogą, Annie dostrzegła przykucniętego za głazem człowieka. Obok niego leżała strzelba. Na twarzy miał chustkę. W pewnym momencie kapeluszem dał znak koledze zaczajonemu kilka metrów dalej. Przeszukawszy wzrokiem zbocze wąwozu,

kobieta naliczyła jeszcze czterech ludzi, podobnie uzbrojonych i zamaskowanych.

- Jake.

- Widzę.

Moran patrzył w to samo miejsce. Nagle oboje ujrze-
li w oddali dylizans. Jechał prosto w zasadzkę.

Mężczyzna westchnął.

- Na pewno się nie zgodzisz, jeśli powiem, że to nie
nasza sprawa.

- Nie.

Annie nie zdołała powstrzymać chłopaków od wkro-
czenia na drogę przestępstwa i nie uchroniła ich przed
smutnym losem. Poczucie winy miała nosić w sobie do
końca życia. Teraz mogła uratować niewinnych przed
śmiercią i nie zamierzała patrzeć w inną stronę.

- Tak myślałem.

Kobieta sięgnęła po rewolwer, żeby wystrzelić w po-
wietrze. Jake chwycił ją za rękę.

- Nie w ten sposób.

- Dlaczego?

- Spłoszysz konie. Na krętym szlaku woźnica i tak
ma pełne ręce roboty.

Annie opuściła broń. Po chwili namysłu wskazała na
ścianę wawozu.

- Widzisz półkę z wysokim klonem? Zdażysz tam do-
biec, nim dylizans pokona ostatni zakręt?

Gdy mężczyzna skinął głową, szybko przedstawiła mu
swój plan. Było bardzo prawdopodobne, że cała uwaga
bandytów jest skupiona na zbliżającym się pojeździe. Po-
za tym Jake'a i ją zasłaniały drzewa. Najlepiej gdyby obo-
je ukryli się powyżej stanowisk bandytów, wyczekali, aż
ci zatrzymają dylizans, i dopiero wtedy przystąpili do ak-
cji. Może woźnica i pasażerowie też stawiliby opór.

Jake obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak.

Przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju.

- A gdzie ty się schowasz?

Kobieta wskazała na duży głąz naprzeciwko skalnej półki i ścisnęła piętami boki Dulcie.

Moran chwycił ją za rękę.

- Annie.

- Słucham?

- Wiesz, co bym zrobił, gdybym próbował obrabować ten dylizans, a ktoś by do mnie zaczął strzelać?

- Co?

- Odpowiedziałbym strzałami.

Popatrzył jej w oczy z wielką powagą, bez śladu zwykłego uśmiechu. Wydawało się, że ta krótka chwila trwa całą wieczność. Wreszcie mężczyzna lekko musnął palcami jej policzek.

- Bądź ostrożna.

Annie skinęła głową, czując, że oddech więźnie jej w krtani.

- Ty też - szepnęła.

Ruszyła w górę zbocza przez splątane zarośla. W duchu odmawiała modlitwę dziękczynną za to, że klacz tak pewnie stąpa po kamieniach. Dotarłszy na miejsce, zsiadła z konia. Zostawiła Dulcie i Kota w bezpiecznej odległości i podkradła się do głązu. Zauważyła, że Moran już jest na skalnej półce.

Niemal w tym samym momencie usłyszała okrzyki i kanonadę dobiegające z dołu. Woźnica zatrzymał dylizans i uniósł ręce. Drzwi pojazdu zaczęły otwierać się wolno.

Annie rzuciła spojrzenie na Jake'a. Mężczyzna skinął jej głową i położył palec na spuście.

Kobieta drżącą ręką odwiodła kurek.

Oba strzały padły niemal w tej samej chwili, rozbryzgując błoto i lód pod stopami bandytów.

Zaskoczeni mężczyźni odpowiedzieli ogniem, ale nie widząc napastników, strzelali na oślep w głąb kanionu. Annie spodziewała się, że bandyci złożą broń albo uciekną do lasu. Tego, co nastąpiło, nigdy by nie przewidziała.

Woźnica zeskoczył z kozła, a drzwi dyliżansu otworzyły się szeroko. Ze środka wysypali się mężczyźni i padli na ziemię. Mimo sporej odległości Annie dostrzegła błyski słońca odbijającego się od złotych odznak.

Serce zabiło jej mocniej, w gardle poczuła ściskanie. Już kiedyś widziała podobną scenę. Teraz wszystko miało się powtórzyć, a ona była bezradna. Nie mogła zapobiec rzezi.

Stróże prawa zasypali bandziorów gradem kul. Nie szczęśnicy, jeden po drugim, pospadali z koni i zaczęli wic się w upiornym tańcu śmierci. Krzyczeli z bólu i przerażenia, krew tryskała z ran.

Przez jedną straszłą minutę Annie patrzyła, jak znowu umierają Pete, Diego, Neil Woodie i Frank. Tyle że tym razem ona też wzięła udział w zasadzce. Zaciśnęła powieki, walcząc z mdłościami.

Za sobą usłyszała szelest krzaków. Otworzyła oczy i zobaczyła Jake'a ze ściągniętą i zatroskaną twarzą. Mężczyzna ukląkł przy niej.

- Dobrze się czujesz, Annie?

Bez słowa pokiwała głową.

- O co chodzi?

- Nie chciałam, żeby zginęli - wyszeptała ochryple.

- Kto?

- Tamci ludzie na dole.

Jake ściągnął brwi, wyraźnie zdziwiony.

- A czego się spodziewałaś?

- Sądziłam, że damy im nauczkę. Chciałam, żeby się przerazili i uciekli. Pomyślałam, że może porzucą rabowanie i odmienia swoje życie. - Westchnęła przeciągle, uświadomiwszy sobie, jak naiwnie brzmią jej słowa. - Kiedyś miałam nadzieję, że coś takiego spotka Pete'a i chłopców, że pewnego dnia ktoś odpowie ogniem, ale nie robi im krzywdy, tylko mocno nastraszy. Łudziłam się, że wtedy zrezygnują z napadów. - Wzięła głęboki oddech. - Tak się nie stało. Wszystko szło im gładko aż do samego końca.

Jake usiadł obok niej na ziemi.

- Więc dlatego chciałaś ostrzec ludzi z dyliżansu. Zastanawiałem się, co tobą kieruje.

Annie milczała przez chwilę.

- Czy można się przyzwyczaić do widoku umierających ludzi?

- Nie, nigdy. - Jake westchnął ze znużeniem i odłożył strzelbę. - Ale nie jestem pewien, czy bym tego chciał.

- Hmm.

Kobieta oparła głowę o jego ramię. Nawet taki kontakt przyniósł jej ukojenie.

- Hej! Tam na skałach! - zawołał z dołu męski głos. - Pokażcie się!

Annie uśmiechnęła się słabo.

- Nie zapomną, że byliśmy po ich stronie?

- Mam nadzieję, że nie, kochanie. - Jake wyszedł zza głazu. - Schodzimy!

- Powoli i spokojnie - odkrzyknął mężczyzna.

Moran schował obie strzelby do futerałów przy siodłach. Prowadząc Weeda i Dulcie, oboje ruszyli w dół skalną ścieżką. Pięciu stróżów prawa obserwowało ich

nieufnie. Nie odłożyli broni, ale trzymali ją opuszczoną po bokach. Najwyraźniej nie doceniali inicjatywy dwójki podróżnych.

Między nimi a dyliżansem leżały ciała bandytów. Annie starała się nie patrzeć w tamtą stronę. Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu. Miał władczą postawę i lśniąca, złotą gwiazdę przypiętą do kurtki. Zmierzył oboje uważnym wzrokiem. Widać uznał, że są niegroźni, bo zrobił jeszcze krok i wyciągnął rękę, najpierw do Annie.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Jestem Locke, Will Locke.

Szeryf wyglądał na czterdzieści parę lat. Był średniego wzrostu i krępej budowy. Krzaczaste wąsy kontrastowały z okularami w drucianej oprawce, osadzonymi na bulwiastym nosie. Ciemne oczy miały inteligentne, czujne, a zarazem ciepłe spojrzenie.

Annie doszła do wniosku, że pora jest równie dobra jak inne, żeby wypraktykować właściwy sposób przedstawiania się. Podała rękę kobiecym gestem i dygnęła trochę niezręcznie.

- Panna Annabel Foster. Miło mi poznać.

Dostrzegła zdziwienie na twarzy mężczyzny. Na szczęście był on na tyle taktowny, że nie zmierzył jej od stóp do głów badawczym wzrokiem.

- Mnie również miło, panno Foster - odpowiedział, kłaniając się lekko.

Jeśli nawet uprzejmości wydały mu się niestosowne na odludnym szlaku, obok czterech trupów leżących na ziemi, Locke niczego po sobie nie pokazał.

- A to jest pan Jake...

- Duquette - wtrącił szybko Moran, podając rękę stróżowi prawa.

Annie zaryzykowała spojrzenie na Jake'a. Jego twarz wyrażała jedynie zdawkową grzeczność.

- Panie Duquette, mieliśmy szczęście, że znaleźliście się tutaj akurat w odpowiednim momencie - powiedział Locke.

Moran uchylił kapelusza.

- Jesteśmy tylko dobrymi obywatelami. Cieszymy się, że mogliśmy pomóc.

- W tych stronach przydałoby się więcej takich ludzi jak wy.

Po wargach Jake'a przemknął cień uśmiechu.

- Ostrożnie z życzeniami.

- Słucham?

- Nieważne. - Jake wskazał głową na martwych bandytów. - Mielicie kłopoty?

- Słyszał pan o nich?

- Dziwny zbieg okoliczności, że pięciu uzbrojonych stróżów prawa razem podróżuje dyliżansem.

- To prawda. - Locke wskazał na jednego z zabitych. - Charlie Garvey. Brygadzysta z Tuttle Mining Company, mieszczącej się w Leadville, na południe stąd. Co miesiąc przejeżdża tędy dyliżans z wypłatą dla górników. Kilka razy już na niego napadano. Domyśliłem się, że bandyci mają wspólnika w kopalni, ale nigdy bym nie pomyślał, że to Garvey. - Westchnął ciężko i potrząsnął głową. - Miał żonę i dwoje dzieci. Głupi sukinsyn. - Zerknął na Annie. - Przepraszam panią. Nie chciałem być grubiański.

- Nie szkodzi, panie Locke.

- Dobrze, chłopcy - zawołał szeryf do swoich ludzi. - Zawieźcie ich do miasta. Niech im wyprawiają pogrzeb. Jake przytrzymał wodze, a kiedy Annie wsiadła na Dulcie, podał jej Kota.

- Pora na nas, szeryfie.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki Locke wyjął cygaro,

ale go nie zapalił. Położył ręce na biodrach i przez chwilę w milczeniu patrzył na Morana.

- Zapomniałem, dokąd jedziecie, panie Duquette.

- Nic nie mówiłem.

- Pytam z ciekawości.

Jake płynnym ruchem dosiadł Weeda, oparł dłonie na łęku siodła i spojrzął na szeryfa.

- Na południe.

Locke wzruszył ramionami.

- Tuttle Mining Company wyznaczyła nagrodę za tych ludzi. Chciałem tylko się upewnić, że pan i pańska przyjaciółka odbierzecie swoją część.

- Proszę moją oddać wdowie po Garveyu.

- To bardzo wspaniałomyślne. - Mężczyzna prze-
niósł wzrok na Annie. - A pani, panno Foster?

Kobieta zerknęła na trupy i zadrżała.

- Proszę zrobić to samo.

- Oboje jesteście bardzo szlachetni. - Locke ponow-
nie zwrócił się ku Moranowi i ściągnął brwi. - Zabaw-
ne. Cały czas mam wrażenie, że skądś pana znam, pa-
nie Duquette.

- Tak?

Gdyby Annie nie znała Jake'a, nie wyczułaby napię-
cia w jego głosie. Wstrzymała oddech, gdy zauważyła,
że puścił łęk i przesunął ręce bliżej rewolwerów.

- Grasz w karty, synu?

- Trochę.

- Jesteś dobry?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Szczęście przychodzi i odchodzi, jak u wszystkich.

- Hmmm. - Mars na czole Locke'a pogłębił się. - Mo-
że kiedyś siedzieliśmy przy jednym stoliku.

- Może.

- Gotowe, szeryfie! - krzyknął jeden z zastępców.

Locke zerknął przez ramię. Jego ludzie sprawnie uwinęli się z nieprzyjemnym zadaniem. Ciała przerzucono przez końskie grzbiety i związane sznurami.

Szeryf odwrócił się do Morana i Annie.

- Zanosi się na śnieg, prawda? Zapraszam na nocleg. Mamy niewielką chatę na szlaku, jakąś milę na północ od tego miejsca. Jones pewnie już przygotował kolację. Nie ma tam luksusów, ale jest o wiele przytulniej niż na gołej ziemi.

Annie była pewna, że Jake odrzuci zaproszenie, ale ku jej zdumieniu skinął głową.

- To bardzo miłe z pańskiej strony. Będziemy wdzięczni.

Pod krzaczastymi wąsami szeryfa pojawił się uśmiech.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić, żeby wam się odwdzięczyć. - Machnął ręką do zastępców. - No dobra, chłopaki, ruszajmy.

Takie już mój los, pomyślał Jake. Trasą z Silverton do Abundance przejeżdżało pewnie z dziesięć dylizansów na tydzień, a on musiał uratować akurat pełen stróżów prawa.

Niepokoił go sposób, w jaki przyglądał mu się Locke. Przez chwilę Jake był pewien, że mężczyzna rozpoznał jego twarz z cholernego listu gończego. Nasuwało się pytanie, co robić, gdyby rzeczywiście tak się stało. Próbować ucieczki? Zabić szeryfa i paru zastępców? Narazić życie Annie i samemu zginąć? A może dać się aresztować i powiesić? Niezbyt mu się to wszystko podobało.

Tym razem nie musiał podejmować decyzji, ale wokół niego zaczynało robić się gorąco. Jake zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później szczęście go opuści.

Miał złe przeczucie, że stanie się to raczej wcześniej niż później.

Niestety, ściągnąby na siebie jeszcze większą uwagę, gdyby odrzucił propozycję szeryfa. Locke wyglądał na człowieka, który nie spocznie, póki nie znajdzie odpowiedzi. Prawdopodobnie dostawał sterty listów gończych, które wertował przed upchnięciem do szuflady. Mógłby wpaść na pomysł, żeby przejrzeć je uważniej. Na takie ryzyko Jake nie mógł sobie pozwolić.

Spojrzał na Annie. Jechała obok niego w milczeniu i patrzyła prosto przed siebie. Kilka razy ich oczy się spotykały. W jej wzroku nie było zdziwienia ani potępienia, lecz wyraz, którego nigdy wcześniej nie widział. Na razie nie odezwała się słowem, ale czuł, że wkrótce zasypie go pytaniami.

Za kolejnym zakrętem szlaku dostrzegł chatę. Obok niej płynął mały strumyk i rosły niebieskie świerki. Okno jaśniało światłem, a z komina snuł się dym. Od aromatu pieczonego Moranowi zaburczało w brzuchu. Nagle uświadomił sobie, ile czasu minęło, odkąd jedli z Annie gorący domowy posiłek.

Woźnica zatrzymał dylizans i krzyknął w stronę chaty. Po chwili w progu stanął mężczyzna i łypnął na przybyszów spode łba. Miał siwe włosy, sztywne jak druty i opadające do połowy pleców, zmierzwioną brodę z resztkami jedzenia i zagubione, dzikie spojrzenie człowieka, który od dawna żyje samotnie.

- Dobra, dobra, słyszę - burknął. - Nie musisz budzić umarłych.

Jake i Annie zsiadli z koni. Locke wyszedł z dylizansu i gestem zaprosił ich do środka.

- Wchodźcie i ogrzejcie się. Moi ludzie zajmą się końmi. Chata składała się z jednej dużej izby, ciemnej i zanie-

dbanej. Oświetlały ją trzy kopcające lampy naftowe. Dużo miejsca zajmował toporny, drewniany stół i dwanaście krzeseł. W głębi pomieszczenia znajdowała się część sypialna z wąskimi pryzami. Po prawej stronie, pod oknem, stał pękaty piec, a obok leżały na półkach worki mąki, kukurydzy, cebuli i ziemniaków oraz naczynia kuchenne, stos drew na rozpałkę, wędka i parę narzędzi. Gdy oczy przywykły do mroku, Jake zauważył, że na kuchni bulgocze garnek z gulaszem i smażą się naleśniki.

- Pan Duquette, panna Foster, a to pan Jones - dokonał prezentacji szeryf. - Nazywamy go Gderliwy Jones. Całe życie spędził w tych stronach. Najlepszy zwiadowca, jakiego miała armia. Teraz prowadzi zajazd dla dyliżansów.

- Już niedługo - mruknął Jones. - Coraz większy tu ruch. W tym miesiącu jesteście trzecią grupą, która zawraca mi głowę. - Zmrużył jasnoszare, niemal bezbarwne oczy. - Złapaliście tych rabusiów?

- Charlie Garvey i paru innych.

Jones prychnął.

- Zawsze mówiłem, że ten Garvey to nic dobrego.

- Panna Foster i pan Duquette zostają na noc - oznajmił Locke, ignorując uwagę.

Jones przeszył wzrokiem Jake'a i Annie.

- Chyba nie mam wiele do powiedzenia - stwierdził.
- Jedzenie zaraz będzie gotowe.

Kilka minut później, oporządziwszy konie, przyszli do chaty zastępcy szeryfa. W miarę jak robiło im się ciepło, ściągali z siebie kolejne części ubrania. Annie poszła za ich przykładem. Gdy zdjęła zniszczony kapelusz i grubą kurtkę, mężczyźni osłupieli. Wkrótce zdziwienie, malujące się na ich twarzach, ustąpiło miejsca nie-tajonemu podziwowi.

Moran nie miał do nich pretensji. Włosy Annie lśniły w blasku ognia jak płynne złoto. Jej oczy miały głęboką orzechową barwę, policzki były zaróżowione od chłodu, a usta pełne i czerwone jak wiśnie. Kobieta nie zauważała męskich spojrzeń. Poprawiła kołnierzyk flanelowej koszuli, przygładziła włosy i usiadła przy stole.

- Jest pani z tych stron, panno Foster? - zapytał Locke bardziej z grzeczności niż wścibstwa.

- Niezupełnie, ale zamierzam tu osiaść. Słyszeliście o hotelu Palace? Jestem jego nową właścicielką.

Szeryf uniósł brwi.

- W Cooperton?

- Tak - potwierdziła Annie z dumą.

Rozejrzała się wokół stołu. Na widok reakcji obecnych jej uśmiech zgasł. Moran też spodziewał się raczej zaskoczenia niż wyraźnego zmieszania. Mężczyźni zaczęli pokasływać, chrząkać i z nagłym zainteresowaniem wpatrywać się w brudną podłogę. Tylko najmłodszy gapił się na Annie zafascynowany, jakby ujrzał ją w całkiem nowym świetle.

- Ciekawe, czy pani...

- Dość tego, Curtis - przerwał mu szeryf i zawołał do Jonesa: - Co z kolacją?

Przy stole panowało niezręczne milczenie, dopóki mężczyźni nie zajęli się jedzeniem. Tak jak Moran podejrzewał, talenty kucharskie mrukiwego Jonesa dorównywały towarzyskim. Po gulaszu pływała cienka warstwa tłuszczu, mięso okazało się twarde i żyłaste, naleśniki spalone z wierzchu, a w środku surowe i gumowate. Dobrze choć, że Jake nie musiał sam przygotowywać posiłku. Na szczęście kawa była mocna i gorąca, a Jones podał do niej nawet taki delikates jak cukier.

Wbrew obawom **Morana** dalsza rozmowa potoczyła

się gładko. Jak zwykle obracała się wokół miejscowych spraw, polityki i Indian. Zastępcy nie mogli zrozumieć, dlaczego dzikusy nie chcą siedzieć w rezerwach, tylko się włóczą po całym terytorium i sprawiają kłopoty dobrym ludziom, którzy próbują zasiedlić te ziemie. Wszyscy żywili niechęć do nowo wybranego gubernatora Hunta, który domagał się wprowadzenia ustawy o obowiązkowej nauce. Dzieci między szóstym a trzynastym rokiem życia musiałyby codziennie uczyć się w szkole przez pięć godzin, niezależnie od tego, czy rodzice potrzebowali ich na farmie czy nie.

Na koniec poruszono temat uprawy ziemi oraz hodowli bydła i koni.

- W Leesville znam pewne ranczo, którego właścicielem jest niejaki Ben Davidson - odezwał się Jake. - Takich koni nie widziałem nigdzie na zachód od Kentucky.

- Chodzi panu o Grantsville - sprostował Curtis ostrym tonem. - Teraz miasto nazywa się Grantsville.

Moranowi przypomniało się, że rzeczywiście słyszał o powojennej zmianie nazwy.

- Chyba ma pan rację.

- Jasne, że mam. Teraz miasto nazywa się Grantsville.

Zastępca wyglądał na dwadzieścia lat, był wysoki i smukły. Sprawiał wrażenie zapalczego. Przyglądał się Moranowi z jawną wrogością. Jake odpowiedział mu niezmaconym spojrzeniem.

- Coś nie w porządku, zastępczo?

Spodziewał się różnych pytań od ludzi szeryfa, ale tego jednego nie przewidział. Wiedział, co zaraz usłyszy.

- Jestem z Nowego Orleanu, jeśli o to pan pyta.

- Walczył pan na wojnie?

-Tak.

- Uspokój się, Curtis - ostrzegł szeryf. - Nie będziemy teraz zaczynać.

Chłopak wykrzywił się z nienawiścią.

- Przekłęci rebelianci zabili mojego tatę i brata. Obaj walczyli pod Grantem i zginęli niedaleko Lookout Mountain.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Jake spokojnie. - Wielu dobrych ludzi poległo.

Curtis położył dłoń na kolbie rewolweru.

- A wielu śmierdzących rebeliantów przeżyło. - Na jego twarzy malowało się rozgoryczenie niespotykane u młodzieńca w tym wieku. Gra cieni i blasku lamp naftowych jeszcze mocniej je podkreślała. - Ćwiczę strzelanie każdego dnia, odkąd skończyłem dziesięć lat, wie pan?

- Tak?

- Jestem dobry. Mógłbym sam wytłuc całą armię rebeliantów.

- Z pewnością.

- A pan dobrze strzela?

- Byłem najwolniejszy w oddziale.

W oczach młodego zastępcy pojawił się błysk rozczarowania.

- Chce się pan spróbować?

- Nieszczęśliwie. Raczej sobie posiedzę i wypiję kawę.

- Daj spokój, Curtis - ostrzegł szeryf po raz drugi.

Podwładny nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Nie odrywał oczu od Morana.

- Chciałbym usłyszeć wasz okrzyk wojenny.

- Wojna się skończyła, synu.

- Tylko jeden raz.

Jake odchylił się na krzesło i utkwiał w chłopcu zimny wzrok.

- Muszę cię uprzedzić, że kiedy południowiec wyda ten okrzyk, wstępuje w niego szal. Zwłaszcza jeśli ma przed sobą Jankesa. Przestaje dobrze widzieć, w głowie mu się mąci, a dłoń zaczyna świerzbic. Wiesz, co się stanie, jeśli spełnię twoją prośbę?

- Co?

- Będę musiał cię zabić.

Chłopak zrobił przestraszoną minę. Gdy mężczyźni ryknęli śmiechem, poczerwieniał i zerwał się z krzesła.

- Może się ze mną zmierzysz, śmierdzący buntowniku? Żadnego strzelania, tylko samo wyciągnięcie broni.

- Do diabła, Curtis, powiedziałem „dość”! - krzyknął Locke.

- Boisz się, rebeliancie?

Moran westchnął.

- Dlaczego...

Nie dokończył zdania. Curtis sięgnął po broń. Reszta była kwestią odruchu. Zanim chłopak wyjął rewolwer z kabury, Jake mierzył z kolta w jego pierś.

Wydawało się, że Curtisowi oczy zaraz wyjdą z orbit. Pozostali mężczyźni głośno wciągnęli powietrze i odsunęli się od stołu, szurając krzesłami. Tylko Annie i Jones nie drgnęli. Jake dostrzegł kątem oka, że oboje mają zadowolone miny. Posłał zastępcy chłodny uśmiech.

- To mój problem. Zawsze byłem najwolniejszym człowiekiem w swoim oddziale.

Curtis przełknął ślinę i powoli opuścił rękę.

- Nie winiłbym pana, gdyby pan strzelił - powiedział Jones. - Zasłużyłeś sobie, chłopcze. Odkąd twój tata i brat zginęli, mielesz ozorem i wszystkich prowokujesz.

- Nie ma sensu rozlewać krwi - odezwał się Locke chłodnym i władczym tonem.

- Racja, szeryfie. - Jake schował rewolwer do kabury i obrzucił Curtisa długim spojrzeniem. - Jak już powiedziałem, wojna się skończyła, ale niektórych południowców nadal świerzbi dłoń. Ta przypadłość odzywa się za każdym razem, kiedy ktoś nazywa ich śmierzącymi rebeliantami. Lepiej to zapamiętaj, synu.

- Dobra - wychrypiał młodzieniec.

Jake pokiwał głową. Wstał od stołu, założył kurtkę i kapelusz.

- Wybaczcie, panowie. Zajrzę do koni.

Po wyjściu z chaty ruszył w stronę zagrody. Chmury zwiastujące śnieg rozeszły się. Noc była tak cicha, jak tylko potrafi być noc w górach. Lekki zachodni wietrzyk niósł zapach sosen. Na atramentowym niebie usianym gwiazdami wisiał sierp księżyca. Z chaty dobiegały męskie głosy. W pewnym momencie Jake usłyszał skrzyknięcie drzwi. Obejrzał się i zobaczył Annie idącą przez podwórze.

Kobieta stanęła obok niego bez słowa i oparła się o ogrodzenie. Razem patrzyli na baraszkujące konie.

- Wszystko w porządku? - zapytała Annie po chwili. Moran wrzuszył ramionami.

- Jasne. To tylko zapalczywy dzieciak.

Najgorsze, że szeryf zobaczył go w akcji.

- Często zdarzają ci się takie rzeczy?

- Dość często.

Jake dostatecznie długo przebywał w tej części kraju, by się zorientować, że rebelianci nie są tu mile widziani. Kiedyś w „Rocky Mountain News” przeczytał artykuł wstępny, w którym nazywano południowców plagą Zachodu, szczątkami wyrzuconymi na brzeg przez falę wojny, szarańczą. Jake nie wziął tych słów do siebie. Zdawał sobie sprawę, że po obu stronach rany są jeszcze świeże.

Annie postawiła stopę na żerdzi i schowała ręce do kieszeni.

- Dlaczego Duquette?

- To panięskie nazwisko mojej matki.

- Nie pytam, skąd je wzięłeś, tylko dlaczego go użyłeś. Szeryf powiedział, że wyglądasz znajomo. Czy to możliwe?

- Nie.

- Ja niczego przed tobą nie ukrywałam, Jake. Najwyższa pora, żebyś i ty był szczery wobec mnie.

Nie sądził, że jego imię w ustach Annie sprawi mu taką przyjemność. Po prawdzie, był zaskoczony, że w tej kobiecie podoba mu się wszystko. Była naturalna, bezpośrednia, zmysłowa, wrażliwa, wspaniałomyślna i zabawna. Uwielbiał jej ciało, śmiech, oczy, ciepło i odwagę. Lubił, gdy kładła się do łóżka w samych skarpetkach i zasypiała wtulona w jego ramiona.

Byli kochankami prawie od tygodnia. W tym czasie nie zauważył niczego, co świadczyłoby, że Annie nadal jest związana z bandą Mundy'ego. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że niektóre zbiegi okoliczności budziły podejrzenia. Od próby obrabowania banku w Two River Flats po przypadkowy strzał, który ostrzegł śledzącego ich człowieka.

I jeszcze wiadomość od Waltera Pogue'a, że szajka Mundy'ego dokonała napadu w Manitobe zaledwie kilka godzin po tym, jak on i panna Foster przejechali przez miasto. Moran nawet słówkiem nie wspomniał Annie o telegramie, ale dopiero teraz zaczął rozmyślać o powodach, dla których tego nie zrobił. Czyżby nie w pełni jej ufał? A może po prostu nie chciał przerazić jej nowiną, że bandyci podążają za nimi krok w krok?

Tak czy inaczej, nie mógł się przyznać, że wykorzystywał ją, by dopaść Peta'a Mundy'ego.

- Szeryf i ja graliśmy w pokera jakiś rok temu. O ile pamiętam, dużo przegrał, co niezbyt mu się spodobało.

- Naprawdę? - Kobieta odetchnęła z ulgą. - Do diabła, już się martwiłam.

Jake spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego?

- Jesteśmy *cumpleanos*, Moran - stwierdziła Annie rzeczowo. - Pomagałeś mi, a teraz przyszła moja kolej.

Mężczyzna zrobił lekko zdziwioną minę.

- Czy przypadkiem nie chciałaś powiedzieć *caballeros*?

- *Caballeros*. Racja. Przecież Diego mi mówił.

Jake nigdy wcześniej nie używał tego słowa, ale wiedział, że choć jest zbliżone znaczeniem do *amigo*, ma nieco głębszy sens. *Caballero* to człowiek honoru, godny zaufania i szacunku, ktoś w rodzaju rycerza bez skazy. Określenie było dla niego komplementem, a zarazem brzemieniem.

- Nie jestem rycerzem, kochanie.

- Ale przyjacielem, prawda? Dlatego pomagaliśmy sobie nawzajem. Ty ufasz mi, a ja tobie.

Jake poczuł ukłucie strachu.

- Nie powinnaś tak łatwo obdarzać kogoś zaufaniem.

- Niczym nie obdarzam łatwo. Zwłaszcza mężczyzn. Chyba powinnaś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek.

Ich oczy spotkały się w blasku księżyca.

- Chyba tak.

Moran długo walczył ze sobą, nim zbliżył się do Annie. Próbował być uczciwy i zachować dystans między nimi, ale okazało się to równie niemożliwe jak postawienie tamy na Niagarze. Choć pragnął tej pięknej, wrażliwej kobiety o złotobrazowych oczach, ubranej w męski strój i ciężkie buty, za nic w świecie nie chciał jej zranić.

W tym momencie nasunęło mu się pytanie, czy kiedykolwiek zdoła od niej odejść? Co się z nim stanie, jeśli to zrobi? Myśl o utracie Annie była nie do zniesienia. Podobnie jak o jej przynależności do bandy. Niestety, obie możliwości z każdym dniem coraz wyraźniej rysowały się w jego umyśle.

Moran otoczył kobietę ramieniem i przyciągnął ją do siebie.

- Co będzie dalej, Jake? - szepnęła Annie.
- Też chciałbym wiedzieć, kochanie. Jeszcze jak.

14

Rano obudził Annie rytmiczny stuk siekiery rąbiącej drewno. Usiadła na łóżku, nasłuchując głosów albo kroków. Po chwili zorientowała się, że jest sama w chacie. Poprzedniego wieczoru Locke oddzielił jej pryczę od pozostałych, wieszając koc na sznurku. Doceniała gest mężczyzny, ale ciemność i odosobnienie sprawiły, że zasnęła, co rzadko jej się zdarzało. Energicznym ruchem odrzuciła koce. Kot, który spał zwinięty w jej nogach, fuknął niezadowolony.

- Wybacz, kochanie.

Potrząsnęła głową zaskoczona, że przejęła zwrot Jake'a. Podeszła do miski i nalała wody z dzbana. Umyła się, a potem szybko ubrała, zaplotła warkocze, wciągnęła buty i założyła kapelusz.

Zebrała swoje rzeczy i wyszła w chłodny, mglisty poranek. Dzień był wilgotny, ale cieplejszy niż kilka ostatnich. Świat wyglądał jak zasłonięty szarym tiulowym

welonem. Bładozłote promienie słońca ledwo przedierały się przez mgłę. Krople rosy lśniły na gałęziach drzew jak opalizujące perły.

Obok strumienia Annie zobaczyła Jonesa. Rozebrany do pasa, rąbał drwa na opał. Nie było dyliżansu i koni. Locke i jego ludzie najwyraźniej już odjechali. Jake właśnie kończył siodłać Weeda i Dulcie. Usłyszawszy kroki, odwrócił się i uśmiechnął do niej promiennie. Annie od razu zrobiło się cieplej. Odwzajemniła uśmiech i przyspieszyła kroku.

Mężczyzna ruszył jej na spotkanie.

- Dzień dobry, kochanie..

- Dzień dobry, Jake.

Zmieszła się, słysząc własny głos. Wcale nie chciała się zdradzić, że widok Morana aż tak na nią działa.

- Dobrze spałaś?

- Świetnie - skłamała.

Po raz pierwszy, odkąd zostali kochankami, spała sama. Rzuciła się przez całą noc i przewracała z boku na bok, żałując, że nie ma przy niej Jake'a. Zdumiewające, jak szybko przyzwyczała się do spania w jego ramionach.

Popatrzyła na mężczyznę, zastanawiając się, czy jej fascynacja kiedykolwiek osłabnie. Nie umiała opanować dreszczu podniecenia, które ogarniało ją za każdym razem, kiedy ich ciała się stykały, gdy patrzył na nią spod powiek albo posyłał leniwe uśmiechy. Nawet teraz, w jasnym świetle dnia, potrafiła myśleć tylko o rękach pieszczących jej piersi i biodra, o ustach miękkich i jednocześnie władczych.

- Jesteś gotowa? - zapytał Jake.

Kobieta skinęła głową i podała mu torbę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Zachowałaś się jak prawdziwa dama, kochanie.

Annie dopiero po chwili zrozumiała, co Jake ma na myśli. Do tej pory zawsze radziła sobie sama i odrzucała jego pomoc. Teraz wydawało się jej całkowicie naturalne, że pozwala mu osiodłać konie i przytroczyć bagaże. Zagryzła wargę.

- Masz coś przeciwko temu, Jake?

- To dla mnie zaszczyt, madam - odparł najlepszym południowym akcentem. Podał jej ramię. - Pozwoli pani?

Wsiadli na konie i krzyknęli „do widzenia” Gderliwemu Jonesowi. Mężczyzna nawet się nie odwrócił, tylko machnął im ręką.

Wkrótce jechali zwykłym tempem. Koło południa górski szlak zmienił się w szeroki, bity trakt Ruch był coraz większy. Minęli trzech jeźdźców, parę dwukółek, kilka wozów i dyliżans pocztowy. Po kilku dniach samotnej jazdy przez kanion droga wydała im się bardzo zatłoczona.

Na szczycie wzgórza Jake ściągnął wodze, zatrzymując się po raz pierwszy, odkąd opuścili chatę. Zsunął kapelusz na tył głowy i z uśmiechem obejrzał się na Annie.

- I jak, kochanie?

Kobieta spojrzała na dolinę. Leżało w niej duże, tętniące życiem miasto Abundance. Cooperton i hotel Palace znajdowały się pół dnia drogi od tego miejsca. Po latach czekania i planowania jej marzenie wreszcie miało się spełnić.

- To Abundance, prawda?

- Tak.

- Widzisz to, co ja widzę, Jake?

- Co takiego?

- Tęczę.

Niebo nad nimi było bezchmurne. - Wydaje mi się, że na jej krańcu czeka hotel Palace.

Jake popatrzył w dal i uśmiechnął się.

- Chyba masz rację.

- Więc na co, do diabła, czekamy? Jedźmy!

Annie wydała okrzyk wojenny i wbiła pięty w boki Dulcie. Usłyszała, że Jake rusza za nią. Galopowała po zboczach, śmiejąc się z radości i podniecenia. Wiatr sma-gał jej policzki, zdzierał kapelusz z głowy i rozwiewał włosy. Czuła się wolna i lekka, jakby raptem zdjęto z jej barków wszelkie ciężary i troski.

Do miasta przybyli ożywieni i zasapani. Zwolnili dopiero na głównej ulicy. Annie rozglądała się z nie-ukrywanym podziwem. Słyszała, że Abundance szybko się rozwija, ale nie spodziewała się takiego widoku. Miejscowi poszukiwacze nie znaleźli złota, ale coś równie cennego. Srebro. Bogate żyły srebra w górskich zboczach.

Mieszkańcy miasta otwarcie chełpili się nowo zdoby-tym bogactwem. Każdy kolejny budynek powstawał chyba tylko po to, żeby przyćmić inne. Annie naliczy-ła dwa kościoły, trzy zakłady modniarskie, co najmniej pół tuzina biur prawniczych, pisania podań i nierucho-mości, cztery kuźnie, salę bilardową, dwa sklepy z bro-nią i amunicją, stajnię, trzy banki i tyle barów i sal tań-ca, że straciła rachubę. Były też najróżniejsze sklepy, piekarnie, rzeźnicy, a nawet teatr i lokalna gazeta „The Abundance Advocate”. Nad warsztatem szewskim, za dużymi oknami, znajdowała się sala pełna ludzi obsłu-gujących maszyny drukarskie.

Zewsząd dobiegał zgrzyt pil tnących drewno i stuk młotków. Mieszkańców najwyraźniej ogarnął szal bu-dowania. Abundance rosło w szalonym tempie. Być mo-że miało ambicję zostać kiedyś stolicą terytorium, a później nawet całego stanu, wyrwać się spod władzy

Denver City, kolejnego miasta, które rozkwitło dzięki gorączce złota.

Główna ulica, Silver Avenue, była szeroka i okazała, rozdzielona pośrodku rzędem wysokich topoli. Panował na niej wielki ruch i hałas. Annie i Jake znaleźli się wśród juczych mułów, rasowych koni, rozkrzyczanych dzieci, świń, kur i psów. Damy w lekkich powozikach mijały farmerów, jadących na wozach wyładowanych owsem i sianem.

Wschodnia część miasta była wyraźnie biedniejsza. Domy stały zwrócone we wszystkich kierunkach, jakby przywiał je tam huragan. Między nimi trafiały się namioty i nędzne chaty. W zachodniej części Annie dostrzegła wysokie budynki z szerokimi gankami i dobudówkami. W oknach powiewały firanki, a jasno pomalowane drzwi i wypiełgnowane trawniki cieszyły oko przybyszów. Po krętych alejkach jeździły eleganckie dwukółki.

Annie zerknęła na Jake'a i stwierdziła, że mężczyzna przygląda się jej zamiast otoczeniu.

- Rozczarowana? - spytał.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem, nieco zmieszana. Od momentu kiedy wjechali do miasta, gapiła się na wszystko z otwartymi ustami. Abundance spodobało się jej od razu.

- Myślisz, że Cooperton będzie równie ładne?

Jake zastanawiał się przez chwilę.

- Z tego, co słyszałem, jest znacznie mniejsze. Zaledwie kilkuset mieszkańców. - Wskazał na jeden z największych i najokazalszych budynków. - Pomyślałem, że weźmiemy pokój, wykapiemy się, trochę odpoczniemy, a rano ruszymy do Cooperton. Jeśli chcesz, zjemy tu dzisiaj kolację. Urządzimy sobie małe świętowanie.

Annie niepewnie popatrzyła na restaurację.

- Wygląda bardzo elegancko.

- Najwyższa pora, żebyś zaczęła przyzwyczajać się do nowej roli. Właścicielka hotelu Palace musi bywać w towarzystwie.

- Chyba masz rację.

- Coś nie w porządku?

- Myślisz, że moja perkalowa suknia będzie dobra?

- Uważam, że wyglądasz w niej świetnie, kochanie.

- To dobrze - bąknęła bez przekonania.

Kiedy Palace był tylko niedościgłym marzeniem, łatwiej jej przychodziło wyobrażanie sobie, że wszystko jakoś się ułoży. Teraz jednak, gdy znajdowała się zaledwie pół dnia drogi od celu, doszły do głosu wątpliwości i strach. Czy sobie poradzi? A co pojutrze zrobi Jake Moran?

- Może sprawdzimy, czy uda się nam dostać pokój na noc? - powiedział mężczyzna, zatrzymując się przed dwupiętrowym hotelem z balkonem, wysokimi oknami i ozdobnym frontonem.

Zsiedli z koni i przywiązali je do słupków. Weszli do środka. Wnętrze okazało się jeszcze bardziej imponujące niż fasada. Na górę prowadziły szerokie schody przykryte dywanem. Po lewej stronie znajdowała się recepcja, po prawej duża, gustownie urządzonej sala klubowa z wygodnymi sofami. Zdobiły ją perkalowe zasłony i kolorowe chodniki. W ogromnym, kamiennym kominu buzował ogień.

Chudy recepcjonista notował coś skrzętnie w księdze meldunkowej. Obok niego stał kubek z parującą herbatą cytrynową. Na widok nowych przyjezdnych wstał i uśmiechnął się grzecznie. Nie dał po sobie poznać rozczarowania niedbałym wyglądem gości ani prośbą o jeden pokój.

- Jeśli chcą państwo obmyć się z kurzu, dwie ulice dalej jest łaźnia publiczna. Budynek dla pań znajduje się po lewej stronie, dla panów po prawej. Polecam fryzjera Toma Mossa, obok sklepu z towarami skórzanymi. Ani razu mnie nie skaleczył. Jeśli chodzi o konie, po drodze na pewno widzieli państwo stajnię.

Jake podziękował mężczyźnie i dał mu napiwek. Potem oboje wyszli z hotelu, żeby zająć się końmi. W tym momencie nadjechał dyliżans i stanął przed wejściem. Pomocnik woźnicy zeskoczył z kozła, rozłożył schodki i otworzył drzwi. Przybycie dyliżansu było wydarzeniem w każdym mieście na Zachodzie, bo zjawiała się wtedy poczta, towary zamówione z katalogów i nowi ludzie. Jake i Annie zatrzymali się jak wszyscy przechodnie, żeby popatrzeć.

Uwagę Annie zwrócił jeden pasażer. Wydał się jej znajomy. Był średniej budowy i wzrostu, ubrany w elegancki trzyczęściowy garnitur z granatowego materiału w prążki i kapelusz z szerokim rondem. Chustką wytarł kurz ze skórzanej walizki.

- Jake, czy to nie ten reporter? Jak on się nazywał? Vannert?

Moran oparł się o kolumnę ganku i skrzyżował ramiona. Z ciekawością przyjrzał się podróżnemu.

- VanEste.

- Właśnie.

Przybysz skierował się prosto do hotelu. Na widok Jake'a i Annie stanął jak wryty, ale szybko odzyskał rezon.

- Pan Moran i panna Foster! - zawołał rozradowany. Postawił walizkę na ziemi i uchylił kapelusza. - To dopiero zbieg okoliczności, prawda? Opatrzność znowu mnie do was przywiodła.

- Zdawało mi się, że przywiózł pana dyliżans - uważał Moran.

Peyton VanEste z uśmiechem pokiwał głową.

- Owszem, ale to się nazywa mieć szczęście.

- Chyba nas pan nie śledził, panie VanEste?

- Albo wy mnie - odparował reporter i mrugnął do Annie. - Po prostu wybraliście najkrótszą drogę. Faktem jest, panie Moran, że przyjechałem osobiście zobaczyć Abundance. Moje pismo zamieszcza artykuły nie tylko o ludziach Zachodu, ale również o miastach. Niektóre mają nie mniej wyrazu niż ich budowniczowie. Chodzą plotki, że Abundance będzie następnym Sutter's Mill. Słyszałem o rzece srebra płynącej z gór. Podobno każdy, kto jest w stanie unieść wiadro i łopatę, może zrobić fortunę w ciągu tygodnia. Takich właśnie historii oczekują moi czytelnicy na Wschodzie.

- Oczywiście - powiedział Jake.

- Dobrze pani wygląda, panno Foster - stwierdził reporter.

- Dziękuję, panie VanEste.

- Zatelegrafowałem do mojego wydawcy z „The Gazette”, że odmówiła mi pani wywiadu. Jak łątwo sobie wyobrazić, był rozczarowany. Omal nie straciłem pracy.

- Przykro mi.

- Ale znowu się spotkaliśmy. Jak mawiała moja kochana matka, nic nie dzieje się bez przyczyny. Czyżby rozważyła pani moją prośbę, panno Foster?

- Obawiam się, że nie.

VanEste cmoknął z niezadowoleniem.

- Szkoda. Cóż, może innym razem. Gdyby pani zmieniła zdanie, chętnie porozmawiam w dowolnej chwili. Do widzenia państwu.

Uchylił kapelusza, wziął do ręki bagaż i energicznym krokiem wszedł do hotelu.

- Może tymczasem rozgościsz się w pokoju, Annie - podsunął Jake, kiedy VanEste zniknął za drzwiami. - Mam pewną sprawę do załatwienia. Spotkamy się na dole o siódmej i pójdziemy na kolację.

- Dobrze. - Kobieta aż się paliła, żeby obejrzeć miasto.

- W porządku. W takim razie do zobaczenia.

Mężczyzna dosiadł Weeda i ruszył Silver Avenue.

Annie poczuła w gardle dziwne ściskanie. Jej entuzjazm trochę przygasł. Lepiej oswoj się z tym widokiem, dziewczyno. Pojutrze też go zobaczysz.

Jake Moran odjedzie z twojego życia.

Moran wstąpił najpierw do urzędu telegraficznego. Na szczęście nie dostał żadnych wiadomości od Waltera Pogue'a.

Druga wizyta okazała się bardziej owocna. Mając w pamięci wyraz niepewności na twarzy Annie, Jake skierował kroki do sklepu, nad którym wisiał szyld: „Butik panny Angelique. Najmodniejsze stroje dla pań. Gotowe i szyte na miarę”. Jake wszedł do środka i z zadowoleniem stwierdził, że jest jedynym klientem. Potrzebował co najmniej godziny niepodzielnej uwagi panny Angelique.

Dokonawszy zakupów, wrócił do hotelu. Miał nadzieję, że Annie ucina sobie drzemkę, najlepiej w samych skarpetkach. Godzina spędzona w pachnącym butiku wśród jedwabi i aksamitów pobudziła jego wyobraźnię i zmysły. Niestety pokój był pusty.

Jake zdecydował się pójść do łaźni i fryzjera. Po powrocie założył czyste ubranie i postanowił odwiedzić bar. Przeciął ulicę i wszedł do lokalu o nazwie Happy

Tom's, który wyglądał na jeden z lepszych w mieście. Nie rozczarował się. Zamiast klepiska wysypanego trocinami, powszechnego w barach na Zachodzie, ujrzał podłogę z klonu, wypolerowaną na wysoki połysk. Półki za długą mahoniową ladą były dobrze zaopatrzone, goście przyzwoicie ubrani, a kelnerki ładne.

Jake dosiadł się do stolika, przy którym grano w pokera. Nikt nie wygrywał ani nie tracił wielkich sum. Po prostu grupka mężczyzn miło spędzała wolne popołudnie. Rozmawiano o tym i owym, przeważnie na lekkie tematy.

Wysoka i szczupła kelnerka, która przyniosła Moranowi drinka, była w jego typie. Bardzo przypominała mu pierwszą kochankę z Luizjany. Miała długie, smukłe nogi, śniadą cerę i ciemne oczy w kształcie migdałów. Na pełnych wargach błędził obiecujący uśmiech, który zarazem świadczył o pewności siebie i o egoizmie. Jake wiedział, że ta kobieta zadbałaby o swoje potrzeby. Wykorzystałaby go tak samo jak on ją, co zawsze mu odpowiadało, a nawet podniecało. Ale patrząc na nią teraz, uświadomił sobie, że jednonocna przygoda zupełnie go nie interesuje.

Nagle zrozumiał, że nie chce przez cały wieczór popijać whisky i grać w karty, a potem wziąć do łóżka jedną z barowych dziewczyn o płonących oczach, apetycznym ciele i imieniu, które zapomniałby w ciągu tygodnia. Rano obudziłby się, wyruszył do następnego miasta i robił to samo co poprzedniego dnia. Karty w dłoni, cichy brzęk żetonów i gwar rozmów już mu nie wystarczały. Jego monotonne życie zmieniło się, odkąd spotkał Annie. Nie miał ochoty wracać do dawnych zwyczajów.

Przez cały czas nosił się z myślą, że za parę lat, kiedy odbudowa kraju po wojnie dobiegnie końca, wróci do do-

mu. Teraz z miejsca odrzucił ten pomysł. Nikt na Południu nie miał dość pieniędzy na grę w karty. Oczywiście z wyjątkiem Jankesów, od których zaroiło się w tamtych stronach. Po prawdzie, mógłby ich ograć do czysta, ale cóż to byłoby za zemsta. Wojna się skończyła, Południe przegrało. Nie chciał na nowo zaczynać walki.

Jego domem był teraz Zachód. Gdy tylko załatwi sprawę z bandą Mundy'ego, może uda mu się stworzyć z Annie trwałą związek. Perspektywa osiedlenia się z nią w Cooperton zamiast włości od miasta do miasta wydała mu się dziwnie atrakcyjna. Musiałby zrezygnować z całkowitej wolności, ale wyglądało na to, że w zamian dostałby dużo więcej.

Odłożył karty, zgarnął pieniądze i uklonił się partnerom.

- Czas na mnie, panowie.
- Trzeba wiedzieć, kiedy wstać od gry - skomentował przyjaźnie siwowłosa mężczyzna.
- Właśnie.

15

Annie stała przed lustrem i z zachwytem wpatrywała się w swoje odbicie. Suknia z najdelikatniejszej, wełnianej krepy koloru starego złota była szeroka u dołu i mocno dopasowana w talii, a z przodu rozcięta w taki sposób, że odsłaniała halkę z adamaszku o barwie kości słoniowej. Góra z takiego samego adamaszku miała głęboki dekolt. Stroju dopełniało bolerko w złote i kremowe pasy, torebka w taki sam wzór i białe rękawiczki do łokcia.

Mary, uczennica panny Angelique, odchrząknęła nerwowo.

- Jeśli się pani nie podoba...

Annie napotkała w lustrze jej wzrok. Dopiero teraz zorientowała się, że od dłuższej chwili patrzy na siebie bez słowa, z wielkim skupieniem i niedowierzaniem.

- Jest piękna - zapewniła szczerze. - To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się ulga.

- Pan Moran ma bardzo dobry gust. Chciał oglądać tylko najlepsze rzeczy, jakie są u panny Angelique.

Annie skinęła głową. Spojrzała na otwarte pudła rozrzucone po pokoju. Gdy je dostarczono, w pierwszej chwili oświadczyła, że to pomyłka, ale dziewczyna upierała się, że pan Moran zamówił stroje dla panny Foster. Kazał jej zostać, pomóc pani przy mierzeniu i dokonać niezbędnych poprawek.

W pierwszym pudle Annie znalazła liścik, który potwierdził słowa Mary. „Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś założyć coś innego niż perkal i rewolwery”.

Jake przysłał jej trzy suknie z delikatnej, wełnianej serży: złotą, bladoniebieską i szmaragdową. Ponadto strój do jazdy konnej, składający się z białej, płóciennej bluzki, żakietu z granatowej wełny i odpowiednich spodni. Annie dostała również dwie codzienne spódnice z grubej bawełny i cztery proste bluzki, a także czekoladowy płaszcz obszyty futrem z gronostaja, pończochy i kilka sztuk bawełnianej bielizny, przystrojonej koronkami i wstążeczkami. Najbardziej jednak spodobały się jej długie do kostki buty z jasnobrązowej skóry, ozdobione rzędem małych, perłowych guziczków. Niewielkie obcasy stukały, kiedy chodziła po pokoju.

Na szczęście okazało się, że nie są potrzebne żadne

przeróbki. Ubrania były gotowe, ale tak przemyślnie zaprojektowane, że pasowały na różne typy sylwetek. Wystarczyło tu i ówdzie przesyć guziki, ściągnąć taśmę albo sznurowanie.

- Nie wiedziałam, że takie suknie można kupić gotowe - stwierdziła Annie. - Myślałam, że trzeba je zamawiać na Wschodzie.

- Nie, u nas - oświadczyła Mary z dumą. - Panna Angelique jest bardzo przewidująca. Kiedy poszukiwacz trafia na żyłę złota, on i jego żona chcą od razu wyglądać dobrze, a nie czekać trzy miesiące, żeby wszystkim się pokazać. Dlatego panna Angelique trzyma w magazynie tyle towaru, ile się zmieści.

- Rozumiem.

Annie wróciła do studiowania swojego odbicia. Przy okazji Mary zdziałała cuda z jej włosami. Długie, proste pasma skręciła w loki, zebrała je na czubku głowy i upięła, zostawiając kilka luźnych kosmyków na karku i ramionach. W efekcie powstała fryzura, z którą nie mogła się równać żadna z proponowanych w „Poradniku Winstona”.

Annie chciała uszczypnąć się w policzki, żeby dodać sobie kolorów, ale stwierdziła, że zabieg nie jest konieczny. Oczy błyszczały jej z podniecenia, a twarz barwiły rumieńce. Czuła się tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz zmusiła konia do pełnego galopu. Miała wrażenie, że fruwa. Była zdenerwowana i jednocześnie podekscytowana.

- Potrzebuje pani jeszcze czegoś?

- Nie, dziękuję, Mary. Wszystko jest wspaniałe.

Sięgnęła do torebki po monetę.

- Nie, proszę pani. Pan Moran już mi dał napiwek. To prawdziwy dżentelmen, prawda?

- Tak.

Annie stłumiła westchnienie. Nie miała innego wyjścia, jak przyzwyczaić się do tego, że wszystkie kobiety patrzają na Jake'a jak bezpańskie koty na miskę śmietanki.

Po wyjściu Mary wzięła do ręki mały flakonik francuskich perfum. Skropiła nadgarstki, szyję i dekolt. Po raz ostatni stanęła przed lustrem, próbując spojrzeć na siebie oczami Jake'a. Zobaczyła całkiem obcą kobietę: piękną i elegancką, prawdziwą damę. Ogarnął ją niepokój. Czy Jake nie będzie rozczarowany jej wyglądem po tym, jak zadał sobie tyle trudu?

Przybrała dumną pozę.

- Jak myślisz, Kocie? Wyglądam jak panna Annabel Lee Foster czy nadal jestem zwykłą Dziką Annie, tyle że świeżo po kąpieli i wystrojoną w suknię za trzydzieści dolarów?

Kot przekrzywił łeppek, ziewnął szeroko i machnął ogonem.

- Masz rację. Nie do nas należy ocena. - Annie podeszła do łóżka i pogłaskała ulubieńca. - Bądź grzeczny.

Wzięła torebkę, przerzuciła przez ramię nowy płaszcz i wyszła z pokoju. Ruszyła w dół po schodach. Na ostatnim stopniu zatrzymała się i rozejrzała po holu. Byli w niej prawie sami mężczyźni. Rozparci w fotelach i na sofach, palili cygara, rozmawiali i popijali alkohol. Sala klubowa hotelu wyglądała raczej jak prywatny męski klub. Kobieta zawahała się, szukając wzrokiem Jake'a.

Jej spojrzenie padło na mężczyznę, który siedział samotnie na kanapie i czytał gazetę. Zrobiła krok w jego stronę.

W tym momencie mężczyzna podniósł oczy, zdziwiony ciszą, która nagle zapadła w holu. Annie odetchnęła z ulgą. To był Jake. Z wyrazem osłupienia na twarzy powiódł po niej wzrokiem, od czubka butów po misterną fry-

zurę. Kobieta odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

Moran natychmiast odłożył gazetę i wstał. Był świeżo ogolony i ubrany w ten sam strój co w biurze szeryfa Cayne'a. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu.

Istniała tylko jedna różnica. W Stony Gulch w spojrzeniu Jake'a malowała się lekka nuda, rozbawienie i czujność. Teraz szaroniebieskie oczy lśniły niezwykłym blaskiem. W miarę jak na nią patrzył, pojawiały się w nich satysfakcja, duma i pożądanie.

Mężczyzna zbliżył się i bez słowa wyciągnął do niej rękę. Annie miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Niczym we śnie zeszła z ostatniego stopnia i podała Jake'owi dłoń z taką swobodą, jakby robiła to setki razy.

- Założę się, że nie poznałeś mnie bez spodni.

Po ustach Morana przemknął lekki uśmiech.

- Mylisz się.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Zwrócę ci...

- Nie, to prezent.

- Nie zasługuję na takie piękne suknie, Jake.

- Może ja będę o tym decydował? - Ich oczy spotkały się na długą chwilę. - Miałem nadzieję, że założysz właśnie tę suknię. Wspaniale podkreśla odcień twojej cery. - Musnął wargami jej dłoń. - Wyświadczasz mi ogromny zaszczyt.

Sięgnął po płaszcz.

- Mogę?

Dreszcz przebiegł Annie po plecach, gdy palce Jake'a musnęły jej kark, a ciepły oddech połaskotał ucho.

- Głodna?

Ciebie bym zjadła, odpowiedziała mu w myślach kobieta. Z trudem nad sobą panowała. Skinęła głową, przeżona własną lubieżnością.

- To dobrze. Chcę cię *zabrać* do najlepszej restauracji w mieście - oznajmił Moran i podał jej ramię.

Wyszli z hotelu. Domy i ulice były pokryte cienką warstwą pierwszego w tym roku śniegu. Duże płatki wolno opadały na ziemię, lekko chrzęściły pod nogami. Dwukółki niespiesznie mijały Jake'a i Annie, podzwaniając uprzężą. Mężczyźni i kobiety spacerowali pod rękę i kłaniali się im uprzejmie. Biel śniegu i żółty blask lamp kontrastowały z czernią nieba, cynamonową barwą murów i ciemnymi sosnami, które rysowały się na tle gór.

Annie byłaby całkiem szczęśliwa, gdyby mogła po prostu iść przed siebie i chłonać magię nocy. Niestety, zbyt szybko dotarli do Golden Pheasant. Jake otworzył misternie zdobione dębowe drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

Przestronną salę wypełniał cichy szmer rozmów, po-brzękiwanie sreber i dyskretna muzyka. W oknach wisały grube zasłony z czerwonego aksamitu. Podłogi z ciemnego drewna tak lśniły, że Annie niemal widziała w nich swoje odbicie. Kryształowe żyrandole iskrzyły się w blasku świec. Na stolikach leżały krochmalone, białe obrusy. W wysokich wazonach stały świeże kwiaty. Kelnerzy w czarnych marynarkach poruszali się jak tancerze wykonujący skomplikowany taniec.

Na wszystkich czterech ścianach wisały duże portrety nagiej, pulchnej kobiety. Na każdym twarz i poza były identyczne, zmieniał się natomiast kolor włosów, od kruczoczarnego po jasny blond.

Na podwyższeniu w głębi sali Annie ujrzała zespół złożony z sześciu mężczyzn. Nie znała podobnej muzyki. Bogate, melodyjne dźwięki płynęły ku niej zamiast łomotać jak w wiejskich barach.

Jake uściśnął jej dłoń.

- Grają Mendelssohna. Podoba ci się?

- Taką muzykę pewnie usłyszę, jeśli Bóg postanowi wpuścić mnie do nieba.

Usiedli przy stoliku wskazanym przez kelnera. Po krótkim oczekiwaniu dostali zamówione potrawy: ostrygi, delikatne kotlety jagnięce, szpinak, grube plastry pieczonej dyni, młode ziemniaki z cebulką i tymiankiem oraz chrupiące rogaliki. Pili musujące wino, które Jake nazwał szampanem. Przez całą kolację był wzorowym gospodarzem, omal nie zamęczył jej troskliwością.

- Robiłaś dzisiaj coś szczególnego?

Annie potrząsnęła głową.

- Wybrałam się na przejażdżkę po mieście. Jest chyba równie duże i bogate jak Denver City.

Pogawędzili o różnicach między Abundance a miastami na Wschodzie, o tym i owym. W pewnym momencie kelnerzy zaczęli sprzątać ze stołów. Kilka odsunęli pod ściany. Orkiestra, która do tej pory cicho przygrywała w tle, teraz wypełniła salę głośniejszą muzyką. Na uprzątnięty parkiet wyszły pary.

Jake wstał i ukłonił się szarmancko.

- Zatańczysz?

Annie znała tylko kilka polek.

- Chyba nie potrafię...

- Nauczę cię. Zaufaj mi, kochanie.

Sztywna atmosfera panująca w restauracji zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Gdy do muzyków dołączyli dwaj skrzypkowie, rozbrzmiały skoczne melodie. Goście zaczęli pokrzykiwać, gwizdać i przytupywać jak w zwykłej górniczej tancbudzie.

Annie najbardziej spodobał się teksański walc. Jake bez wysiłku prowadził ją po parkiecie, tuląc do siebie mocno, wręcz nieprzyzwoicie. Ona jednak niczym nie

przejmowała się w tym momencie. Oszałamiał ją silny zapach i dotyk męskiego ciała. W głowie jej wirowało.

- Widzisz, że walc nie jest trudny?

- Rzeczywiście.

Tańczyli, póki grała orkiestra. Nagie piękności spoglądały na nich ze ścian i uśmiechały się kokieteryjnie. W przerwie wypili mocną, czarną kawę podaną w delikatnej chińskiej porcelanie i zjedli po kawałku czekoladowego ciasta. Annie nie spieszyło się do wyjścia. Chciała nacieszyć się upojną nocą.

Gdy wreszcie znaleźli się na ulicy, była szczęśliwa jak nigdy. Śnieg przestał padać, ale miasto pokrywała cienka warstewka białego puchu. Ciszę zakłócało jedynie dalekie poszczekiwanie psa i dźwięki pianina dobiegające z baru.

Po wejściu do pokoju hotelowego Moran zapalił lampę naftową. Złoty blask wypełnił nieduże wnętrze. Chłodny podmuch szarpał zasłoną.

- Chyba nie zamknęłam okna - powiedziała Annie, rozglądając się jednocześnie. - Kot zniknął.

- Znajdzie się - uspokoił ją Jake.

Kobieta podążyła za jego spojrzeniem, zawstydzona bałaganem, którego nie zdążyła uprzątnąć przed wyjściem. Na podłodze walały się pudła i bibułka do pakowania. Na łóżku leżała sarta nowych ubrań. Moran ostrożnie wziął do ręki jedwabny stanik ozdobiony koronką.

- Wszystko pasuje? - zapytał.

- Tak - wykrztusiła Annie.

Niemal czuła palce Jake'a muskające delikatnie jej skórę. W pokoju raptem zrobiło się nieznośnie gorąco. Mężczyzna odłożył stanik i spojrzał na nią błyszczącym wzrokiem.

- Pięknie dzisiaj wyglądałaś, Annie.

Kobieta uśmiechnęła się i przygładziła suknię.

- Kto by pomyślał, że kiedyś zapragnę ubierać się elegancko jak ty?

Jake podszedł do niej.

- Pasują do ciebie takie stroje. - Dotknął jej loków.
- Wszystko w tobie mi się podoba, Annie.

Kobieta poczuła, że oddech więźnie jej w krtani. Serce zaczęło tłuc się w piersiach, po plecach przebiegł dreszcz. Wciąż nie mogła się nadziwić, że jedno spojrzenie Jake'a czy najłżejszy dotyk działają na nią tak mocno. Choć byli kochankami już od pewnego czasu, za każdym razem ogarniało ją podniecenie jak przy pierwszym pocałunku, przemożna chęć, by znaleźć się w jego ramionach.

- O czym myślisz? - zapytał mężczyzna.

- O tobie. O tym, jak na mnie patrzysz.

-Jak?

Annie oblizała wyschnięte wargi.

- Po niektórych mężczyznach widać, że myślą tylko o jednym. Od razu chcieliby wskoczyć do łóżka. Można takich poznać chociażby po sposobie jedzenia. Napychają usta, jakby się bali, że ktoś zabierze im talerz przed nosa. Ty wyglądasz na człowieka, który się nie spieszy. Przy tobie kobieta czuje się piękna, wyjątkowa. To prawdziwy dar, Jake. Niewielu mężczyzn go posiada.

Oczy Morana zabłyśły.

- Ja przy tobie czuję co innego, Annie.

- Tak?

- Tak.

Zsunął jej płaszcz z ramion i rzucił go na krzesło. To samo zrobił ze swoją kurtką.

- A co czujesz?

Mężczyzna nie odpowiedział. Był zajęty ściąganiem

jej rękawiczek, palec po palcu. Potem przyszła kolej na bolerko. Annie czekała.

- Jake?

- Hmm?

- Jak się czujesz, kiedy jesteś ze mną?

Moran delikatnie posadził ją na łóżku. Niedbale zrzucił na podłogę stos kobiecych fatałaszków i usiadł obok niej.

- Jakbym znowu był uczniem, a ty moją pierwszą kobietą. - Odgarnął pasmo włosów i czule pocałował ją w ucho. - Jakbym umierał z głodu, a ty byłabyś ciastkiem z kremem. Mam ochotę pożreć cię jednym kęsem. - Zasypał gorącymi pocałunkami szyję i ramię. Niebieskoszare oczy płonęły namiętnością i jednocześnie oddaniem. - Jakbyś była morzem, a ja tonącym.

Annie zaschło w gardle.

- Możesz się spieszyć, jeśli chcesz, Jake.

- Nie mogę. Nie z tobą.

Ukląkł i zaczął rozwiązywać jej buty. Następnie zadarł spódnice i halki, odsłaniając uda. Zdjął różowe podwiązki i wolno zrolował pończochy, pomagając sobie ustami. Annie zadrżała, gdy położył głowę na jej kolanach. Zanurzyła palce we włosach mężczyzny, wzdychając głęboko. Wyszeptała jego imię, kiedy gorące wargi zaczęły sunąć w górę po wewnętrznej stronie ud, drażniąc delikatną skórę. Wszystkie mięśnie napięły się, w brzuchu zapłonął żar.

- Nie chcę czekać, Jake.

- Spokojnie, kochanie. Tak jest lepiej. Dużo, dużo lepiej. - Nagle wstał z podłogi i usiadł obok niej na łóżku. - Odwróć się, Annie.

- Po co?

- Żebym mógł rozpiąć ci bluzkę.

- Nie powinniśmy najpierw zgasić lampy?

- Chcę cię zobaczyć.

Kobieta zagryzła wargę.

- Czy to właściwe?

- Pewnie nie, skarbie, ale zostawmy światło.

Wątpliwości Annie rozwiały się bez śladu, gdy zobaczyła łobuzerski uśmiech. Jake odpiął guziki i przesunął ustami po obnażonych plecach. Potem odwrócił ją do siebie.

Annie przycisnęła stanik do piersi, nagle onieśmielona. Do tej pory kochali się głównie w ciemności, przy srebrzystym blasku księżyca albo ogniska. Kochanie się w pokoju hotelowym, przy jasnym świetle lampy naftowej, wydawało się bardzo śmiałe i nieprzyzwoite. Z drugiej strony wiedziała, że Jake pragnie na nią patrzeć. Zebrała się na odwagę i opuściła ręce. Chęć sprawienia mu radości wzięła górę nad raptem odkrytą skromnością.

Wstrzymała oddech, gdy wzrok, mężczyzny przesunął się w dół. Ku swojej uldze w jego oczach zobaczyła tylko zachwyt i rosnące pożądanie. Jake delikatnie ujął w dłonie jej piersi, a potem nachylił się i zaczął okrywać je lekkimi pocałunkami. Annie wygięła plecy w łuk. Brodawki stwardniały i wyraźnie zarysowały pod cienką bawełną. Materiał, który wcześniej był tak miękki, teraz stał się nieźnośnie szorstki.

Jake ściągnął z niej koszulkę i cisnął niedbale na podłogę. Annie kurczowo chwyciła go za ramiona. Potem mocno przyciągnęła do siebie.

Mężczyzna powiódł po kobiecie płonącym wzrokiem. Wyjął jej z włosów szpilki. Gęste, złotobrazowe loki opadły kaskadą na plecy Annie. Jake poprawił je tu i ówdzie niczym artysta przygotowujący modelkę do portretu.

- Jesteś piękna, kochanie. Czy ktoś już ci to mówił?

- Tylko ty.

Na usta mężczyzny wypłynął zadowolony, władczy uśmiech.

- To dobrze.

Annie wiedziała, że Jake nie lubi się spieszyć. Nie zamierzała go popędzać. Skończyło się jednak na dobrych intencjach. Oboje nagle ogarnęła niepohamowana żądza. Mężczyzna łakomie przywarł ustami do jej ust. Kobieta odpowiedziała namiętym pocałunkiem, jednocześnie odpinając guziki spodni. Jake szarpał się z jej paskiem. Wkrótce pozbyli się ubrań, rozrzucając je po pokoju.

Annie odkryła, że kochanie się przy świetle ma duże plusy. Nie tylko mogła czuć, słyszeć i smakować Jake'a, ale również obserwować jego reakcje. Zaczęła naśladować jego pieśczoły. Wodziła po jego skórze najpierw opuszkami palców, a potem ustami. Mężczyzna napiął mięśnie i drżał tak jak wcześniej ona. Annie całowała go wszędzie, od karku spalonego od słońca przez szeroki tors i gładki brzuch po silne uda.

Jake wydal gardłowy dźwięk i przyciągnął ją do siebie.

- Mmm. Gdzie się tego nauczyłaś, Annie?

- Od ciebie.

- Naprawdę? To dobrze, kochanie. Bardzo, bardzo dobrze.

Musnął wargami jej szyję, przesunął się niżej. W żyłach Anny krążył płynny ogień. W brzuchu utworzył się mały cyklon i po chwili rozprzestrzenił na uda.

Wbiła paznokcie w skórę kochanka, nie zastanawiając się, czy sprawia mu ból. Płonęła nieokiełznaną żądzą.

Mężczyzna wszedł w nią z jękiem satysfakcji. Annie przycisnęła usta do jego szyi, tłumiąc okrzyki. Rękami błędziła po plecach, ścisnęła pośladki, głaskała uda Ja-

ke'a. Wtopiła się w niego, dopasowała do rytmu. Każdy jego ruch jeszcze potęgował w niej głuche pragnienie.

Żar, który tlił się w jej wnętrzościach, nagle buchnął płomieniem. Gorące spazmy rozkoszy powędrowały wzdłuż kręgosłupa do nóg. Annie gwałtownie wciągnęła powietrze, wygięła plecy w łuk i wtuliła usta w ramię kochanka, żeby nie krzyknąć głośno. Poczowała słonawy smak jego potu. W tej samej chwili przez ciało mężczyzny przebiegło silne drżenie, a potem opadł na nią bez sił.

Kiedy Annie odzyskała zmysły, uświadomiła sobie kilka rzeczy jednocześnie. Krótkie, urywane oddechy, silny zapach miłości, skłębione prześcieradła, dziwne cienie na suficie. I wreszcie ciężar męskiego ciała.

- Jake?

- Co?

- Nie mogę oddychać.

- Zawsze jesteś taka wymagająca?

Gdy Annie wreszcie odzyskała swobodę ruchów, ułożyła się na boku i z zadowoleniem wtuliła w ramiona mężczyzny. Przez parę minut leżeli w milczeniu, słuchając bicia własnych serc.

- Dlaczego czuję się tak dobrze? - zapytała po jakimś czasie.

- Tak jest zawsze, kochanie.

- Hmm.

Po chwili zastanowienia doszła jednak do wniosku, że chodzi o coś więcej niż czysta fizyczna przyjemność. Czuła się, jakby Jake obnażył ją całkowicie i dotknął samej duszy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że jutro się rozstaną, odrzucając dar, który dostali od losu.

- Jake?

- Co?

- Mogę cię o coś zapytać?

Mężczyzna cmoknął ją w ramię.

- Możesz mnie pytać o wszystko, kochanie. Jestem twoim kornym sługą.

- O wszystko?

- Tak.

Annie zebrała odwagę i wyrzuciła z siebie szybko, żeby się nie rozmyślić:

- Myślisz, że kiedyś znudzi cię włóczęga i osiądziesz w jakimś miejscu? Zostawisz przeszłość i zaczniesz od nowa?

Jake spojrzał jej w oczy. Na jego wargach igrał lekki uśmiech.

- Jeszcze nigdy nie otrzymałem propozycji tak bliskiej oświadczyinom.

- Nie mówię o małżeństwie - zapewniła kobieta pośpiesznie., choć co prawdzie taka myśl przemknęła jej przez głowę. - Tylko pomyślałam sobie, że moglibyśmy zostać współnikami. Potrzebuję kogoś, kto zajmie się rachunkami i innymi sprawami hotelu. Kogoś godnego zaufania. Jeśli ci się nie spodoba, odejdziesz.

- Może w Palace już jest kierownik sali gier.

- Jeśli tak, zwolnię go - powiedziała Annie niedbale tonem. - Co sądzisz o moim pomysle?

Jake westchnął głęboko, przytulił ją i zamknął oczy. Kobieta zeszytywniała, gotując się na odmowę.

- Myślę, kochanie, że być może to najlepsza propozycja, jaką kiedykolwiek dostałem.

Annie usiadła raptownie.

- Więc się zgadzasz?

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na nią z powagą.

- Pod jednym warunkiem.

Kobieta wstrzymała oddech.

- Jakim?

- Jake przyciągnął ją do siebie.
- Dostanę dwadzieścia procent.
- Annie wytrzeszczyła oczy.
- Pięć procent i ani grosza więcej.
- Mężczyzna zaśmiał się głośno.
- Na Boga, takie kobiety lubię. Dziesięć procent. To moje ostatnie słowo.
 - Dobrze, niech będzie dziesięć. Ale radzę ci się starać.
- Jake uśmiechnął się leniwie.
- Moja droga panno Foster, jestem wart pięćdziesiąt.

16

Rano obudził Morana turkot wozów pędzących ulicą, tętent kopyt i ludzkie pokrzykiwania. W pierwszej chwili pomyślał, że coś się stało, ale gdy wyteżył słuch, złowił codzienne odgłosy: szczekanie psów, dźwięk otwieranych drzwi sklepowych i śmiech dzieci idących do szkoły. Po prostu niektóre miasta zaczynały dzień hałaśliwiej niż inne.

Spojrzał na Annie, zwiniętą w kłębek i przytuloną do niego plecami. Ciało miała rozgrzane i jedwabiste, oddychała równomiernie. Mimo późnej godziny spała głęboko. Jake nie był zdziwiony. Kochali się całą noc i zasnęli dopiero przed świtem.

Kobieta zamruczała coś przez sen i zmieniła pozycję. Złote włosy rozsypały się po poduszce i musnęły jego tors. Jake'a ogarnęło pożądanie, równie silnie jak w nocy. Dotknął nagich piersi, zastanawiając się, czy jej nie obudzić. Jakby wyczuwając intencje mężczyzny, Annie wymamro-

tała parę słów i odsunęła się od niego. Moran delikatnie pocałował ją w ramię, stawiając na wspaniałomyślność.

Omiotł spojrzeniem pokój zalany słonecznym blaskiem. Annie była wczoraj wyraźnie zakłopotana, ale Jake'owi spodobał się panujący tu nieład. Dzięki niemu mógł ją lepiej poznać. Między sukniami i koronkami od panny Angeligue walały się zniszczone buty, flanelowe koszule i luźne spodnie. Nowe halki wisały na krześle obok pasa z rewolwerami. Na stoliku leżały trzy najcenniejsze rzeczy: „Poradnik Winstona”, zniszczona ulotka reklamująca hotel Palace i stara fotografia.

Wszystkie te przedmioty ukazywały dwa oblicza panny Foster. Oba kochał tak samo.

Kochał? Czyżby zakochał się w Annie? Myśl o tym nie wstrząsnęła nim tak, jak mógłby się spodziewać, bo po prawdzie kobieta od pierwszej chwili zrobiła na nim wrażenie. Podziwiał jej nieskazitelną urodę, kobiecość, buntowniczego ducha, niezależność i uczuciowość.

Uwielbiał jej niewinną zmysłowość. Miewał bardziej doświadczone kochanki, ale żadna tak mocno na niego nie działała. Annie żądała od niego tyle, ile sama dawała. Przy niej zapominał o cynizmie i starannie wypracowanych mechanizmach obronnych. Tak, panna Annabel Lee Foster była rzadką zdobyczą.

Przypomniała mu się propozycja, którą złożyła mu w nocy. Przyjął ją skwapliwie, bo odpowiadała mu z wielu powodów. Po pierwsze, biorąc procent od wpływów mógł uzbierać tyle pieniędzy, ile zarobiłby podróżując z miasta do miasta. Pilnowałby, żeby gra była uczciwa: żadnych zamaskowanych urzędzeń, źle wyważonych kości, rozdawania ze spodu talii ani znaczonych kart.

Po drugie, czekałby spokojnie na Peta'a Mundy'ego. Nie miał wątpliwości, że bandyci kiedyś się zjawią. Za

mocno deptali im obojgu po piętach, żeby uznać to za zbieg okoliczności. Annie naprawdę wierzyła, że chłopcy nie żyją, ale myliła się. Z jakiegoś powodu nie chcieli, żeby poszła swoją drogą. Wyglądało na to, że wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji. Jake chciał być wtedy na miejscu, najlepiej z szeryfem Walterem Poguem i jego zastępcami u boku.

I najważniejsze, przebywałyby blisko Annie. Dziwnie kusiła go perspektywa spędzenia z nią reszty życia. Hotel znajdujący się między Abundance a Cooperton musiał przynosić zyski, jeśli był choć w połowie taki wspaniały, jak twierdzi nowa właścicielka. Do licha, oboje mogliby nawet przyczynić się do zwiększenia populacji miasta. Jake położył dłoń na brzuchu kobiety. Pomyślał o napełnieniu go życiem i obserwowaniu, jak rośnie. Zrobiło mu się ciepłej na sercu. Wyobraził sobie, że trzyma na rękach wrzeszczące niemowlę. Tak, Annie byłaby doskonałą matką.

Potrząsnął głową. Mężczyzna nie powinien oddawać się takim myślom bez wypicia filiżanki kawy.

Musnął ustami obnażone ramię Annie i wstał z łóżka. Zgarnął swoje rzeczy, ubrał się po cichu i wyszedł na korytarz.

- Dzień dobry, panie Moran.

Jake odwrócił się i zobaczył, że Peyton VanEste zamyka sąsiednie drzwi. Reporter miał uprzejmy wyraz twarzy, ale w oczach czaił się złośliwy błysk. Prawdopodobnie słyszał w nocy każdy dźwięk, dobiegający z ich pokoju. Annie wprawdzie nie zachowywała się głośno, ale nie była też milczącą kochanką. Pomruki i jęki rozkoszy jeszcze bardziej podniecały Jake'a.

Przyjrząwszy się uważniej, stwierdził, że VanEste ma dziwnie zadowoloną minę. Od pierwszej chwili czuł do

niego instynktowną niechęć, a dopiero teraz zrozumiał jej powody. Dziennikarz przypominał mu tchórzy, którzy podczas wojny byli zakałą Konfederacji. Udawali chorych, żeby jak najwięcej czasu spędzać w szpitalnych łózkach. Dostawali najlepsze jedzenie i robili wszystko, żeby nie trafić na pierwszą linię frontu.

Moran chłodno skinął głową.

- Witam pana, VanEste.

- Od rana jest w mieście spore poruszenie.

-Tak?

- Pan i panna Foster na pewno o niczym nie wiecie.

Mrugnął znacząco. Jake'a korciło, żeby sięgnąć po rewolwer.

- O czym pan mówi?

VanEste uśmiechnął się przyjaźnie.

- O niczym. Zupełnie o niczym. - Ukłonił się i włożył kapelusz. - Dobrego dnia, panie Moran.

Jake odprowadził go wzrokiem. Ta krótka rozmowa mocno go zaniepokoiła. W głosie reportera wyczuł satysfakcję. Zupełnie jakby mężczyzna coś wiedział, ale nie zamierzał zdradzić sekretu.

Moran wyszedł na ulicę. Od razu uderzył go panujący na niej ruch i podniecenie. Ludzie zbijali się w grupki i rozmawiali z ożywieniem. VanEste chodził między nimi z notatnikiem. Sądząc po podniesionych głosach i żywej gestykulacji, ludzie byli przejęci i oburzeni.

Przed więzieniem szeryf i jego zastępcy sprawdzali broń i dosiadali koni. Jake przeciął ulicę i dołączył do grupki mieszkańców, którzy otoczyli stróżów prawa.

- Im szybciej ruszymy za bandytami, tym prędzej z nimi wrócimy - rzucił szeryf zniecierpliwiony opieślnością zastępców, którzy zegnali się z żonami i dziećmi. - Jedźmy wreszcie.

Moran zwrócił się do najbliższego stojącego człowieka.

- Co się stało?

- Chłopaki Mundy'ego napadli na bank. Odjechali z prawie pięcioma tysiącami.

- Kiedy?

- O świcie.

- Włamali się?

- Nie. Dowiedzieli się, kto jest kasjerem, poszli za nim i włamali się do jego domu tuż przed świtem. To młody człowiek, ma żonę i troje małych dzieci. Dwóch chłopaków zostało z żoną, a pozostali zaciągnęli kasjera do banku. Zagrozili, że jeśli nie otworzy sejfu, zabiją mu rodzinę. Biedak oczywiście ich wpuścił. Jaki miał wybór?

- Skąd wiadomo, że to banda Mundy'ego?

- Prowodyr przystawił mu rewolwer do twarzy i powiedział: „Otworzysz sejf albo twoja żona będzie miała dziurę w głowie. Pete Mundy nigdy nie chybia”. Tak powiedział. Robią się brutalni i bardzo nieostrożni. Włamać się do banku i zrabować pieniądze to jedna rzecz, a trzymać na muszce żonę i dzieci kasjera... - Starzec potrząsnął głową. - Mam nadzieję, że szeryf ich dopadnie. Niech poczują stryczki na szyi. Zobaczymy, czy im się to spodoba. Może dostaną nauczkę, żeby nie napaść na banki i nie grozić spokojnym ludziom.

Jake podziękował mężczyźnie i ruszył do stajni, żeby przygotować konie do drogi. A więc banda Mundy'ego nadal podąża za nimi krok w krok? Zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć Annie, że szajka znowu dokonała napadu, ale postanowił milczeć. Kobieta była przekonana, że chłopcy nie żyją. Wiadomość tylko by nią wstrząsnęła. Nie chciał niepokoić jej teraz, gdy znajdowali się blisko celu podróży. Będzie jeszcze wiele okazji, kiedy dotrą na miejsce.

W drzwiach stajni powitał go chudy chłopiec w wieku około dwunastu lat, rudy i piegowaty. Na prośbę Morana przyprowadził konie. Jake osiodłał Weeda i podszedł do drugiego wierzchowca.

Dulcie akurat wpychała pysk do juków Annie. Mężczyzna otworzył kieszeń, do której próbowała dostać się klacz, i zobaczył, że w środku są cukierki klonowe. Dał jeden zwierzęciu, a chłopcu całą garść. Gdy zarzucił siodło na koński grzbiet, z torby wypadł świstek papieru.

Chłopiec podniósł go z ziemi i podał Moranowi. Jake rozwinął karteczkę i zamarł. Dla pewności jeszcze raz przeczytał wiadomość.

„Annie, spotkajmy się o czwartej w Brenner's Mine. Pilne. Pete”.

Oszłomienie i niedowierzenie szybko przerodziły się w głuchą furję. Annie przez cały czas pozostawała w kontakcie z Petem. Niech ją diabli! Okłamywała go cały czas, a on, idiota, jej wierzył! Choć doświadczenie uczyło, że kobiety nie są skromnymi, kruchymi i bezradnymi istotami, jak mu wmawiano na Południu, do dzisiaj patrzył na nie w taki sposób. Annie też uważał za słodką, cudowną, dzielną i lojalną. Tymczasem pan-na Annabel Lee Foster okazała się oszustką jakich mało. Powinien był od razu ją przejrzeć.

Wciąż należała do szajki. Dlatego jej broń „przypadkiem” wypaliła, ostrzegając mężczyznę, który ich śledził, bez wątpienia członek bandy. A napad w Manitobezaledwie kilka godzin po ich przejeździe przez miasto? Choć w Two River Flats przysięgała, że spędziła całe popołudnie włócząc się po mieście, pewnie wyjechała na spotkanie z kompanami. I teraz jeszcze Abundance. Ale dlaczego ofiarowała mu swoje ciało? Nietrudno się domyślić. Zrobiła to, żeby umilić sobie długą podróż. A mo-

że, pomyślał Moran coraz bardziej wściekły na siebie, chciała zobaczyć, jak on robi z siebie zupełnego głupca, wyznając jej dozonną miłość.

Omali tego nie zrobił. Niewiele brakowało.

- Coś nie w porządku? - zapytał chłopiec, ściągając brwi. Jake złożył świstek i wsadził go do kieszeni płaszcza.

- Gdzie jest Brenner's Mine?

- Ta stara kopalnia? Od dawna jest opuszczona. Została tam tylko zrujnowana szopa.

- Daleko stąd?

- Jakies trzydzieści minut jazdy na południe.

- Znasz właścicielkę tego konia? - spytał Moran.

Wściekłość rosła w nim z minuty na minutę.

Rudzielec skinął głową.

- Czy ktoś jej tu szukał?

Chłopiec spuścił oczy i zaczął grzebać w sianie czubkiem buta.

- Nie wiem.

- Kto jej szukał?

- Nie powinienem mówić. Tata zawsze powtarza, że bym trzymał język za zębami. Twierdzi, że opowiadam bajki, bo próbuję zgrywać kogoś ważnego.

Jake przykucnął i spojrzał malcowi w oczy.

- To ważne, synu. Przysięgam, że nikomu nie powiem, co widziałeś, zwłaszcza twojemu tacie.

Młody stajenny rozejrzał się niepewnie i zaczął opowiadać ściszym głosem:

- Dzisiaj wcześniej rano przyszedł do stajni facet. Szukał tej pani. Wysoki blondyn, chyba przystojny, ale źle mu patrzyło z oczu. Miał fajne ostrogi, srebrne półksiężycy, bardzo brzęczące. - Chłopiec wlepił wzrok w ziemię, zakłopotany. - Powiedziałem tacie, że to mógł być ten sam gość, który obrabował bank. Oczywiście, tata

mi nie uwierzył. Powiedział, że chcę zwrócić na siebie uwagę. Powiedział, że nikt nie jest taki głupi, żeby chodzić po mieście, jeśli zamierza napaść na bank.

Jake wyprostował się z westchnieniem.

- Jeśli jest czegoś na świecie dużo, synu, to głupoty.

Sam był żywym dowodem słuszności tego spostrzeżenia. Gdy Annie wyjechała na spotkanie z bandą Mundy'ego, on kupował jej suknie w sklepie panny Angeli. Gdy Pete Mundy szukał jej w mieście, on leżał z nią w łóżku i wyobrażał sobie, że jest zakochany. Aż ścisnęło go w żołądku na myśl, jak łatwo dał się zwieść pannie Foster. Cóż, mam nadzieję, że podobała ci się podróż, kochanie, bo zabawa dopiero się rozpoczyna.

- Zaprowadź konie pod hotel, dobrze?

Oczy chłopca rozbłyły na widok monety.

- Tak jest, proszę pana.

Moran wyszedł ze stajni i skierował się prosto do urzędu telegraficznego. Skreślił zwięzłą wiadomość: „Zjawili się nasi przyjaciele. Czekam w Cooperton. Jake”.

- Na jaki adres mam ją nadać? - zapytał urzędnik.

- Szeryf Walter Pogue, Two River Flats, Kolorado.

Annie wyszła z hotelu na ruchliwą ulicę zalaną słonecznym blaskiem. Przez długą chwilę stała na chodniku i tylko się rozglądała. Miasto było pełne życia. Ludzie rozmawiali, śmiali się, pokrzykiwali. Sklepy miały wielu klientów. Powietrze przesycił zapach sosen, koni, świeżo ciętego drewna i dymu z kuźni. Szczęście wręcz rozsadało Annie.

W pewnym momencie spojrzała w prawo i zobaczyła Jake'a idącego energicznym krokiem w stronę hotelu. Serce zabiło jej mocniej. Uwielbiała jego sposób chodzenia, zwłaszcza kiedy szedł ku niej. Kapelusz miał ni-

sko nasunięty na czoło, tak że nie widziała twarzy, ale przecież znała ją na pamięć, całowała tyle razy.

Był taki przystojny. Wysoki, szczupły i muskularny. Pewny siebie i męski. Ledwo powstrzymała chęć, żeby wybiec mu na spotkanie i rzucić się w ramiona. Zamknęła oczy i odmówiła cichą modlitwę, dziękując Bogu, że zetknął ich ze sobą. Za cztery godziny będą w Cooperton.

Minęły wieki, nim mężczyzna znalazł się przy niej.

- Dzień dobry, Jake - rzuciła Annie niemal bez tchu.

- Dzień dobry.

Głos Morana brzmiał... obojętnie, zimno, z rezerwą. Kobieta zeszła z chodnika i cmoknęła go w policzek. Zmieszała się, gdy Jake nie odwzajemnił pocałunku. Nie przytulił jej do siebie, nawet nie dotknął. W dodatku Annie wyczuła w nim chłód, który uznała za niechęć do publicznego wyrażania uczuć.

A może, uświadomiła sobie, jest zniecierpliwiony, bo kazała mu czekać. Był gotowy do drogi. Konie stały osiodłane, pewnie co najmniej od godziny. Annie nerwowo zaczęła splatać ręce. Gdy już wstała z łóżka, ubrała się szybko, ale spakowanie góry nowych rzeczy, które kupił jej Jake, zajęło więcej czasu. W końcu zawinęła je w bieleźną pościelową. Potem straciła jeszcze kilka cennych minut na ustalaniu z recepcjonistą ceny prześcieradła.

- Nie chciałam się spóźnić. Prawda jest taka, że zamierzałam wyjechać o świcie.

- Z pewnością.

Wreszcie się uśmiechnął. Lecz Annie nie poznała zimnego, niemal okrutnego grymasu. W oczach również nie dostrzegła ciepła ani czułości, które spodziewała się zobaczyć, tylko przerażający, lodowaty błysk. Zupełnie jakby słońce odbijało się od wypolerowanych srebrnych uchwytnów trumny.

Przestąpiła z nogi na nogę, zbita z tropu nagłą zmianą. Nie wiedziała, jak zareagować, jak ugłaskać Jake'a, żeby znowu stał się dla niej miły. Poprawiła granatowy strój podróżny, który od niego dostała. Specjalnie go założyła, podobnie jak skórzany, jasnobrązowy kapelusz z okrągłym rondkiem i stosowne rękawiczki. Loki pracowicie skręcone poprzedniego dnia całkiem się rozprostowały, więc związała je w koński ogon.

- Jak wyglądam? - spytała w końcu.

- Świetnie.

Zdawkowa odpowiedź wcale nie zadowoliła Annie. A może za dużo oczekiwała.

- Jesteś gotowy?

- Zawsze.

- Ja też.

- Spieszno ci opuścić miasto.

Annie zmarszczyła brwi, słysząc ton Morana, ale posłała mu lekki uśmiech.

- Oczywiście, że tak, głuptasie. Za kilka godzin będziemy w Cooperton. Długo czekałam na ten dzień.

- Tak. Głupiec ze mnie.

Ponieważ Jake nie zaoferował pomocy, sama przytroczyła torbę do siodła i wsiadła na grzbiet Dulcie. Bolesnie odczuwała jego obojętność, niemal wrogość, ale nie wiedziała, czemu ją przypisać.

- Coś nie w porządku, Jake?

Mężczyzna popatrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Oczywiście, że nie, Annie. Co miałoby być nie w porządku?

- Nie wiem. Zachowujesz się dziwnie.

- Tak? - Moran ujął wodze Weeda i spojrzał w dal. - Jak wygląda szlak prowadzący na południe?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nim nie jechałam.

Na wargach mężczyzny znowu pojawił się cierpki uśmiech, a w oczach dziwny błysk satysfakcji.

- Prawda. Tak mówiłaś.

Ruszył lekkim kłusem, nie czekając na nią.

Annie patrzyła za nim zdezorientowana. Nastrój Jake'a tak różnił się od wczorajszego. Z drugiej strony, nie miała żadnego doświadczenia. A jeśli jego reakcja była normalna? Może wyrafinowani ludzie tak właśnie zachowują się po namiętnej nocy. Gdy słońce wstaje, miłość się kończy. Prawdziwe damy nie biegają po hotelu jak szczeniaki, które domagają się drapania po brzuchu.

To rozumowanie nie poprawiło jej nastroju. Radość, która jeszcze niedawno ją przepełniała, znikła bez śladu. Było tak, jakby chmura przesłoniła słońce i rzuciła cień na jej duszę. Jechali w niezręcznym milczeniu. Jake ignorował wszelkie próby nawiązania rozmowy.

Droga biegła wzdłuż rzeki, pokrytej cienką warstwą śniegu i lodu. W górze od czasu do czasu przeleciał jastrząb lub zza sosny wyskoczył jeleń. Na ogół w lesie panowała cisza. Annie ogarniał coraz większy lęk, gdy zastanawiała się, jakie czeka ją przyjęcie. Nerwy miała napięte jak postronki. Jake jeszcze pogarszał sytuację, wyczulony na każdy cień i ruch. Jego ręce odruchowo wędrowały do rewolwerów, jakby spodziewał się kłopotów.

Wreszcie koło południa dotarli do Cooperton. Miasteczko okazało się dokładnie takie, jak Annie sobie wyobrażała. Nie tak duże jak Abundance, ale całkiem spore. Wypatrzyła kościół, szkołę, kilka biur prawniczych i pisania podań, różne warsztaty i sklepy, więzienie, urząd telegraficzny, stajnię i kuźnię. Zauważyła, że na ulicach jest więcej mężczyzn niż kobiet, ale taka sytuacja była typowa dla osad poszukiwaczy złota. Ogólnie

biorąc, Cooperton było zwyczajne, stosunkowo czyste i w miarę zamożne. Od razu jej się spodobało.

Jadąc Main Street, ścigali na siebie zaciekawione spojrzenia. Annie natychmiast pomyślała o tym, jak wygląda po kilku godzinach spędzonych w siodle. Chciała zrobić dobre wrażenie, więc przygładziła włosy, wyprostowała się i poprawiła spódnicę.

Serce zabiło jej szybciej na widok hotelu. Od razu jednak stwierdziła, że nie jest tak okazały, jak powinien wyglądać Palace. Były to raczej pokoje do wynajęcia nad barem. Chętnie spytałaby Jake'a, co robić dalej, ale rozmyśliła się ze względu na jego dziwny nastrój. Doszła do wniosku, że sama sobie poradzi.

Zatrzymała się obok starego poszukiwacza.

- Przepraszam, może mi pan wskazać drogę do hotelu Pałace?

Zagadnięty przystanął i obejrzał ją od stóp do głów z dziwnym uśmiechem na twarzy.

- Szukasz pracy, skarbie?

- Jestem nową właścicielką - oznajmiła Annie z dumą.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy. Klepnął się po udzie i ryknął śmiechem.

- W starej ruderze przyda się trochę świeżej krwi. Na końcu tej ulicy. Na można go przeoczyć.

Annie odwróciła się do Jake'a podekscytowana. Moran patrzył na nią z beznamiętną miną.

- Ten człowiek mówi, że hotel jest na końcu ulicy.

Jake skinął głową bez słowa i lekko ścisnął boki Weeda piętami. Ruszyli w milczeniu. Wkrótce zostawili za sobą miasto i ich oczom ukazała się stojąca samotnie dwupiętrowa budowla.

Annie ściągnęła wodze. Przez myśl przemknęły jej słowa ulotki, którą znała na pamięć: „Palace: kultura i cy-

wilizacja w samym środku Dzikiego Zachodu". Rzeczywistość okazała się inna. Hotel z grubsza przypominał ten z reklamy. Miał taki sam frontowy ganek z licznymi kolumnami, dwuspadowy dach, rzeźbione drzwi, szerokie schody, okna wykuszowe z drewnianymi żaluzjami, przestronne pokoje i duży trawnik przed wejściem. Niestety, na tym kończyło się wszelkie podobieństwo.

Z kolumn szerokimi płatami łuszczyła się farba. Środkowa część ganku zapadła się. Schodom brakowało poręczy i kilku stopni; ich szczątki leżały na trawie. Okiennice wisiały na jednym zawiasie i trzaskały na wietrze. Oba frontowe okna zabito deskami. Krótko mówiąc, budynek wyglądał jak po wielkiej bitwie.

Annie przyglądała mu się z osłupieniem. Była pewna, że to pomyłka. Po latach planowania i nadziei nie mogło jej spotkać coś takiego. Wszystkie marzenia leżałyby w gruzach.

Zardzewiały sztyl, wiszący krzywo na jednym gwoździu, rozwiewał jednak wszelkie złudzenia. Jednoznaczny, ostateczny i przygnębiający jak napis nagrobkowy, głosił: „Witamy w Palace”.

Annie zsiadła z konia i nie oglądając się na Jake'a, weszła sztywno po rozchwianych schodach. Głęboką ciszę zakłócało jedynie pochrząkiwanie świń, które pod tylną werandą grzebały w odpadkach wyrzuconych przez kuchenne okno.

Głośno zabrzączał dzwonek, umieszczony nad drzwiami. Po dwóch krokach kobieta przystanęła raptownie. W nozdrza uderzył ją odór dymu tytoniowego, potu, tłuszczu i starych perfum. Gdy oczy przywykły do półmroku, stwierdziła, że wewnątrz również jest w opłakanym stanie. Rozejrzała się po pomieszczeniu, które dawniej pełniło funkcję reprezentacyjnego holu, ale te-

raz służyło jako sala klubowa dla gości. Drewniana podłoga lepiała się od brudu, błota i niezliczonych rozlanych drinków. Niegdyś dekoracyjne, teraz wyblakłe tapety pokrywała warstwa tłustego kurzu. Umeblowanie było skromne: kilka sof i rozklekotanych stołów. Pod ścianą znajdował się długi bar. Nad nim wisiało popękane lustro. Do pokojów na piętrze prowadziły schody.

Słowa nabazgrane na kawałku dykty wiszącym przy barze położyły kres wątpliwościom co do charakteru przybytku.

„Najmilsze dziewczyny na terytorium. Apetyczne, życzliwe, wprawne. Dostępne na całą albo na pół godziny”.

Annie rozejrzała się wolno, walcząc z ogarniającym ją poczuciem klęski i rozpacz. Skierowała wzrok na Jake'a. Mężczyzna opierał się o bar. Ramiona miał skrzyżowane na piersi, spojrzenie obojętne.

- Nie rozumiem.
- To burdel.
- Teraz widzę.
- A czego się spodziewałaś?
- Myślałam...

Urwała w pół zdania, gdy uświadomiła sobie, jak naiwnie zabrzmiałyby jej słowa. Myślała, że przejmie porządny hotel i od razu stanie się szanowaną damą. Jake oczywiście uważał jej marzenia za śmieszne i miał rację. Wykazała nie więcej rozumu niż pięcioletnie dziecko. Biegła na osłep, ścigając tęczę.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że spotka ją rozczarowanie, ale ona z uporem je ignorowała. Po pierwsze, typ człowieka, jakim był J. D. Thomas: hałaśliwy i nieokrzesany. Taki osobnik nie mógł

prowadzić eleganckiego hotelu. Poza tym reakcja seryfa Locke'a i jego ludzi, kiedy wspomniała o Palace. Mieli zakłopotane miny winowajców, jak dziesięcioletni smarkacze przyłapani na paleniu papierosów za stołką. I wreszcie stan ulotki reklamowej. Największy głupiec powinien wiedzieć, że przez lata wiele może się zmienić. Lecz obwinianie samej siebie i mądrość po szkodzie na niewiele teraz jej się zdały.

- Co mam teraz zrobić?

Jake wszedł za bar i wziął z półki whisky. Powąchał, skrzywił się i odstawił butelkę.

- Spalić wszystko. To byłoby najrozsądniejsze wyjście.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Co mam powiedzieć, kochanie?

Annie położyła ręce na biodrach i rzuciła mu miły, choć trochę wymuszony uśmiech.

- Może mi wyjaśnisz, dlaczego od wyjazdu z Abundance zachowujesz się jak ostatni kretyn i nadęty osioł?

Jake patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

- Nie chciałybyś wiedzieć, Annie.

W jego głosie brzmiało wyraźne ostrzeżenie.

- Przeciwnie. Jeśli coś jest nie w porządku, mów. Jesteś mi winien chociaż tyle.

- Nic ci nie jestem winien, kochanie.

Annie nie byłaby bardziej wstrząśnięta, gdyby uderzył ją w twarz. Nie słowa wprawiły ją w osłupienie, tylko sposób, w jaki je wypowiedział. Mówił rzeczowym, beznamiętnym tonem i patrzył na nią jak na natrętą żebraczkę.

Kobieta przełknęła ślinę, niepewna, jak zareagować.

- Nie wiem, dlaczego tak się zachowujesz, ale przysięgam...

- Twoją zaletą było to, że nigdy nie kłamałaś. Przy-
najmniej nie wprost. Może niech tak zostanie.

Annie w końcu olśniło.

- Myślisz, że przez cały czas wiedziałam, czym jest Pa-
lace, tak? Nie miałam pojęcia, Jake, przysięgam. - Zroz-
paczona rozejrzała się po obskurnym wnętrzu. - Gdy-
bym wiedziała...

Właśnie, co by zrobiła?

- Nie sądzisz, że to wszystko jest bardzo nudne? -
rzucił Moran, opierając się o ladę barową.

Annie osłupiała. Jej świat się rozpadał, a Jake był znu-
dzony. Patrzył na nią ze zniecierpliwioną miną człowie-
ka zmuszonego odsiedzieć ostatni akt marnej komedii.
Była dla niego średnio zabawną rozrywką, która miała
skończyć się w sposób łatwy do przewidzenia.

- Dlaczego tu jeszcze sterczysz, Jake'u Moranie? -
krzyknęła, coraz bardziej rozgniewana. - Skoro nie chcesz
zostać, wynoś się. Mówię poważnie. Wynoś się do diabła!

Jake zmierzył ją zimnym wzrokiem.

- Zapominasz o pewnym drobiazgu. Spalonym ratu-
szu w Two River Flats. Jesteś mi winna pięćset dola-
rów. A może uważasz, że ostatnia noc była dostatecz-
ną zapłatą? Było miło, Annie, ale pięćset dolarów to
przesada. Znam się na tym.

Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Ty łajdaku.

Milczenie, które zapadło między nimi, przerwał ob-
cy głos.

- Chcecie się kłócić, to idźcie na zewnątrz. Otwiera-
my dopiero o szóstej.

Annie odwróciła się i zobaczyła stojącą na półpiętrze
bosą kobietę w zniszczonym purpurowym szlafroku.
Nieznajoma wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Miała

dość ładną, choć raczej pospolitą twarz i pulchne ciało. Proste i sztywne blond włosy były przetykane siwizną, a skóra pokryta czerwonymi plamami od nadużywania alkoholu i niedosypiania. Kiedyś mogła uchodzić za atrakcyjną, ale najwyraźniej przestała o siebie dbać. Mierzyła do nich ze strzelby myśliwskiej.

- Kim jesteś? - zapytała Annie.

- Mam na imię Dora i tutaj rządzę. To prywatna własność i jeśli nie wyniesiecie się zaraz, sama was wyrzucę... Z groźną miną uniosła broń.

- To nie będzie konieczne.

- Wychodzicie?

- Obawiam się, że nie. - Annie rozprostowała ramiona. - Nazywam się panna Annabel Lee Foster. Jestem nową właścicielką.

Kobieta powoli zmierzyła ją od stóp do głów, nie zmieniając wyrazu twarzy. W końcu potrząsnęła głową i opuściła strzelbę. Z kieszeni szlafroka wyjęła cienkie cygaro, zapaliła je i wypuściła duży kłąb dymu.

- Niech mnie licho. Dzika Annie we własnej osobie. J. D. pisał nam, że przyjeżdżasz.

Uznawszy te słowa za powitanie, Annie posłała Dore nie pewny uśmiech.

- Więc to jest Palace - powiedziała sztucznie wesołym tonem.

- Czy jest taki, jak obiecywał J. D.?

- Niezupełnie.

- Wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo J. D. Thomas jest kłamcą, złodziejem, oszustem i kupą gówna.

- Ach tak.

- Jak większość mężczyzn, których w życiu spotka-

łam. - Dora przeniosła wzrok na Jake'a. - Bez obrazy, proszę pana.

- Uważam, że jest pani dobrym sędzią charakterów - stwierdziła Annie, które właśnie doszła do wniosku, że podoba się jej ta kobieta.

- Naprawdę? W takim razie zostało do powiedzenia tylko jedno.

- Co?

Dora uśmiechnęła się krzywo.

- Witaj w domu, skarbie.

17

Pierwszą noc w Cooperton Annie spędziła sama, wypłakując oczy. Użalała się, że nie potrafi zapanować nad emocjami i kierować własnym życiem. Rozpaczała, że Jake wykazuje chłodną obojętność na jej los, J. D. Thomas ją oszukał, a Pete Mundy zszedł na złą drogę. Szlochała, że hotel Palace okazał się starym, podupadłym domem publicznym. Przede wszystkim jednak zanosiła się płaczem, bo dzień, który miał być najwspanialszy w całym jej nędznym życiu, okazał się żalospny.

Choć czuła wstyd z powodu własnej słabości, płacz przyniósł jej ukojenie. Rano obudziła się spokojna i zdeterminowana. Po wstaniu z łóżka obmyła chłodną wodą twarz i zapuchnięte oczy. Założyła jedną z codziennych bluzek, które kupił jej Jake, i prostą spódnice. Zeszła na dół. Z kobiet, które mieszkały w Palace, na razie znała tylko Dorę. Od razu poprosiła ją o wskazanie pokoju i zaszłyła się w nim na resztę dnia.

Nie miała pojęcia, gdzie Jake spędził noc. Najwyraźniej znalazł sobie jakieś miejsce, bo od czasu do czasu jego głos docierał aż do jej sypialni, przez co czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa i samotna. Mogła jedynie snuć domysły, co działo się w sali klubowej, kiedy ona siedziała na dobrowolnym wygnaniu. Stałe brzęczenie dzwonka przy drzwiach wejściowych, męskie głosy i kroki na pięttrze świadczyły, że interes idzie jak zwykle.

Lecz to było wczoraj. Dzisiaj jest nowy dzień, pomyślała Annie. Rozprostowała plecy i przybrała na twarz wyraz stanowczości.

Powiodła wzrokiem po pięciu kobietach, które w niekompletnych strojach siedziały półokręgiem w zatęchłej sali. Wyciągnięcie ich z łóżek zabrało Dorze pół godziny. Wszystkie miały na sobie liche koronkowe gorsety, szlafroki w jaskrawych kolorach i grube wełniane pończochy. Choć zaspane, patrzyły na nią bystro i czujnie, z ciekawością lub chłodnym niedowierzaniem. Annie przyjrzała się im kolejno. Doszła do wniosku, że skoro radziła sobie z pięcioma znanymi bandytami, równie dobrze może pokierować garstką kobiet mieszkających w zrujnowanym burdelu. Wyjaśniła, kim jest Moran, przedstawiła się i poprosiła je, żeby zrobiły to samo.

Dora jako najstarsza wzięła na siebie rolę rzeczniczki grupy. Pod względem wieku następna w kolejności okazała się niebieskooka Belle, dwudziestopięcioletnia, o jasnych włosach, pucołowatych policzkach i bujnych kształtach. Sprawiała wrażenie wesołej i pogodnej, ale nieco gadatliwej. W przeciwieństwie do niej Jennie Mae była spokojna i nieśmiała. Wyglądała, jakby dopiero co opuściła szkolną ławkę. Meksykanka Carlotta, niska i obdarzona krągłościami, miała czarne falujące włosy

i ciemne, płonące oczy uwodzicielki. W ładnych zielonych oczach szatynki Francine o wyglądzie przyzwolonej żony ranczera malował się smutek i wstyd.

Po wzajemnych prezentacjach inicjatywę przejęła Dora, co widać leżało w jej charakterze.

- Odkąd J. D się wyniósł, rządziłyśmy się same - poinformowała. - Bardzo nam to odpowiadało i zamierzamy utrzymać taki stan rzeczy.

Annie zmierzyła kobiety chłodnym wzrokiem.

- Rozumiem.

Jennie Mae i Belle spuściły oczy. Najwyraźniej nie miały ochoty na otwarty bunt. Francine patrzyła na nią z niepokojem, ale bez wrogości. Carlotta uśmiechnęła się i uniosła brew, jakby zachęcała do walki. Dora spoglądała na nią rzeczowo. W taki sam sposób omawiała by pewnie zasady korzystania ze studni.

- Czy możecie mi zdradzić, jakie zasady tak dobrze się sprawdzały? - poprosiła Annie.

- W tygodniu mamy co najmniej jedną noc wolną. Nie więcej niż czterech mężczyzn na noc, choćby nie wiadomo jaka była kolejka. Prawo do odrzucenia każdego klienta, nawet jeśli płaci. Dotyczy to również podawania alkoholu. Żądamy trzech dolarów za numer, z czego J. D. zwykle brał połowę. Uważam, że należy to zmienić, ponieważ my wykonujemy całą robotę. Chcemy zatrzymywać dla siebie dwa dolary, żeby opłacić ubranie, buty i inne rzeczy. I ostatnia sprawa. Pałace jest mocno zaniedbany. Postanowiłyśmy wynająć kobietę, która dwa razy w miesiącu będzie sprzątać, robić pranie, i tak dalej. Kosztami podzielimy się po równo.

- Coś jeszcze? - zapytała Annie spokojnie.

Dora rzuciła triumfalne spojrzenie na koleżanki.

- Chyba to wszystko.

- Dobrze. A oto moja odpowiedź. Nie.

W jednej chwili uśmiech zniknął z twarzy Dory. Gdy kobieta zacisnęła usta, od razu przybyło jej lat.

- Mówiłam wam, że będzie nie lepsza od J. D. - przypomniała Carlotta z goryczą.

Koleżanki poparły ją, szepcząc między sobą buntowniczo. Annie dostrzegła kątem oka, że Jake ją obserwuje z umiarkowaną ciekawością. Wzięła głęboki oddech, ukrywając zdenerwowanie. Jeśli chciała zyskać wiarygodność, musiała sprawiać wrażenie opanowanej i pewnej siebie.

- Wysłuchałam was, a teraz proszę o to samo.

- Nie sądzę, żebyśmy miały tu cokolwiek do powiedzenia - stwierdziła Dora urażonym tonem i wstała.

- Wysłuchajcie mnie, proszę.

Annie zaczekała, aż kobieta z powrotem usiądzie.

- Hotel należy teraz do mnie. To wszystko, co mam. Zamierzam uczynić z niego swój dom. Nie chcę jednak mieszkać w burdelu.

- Więc pani nas wyrzuca? - zapytała Jennie Mae z niepokojem.

- Wcale nie. Wręcz przeciwnie. Proszę was, żebyście zostały. Wszystkie.

- Czy to ma być przytułek dla upadłych kobiet? - rzuciła Dora z lekceważeniem.

- Żaden przytułek. Sama nigdy nie brałam jałmużny i nie zamierzam jej dawać. Proponuję wam pracę. Chcę, żeby Palace znowu stał się hotelem. Uważam, że to miasteczko potrzebuje czegoś więcej niż kilku pokoi nad hałaśliwym barem. Ale uprzedzam, że czeka nas ciężka praca. Ktoś będzie musiał gotować, podawać do stołów, sprzątać, ścielić łóżka, prowadzić księgi, meldować gości, sadzić warzywa, hodować **kurczaki**

i świnie, robić zakupy... zresztą same wiecie. Pokój i wyżywienie będą za darmo, a ponadto dostaniecie uczciwą zapłatę za swoją pracę.

- A jeśli podoba nam się sposób, w jaki teraz żyjemy? - zapytała Carlotta.

Annie wzruszyła ramionami.

- W porządku. Po prostu nie będziecie mogły tutaj zostać i tyle. Myślę, że w okolicy jest wiele domów publicznych, które chętnie was przyjmą.

- Więc pani nas wyrzuca?

- Daję wam wybór. Nie osądzam żadnej kobiety, która robi, co potrafi, żeby się utrzymać. Możecie żyć po swojemu, jeśli chcecie. Ale ja nie zamierzam prowadzić burdelu. Chcę, żeby to było jasne od początku.

- Mówisz tak, jakbyśmy mogły strzelić palcami i zmienić się przez jedną noc - powiedziała Dora. - To nie jest takie łatwe.

- Dlaczego?

- Za długo zarabialiśmy na życie, leżąc na plecach. Dobrzy ludzie w tych stronach wiedzą, kim jesteśmy, a nie są skorzy do wybaczenia, wierz mi. Nawet jeśli zrobisz z Palace porządny hotel, my pozostaniemy tym, kim jesteśmy. Będziemy w mieście równie mile widziane jak sfera wściekłych psów.

Annie spojrzała na kobiety nowym wzrokiem. One po prostu nie wierzyły, że uda im się cokolwiek zmienić w swoim życiu. Postanowiła zaryzykować, w nadziei, że dobrze je zrozumiała.

- Więc pozwolicie, żeby czyjaś opinia rozstrzygała o waszym losie. Będziecie rozkładać się dla górników i pijaków, bo tego wszyscy od was oczekują. A może spróbujecie czegoś innego, póki macie szansę? Założę się, że żadna z was wcale nie lubi takiego sposobu za-

rabiania pieniędzy. W przeciwnym razie byłybyście teraz w drogim domu publicznym w Abundance albo Denver City, a nie ukrywały się w podupadłym hoteliku w Cooperton.

Oślupiałe kobiety spojrzały po sobie, jakby naradzały się milcząco. Potem wszystkie oczy skierowały się na najstarszą. Dora wyprostowała plecy i skinęła głową, choć minę miała niepewną.

- Skoro rozmawiasz z nami uczciwie, my też możemy być szczerze.

- Słucham.

- Wszyscy wiemy, kim jesteś. Dzika Annie. Wiemy, że należałaś do bandy Mundy'ego. Znają ją chyba wszyscy w tych okolicach. Skąd mamy wiedzieć, że jeśli postanowimy zostać z tobą, nie wpadniemy w jeszcze większe kłopoty? Skąd mamy wiedzieć, że nie urządzisz tutaj kryjóWKi dla bandziorów? Jeśli tak, to może lepiej, żebyśmy się spakowały i wyjechały jeszcze dzisiaj.

- Macie moje słowo, że niczego takiego nie planuję - oświadczyła Annie. - Ale ponieważ mnie nie znacie, moje słowo jest dla was niewiele warte. Wiecie, kim jestem i co zrobiłam. Zapewniam was jednak, że to już przeszłość. Zaczynam wszystko od nowa i dam wam taką samą szansę. Nie mogę obiecać niczego oprócz ciężkiej pracy. Chcecie dalej się sprzedawać, możecie wyjechać jeszcze dzisiaj. Pragniecie coś zrobić ze swoim życiem, zostańcie. Decyzja należy do was.

W sali zapadła cisza. Annie niemal widziała myśli kłębiące się w głowach kobiet. Po chwili Dora jeszcze raz wzięła na siebie rolę przywódczyni.

- Zostawisz nas na parę minut? Musimy porozmawiać.

Annie ogarnęło poczucie klęski. Robiła co mogła, ale przegrała. W pięciu parach oczu wyczytała odmowę.

Skinęła głową i wyszła razem z Moranem. Starannie zamknęła za sobą drzwi.

Zaczęła spacerować w tę i z powrotem po zrujnowanym ganku. Słyszała tylko strzępy rozmowy, które nie wróżyły niczego dobrego. Nie mogła już dłużej znieść napięcia, więc zatrzymała się i spojrzała na Jake'a.

- Co myślisz?
- O czym?
- Zostaną czy nie?

Mężczyzna stał oparty o poręcz ganku i obserwował starca, który prowadził muła błotnistą ulicą.

- Nie mam pojęcia - burknął.

Pewnie przejawiłby podobne zainteresowanie, gdyby kazała mu odgadnąć imię muła. Annie powstrzymała się od ciętej riposty i podjęła nerwowy spacer. Jeszcze będzie dość czasu na poważną rozmowę z Moranem. W tym momencie otworzyły się drzwi frontowe. Dora wystawiła głowę na zewnątrz.

- Panno Annie?
- Tak? .
- Mamy odpowiedź.

W Annie zamarło serce, ale uniosła brodę w mocnym postanowieniu, że nie okaże rozczarowania. Znajdzie jakiś sposób, żeby obejść się bez ich pomocy. Duma była chyba jedyną rzeczą, jaka jej pozostała. Prędzej umrze, niż pozwoli ją sobie odebrać. Weszła do holu na miękkich nogach.

- Mamy tylko jedno pytanie - zaczęła Dora.
- Dobrze.

Annie spodziewała się pytania o bandę Mundy'ego, ale kobieta zaskoczyła ją, kierując wzrok na Jake'a i rewolwery u jego pasa.

- Dobrze pan sobie radzi z bronią?

- Chyba tak.

- Lepiej, żeby tak było. Macie pojęcie, co się stanie, gdy napaleni poszukiwacze upiją się i przyjdą po rozrywkę, a my ich wyrzucimy?

Annie odetchnęła z ulgą. Kobiety zostawały. Na dobre czy złe wiązały z nią swój los. Na ich twarzach dostrzegła te same uczucia, jakie ją opanowały, nadzieję i powątpiewanie, obawę i determinację, niepewność i zapał.

W tym momencie poczuła, że rozumie je i zna tak dobrze jak siebie. Te kobiety nigdy się nie poddawały. Walczyły, przegrywały i znowu stawały do boju. Umiały się bronić i śmiało wyrażały swoje myśli. Mimo wstydlivej przeszłości wszystkie miały wspólną cechę: niedorzeczne przekonanie, że jeśli się postarają, następny dzień będzie lepszy.

Teraz od niej zależało, czy rzeczywiście tak się stanie. Zacisnęła dłonie i powiedziała z drżącym uśmiechem:

- Dziękuję.

Annie zamierzała porozmawiać z Moranem, ale mężczyzna wyjechał bez słowa zaraz po spotkaniu. Tak rozwiała się jej nadzieja na wyjaśnienie drażliwej sytuacji.

Nie miała innego wyjścia jak odłożyć sprawę na później. Resztę dnia spędziła na inwentaryzacji majątku Palace. Towarzyszyła jej Dora ubrana w purpurowy szlafrok i wełniane pończochy. Wycieczka po hotelu nie poprawiła Annie humoru. Ściany kuchni były pokryte brudem i tłuszczem, a półki niemal puste, nie licząc kilku popękanych dzbanków, obtłuczonych talerzy i szklanek.

- J. D. sprzedał wszystko albo wymienił na alkohol - poinformowała ją Dora.

Jadalnia od lat stała zamknięta. Na stołach i krzesłach leżała gruba warstwa kurzu, z krokwi zwisały gę-

ste pajęczyny, tapety poodklejały się w wielu miejscach. W schowku z obrusami urządził sobie *norę szop i zniszczył* je doszczętnie. Pokoje wyglądały tak samo: śmieci, brud, koty i zniszczone meble.

Na piętrze, w dwóch skrzydłach, znajdowało się trzydzieści sypialni. Na szczęście okazało się, że są w znacznie lepszym stanie niż pomieszczenia na dole. Oczywiście brudne i zaniedbane, ale nie zdewastowane. Na umeblowanie każdego składało się duże łóżko z miękkim materacem, toaletka, szafa ubraniowa i porządna komoda.

Annie stwierdziła, że budując i wyposażając hotel, nie oszczędzono kosztów, choć w późniejszych latach doprowadzono go do ruiny. Drzwi zrobiono z dobrego gatunkowo drewna, ściany wyłożono drogą boazerią, sufity były ozdobione sztukaterią, a balustrady schodów miały misternie rzeźbione słupki.

Dora pokrótce opowiedziała jej historię hotelu.

- W czasie polowania na bizona pewien oszust spotkał jednego z bogatych europejskich hrabiów, von Stracklefurta czy jakoś tam. Pamiętasz, jak kiedyś oburzano się na *tych* wszystkich europejskich królów, książąt i baronów, którzy przyjeżdżali na Zachód? Jeździli eleganckimi powozami i strzelali do biednych zwierząt tylko dla zabawy. W każdym razie ten facet przyczepił się do von Stracklefurta, który miał tytuł, furę pieniędzy i rozumu tyle co osioł ryczący do księżycy. Przekonał go, że powinien kupić ziemię w Cooperton i włożyć pieniądze w budowę wspaniałego hotelu. Książęta zatrzymywaliby się tam w przerwach między zabijaniem bizonów i ściganiem Indian. Do tej pory mieszkali w namiotach i pomalowanych wozach. Oczywiście, w tych stronach było tyle bizonów co słoni, a z Indianami odważyłby się zadrzeć tylko prawdziwy idiota,

lecz hrabia nie raczył zrobić rozeznania. Dal oszustowi górę pieniędzy na wytworny hotel. Ludzie nazywają go teraz Głupota Stracklefurta.

- Co zrobił hrabia, kiedy stwierdził, że wystrychnięto go na dudka?

- Nigdy się tego nie dowiedział, bo umarł.

-Jak?

- Chodzą plotki, że został zamordowany we śnie przez jednego z kuzynów. - Dora wzruszyła ramionami. - Bardziej prawdopodobne, że zadławił się kością kurczaka albo umarł równie idiotycznie. Ale wiesz, jak to jest. Ludzie lubią wymyślać bajki.

- Co się stało z Palace po jego śmierci?

- Oszust go sprzedał. Hotel przechodził z rąk do rąk co najmniej pięć razy, zanim J. D. wygrał go w pokera. Wszyscy uważali Palace za bezwartościową rudere. - Potrząsnęła głową i westchnęła. - Nie jesteś pierwsza, która tu przyjeżdża i próbuje coś zmienić. Ludzie wydawali pieniądze, ale nigdy się nie udawało.

- Teraz będzie inaczej.

- Hotel poprowadzi dama wyjęta spod prawa i pięć dziwek. Ludzie przyjdą z samej ciekawości, ale to chyba nie wystarczy, żeby przetrwać w interesie.

Annie uśmiechnęła się. Zaczynała doceniać bezpośredniość Dory.

- Masz rację, ale chodziło mi o coś innego. Wiele się zmieniło od czasów J. D. Na północy mamy Abundance, na południu Santa Fe i Albuquerque. Cooperton leży akurat na szlaku. Zmęczeni i głodni podróżni będą szukać porządnego noclegu. Pokoje nad barem są pełne, a na stajni wisi ogłoszenie o miejscach do spania. Wszystko teraz zależy od nas. Trochę wody, mydła i farby, a urządzimy najlepszy hotel w okolicy.

- Naprawdę tak myślisz?

Annie spojrzała na nią zaskoczona.

- Oczywiście.

Obchód zakończyły w miejscu, od którego zaczęły, czyli w kuchni. Dora postawiła czajnik na piecu i zagotowała wodę. Nalała herbatę do kubków i usiadła przy kuchennym stole.

Annie przez chwilę obserwowała ją z zaciekawieniem, popijając gorący napój.

- Dlaczego zgodziłaś się zostać, skoro nie byłaś pewna, czy naprawdę chcesz rozkręcić interes?

Dora westchnęła głęboko.

- Głównie ze względu na to, co powiedziałaś o wykorzystaniu szansy. Faktem jest, że żadna z nas pięciu nie chce tak naprawdę być dziwką. Każda ma do opowiedzenia długą historię, jak się tu znalazła, ale nie będę cię nimi zanudzać. Powiem krótko. Chodziło o to, że wolałyśmy żyć niż umrzeć. Carlotta dobrze sobie radzi, podobnie jak Belle i ja, ale Francine i Jennie Mae nigdy nie przywykły do tej pracy. - Mocniej owinęła się szlafrokiem i skrzyżowała ręce na piersi. - Ja się starzeję. Jestem już zmęczona. Pewne rzeczy kobieta traci na zawsze.

- Dlatego je namówiłaś, żeby dały mi szansę?

- Chyba tak. One nie chciały. Były gotowe pakować się i wyjeżdżać. Nie miały nic przeciwko tobie osobiście, ale mówiły, że jesteś wyjęta spod prawa i tak dalej. Bały się kłopotów. Przekonałam je, że mogą ci zaufać. Dotąd jeszcze nikt nie dał nam takiej szansy. - Kobieta spojrzała Annie prosto w oczy. - Chyba jestem odpowiedzialna za wszystko, co się stanie. Te dziewczyny miały ciężkie życie. Nie zasłużyły na marny koniec. Jeśli źle im doradziłam, jeśli zamierzasz sprowadzić tutaj chłopców Mundy'ego, wolałabym, żebyś od razu powiedziała mi prawdę.

- Zamierzam uczynić z Palace porządny hotel.

Dora przyjrzała się jej uważnie i energicznym ruchem odstawiła pusty kubek.

- W porządku. Chyba się rozumiemy. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. - Wstała, zdjęła czajnik z pieca i ponownie napełniła kubki. - Od czego zaczniesz?

- Nie wiem. Jeszcze nie miałam czasu pomyśleć.

- Takie jest życie. Nie widzisz, że coś się zbliża, póki nie spadnie ci na łeb.

Annie uśmiechnęła się słabo.

- Chyba nie słyszałam prawdziwszego stwierdzenia. W oczach Dory nagle zabłysła ciekawość.

- Opowiedz mi o pokerzyście, z którym przyjechałaś.

- O Jake'u? Jesteśmy tylko przyjaciółmi, a właściwie współnikami.

Kobieta uniosła brew.

- Słyszałam wiele bzdur, ale to jest największa, jaką kiedykolwiek próbowano mi wcisnąć.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Jeśli na czymkolwiek się znam, to na mężczyznach. Widziałam, jak ten facet na ciebie patrzy. Wcale nie jak na współniczkę. Spodziewasz się, że ci uwierzę?

Annie zawahała się, przesuwając palcami po brzegu stołu.

- Coś między nami było, ale się skończyło.

- Wyrzuciłaś go, bo uganiał się za inną?

- Nie, wcale nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Czemu pytasz?

Dora wzruszyła ramionami.

- Tylko zgaduję. Przy moim zajęciu widzę różne rzeczy. Byłym zajęciu - poprawiła się z krzywym uśmiechem. - Mężczyźni chcą odmiany i tyle. A taki mężczy-

zna jak twój gracz... Do diabła, jaka kobieta by go nie chciała? Taki facet wszystko może.

Annie spłonęła na twarzy i opuściła wzrok. Choć nie miała nic przeciwko otwartości Dory, rozmowa nagle stała się zbyt osobista.

- Więc miałas go, ale teraz uważasz, że to koniec - podsumowała kobieta. - Chcesz go z powrotem?

- To nie takie proste.

- Chyba nie zaszłaś w ciążę, co?

Annie poczuła, że znowu się czerwieni,

- Nie.

- To dobrze. Stosujesz jakie środki?

- Środki?

- Trzeba namoczyć gąbkę w occie, przywiązać do niej nitkę i włożyć sobie do środka, a później jeszcze trochę ponosić - poinstruowała ją Dora rzeczowo. - Miłość miłością, ale należy myśleć o skutkach, jeśli mnie rozumiesz.

Annie popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Jennie Mae robi tak, jak mówisz?

- Przysięga, że tak, ale wątpię. Trzyma gąbkę w górnej szufladzie, zawsze suchą jak pieprz. Ta dziewczyna tęskni za kimś, kogo mogłaby kochać. Pewnie dlatego chciała mieć dziecko.

Annie ze smutkiem pokiwała głową.

- Ale przecież rozmawiamy o tobie i pokerzyście, a nie o Jennie Mae - powiedziała Dora wesoło. - Kochasz go?

- Tak... chyba tak.

- Chyba. Do diabła, kochasz go czy nie?

- Tak.

- W porządku. - Kobieta zastanawiała się przez chwilę. - Powiedziałas mu to?

- Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Nie wyznałam, że go kocham, tylko zaproponowałam pracę w hotelu.

Z początku nie miał nic przeciwko mojemu pomysłowi, ale następnego ranka wszystko się popsuło. Jake zachowywał się jak obcy człowiek. Odkąd przyjechaliśmy tutaj, jest jeszcze gorszy.

Na twarzy Dory pojawił się wyraz zrozumienia.

- Kiedy mężczyzna bierze pod uwagę stały związek, robi się drażliwy. Zaczyna szukać powodów, żeby się wycofać. Jeśli nie może ich znaleźć, sam je wymyśla. Dla większości mężczyzn myśl o spędzeniu reszty życia z jedną kobietą nie jest miła. Im dłużej szukają dziury w całym, tym bardziej są rozdrażnieni.

Annie potrząsnęła głową.

- Jestem mu winna pieniądze. To jedyny powód, dla którego tu zostałam.

- Do diabła, dziewczyno, pieniądze nie mają znaczenia dla takiego faceta. Muszą być inne powody, dla których tu siedzi.

- O żadnych nie wiem.

- Widzisz? Wszystko jest jasne - oświadczyła Dora z pewnością siebie. - Został dla ciebie i to doprowadza go do szału. Daj mu trochę czasu, żeby doszedł ze sobą do ładu. Jeszcze do ciebie wróci.

W Annie błysnęła iskierka nadziei.

- Doro, jak Jake patrzy na mnie? - odważyła się zapytać.

- Pragnie cię, ale się boi. Nagle stwierdził, że nie nad wszystkim panuje. Zaufaj mi, skarbie, te znaki świadczą, że jest zakochany. Im faceci są twardsi, tym mocniej się zakochują. - Wstała i sprzątnęła kubki ze stołu. - Dość gadania. Jeśli mamy zrobić z tej rudery porządek hotel, lepiej bierzmy się do roboty.

Annie i pozostałe kobiety harowały przez całe popołudnie. Wyniosły na zewnątrz meble, pościel, puchowe materace i poduszki. Dzień minął aż za szybko. Wkrótce powiało wieczornym chłodem, a niebo zabarwiły delikatne lawendowe smugi. Gdy kobiety wróciły do środka, żeby umyć się przed kolacją, Annie została na dworze. Chciała zrobić jeszcze jedną rzecz, nim zapadnie noc.

Na topornej wywieszce z nazwą Pałace widniał dopisek: *Dom rozrywki*, bez wątpienia dzieło J. D. Thomasa. Annie zdjęła ją z wielką satysfakcją. Znalazła kawałek deski, pędzel oraz słoik czarnej farby i wzięła się do pracy. Wkrótce na miejscu starego szyldu wisiał nowy: Hotel Foster. Na razie musiał wystarczyć.

Drugą wywieszkę: *Czasowo zamknięty* przybiła do frontowych drzwi. Nie spodziewała się, że informacja odstraszy podpitych klientów, którzy zjawiają się późnym wieczorem, ale przynajmniej da im uczciwe ostrzeżenie.

Cofnęła się kilka kroków i dokładnie przyjrzała swojemu hotelowi. Na jej wargach pojawił się krzywy uśmiech. Mimo nowego szyldu budynek nie wyglądał ani trochę lepiej. Może powinien się nazywać Głupota Dzikiej Annie, pomyślała kobieta.

W tym momencie usłyszała, że ktoś nadjeżdża. Na widok Jake'a ogarnęła ją wielka ulga. Nie było go przez cały dzień i z każdą minutą utwierdzała się w przekonaniu, że po prostu odjechał. Wyniósł się z jej życia bez pożegnania. Choć wiedziała, że takie zachowanie jest do niego niepodobne, nie mogła się uspokoić. Zapewnienia Dory też niewiele jej pomogły.

Jake zsiadł z konia i ruszył w jej stronę sprężystym krokiem, męski i niezwykle przystojny. Kiedy jednak podszedł bliżej, Annie stwierdziła, że jego spojrzenie jest

równie obce i nieprzeniknione jak poprzedniego dnia.

Mimo wszystko posłała mu wesoły uśmiech i wskazała głową na szyld.

- Jak ci się podoba?

- Co?

- Szyld oczywiście.

Moran rzucił okiem na nową wywieszkę.

- Widzę, że naprawdę się przejąłeś.

Ruszył w kierunku stajni, prowadząc Weeda. Kobieta poszła za nim, gotowa nie poddawać się. Zapach koni, skóry i siana był miłą odmianą po stęchłym odorze hotelu. Jake zapalił lampę naftową i powiesił ją na ścianie.

Kiedy zdejmował Weedowi siodło, Annie widziała, jak pod koszulą grają mu mięśnie. Potem zaczął szcztokować konia długimi, równymi ruchami. Znała ten dotyk, silny i zarazem delikatny, miękki i kojący. Kiedyś w taki sam sposób gładził jej ciało. Choć teraz najwyraźniej starał się ją ignorować, kobieta wiedziała, że jest świadomy jej obecności. Powietrze między nimi aż iskrzyło, gęste i ciężkie od napięcia.

Nie było to jednak zmysłowe napięcie, tylko nerwowe wyczekiwanie. Podobne czuła kiedyś w pewnym barze. Dwaj gracze rzucili karty na stół i zerwali się na równe nogi, wyzywając od oszustów i kłamców. Wszyscy obecni wstrzymali oddech i tylko zastanawiali się, który pierwszy sięgnie po broń.

- Co byś zrobił, gdybyś postawił wszystko, co masz, i dostał złe karty? - zapytała w końcu Annie, podchodząc do boku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła dalej. - Grałbyś do końca, oto co byś zrobił. Właśnie tak zamierzam postąpić. To jest teraz mój dom. Nie takiego się spodziewałam, ale zostaję, Jake. Mam dość ciągłego uciekania.

Moran odwrócił się i przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Twój wybór - powiedział z obojętną miną.

Nie na taką reakcję liczyła.

- Doceniam, że zgadzasz się zostać.

- Na trochę.

Te słowa ugodziły ją prosto w serce.

- Tak, na trochę. - Annie rozejrzała się po stajni, unikając wzroku mężczyzny. Gdy już zapanowała nad emocjami, uśmiechnęła się z wysiłkiem i rzuciła lekkim tonem: - Jennie Mae przygotowuje dzisiaj kolację. Pieczonego kurczaka i tłuczone ziemniaki. Pomyślałam, że to będzie dobra okazja, żebyśmy wszyscy poznali się nawzajem.

Moran raptem sięgnął po siodło i zarzucił je na koński grzbiet.

- Nie przyjdę.

- Przecież dopiero co rozsiodłaś Weeda - zaprotestowała kobieta.

- Zmieniłem plany.

- Gdzie się wybierasz?

Jake spojrzał jej w oczy po raz pierwszy tego wieczoru.

- Nie twój interes, kochanie.

Annie zacisnęła pięści, patrząc za mężczyzną idącym do wyjścia. Pragnęła Jake'a Morana, potrzebowała go, kochała. Ale nie zimnego i okrutnego. Zrozumiała to, znalazła się, jakiej u siebie nie podejrzewała. Wybiegła za nim, otulając się ciasniej płaszczeni dla ochrony przed nocnym chłodem.

- Jake?

Mężczyzna zatrzymał się i powoli obejrzał.

- Co?

- To mój hotel. Wprawdzie jestem ci winna pienią-

dze, ale nadal u mnie pracujesz. Następnym razem, gdy każesz mi iść do diabła, zwolnię cię natychmiast.

Okręciła się na pięcie i ruszyła w stronę ganku.

18

Jake uważał, że nie zrobił nic złego. Przecież Annie go zdradziła, a nie odwrotnie. Mimo to czuł się nieswojo, nie wspominając o wyrzutach sumienia. Nie mógł jednak uwolnić się od poczucia winy, które narastało w nim, kiedy patrzył na Annie i w jej dużych oczach widział zdziwienie i ból.

Trzeba jej oddać, że sprytnie go zwiodła, okręciła sobie wokół palca. W swoim zarozumiałstwie wyobrażał sobie, że zawsze potrafi stwierdzić, kto kłamie. Dlatego najbardziej zaskoczyła go nie przebiegłość tej kobiety, ale własna głupota. Legendarna Dzika Annie odegrała rolę niewinnej i szczerzej, a on dał się nabrać.

Okazał się łatwowierny jak żółtodziób. Jeszcze gorzej, bo jako doświadczony człowiek powinien mieć przecież więcej rozsądku. Zamiast wykorzystać Annie jako środek do celu, pozwolił, żeby to ona stała się celem. Przez krótką chwilę myślał o ustatkowaniu się, założeniu z nią rodziny. Popełnił fatalny błąd, lekceważąc podstawową zasadę dla każdego człowieka noszącego broń: nie wolno spuszczać oka z celu. Zamiast skupić się na złapaniu bandy Mundy'ego, całą uwagę skierował na Annie.

Nigdy więcej.

Mimo wszystko nie był do końca przekonany, czy

Annie rzeczywiście należy do szajki. Raz skłaniał się ku odpowiedzi twierdzącej, kiedy indziej dręczyły go wątpliwości. Pytanie krążyło mu po głowie, wracało z uporem jak natrętna mucha. Nie mógł opędzić się od niego, podobnie jak od myśli o Annie.

Minęły dwa tygodnie od ich przybycia do Cooper-ton. Szeryf Cayne dotrzymał słowa i przesłał Moranowi pieniądze, które wziął od niego jako zastaw. Walter Pogue i jego zastępcy już wyruszyli w drogę. Jake nie miał dla nich żadnych nowych wieści, choć przez ostatnie dwa tygodnie szukał śladów bandy.

Przez ten czas nic nie wskazywało na to, że Annie interesuje się czymkolwiek poza urządzaniem hotelu. Jego zdaniem Palace był w beznadziejnym stanie, ale kobiety najwyraźniej nie zamierzały się poddać. Choć unikał jak mógł całego zamieszania, nie mógł nie dostrzec, że Annie całymi dniami haruje bez wytchnienia. Nadal nosiła pas na broń, ale w kaburach zamiast rewolwerów tkwiły młotki.

Budynek wymagał szorowania, malowania, prac ciesielskich i dezynfekcji. Kobiety walczyły z pchłami, wszami, karaluchami, błotem i plamami po tytoniu. Wyprały i zacerowały pościel, wypchały na nowo materace i obicia kanap, wytrzeptały dywany, naprawiły zasłony, wyszorowały drewniane podłogi, wymieniły przegniłe okna, oczyściły piec, usunęły z komina ptasie gniazda i pobielily ściany wapnem.

Jake słyszał, że Annie wydała wszystkie swoje oszczędności co do grosza i zapożyczyła się u nowych pracowników hotelu. Choć w Cooper-ton przyjmowano je chłodno, ludzie najwyraźniej nie mieli nic przeciwko braniu od nich pieniędzy. Annie kupiła nowe garnki i patelnie od domokrażcy, a obrusy w sklepie. U pewnej kobiety z mia-

sta zamówiła warzywa, póki ogród nie zacznie rodzić, u żony pastora domowe ciasta, a okoliczni farmerzy mieli dostarczać mleko, a od czasu do czasu świnie albo poć wółowiny.

Sprytnie podzieliła budynek na dwie odrębne części. Wynajęła fachowca z miasta, żeby postawił ścianę między barem a częścią hotelową i zrobił osobne wejścia. Dla podkreślenia różnicy kazała pobielić mury hotelu, a okiennice i drzwi pomalować na przyjemny, ciemnozielony kolor, natomiast bar zostawiła w barwie naturalnego cedru. Nazwała go Bella Luna i zawiesiła nad drzwiami duży półksiężyc. Wywieszka na drzwiach głosiła: *Bar dla dżentelmenów. Najlepsze cygara, whisky i piwo na terytorium.*

Zatrudniła barmana, prawdziwego magika o nazwisku Johnny Dill. Mężczyzna był drobnej postury, miał krótkie, siwe włosy, twarz buldoga i podobną lojalność. Annie dokonała dobrego wyboru. Dill zajął się barem, jakby mieszkał w nim przez całe życie. W ciągu pięciu dni od otwarcia Bella Luni wysłuchał dziesiątek nudnych opowieści, nie ziewnąwszy ani razu. Wyrzucał hałaśliwych pijaków, nim zdążyli narozrabiać, nie dolewał wody do whisky - w każdym razie nie tyle, żeby goście się zorientowali - przerwał trzy walki na pięści. Poza tym nie wtrącał się do Morana, który obsługiwał stoliki do gry.

Jedyne połączenie baru z hotelem stanowiły tylne drzwi, prowadzące do kuchni. W ten sposób Annie mogła serwować domowe posiłki zarówno klientom Bella Luni, jak i gościom hotelowym. Jake polubił swoje miejsce pracy. Lokal szczycił się długim, wypolerowanym barem i lśniącą podłogą zamiast klepiska posypanego trocinami. Stoły i krzesła były wygodne, a duże okna wychodziły na ulicę. Męski, ale przyjazny charak-

ter zachęcał do spędzenia tutaj kilku wolnych godzin.

Nie wszystko jednak szło tak gładko, jak Annie się spodziewała. Jake słyszał od Dory o tajemniczych wypadkach, jakie przytrafiały im się w czasie remontu. Z początku wszystkie wyglądały na głupie dowcipy: w beczce piwa kupionej do Bella Luny znalazły się krowie placki, do komina wpadł skunks, ktoś ściągnął ze sznurków świeżo wyprane prześcieradła i powłókł je przez błoto. Z czasem żarty stały się coraz bardziej dokuczliwe i niebezpieczne. W stodole wybuchł mały pożar, pękła drewniana balustrada i Annie omal nie spadła ze schodów. Gdy podniosła duże lustro, niemal rozpadło się jej w rękach.

Jeśli nowa właścicielka nie zajmowała się akurat usuwaniem szkód poczynionych przez anonimowych żartownisiów, użerała się z byłymi klientami. Kiedyś w połowie gry Jake usłyszał wystrzały dobiegające z hotelu i kobiece krzyki. Zerwał się od stolika, wyciągnął broń i popędził do drzwi. Serce podeszło mu do gardła. Był pewny, że zaraz ujrzy Annie albo którąś z pracownic leżącą w kałuży krwi. Zamiast tego zobaczył na ganku pannę Foster i Dorę z jeszcze dymiącą strzelbą myśliwską. Dwaj pijani poszukiwacze złota w samej bieliźnie domagali się, żeby wpuścić ich do środka. Drugi wystrzał rozbryznął gęste błoto u stóp natrętów i przekonał ich, że lepiej poszukać rozrywki gdzie indziej.

Jake poczuł wielką ulgę, że Annie nic się nie stało. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Ręce mu drżały, kiedy chował broń, a po plecach spływała strużka zimnego potu. Nie ufając własnemu głosowi, tylko skinął głową kobietom i bez słowa wrócił do Bella Luny.

Tak, teraz zrozumiał, dlaczego jest taki zły na Annie. Nie chodziło o kłamstwa. Może nawet potrafiłby je zrozumieć. Był na nią wściekły, bo jeszcze nigdy tak się nie bał. Ze wszystkiego na świecie najbardziej nie-nawidził tego uczucia. A przez nią umierał ze strachu: że jeden z głupich żartów źle się skończy, że zrobi jej krzywdę któryś z zawiedzionych, byłych klientów Palace, że coś niedobrego wydarzy się podczas napadu dokonywanego przez bandę Mundy'ego, że ludzie szeryfa złapią ją i powieszą.

Przez cały czas zachowywał czujność. Od wymiany zdań sprzed dwóch tygodni Annie unikała go za wszelką cenę. Gdy ich ścieżki się przecinały, pozdrawiała go chłodnym skinieniem głowy i szła dalej. Zgodnie z obietnicą zostawiła jemu prowadzenie baru, a sama zajęła się hotelem. Nigdy nie postawiła nogi w Bella Lunie, przynajmniej kiedy on tam był.

Tym bardziej zaskoczył go widok Annie, gdy pewnego dnia wpadła przez wahadłowe drzwi niczym anioł burzy. Jej buty stukały głośno o drewnianą podłogę, kiedy maszerowała przez salę. Miała rumieńce na policzkach, oczy ciśnieły gromy. Gwałtowny, urywany oddech podnosił jej pierś, jak wówczas gdy się kochali. Lecz tym razem nie wyglądało na to, żeby Annie miała ochotę na amory. Raczej szykowała się do walki. Jake odchylił się na oparcie krzesła.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał przeciągle.

Kobieta zignorowała zaczepkę. Wzięła ze stołu jego kubek z kawą i powąchała.

- Widzę, że zachowujesz trzeźwość - stwierdziła z przekonaniem. - Co za miła niespodzianka.

Jake osłupiał.

- Annie, kochanie?

- Nie mów do mnie „kochanie”.

- Gdybyś była mężczyzną, zabiłbym cię - wycedził Moran. - Rozumiesz?

Cisza w sali zapadła już po gwałtownym wtargnięciu kobiety. Teraz czterej gracze siedzący przy stoliku wstrzymali oddechy i obserwowali scenę z nieukrywana ciekawością.

Annie wyprostowała się i rozejrzała po barze, jakby nagle uświadomiła sobie, że ma publiczność. Zaczepnęła powietrza i lekko skinęła Jake'owi głową.

- Mogę z panem pomówić na osobności, panie Moran? Mężczyzna odsunął krzesło i wstał.

- Oczywiście, panno Foster.

Annie odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do tylnych drzwi. Gdy tylko znaleźli się w hotelowej kuchni, przystąpiła do rzeczy.

- Słyszałam, że masz gest.

Tak oto Johnny Dill pilnuje swojego nosa, pomyślał Jake.

- Podobno za darmo serwowałeś piwo i cygara gościom, którzy wczoraj grali z tobą w pokera.

-Tak.

W oczach Annie zabłyśła iskierka triumfu.

- Więc się przyznajesz?

- Oczywiście.

- I jak zamierzasz wyrównać straty?

- Myślałem, że prowadzenie baru to moja działka.

- Nie kiedy częstujesz na prawo i lewo alkoholem, na który ciężko tyram.

Jake zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Rozumiem. Dajesz mi całkowitą swobodę działania, póki odpowiada ci to, co robię i mówię. Mam rację, kochanie?

- Tak - potwierdziła Annie, unosząc brodę. - A jeśli nie

podoba ci się przyjmowanie poleceń od kobiety, możesz...

- Ile kosztowało cię to piwo?

- Nie chodzi o...

- Ile?

- Piętnaście centów za szklanekę.

- A cygara?

- Dwadzieścia pięć centów sztuka.

- Było pięciu mężczyzn, a ja postawiłem każdemu po szklance piwa i jednym cygarze. Razem to... cztery dolary i dwadzieścia pięć centów.

- A zatem o cztery dolary i dwadzieścia pięć centów straty, na którą nie mogę sobie pozwolić.

- To dopiero sprytne rozumowanie.

- Nie prowadzę baru dla golców, obiboków i łajz. Jeśli ktoś chce wypić drinka w Bella Lunie, ma za niego zapłacić. Jasne?

Moran z trudem utrzymał nerwy na wodzy.

- Czy przyszło ci do głowy, że kiedy mężczyzna dostanie trochę alkoholu i cygaro, zaczyna się lepiej bawić? Wdzięczny za gościnność i w dobrym nastroju, od razu stawia więcej. Policzyłaś kiedyś, że ci ludzie pracowali przez całe lato i większość jesieni, a teraz noszą w kieszeniach dość srebra, żeby wybrukować całą Main Street? Bar zarobił zeszłej nocy trzysta dolarów, kochanie, a goście świetnie się bawili przy ich wydawaniu. Wrócą tu, żeby znowu zagrać. Może mi powiesz, kiedy twój wspaniały hotel przyniesie tyle forsy?

W kuchni zapadła cisza. Wściekłość powoli opuściła Annie.

- Przepraszam, Jake - powiedziała kobieta cichym głosem. - Nie miałam prawa kwestionować twoich decyzji. To nie twoja wina, że sprawy... - Odetchnęła głęboko. - Nie twoja wina.

Moran skinął głową, zaskoczony przeprosinami. Spodziewał się, może nawet pragnął, porządnej kłótni. Stał w milczeniu, nieprzygotowany na rozejm.

Po chwili Annie wysunęła krzesło i usiadła przy kuchennym stole. Zaczęła bezmyślnie obrywać płatki kwiatów stojących w szklanym wazonie. Oczy Jake'a same powędrowały ku kobiecie, głodne jej widoku. Z luźnego koka wymykało się na czoło parę kosmyków. Stara suknia z brązowego perkalu, kupiona w Two River Flats, już nie była obcisła. Annie mocno schudła. Mężczyzna przyjrzał się jej baczniej i zauważył rzeczy, których wcześniej nie dostrzegał: bladość i fioletowe cienie pod oczami, zaciśnięte usta, czerwone, spracowane ręce. Choć wmawiał sobie, że nic go nie obchodzi jej kłopoty, przekonał się, że jest inaczej.

- Jak się czujesz, Annie? - zapytał.

Kobieta posłała mu nerwowy uśmiech i odsunęła wazon.

- Dobrze, Jake. Świetnie.

- Mogę usiąść?

Po krótkim wahaniu Annie skinęła głową. Siedząc od niej na wyciągnięcie ręki, Moran jak zwykle czuł dziwne, magnetyczne przyciąganie i bliskość, a jednocześnie wielki żal z powodu straty.

Niczego by w niej nie zmienił. Ani koloru oczu, ani jedwabistej miękkości włosów, ani łagodnych krągłości ciała. Nie zmieniłby również sposobu patrzenia na życie, lojalności, uporów i determinacji. Wszystko podobało mu się bez zastrzeżeń. Wszystko... z wyjątkiem przynależności do bandy Mundy'ego.

Raptem ogarnęła go przemożna chęć dotknięcia Annie. Pragnął wreszcie wydobyć z niej prawdę. Miał ochotę zaciągnąć ją na górę, zgasić lampę i kochać się

całą noc. Rozmasowałyby jej obolałe mięśnie, pocałunkami ukoił troski i zmartwienia. Siedział jednak bez ruchu. Nie potrafił zasypać przepaści, która ich dzieliła.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Przez wargi Annie przemknął nikły uśmiech.

-Tak.

Jake dopiero teraz zwrócił uwagę na ciszę panującą w hotelu. Zerknąwszy przez kuchenne drzwi, spostrzegł, że w przegródkach nad recepcją są prawie wszystkie klucze. Restauracja również świeciła pustkami. Najwyraźniej mieszkańcy Cooperton nie przekonali się jeszcze do nowego hotelu tak jak do Bella Luny. Ale bar to bar. Annie miała dużo trudniejsze zadanie.

- Wszystko wymaga czasu - powiedział.

- Mamy paru gości. Jest ten reporter, VanEste. Pamiętasz go? W końcu zgodziłam się na wywiad, na który tak nalegał. Twierdzi, że dama wyjęta spod prawa i pięć zbłąkanych owieczek prowadzących hotel to świetna historia do gazet. Mówi, że po takiej reklamie nie opędzimy się od gości.

- Może ma rację.

- Faktem jest, że gdyby nie pieniądze, które zarabiasz w barze, nie utrzymałabym hotelu dłużej niż przez miesiąc.

- Rozumiem.

Annie popatrzyła na niego spłoszonym wzrokiem.

- Wcale nie namawiam cię do zostania - zapewniła pośpiesznie. - Wiem, że w każdej chwili możesz wyjechać. Nic nie jesteś mi winien... Nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań tylko dlatego, że... byliśmy ze sobą blisko.

- Annie...

- Nie, Jake, pozwól mi się wygadać. - Wzięła głęboki oddech. - Nie powiem, żeby było mi miło, kiedy to

od ciebie usłyszałam, ale prawda nie zawsze jest przyjemna. To, co między nami zaszło, miało dla mnie chyba większe znaczenie niż dla ciebie. Nie twoja wina. Nie powinnam niczego od ciebie oczekiwać... ani wyobrażać sobie, że cokolwiek nas łączy. Nigdy nie składałeś mi żadnych obietnic, więc niepotrzebnie się łudziłam, że czujesz coś więcej.

- Jezu, Annie...

Słuchając jej wyznania, Jake czuł się gorzej niż zbity pies, a jego podziw wzrósł jeszcze bardziej. Większość kobiet nie przyznałaby się, że cierpi z powodu utraczonej miłości, ale nie odważna i szczerą Annie.

- Nie roszczę sobie do ciebie żadnych praw. Nie dziwię się, że byłeś na mnie wściekły. Spojrzałeś na hotel i pomyślałeś, że cię oszukałam albo próbowałam wyłudzić od ciebie pieniądze. Ale naprawdę nie miałam pojęcia, że Palace jest zrujnowanym burdelem. Bardzo mi zależy, żebyś uwierzył.

Moran skinął głową.

- Wierzę, że nic nie wiedziałaś.

Przynajmniej to jedno było prawdą. Inne podejrzewania jeszcze długo nie dadzą mu spokoju.

- Dziękuję.

- Widać, że dużo myślałaś o tej sprawie.

Annie uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Niemal w każdej minucie dnia. - Wyprostowała ramiona i zmieniła ton na rzeczowy: - Skoro mamy już to za sobą, przejdźmy do interesów. Liczysz, ile ci jestem dłużna, i potracasz z wpływów uzgodnioną część?

- Tak. Chcesz, żebym wszystko zapisywał?

- Ufam ci - powiedziała Annie z przekonaniem.

Jake'a znowu ogarnęło poczucie winy. Gdy zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć, jego wzrok padł na odłamki szkła

zniecione w kąt. Popatrzył na sufit i zmarszczył brwi.

- Co się stało? - zapytał, choć już się domyślał, że to kolejny mały „wypadek”.

Annie potwierdziła jego podejrzenia.

- Dzisiaj rano spadł żyrandol. Chyba ktoś się zakradł i podpiłował łańcuch.

- Nikt nie jest ranny?

- Nie, dzięki Bogu. W kuchni było pusto.

Jake milczał przez chwilę, opanowany głuchą wściekłością. Żarty stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Annie lub któraś z kobiet mogła odnieść poważne rany albo nawet zginąć, gdyby akurat znajdowała się w pomieszczeniu.

- Wiesz, kto za tym wszystkim się kryje i dlaczego to robi?

Annie zawahała się, a potem wyjęła z kieszeni sukni zmięty świstek. Podała go Moranowi.

- Znalazłam to dzisiaj rano tuż przed wypadkiem.

„Już się boisz, bandytko?”

Jake przypomniał sobie wiadomość od Mundy'ego, znaną w jukach, ale szybko doszedł do wniosku, że niegramatyczne bazgroły napisała inna ręka. Zresztą Pete nie miałby powodu straszyć Annie ani sabotować jej hotelu.

- Dużo ich dostałaś? - zapytał.

- Mam całą kolekcję. Znajduję je od czasu pierwszego dowcipu.

- Widziałaś dziś rano kogoś podejrzanego?

- Nie. Ale sądzę, że ktoś z miasta próbuje nas przepłoszyć. - W oczach kobiety pojawiła się determinacja i upór. - Nie pozwolę im wygrać, Jake. Nigdy nie cofałam się przed walką i teraz też nie zamierzam uciekać. Zostaję, choćby nie wiem co się działo.

- Powiesz szeryfowi o wypadkach?

- A on bez wahania otoczy ochroną Dziką Annie i kilka byłych dziwek? Szczególnie tuż przed wyborami?

Jake w duchu przyznał jej rację. Przemknęło mu również przez myśl, że jeśli Annie wciąż należy do bandy Mundy'ego, szeryf jest ostatnim człowiekiem, którego chciałby widzieć wężącego wokół hotelu.

Kobieta wyrzała przez kuchenne okno i westchnęła cicho.

- Uważasz, że głupio robię zostając, Jake?

Moran przyglądał się jej przez chwilę.

- Zależy, co cię tutaj trzyma?

Annie pokiwała głową. Jej oczy przybrały nieobecny wyraz.

- Głównie marzenia. Śniłam o tym miejscu tak długo, że nie mogę go teraz opuścić. Poza tym, nie jest takie złe. Chyba nie widziałam ładniejszego kawałka ziemi. O świcie stada jeleni i łosi zbierają się przy wodopoju. Całe południowe zbocze to jedno wielkie pole kwiatów. A kiedy nad górami wstaje słońce... widok po prostu zapiera mi dech w piersiach. Sam budynek jest w dobrym stanie. Na odnowienie go trzeba będzie jeszcze trochę pieniędzy i czasu, ale czuję, że nam się uda. - Spojrzała na Jake'a. - Wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

Kobieta po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze.

- Bo jestem dzielna.

Serce Morana zalała ogromna czułość.

- Owszem, kochanie. Jesteś bardzo dzielna.

Na chwilę ich oczy się spotkały. Bił z nich żar. Gdyby tak popatrzyli na siebie na szlaku, Jake bez chwili wahania porwałby kobietę w ramiona. Ale nie teraz.

W oczach Annie pojawił się smutek.

- Zabawne. Tak daleko razem doszliśmy, a teraz wróciliśmy, zdaje się, do punktu wyjścia - powiedziała cicho. - Jesteśmy jak dwa obwąchujące się psy.

Zapadło milczenie. Choć w głosie kobiety nie było oskarżenia ani goryczy, uwagi zmierzały w niepożądanym kierunku. Na wszelki wypadek Jake zmienił temat.

- Co teraz zrobisz?

Annie westchnęła, wstała od stołu i zaczęła chodzić po kuchni.

- Z pewnością nie mogę zbyt długo czekać. Prędzej mi zabraknie pieniędzy, niż ludziom oślego uporu. Moją jedyną szansą jest wyjść im naprzeciw. Zmusić, żeby spotkali się z dziewczętami i ze mną twarzą w twarz. Przez ostatni tydzień rozносиłyśmy po mieście zaproszenia na dzisiejszą zabawę. Niech wszyscy przyjdą i na własne oczy zobaczą, czego tu dokonaliśmy. Może wtedy zmienią nastawienie.

Zdaniem Morana pomysł świadczył o beznadziejnej naiwności Annie.

- Naprawdę myślisz, że się uda?

Na ustach kobiety pojawił się cierpki uśmiech.

- Jeśli sądzić po przyjęciu, jakie zgotowali mi mieszkańcy Two River Flats, powiedziałabym, że moje szanse są mniejsze niż ślepca na wygranie konkursu strzeleckiego. Tym razem jednak postarałam się je zwiększyć. Dałam ludziom w mieście do zrozumienia, że skoro dziewczyny i ja nie jesteśmy wystarczająco godne, żeby składano nam wizyty towarzyskie, może nasze pieniądze też są brudne. Wymknęło mi się również, że myślimy o zakupach w Abundance. - Wzruszyła ramionami. - Teraz wszystko zależy od nich.

Moran pokiwał głową. Plan był grubymi nićmi szyty, ale mógł się udać. Jeśli Annie rzeczywiście zależało na rozkręceniu hotelu, zrobiła krok we właściwym kierunku.

- Nieźle - powiedziała.

W oczach Annie zabłysła determinacja.

- *Poco a poco, la hormiga comió el elefante.*

„Po troszeczkę mrówka słonia zjadła”, przetłuma-
czył w myślach Jake.

- Mnie też zapraszasz?

Na twarzy Annie odmalowała się ulga.

- A miałbyś ochotę przyjść, Jake? Twoja obecność
ucieszyłaby dziewczyny. I weź ze sobą, kogo tylko ze-
chcesz. Im sala będzie pełniejsza, tym lepiej.

Moran wstał.

- Podejmujesz duże ryzyko, kochanie. Może w ogó-
le nikt się nie pokaże. Albo będziesz zabawiała tylko fa-
ceta, który zostawia te świstki.

Kobieta uniosła brodę.

- Może tak, może nie. Nie mam nic do stracenia.

19

Annie z zadowoleniem powiodła wzrokiem po sali klubowej. Czuła niedowierzanie i wielką ulgę, że zaba-
wa jest tak udana. Po prawdzie miała wątpliwości co do
swojego pomysłu, ale, o dziwo, przyjęcie nie okazało się
całkowitą klęską.

Hol sprzątnięto, wytrzepano poduszki, w wazonach
umieszczono świeże kwiaty. Stoły bankietowe uginały
się od kanapek, ciast i słodczy. Przyćmione światło
lamp wypełniało pomieszczenie łagodnym, nastrojo-
wym blaskiem. W kuchni dwóch skrzypków grało

chwytlive melodie. Stoliki i krzesła odsunięto pod ścianę, żeby zrobić miejsce do tańca.

Oczywiście, wieczór wcale nie zaczął się tak dobrze. Jake i Johnny Dill zamknęli bar i przybyli punktualnie o siódmej. Przez jakiś czas wydawało się, że będą jedynymi gośćmi. Siedzieli sztywno w towarzystwie kobiet, ubranych w najlepsze suknie, przyzwoite i wysoko zapięte pod szyję. Z niemal śmieszną gorliwością starali się podtrzymać rozmowę i udawali, że wszystko jest w porządku.

O siódmej trzydzieści pięć, ku uldze wszystkich obecnych, zjawili się pierwsi zaproszeni goście: ranczer, od którego Annie czasami kupowała wołowinę. Mężczyzna i jego żona mieli ponure, urażone miny dzieci, które niesłusznie ukarano. Nowa właścicielka powitała ich serdecznie i dokonała prezentacji. Wkrótce w progu stanęli bankier prowadzący rachunek hotelu i paru właścicieli sklepów.

W miarę napływu gości zmieniała się atmosfera. Jake i Johnny Dill kolejno prosili dziewczyny do tańca. Niebawem na parkiecie zrobiło się tłoczno od par z miasta. Przekąski szybko zniknęły z tac. Zastąpiono je domowymi wypiekami. Rozmowa toczyła się gładko. Annie oprowadziła chętnych po odnowionym piętrze, żeby pochwalić się wykonaną pracą.

Część mieszkańców Cooperton przyszła do hotelu w wyniku jej finansowego szantażu, ale wielu zajrzało z czystej ciekawości. Albo raczej z tego samego powodu, dla którego lubili przyglądać się egzekucjom: skrywanej radości, że nieszczęście spada na kogoś innego. Ku własnemu zaskoczeniu bawili się naprawdę dobrze.

W pewnym momencie do panny Foster, Morana i Peytona VanEstego podeszła Jennie Mae, niosąc tacę z lemoniadą i ciasteczkami.

- Napisze pan artykuł o przyjęciu, panie VanEste? - zapytała.

Reporter uśmiechnął się grzecznie i objął spojrzeniem tłum gości.

- Powinien pan - nalegała dziewczyna. - Może teraz ludzie z miasta trochę spuszcza z tonu i zaczną nas odwiedzać. Zwłaszcza mężczyźni. Kiedyś często tu bywali, nim panna Foster wprowadziła zmiany. Wtedy jakoś trafiali, choć przeważnie byli pijani, a prowadził ich tylko księżyc, gwiazdy i to, co mają między nogami, jeśli mnie pan rozumie. I wcale nie mówię o najgorszym elemencie, tylko o sędzim, szeryfie i jego zastępcach, tamtym kurdupłowatym właścicielu sklepu z wielkim...

- Dziękuję, Jennie Mae, to wszystko - przerwała jej Annie ostro.

- Koniem - dokończyła dziewczyna z miną obrażonego niewiniątka.

Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się słodko i odeszła wolnym krokiem.

Jake skrzywił wargi w złośliwym uśmieszku, ale litościwie milczał. Na policzkach VanEstego wykwitły dwie jaskrawoczerwone plamy. Po chwili mężczyzna odchrząknął i powiedział:

- Wzmianka o artykule przypomniła mi, że nadal jest mi pani winna wywiad, panno Foster.

- Pamiętam, ale po prostu nie miałam czasu usiąść na więcej niż dwie minuty. Obiecuję jednak, że porozmawiamy w ciągu kilku najbliższych dni.

- Zmuszę panią do dotrzymania obietnicy - odparł VanEste. Wypiął pierś i zaczął recytować głosem kiepskiego aktora tragicznego: - Dzika Annie uciekła od bandy Mundy'ego i jest teraz właścicielką pięknego hotelu. Wkroczyła na ścieżkę prawa i odkupienia. - Mrugnął po-

rozumiewawczo. - Takich właśnie historii domagają się moi czytelnicy. Ostrzegałem, że jeszcze zrobię z pani legendę, panno Foster.

Annie uśmiechnęła się z przymusem.

- To prawda.

- A teraz życzę państwu dobrej nocy. Muszę zrobić trochę notatek, póki wrażenia są świeże.

Po tych słowach ruszył na piętro.

Niedługo po nim goście zaczęli się rozchodzić. Gospodyni pożegnała wszystkich, dziękując za przybycie. Była zbyt rozsądna, by uwierzyć, że przekonała do siebie mieszkańców Cooperton, ale przynajmniej miło ich zaskoczyła. Wieczór spędzony z osławioną Dzika Annie i pięcioma damami lekkiego prowadzenia okazał się całkiem przyjemny. Z czasem, pomyślała kobieta w przypływie nadziei i optymizmu, zyskają sobie ich szacunek i zaufanie.

Było już dobrze po północy, gdy posprzątały z grubszą salę klubową i zaniósły brudne naczynia do kuchni. Później, lekceważąc protesty, panna Foster odesłała całą piątkę do pokojów na górze. Choć dumne i zadowolone z siebie, kobiety wyglądały na mocno zmęczone długim dniem i emocjami. Johnny Dill wrócił do baru i w hotelu zapanowała cisza. Annie została sama z Moranem.

- Gratulacje. Przyjęcie się udało - powiedział mężczyzna.

- Kto by pomyślał, co?

Jake sięgnął po kapelusz.

- Muszę zobaczyć, czy Johnny nie potrzebuje wsparcia. Na pewno otworzył drzwi nocnym markom.

Kobieta doskonale wiedziała, że to tylko wymówka. Wzięła głęboki oddech i zwalczyła pokusę, by poprosić Jake'a o zostanie. Nie było sensu jeszcze bardziej komplikować sytuacji.

- Dziękuję za pomoc. Bardzo nam się przydaliscie z Johnnym.

Moran skinął głową i ruszył do drzwi.

Annie stłumiła westchnienie, podążając za nim wzrokiem. Następnie odpędziła smętne myśli i wzięła się za sprzątanie. Na koniec zdmuchnęła świece, zebrała resztki jedzenia i pogasiła lampy. Przeszła do kuchni, żeby włożyć brudne naczynia do zlewu.

Nie zdążyła.

Gdy tylko znalazła się za wahadłowymi drzwiami, jakaś ręka chwyciła ją od tyłu. Druga zacisnęła się jej na ustach. Annie poczuła twardą lufę wbijającą się w udo i gorący oddech na szyi, ale nie widziała twarzy napastnika. Mężczyzna przyciskał ją do siebie tak mocno, że ledwo mogła oddychać.

- Tęskniłaś za mną, mała? - wysapał jej do ucha.

Od razu poznała ten głos. Zerknęła w dół i dostrzegła męski but. Z węzowej skóry. Krew zastygła jej w żyłach.

- Mówiłem, że wrócę któregoś dnia.

Kobieta zmusiła się do zachowania spokoju. Wiedziała, że wystarczy jeden głośny krzyk...

Garvey Wężowa Skóra widać czytał jej w myślach, bo przystawił do szyi ząbkowany nóż myśliwski.

- Tylko piśniesz, a poderżnę ci gardło. Jasne?

Annie pokiwała głową. Mężczyzna był zdolny do spełnienia groźby. Zabiłby nie tylko ją, ale również każdą pracownicę hotelu, która przybiegłaby na pomoc. Musiała sama jakoś się uwolnić.

Garvey zabrał rękę z jej ust, lecz mocniej przycisnął ostrze noża do szyi. Kobieta poczuła ukłucie, a potem strużkę krwi spływającą w dół.

- Masz. Chcesz więcej, to narób hałasu. Zabiję cię, przysięgam na Boga.

Annie potrząsnęła głową. Jednocześnie przebiegła wzrokiem kuchnię, szukając jakiegokolwiek broni. Nagle dostrzegła na stole świstek papieru. „Będziesz następna, bandytko”. Obok leżało pudełko zapalek i pojemnik z naftą. Najwyraźniej zaskoczyła Garveya, gdy szykował się do podpalenia kuchni.

Ogarnęła ją wściekłość. To Wężowa Skóra przez cały czas robił te głupie dowcipy i zostawiał kartki z pogroźkami. Już dawno powinna była się domyślić.

Mężczyzna poszedł za jej spojrzeniem i zaśmiał się głucho.

- Dostawałaś moje liściki? Mówiłem ci, że wrócę pewnego dnia, i oto jestem. Teraz mi zapłacisz.

Przesunął ramię wyżej i chwycił ją za piersi. Annie szarpnęła się odruchowo, ale Wężowa Skóra przycisnął ją do siebie i dotknął chłodnym ostrzem tuż przy uchu.

- O co chodzi, mała? Myślałem, że lubisz starego Garveya. - Wolno zadarł jej spódnicę. - Teraz dokończymy to, co kiedyś zaczęliśmy. Mogę być brutalny albo miły. Jak mnie wkurzysz, poznasz różnicę.

Przesunął dłonią po jej udzie, a potem zaczął gmerać przy guzikach spodni. Annie poczuła ściskanie w gardle. Rozpaczliwie omiotła wzrokiem kuchnię.

Pojemnik z naftą...

Dźwięk otwieranych drzwi zaskoczył ich oboje. W milczeniu nasłuchiwali odgłosu kroków na wypolerowanej podłodze.

- Annie? Jesteś tu?

Nóż drasnął jej skórę.

- Pozbądź się go natychmiast.

Kobieta przełknęła ślinę.

- Nie wchodź tutaj, Johnny.

Kroki umilkły.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Ale... rozlałam lemoniadę. Wszystko się klei.

Chwila ciszy.

- Dobranoc, panno Foster.

Mężczyzna zawrócił do sali klubowej. Rozległ się cichy trzask zamykanych drzwi.

- Z każdą minutą, mała, robisz się sprytniejsza. Może tym razem pozwolę ci...

Nie miał okazji dokończyć zdania. Padł na ziemię, zaatakowany od tyłu przez Morana, który wdarł się do kuchni jak burza. Nim zdołał się podnieść, napastnik z furią zaczął okładać go pięściami.

Przeżrana kobieta dopiero po chwili odzyskała mowę.

- Jake, przestań! Wystarczy! Dość!

Mężczyzna zamarł z uniesioną ręką. Przesunął wzrok z nieruchomego ciała na Annie i z powrotem. W końcu zrozumiał. Wążowa Skóra nie oddał mu ani jednego ciosu. Nie mógł. Patrzył w sufit szklanym oczami. Usta miał otwarte w niemym krzyku. Nie żył. Podczas upadku nadział się na własny nóż.

Moran wstał i podszedł do Annie. Zaciśnął usta na widok strużki krwi spływającej po szyi. Delikatnie wytarł ją palcem. Przyciągnął kobietę do siebie i spojrzał jej w oczy.

- Dobrze się czujesz?

Annie zaczerpnęła powietrza i skinęła głową.

- Nie byłam pewna, czy zrozumiałeś mój sygnał.

- Założyłem, że znasz różnicę między głosem moim a Johnny'ego. Doszedłem więc do wniosku, że masz kłopoty albo upiłaś się w samotności. - Skrzywił usta w lekkim uśmiechu. - Uznałem, że tak czy inaczej dobrze będzie się przyłączyć.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

- To on zostawiał kartki, Jake. Garvey Wężowa Skóra.

- Popatrzyła mu w oczy. - Dlaczego wróciłeś do hotelu?

- Za stajnią zobaczyłem obcego konia, co wzbudziło moje podejrzenia. Zwęszyłem kłopoty.

Annie spojrzała na martwego mężczyznę i zadrżała.

- Przyszedłeś w samą porę.

Moran zamknął ją w ramionach i pogłaskał po plecach.

- Już nigdy nie zrobi ci krzywdy.

Kobieta chętnie pozostałaby w objęciach Jake'a przez całą noc, ale nagle rozległ się tupot nóg na schodach. Drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Dora ze strzelbą myśliwską w rękach. Za nią tłoczyły się Jennie Mae, Carlotta, Francine i Belle.

Moran puścił Annie.

- Niech któraś pobiegnie obudzić Johnny'ego Dilla i powie mu, żeby wezwał szeryfa. Właśnie rozwiązaliśmy sprawę „wypadków”, nękających hotel.

Za zakrętem Jake zwolnił do lekkiego kłusa i poprawił się w siodle, zeszytniały i obolały. Nie spał przez całą noc. Wyjaśnienie sytuacji szeryfowi zajęło dużo czasu, a jeszcze więcej doprowadzenie kuchni do porządku i uspokojenie kobiet na tyle, żeby wróciły do łóżek. Nie zdążył nawet porozmawiać z Annie. Musiał jechać na spotkanie z Walterem Pogue'em.

Zsunął kapelusz na tył głowy i powiódł spojrzeniem po okolicy. Bity trakt, niegdyś uczęszczany, powoli zarastała trawa i krzaki. Przystanek dyliżansu spalił się dawno temu w czasie potyczki z Apaczami. Nowy, zbudowany na jego miejscu, stał teraz opuszczony, bo po ataku Indian rzadko podróżowano tym szlakiem.

Jake czujnie przyjrzał się zniszczonej chacie i poli-

czył konie stojące w przybudówce. Sześć. Cały oddział szeryfa. Odetchnął głęboko i spał Weeda ostrogami.

Walter Pogue wyszedł na próg z bronią gotową do strzału. Moran zeskoczył z siodła i wskazał na dubeltówkę.

- Miłe powitanie, Walt.

Mężczyzna wzruszył ramionami i opuścił strzelbę.

- To na wszelki wypadek. Spodziewaliśmy się ciebie wczoraj wieczorem.

- Byłem zajęty.

Weszli z chłodu do stosunkowo ciepłego wnętrza. Jake rozejrzał się po izbie, przyzwyczajając oczy do mroku. Umeblowanie było skromne: grubo ciosany stół, kominek z kamienia i zniszczony piec. Mężczyźni, którzy towarzyszyli szeryfowi, siedzieli na derkach rozłożonych na podłodze i grzali się przy ogniu. W rękach trzymali karty, a między nimi leżał pięciodolarowy bank.

Jake zlustrował ich wzrokiem. Walter Pogue dobrze wybrał zastępców. Wszyscy żyłaści i zahartowani, mieli spojrzenia ludzi, którzy nieraz zaglądali śmierci w oczy. Sądząc po broni, również teraz byli gotowi stać jej czoło.

Szeryf dokonał krótkiej prezentacji i wziął ze stołu butelkę whisky.

- Napijesz się?

Jake wskazał głową dzbanek stojący na piecu.

- Kawa wystarczy.

Walter postawił przed nim kubek i usiadł.

- Byłbym wcześniej, ale grupa przyjezdnych kowbojów trochę narozrabiała w Two River Flats. Zamknąłem paru i nie chciałem opuszczać miasta, póki nie odśledzą wyroków i nie wyniosą się raz na zawsze.

- W porządku - skwitował Jake i przystąpił do rzeczy: - Sądzę, że Annie w nic nie jest zamieszana.

- Co?

- Już nie należy do bandy Mundy'ego.

Pogue westchnął ciężko i wstał od stołu.

- Rany, Jake.

- Przykro mi, Walt.

Szeryf skinieniem głowy dał znak swoim ludziom. Mężczyźni wyszli z chaty bez zwłoki i szemrania.

- Poszedłeś z nią do łóżka i zgłupiałeś - stwierdził Walter i zaśmiał się z politowaniem. - Cholera, Jake. Myślałem, że jesteś mądrzejszy.

Moran z trudem pohamował gniew.

- Nie znasz jej. Opuściła bandę, postawiła hotel na nogi i uczciwie zarabia na życie.

- Myślisz, że jest pierwszą osobą wyjętą spod prawa, która na pokaz działa teraz zgodnie z prawem. Myślisz, że nie ma niby porządných ranczerów, którzy przy każdej okazji kradną sąsiadom bydło? Albo pozornie uczciwych sklepikarzy oszukujących na wadze?

- Wierzę własnym oczom. Ona naprawdę się zmieniła, Walt. Dałbym sobie głowę uciąć.

- Mówiła nam, że wszyscy członkowie bandy Mundy'ego zginęli, że nie żyją od co najmniej trzech miesięcy. A ja mam ponad tuzin świadków, którzy parę tygodni temu widzieli ich podczas napadu na bank w Abundance.

- Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie.

- Znasz je? Byłbym szczęśliwy, gdybym je usłyszał.

Kłopot w tym, że Jake niczego nie potrafił wyjaśnić, nawet sobie. Nie miał pojęcia, gdzie Annie spędziła czas przed rabunkami, dlaczego mężczyzna z opisu bardzo przypominający Pete'a Mundy'ego szukał jej rano po napadzie w Abundance ani skąd w jej jukach znalazła się wiadomość od Pete'a. Nie rozumiał, dlaczego Annie potknęła się i wypaliła z rewolweru, ostrzegając z ten

sposób człowieka, który ich śledził, ani dlaczego pożar ratusza wybuchł w tym samym momencie, kiedy próbowano włamać się do banku. Nie umiał wytłumaczyć żadnej z tych rzeczy.

Walter przez długą chwilę patrzył na niego w milczeniu.

- Jesteś poszukiwany, Jake. Jeśli mi nie pomożesz, mogę cię aresztować - oznajmił chłodno.

- Spróbuj.

Na ustach szeryfa pojawił się cierpki uśmiech.

- Wyciągniesz broń, Jake?

- Wsadzisz mnie do więzienia?

- Może powinienem, ty hardy sukinsynu. Właśnie to powinienem zrobić. Niechby sąd rozstrzygnął całą tę sprawę. Przynajmniej moi ludzie i ja nie wrócilibyśmy do domu z pustymi rękami.

- Świetnie. Tylko trzymaj łapy z dala od Annie.

Pogue walnął pięścią w stół.

- Psiakrew, Jake! Wiesz, kogo chronisz?

- Annie. Zrobiłbyś to samo dla Eleny.

- Bzdura. I nie mieszaj do tego Eleny. Bronisz bandy łotrów wyjętych spod prawa. Wiesz, jak zmusili kasjera, żeby wpuścił ich do banku w Abundance?

Moran wzruszył ramionami.

- Słyszałem. Włamali się do jego domu i zagrozili mu bronią.

- Nie tylko. Związali mu ręce, trochę poturbowali, a potem posadzili na krześle i kazali mu patrzeć, jak po kolei hańbią jego żonę. Zrobili to tylko dla zabawy, Jake. Kasjer już się zgodził wpuścić ich do banku.

Mężczyzna zacisnął pięści. Był wstrząśnięty.

- Jesteś tego pewny?

- Tak. Zatrzymałem się w Abundance i przeczytałem raport szeryfa.

Jake milczał. Annie nie mogłaby związać się z takimi ludźmi. Wykluczone. A jeśli nie znała chłopców od tej strony? Sama mówiła, że Pete bywał dziki i porywczy. Czyżby z lojalności wybaczała mu gorsze wady.

- Z dnia na dzień robią się coraz bardziej brutalni - ciągnął Pogue. - Staniesz przed kolejnymi wdowami i powiesz im, że mogliśmy wyłapać bandytów, ale byłeś zbyt zajęty swoim kutasem, żeby myśleć o czymkolwiek innym?

Jake przewrócił krzesło, zrywając się z miejsca.

- Do diabła, Walt, dość tego.

- Przykro mi, Jake, ale niektóre rzeczy trzeba walić prosto w oczy. Jeśli nie chciałeś, żeby złapano Mundy'ch, nie powinieneś być ciągnąć moich ludzi i mnie przez pół terytorium.

- Nie kłamała o Garveyu Wężowej Skórze - powiedział Jake po chwili. - Tyle wiem na pewno. Zabiłem go zeszłej nocy, kiedy włamał się do hotelu. Może to on współdziałał z bandą, a nie Annie.

Pogue zmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Może masz rację, że panna Foster jest niewinna i czyta jak świeży śnieg. Lecz jedyny sposób, żeby się upewnić, to poddać ją próbie. Dlatego tu jesteśmy. Proszę cię, żebyś zrobił, co należy. Jeśli Annie w nic nie jest wmieszana, moi ludzie i ja zostawimy ją w spokoju. Obiecuję.

Jake utkwiał wzrok w płomieniach. Trzy rzeczy musiał zawczasu ustalić gracz, siadając do stolika: reguły, stawki i moment odejścia. On znał je od początku. Zasady? Wykorzystanie Annie, żeby doprowadziła go do bandy Mundy'ego. Był już bliski celu. Stawka? Jego własny kark. Pora wykonać ostatni ruch.

Moran przypomniał sobie, że już kiedyś znalazł się w podobnym impasie. Pod małym, nieznanym miastecz-

kiem w Pensylwanii, Gettysburgiem. Kazano mu poprowadzić oddział na niewielkie wzgórze zwane Cemetery Ridge. Gdy spojrzął na rozległe pole bez żadnej osłony, zrozumiał, że zadanie jest niewykonalne. Wiedział jednak, że musi spełnić rozkaz. Nie miał wyboru. Poprowadził swoich ludzi na śmierć, jakby był aktorem w źle napisanej tragedii i obserwował się z boku. Patrzył teraz w ogień z takim samym poczuciem bezsensu, nieuchronności i straty. Mógł sobie wymyślać różne usprawiedliwienia, ale tak czy inaczej zdradzał Annie.

- Co zamierzasz? - spytał w końcu Waltera.

- Chcemy, żebyś był z panną Foster w hotelu jutro o szóstej. Pewien mój znajomy pracuje w kopalni w Surreysville. Wpadnie zobaczyć się z tobą i przypadkiem napomknie, że kopalnia zmieniła dzień wypłaty na środę. Ty go wysłuchasz, a potem zajmiesz się swoimi sprawami. Tylko o tyle cię proszę, Jake.

- Chcesz zastawić pułapkę.

- Tak. Przez cały czas stosowaliśmy złą taktykę. Dopiero kiedy banda gdzieś uderzyła, ruszaliśmy w pościg. Równie dobrze mogliśmy gonić za własnymi cieniami. Pora zmienić metodę.

Moran przyznał w duchu, że plan jest dobry.

- O szóstej. Będę na miejscu. Annie też.

- Gość nazywa się Porter. Bill Porter.

Mężczyzna skinął głową i ruszył do drzwi, ale zatrzymał go głos Waltera.

- Przykro mi, że zaczęło ci na niej zależeć, Jake, ale nie zmienisz faktów. Dzika Annie niemal od dziecka należała do bandy. Nie twierdzę, że to jej wina, ale ona nie zna innego życia. Kiedyś pewien człowiek zabił na polowaniu wilczyce. Gdy zobaczył małe, zmiękło mu serce i wziął je do domu. Nadał im imiona, karmił co-

dziennie, bawił się z nimi. Traktował je jak własne dzieci. Którego dnia jeden ze szczeniaków raptem wpadł w szal i odgryzł mu cztery palce. Od tamtej pory facet nie może porządnie utrzymać strzelby w ręce.

- Ta historyjka ma pointę czy po prostu chciałeś ją opowiedzieć?

- Nie udomowisz dzikiego zwierzęcia, choćbyś nie wiem jak się starał.

- Aha. Zapamiętam.

Moran założył kapelusz i wyszedł z chaty.

Wprawdzie powziąć decyzję było mu bardzo trudno, ale ściągnięcie Annie w określone miejsce o ustalonej godzinie okazało się stosunkowo proste. Jake zastał ją w sali klubowej ślęczącą nad rachunkami. Mimo niedawnej przeprawy z Garveyem Wężową Skórą wyglądała na dość spokojną i opanowaną.

Rozejrzawszy się, Moran stwierdził, że sala jest pusta. Przy stole pod oknem para zmęczonych podróżnych z dwójką małych dzieci piła herbatę i jadła ciastka. Peyton VanEste siedział z Jennie Mae na sofie i zawzięcie pisał coś w notatniku.

Dobrze, pomyślał Jake. Wiedział, że jeśli się zawaha, nie zrobi tego, co obiecał szeryfowi, więc zdecydowanym krokiem podszedł do Annie.

- Wybacz, że przeszkadzam, ale potrzebna mi jest książka rachunkowa Bella Luny. Muszę wnieść kilka poprawek.

Kobieta sięgnęła pod długą ladę i wyjęła grubą księgę.

- O co chodzi, Jake?

- A o czym mówisz?

- Wystarczy na ciebie spojrzeć. Widywałam szczęśliwszych grabarzy.

Mężczyzna wruszył ramionami.

- Nic złego, Annie. Po prostu mam dużo na głowie. Wpisał parę cyfr w odpowiednie kolumny.

- Nie martw się, jeśli są straty. Jakoś sobie poradzimy.

Jake spojrzął na jej łagodny uśmiech i wyraziste oczy. Ze ściśniętego gardła omal nie wyrwał mu się jęk.

- Będę pamiętał - wykrztusił.

W tym momencie otworzyły się drzwi i jakiś głos zagrział:

- Tak przypuszczałem, że cię tu znajdę, Moran. Mówiłem, że Bill Porter może być na dnie, ale zawsze wypłynie. Dasz mi szansę odegrania się czy nie?

Jake odwrócił się i zobaczył mężczyznę w średnim wieku, z wydatnym brzuchem, szpakowatą brodą i jowialnym uśmiechem.

- Jak się masz, Porter?

- Jestem o dwieście dolarów biedniejszy niż przy naszym ostatnim spotkaniu. Ale czuję, że dzisiaj dopisze mi szczęście.

- Myślałem, że jesteś spłukany.

- Byłem, ale szef przyspieszył wypłatę. Dylizans przyjedzie we środę zamiast w piątek. Nasi woźnice się zbuntowali i jakiś głupi żółtodziób zgodził się wziąć tę trasę. Szef postanowił, że da dzieciakowi szansę samodzielnego przejazdu przez Drifter's Gap.

Przynęta zarzucona. Tak sprawnie, jakby ćwiczyli scenę przez wiele dni.

- Do wypłaty jeszcze kilka dni - zauważył Moran. - Może wtedy przyjdiesz?

- Twierdzisz, że moje słowo jest niewiele warte?

Jake wruszył ramionami.

- To nie mój lokal. Może zapytasz panią?

- Dobrze. - Porter spojrział na Annie. - Da mi pani kredyt do środy, dziecinko?

Kobieta podniosła wzrok znad rachunków.

- Kredyt? - powtórzyła z roztargnieniem. - Jeśli pan Moran się zgodzi, ja też nie mam nic przeciwko temu.

- Świetnie. - Porter klasnął w dłonie. - Jestem w nastroju do pokera. Spotkamy się przy stoliku, Moran.

Odwrócił się i żwawo wymaszerował z sali.

Jake powoli wypuścił powietrze z płuc. Upewnił się, że przez cały czas miał rację. Annie wykazała całkowity brak zainteresowania jego rozmową z Porterem. Nie zanosila informacji chłopcom Mundy'ego. Był gotów założyć się o własną głowę.

Czterdzieści osiem godzin później był zadowolony, że tego nie zrobił.

Późnym popołudniem we wtorek jeden z zastępców Waltera przyniósł mu wiadomość do Bella Luny. „Przyjęta chwyciła. Członków gangów widziano w pobliżu Drifter's Gap. Nasi przyjaciele szykują się do jutrzejszego spotkania. Masz ochotę na przejażdżkę? W.”

20

We wtorek rano zające rozkopały grządki z warzywami, dwa placki spaliły się na węgiel, na frontowym ganku przewróciło się wiadro ze smołą używaną do naprawy dachu, a żona wielebnego złożyła pierwszą oficjalną wizytę. Annie dodawała otuchy świadomość, że naprawdę są wypadki, a nie złośliwe kawały. Wężowa Skóra odszedł na zawsze.

We wtorek po południu hotel Foster po raz pierwszy przyjął większą grupę gości. Dyliżans kursujący z Albuquerque do Denver Gity zgubił koło tuż za miastem. Annie nakarmiła sześciu zmęczonych, głodnych i zmarzniętych pasażerów oraz dwóch woźniców i rozmieściła ich w pokojach. W nocy zjawili się czterech pijaków. Strzelając z rewolwerów, głośno domagali się ulubionych dziewczyn. Annie i Dora przepędziły ich kilkoma strzałami z myśliwskiej dwururki, a potem przez pół godziny uspokajały wystraszonych gości i zaganiały ich z powrotem do łóżek.

Kiedy Annie wreszcie udała się do swojego pokoju, dochodziła północ. Szykując się do snu, uświadomiła sobie, że znowu zapomniała o Peytonie VanEstem. Biedak czekał od wielu dni na wywiad, a ona ciągle go zbywała. Jutro, przyrzekła sobie, padając na łóżko.

Przez kilka ostatnich tygodni była zbyt wyczerpana, żeby śnić, ale tej nocy, gdy tylko dotknęła głową poduszki, przed jej oczami pojawiły się obrazy z przeszłości. Bardzo młody Pete biegł przez ośnieżony las i strzelał z dubeltówki do wiewiórek i zajęcy. Diego uczył ją co wymyślniejszych hiszpańskich przekleństw. Raptem zobaczyła chłopców pod gradem kul.

Straszna scena wciąż wracała do niej w snach i wspomnieniach, ale tym razem nastąpiła w niej zmiana. Pete nie umarł, tylko wstał zakrwawiony z ziemi i ruszył wolno w jej stronę, wyciągając ręce. Usta miał otwarte jak do krzyku.

Annie obudziła się i usiadła gwałtownie, mrugając oczami. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że koszmara trwa. W ciemności zbliżała się do niej męska postać. Kot zwinięty w nogach łóżka parsknął, zjeżył sierść i wysunął pazury.

Annie przebiegła wzrokiem pokój w poszukiwaniu rewolwerów, ale uświadomiła sobie, że schowała je do szuflady. Intruz podszedł jeszcze bliżej.

- Pete? - szepnęła, podciągając koc pod szyję.
- Przykro mi, że cię rozczaruję, kochanie.
- Jake.

Kobieta odetchnęła z ulgą.

- Spodziewałaś się kogoś innego?

Annie potrząsnęła głową, próbując odpędzić resztki snu.

- Myślałam, że to Pete.

- Doprawdy? Sądziłem, że Pete nie żyje.

- Nie żyje. Przyszło mi do głowy, że to jego duch. -
Annie zaśmiała się nerwowo. - Miałam koszmary.

- Aha. Duch Pete'a Mundy'ego. Zabawne, że tak nas prześladowuje. Ciekawe, ile jeszcze razy będziemy musieli go zabić, nim łaskawie raczy pozostać martwy.

Annie przyjrzała się mężczyźnie w blasku księżyca. Na widok dobrze znanego eleganckiego stroju ogarnęła ją przemożna tęsknota. Nawet wyraz przystojnej twarzy Jake'a był osobiwie pociągający. Dostrzegła na niej pożądanie, żal, współczucie i determinację.

- Coś nie w porządku? - zapytała.

Moran wrzucił ramionami.

- Kiepska noc w barze?

- Nieszczególnie.

Mężczyzna zdjął pas z bronią i położył go na nocnym stoliku. Zrobił krok w stronę łóżka. Annie obserwowała go podniecona i zarazem dziwnie onieśmielona.

- Co robisz?

- Odkładam rewolwery.

- Widzę. Pytałam, co robisz w moim pokoju?

- Chcesz, żebym wyszedł, Annie?

Na plecach kobiety przebiegł dreszcz oczekiwania.

- *Zależy, jakie masz zamiary, Jake.*

Mężczyzna uśmiechnął się w swój zwykły, leniwy sposób.

- *Zamiary? Są czarne jak moja dusza, kochanie.*

Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. Moran zdjął kapelusz i cisnął go na stół obok rewolwerów. Ściągnął buty i odwrócił się do Annie. Pod jego wzrokiem kobieta nagle poczuła się skrępowana. Miała zaspane oczy i potargane włosy, a na sobie tylko bawełnianą koszulkę i koronkowe majtki.

Jake wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po plecach.

- *Używasz tych perfum, które ci dałem, prawda?*

- *Tak.*

- *Lubię je.*

- *Ja też.*

- *A Pete?*

Annie zeszywniała.

- *Mówiłam ci, że to był tylko sen.*

- *Oczywiście.* - Jake uśmiechnął się ironicznie i dotknął ramiączka różowej koszuli. - *Ładna.*

- *Dziękuję. Ty mi ją podarowałeś.*

Mężczyzna przesunął palcami po jej karku.

- *Masz śliczną szyję, kochanie. Taką białą i delikatną. Ślady po sznurze prawie zniknęły. Szkoda byłoby znowu ją oszpecić.*

Annie odsunęła się i zmarszczyła brwi.

- *O czym ty mówisz, Jake?*

- *Tylko przypominam ci, jak skończyło się zadawanie z bandą Mundy'ego.*

- *Nie potrzebuję przypominania.*

Moran spojrzął jej w oczy. Jego wzrok był zimny i twardy jak stal.

- To dobrze.

Annie uniosła brodę, coraz bardziej zagniewana.

- Po co przyszedłeś, Jake?

Długie milczenie.

- Bo zabrakło mi sił, żeby trzymać się z daleka.

Na te słowa kobiecie zadrżało serce. Marzyła o otwartym przyznaniu się, że on również nie potrafi zlekceważyć tego, co ich łączyło. Jake'a Morana prześladowały te same demony, tęsknoty, pragnienia.

- Cieszę się - powiedziała.

Jake wbił w nią płonące oczy. Znowu wyciągnął rękę i lekko musnął jej policzek.

Oboje dziećmi byliśmy tam

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi;

Lecz jak my kochali, snadź nie kocha Bóg sam,

Ja i moja Annabel Lee.

Kobiecie przyspieszył puls, choć wiedziała, że Jake tylko cytuje słowa poety. Przez krótką chwilę wyobrażała sobie, że w głębi serca mężczyzna darzy ją prawdziwym uczuciem.

- Ładny - powiedziała drżącym głosem. - To znaczy, wiersz.

Anioł, co wpół tak szczęśliwie wiódł dnie

Zazdrościł szczęścia mnie i jej -

Tak! Bo był powód (jak każdy to wie

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi)

Że wiatr przeleciał w ciemnej nocnej mgle,

Porywając, zabijając moją Annabel Lee.*

Annie potrząsnęła głową.

- Nie musi tak się skończyć.

Tłum. Miriam.

- Naprawdę? Tak kończy się za każdym razem, kiedy czytam ten wiersz.

Kobiecie oddech uwiązał w krtani. Jake przyszedł się pożegnać. Słyszała o złamanych sercach i czasami nawet wyobrażała sobie, jak to jest. Spodziewała się ostrego, przeszywającego bólu w piersi, ale prawda była taka, że jej serce miało się całkiem dobrze. Czuła natomiast mdlący ucisk w żołądku i głuchy szum w uszach. Pomyślała, że zaraz wybuchnie płaczem, ale z wolna ogarnęło ją kojące odrętwienie.

- Wcale nie musi się skończyć - wykrztusiła.

Usta Jake'a wykrzywił smutny uśmiech.

- Wszystko się kończy.

- Może jednak zostaniesz, Jake. Razem wiele byśmy dokonali. Bar już przynosi dochody, a hotel wkrótce stanie się znany na całym terytorium. Jeszcze kilka miesięcy, sam powiedziałaś. Na pewno nam się uda. Wiem, że nie powinnam cię prosić, wiem, że to nie jest zachowanie godne damy, ale do diabła z etykietą. Pragnę, żebyś został, Jake.

- To nie takie proste.

- Nic nie przychodzi łatwo. Nie jestem dobrą kobietą, Jake. Inaczej by mnie tu nie było. Jeśli teraz się rozstaniemy, nie wiem, które z nas będzie cierpiało bardziej. Bóg wie, że popełniłam wiele błędów, ale nie chcę żałować ich do końca życia. - Potrząsnęła głową, szukając właściwych słów. - Nie umiem nazwać tego, co nas łączyło, ale czasami, kiedy mnie dotykałeś, wydawało mi się, że na świecie istnieje magia. Czułam, że sam Bóg uśmiechnął się do nas, zsyłając dar rzadszy od złota. Byłoby głupotą i grzechem go odrzucić. Są ludzie, którzy marzą, żeby choć raz przeżyć coś takiego.

Jake patrzył na nią przez nieskończenie długą chwilę.

- Nie ułatwiasz mężczyźnie odejścia.

- I dobrze, bo nawet nie próbuję.

Moran odgarnął kosmyk włosów z jej szyi.

- Moja dzielna, uparta Annabel Lee. Nie znam cię wcale, prawda?

- Nie jestem aż taka skomplikowana.

- Owszem, jesteś, kochanie.

- Przy tobie czuję się całkiem naga, Jake. Mógłbyś przejrzeć mnie na wylot. Jestem bardziej bezbronna i podatna na zranienie niż kiedykolwiek w życiu.

- Wiesz, jak ja się czuję?

- Pokaż mi.

Mężczyzna wydał z siebie ni to jęk, ni warknięcie.

- Jezu, Annie.

Przyciągnął kobietę do siebie i z czcią przesunął dłoń po lśniących pasmach włosów. Okrył pocałunkami jej twarz, usta, szyję, piersi.

Lecz mimo niecierpliwości, która ogarnęła oboje, mimo żaru, Annie czuła, że są dla siebie niczym obcy. Ich pożądanie było naznaczone skrywanym gniewem, a Jake sprawiał wrażenie nieobecnego. Z początku kobieta przeraziła się, że między nimi wyrósł mur zbyt gruby, by go zburzyć. Postanowiła jednak przełamać opór mężczyzny. Zaczęła pieścić jego ciało, uciekała się do wszelkich sposobów, żeby go rozpalić.

Lód skuwający serce Jake'a powoli stopniał. Mężczyzna w końcu odwzajemnił jej zapał i pasję. Tej nocy nie mogli nasycić się sobą. Miotali się w szale namiętności, ale ich miłość przypominała raczej zmagania. Walkę z nieznaną, złowrogą siłą, która im obojgu zagrażała.

Gdy Annie w pewnym momencie spojrzała przez okno, niebo różowiło się od porannej zorzy. Wreszcie wyczerpanie zrobiło swoje i kochanków zmógł sen.

Gdy kobieta się obudziła, było już całkiem jasno, a ona leżała przytulona plecami do Jake'a.

Mężczyzna pocałował ją w kark, delikatnie zamknął w dłoniach piersi, musnął palcami brzuch.

- Chcę, żebyś mi dała słowo, Annie - szepnął jej do ucha.

- Jakie? - zapytała sennie.

- Obiecuj, że zostaniesz dzisiaj na terenie hotelu.

Odwróciła się do niego zaskoczona.

- Po co?

- Po prostu przysięgnij, Annie.

Była to dziwna prośba, ale Jake najwyraźniej traktował ją bardzo poważnie. Kobieta odtworzyła w myślach plan dnia. Miała do zrobienia kilka prac w ogrodzie, naprawę płotu, pranie, czyszczenie pieca i wywiad z Van-Estem. Z pewnością nie zostanie jej chwili czasu na jakiegokolwiek wycieczki.

- Dobrze - powiedziała.

- Przrzekasz?

- Tak.

Na twarzy Morana odmalowała się wielka ulga. Annie ściągnęła brwi zaniepokojona.

- Jake, coś nie w porządku?

- Ależ nie, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Pogłaskał ją po plecach i przytulił. Annie znowu zasnęła, a kiedy się obudziła, mężczyzny nie było. W sypialni panowała cisza i zimna pustka. Gdyby nie zapach Jake'a na pościeli, kobieta uznałaby, że wszystko jej się przyśniło. Wtuliła głowę w poduszkę, zasmucona i jednocześnie radosna. Na wspomnienie miłosnej nocy przebiegł po niej dreszcz.

Między nimi jeszcze nie wszystko było skończone. Jeszcze nie.

Moran jechał z Walterem Pogue'em i jego ludźmi na miejsce zasadzki. Grudniowy ranek wstał ponury i zimny, a w powietrzu czuło się śnieg. Dzień w sam raz na pogrzeb, stwierdził Jake. Cały świat przybrał kolory śmierci. Chmury były czarne, niebo szare, drzewa bure i nagie, a góry si- ne i przygarbione, jakby chroniły się przed ciosem.

Mężczyźni mieli zawzięte i posępne miny. Nie odzy- wali się ani słowem. Do Drifter's Gap dotarli na długo przed porą przybycia dyliżansu. Na wzgórzu porośnię- tym gęstymi krzakami zsiadli z koni. Wyjęli strzelby z futerałów i zajęli pozycje nad przełęczą.

Potem już tylko czekali.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Było to najdłuż- sze przedpołudnie w życiu Jake'a. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Za każdym razem, gdy na drzewie śmignęła wiewiórka, koń przestąpił z nogi na nogę al- bo któryś z ludzi Pogue'a sięgnął po manierkę z wodą, serce skakało mu do gardła. Czekanie okazało się gor- sze niż jakakolwiek bitwa w czasie wojny. Wtedy lękał się o życie ludzi z oddziału albo o swoje. Teraz śmierć groziła Annie, a to była zupełnie inna sprawa.

Wreszcie, o wyznaczonej godzinie, w oddali pojawił się dyliżans. Moran gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Walter chyba się pomylił. Do tej pory nie do- strzegłi śladu bandy Mundy'ego. Lecz w chwili, gdy ta myśl przemknęła przez głowę Jake'a, zza skał wypadło sześciu jeźdźców.

Sześciu.

Banda składała się z pięciu mężczyzn... i Dzikiej An- nie. Ale przecież ona nigdy nie jeździła z chłopakami. Zawsze czekała w domu na ich powrót. Nawet Walter przyznał, że panna Foster nie brała udziału w napadach.

Do tej pory, pomyślał Jake, czując ściskanie w gardle.

W pewnym momencie jego uwagę przyciągnął jeździec wyraźnie drobniejszy od pozostałych. Jasnobrązowe włosy spływały mu na plecy.

Annie.

Morana ogarnęła głucha wściekłość.

Niech ją diabli. Dała mu słowo, że zostanie w hotelu, ale okłamała go po raz kolejny.

Opanował się z wysiłkiem. Wprawdzie należała do szajki, a on sam zwabił ją w zasadzkę, lecz nie mógłby beczynnym patrzeć, jak Annie ginie. Przenigdy. Nie ważne, że chodziło również o jego kark. Musiał jakoś ją ostrzec, nim zacznie się strzelanina. Uniósł broń, ale spóźnił się o ułamki sekund.

Woźnica batem pogonił zaprzęg do szalonego galopu. Dyliżans z hukiem przetoczył się w dole. Banda Mundy'ego popędziła za nim, prosto w pułapkę zastawioną przez stróżów prawa w miejscu, gdzie szlak raptownie się zwężył. Ludzie szeryfa otworzyli ogień. Na napastników posypał się grad kul.

Nie było żadnego ostrzegawczego krzyku, szansy poddania się ani litości. Bandyty zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Rozległy się krzyki przerażenia i bólu. Dwaj pierwsi jeźdźcy spadli na ziemię. Pozostali czterej, broczący krwią, gwałtownie ściągnęli wodze i w panice próbowali zawrócić oszalałe wierzchowce na wąskiej drodze. Annie jeszcze żyła. Szarpała się z koniem.

- Wystarczy, do diabła! - krzyknął Moran, zrywając się na równe nogi. - Wstrzymajcie ogień, weźmiemy ich żywych!

Walter Pogue dał znak swoim ludziom. Znowu rozbrzmiała palba.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął Jake.

Zobaczył z przerażeniem, że drobna postać zsuwa się w siodła, przeszyta kulami.

- Nie!

Rzucił strzelbę i pognał w dół stromego zbocza, wyprzedzając Waltera i jego zastępców. Serce waliło mu młotem.

Biegając, powtarzał w myślach żarliwą modlitwę. Proszę, Boże, nie pozwól jej umrzeć. Nie pozwól Annie umrzeć.

Kobieta leżała twarzą do ziemi. Spod jej ciała sączyła się strużka krwi, rozlewając w coraz większą kałużę. Jake padł na kolana i drżącymi rękami przewrócił ranną na plecy. Ostrożnie wziął ją w objęcia i przytulił do siebie, mrużąc słowa otuchy, choć wiedział, że Annie go nie słyszy. Jej ciało było ciężkie i bezwładne. Głowa bezwładnie opadła na jego pierś, złote włosy rozsypały się po twarzy jak jedwabna zasłona. Jake odgarnął je delikatnie, żeby po raz ostatni spojrzeć na twarz ukochanej.

Serce skoczyło mu do gardła.

Kobieta patrzyła w niebo szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami.

Moran położył ją na ziemi i łapczywie zaczerpnął powietrza. Pogrze dotknął jego ramienia.

- Przykro mi, Jake. Nie mieliśmy wyboru. Wiesz o tym.

Mężczyzna jeszcze raz odetchnął głęboko i wstał powoli. Z całej siły dzielił Waltera pięścią w szczękę i oddalił się bez słowa, ignorując okrzyki zastępców. Poszedł po swoją strzelbę, wskoczył na grzbiet Weeda i odjechał pełnym galopem.

Pędząc przed siebie, widział tylko oczy kobiety.

Puste, jasnoniebieskie oczy.

To nie Annie leżała martwa na drodze.

21

Niedługo po udzieleniu wywiadu panna Foster opuściła hotel razem z Peytonem VanEstem. Reporter wyraził chęć obejrzenia całej posiadłości. Stwierdził, że okolica jest zbyt piękna, by nie opisać jej w artykule, który zresztą przyniesie rozgłos nowemu hotelowi i jego właścicielce. Annie musiała przyznać, że to świetny pomysł, i choć miała tego dnia dużo pracy, ugodziła się na wycieczkę.

Ruszyli przez płaskowyż ku masywowi San Juan, u stóp którego kończył się teren *hotelu*. Ku swojemu zaskoczeniu Annie stwierdziła, że Peyton VanEste nieźle trzyma się w siodle jak na człowieka ze Wschodu. Był miły i uprzejmy, zapisywał każde jej słowo w małym notatniku. Rozglądał się bacznie, jakby chciał dokładnie utrwalić w pamięci wspaniały surowy krajobraz.

- Pięknie tu, prawda? - zapytała Annie z nutą dumy w głosie.

- Tak. - Mężczyzna wskazał na pasmo niskich wzgórz.

- Co tam jest?

- Opuszczone kopalnie. Wszystkie zostały wyeksploatowane wiele lat temu.

- Obejrzyjmy je, dobrze? Naszej historii przyda się trochę miejscowego kolorytu.

Mrugnął do niej okiem i popędził konia. Annie zaważała się, patrząc za oddalającym się reporterem. Półki trzymali się terenów hotelu, nie łamała słowa dane-

go Moranowi. Z drugiej strony, *co* szkodziło zajrzeć do kilku starych kopalni? Wróć przed zmrokiem. Poza rym Jake wyjechał bez pożegnania. Nagłe zniknięcie zaniepokoiło ją, choć może nie powinna go traktować jako lekceważenia.

Spięła Dulcie ostrogami i szybko dogoniła VanEstego. Wkrótce dotarli na miejsce i zsiadli z koni. Obeszli teren na piechotę. Gdy Annie spojrzała na ciemne szyby kopalniane i zniszczone chaty, lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Coś nie w porządku? - zapytał mężczyzna.

- Tak tu smutno, prawda? Kiedy się pomyśli o tych wszystkich ludziach, którzy tu przyjeżdżali w poszukiwaniu bogactwa i szczęścia, a znajdowali tylko pot i ból. Jaki to straszny kres marzeń.

VanEste wzruszył ramionami.

- Wiedzieli, w co się pakują.

- Chyba tak.

- Za wszystko trzeba zapłacić cenę. Każdy, kto twierdzi, że nie wiedział, co go czeka, kłamie. Ludzie wypierają się chciwości, kiedy los ich prześladowa, ale cokolwiek człowieka spotyka w życiu, wynika z jego działań. Nie ma niewinnych, Annie.

- Surowa ocena.

- Realistyczna. Weźmy na przykład bandę Mundy'ego. Naprawdę pani wierzy, że Pete Mundy nie wiedział o ryzyku, kiedy wyruszał, żeby obrabować kolejny pociąg albo dylizans? Oczywiście, że wiedział. Dla niego jednak perspektywa łatwego bogactwa i sławy była warta ryzyka. Wygląda pani na zaskoczoną, moja droga. Czy Pete nie mówił pani, że robiłem z nim wywiad rok temu?

Serce Annie zabiło szybciej, a w umyśle zakiełkowało podejrzenie.

- Nie.

- Zabawne. Sądziłem, że będzie przechwalał się na prawo i lewo. Z drugiej strony, może wy dwoje nie byliście ze sobą tak blisko, jak mi się wydawało. Zresztą to już nie ma znaczenia, skoro Pete i reszta bandy nie żyją.

Kobiecie strach ścisnął gardło. Do tej pory jej zapewnienia, że chłopcy nie żyją, spotykały się z niedowierzaniem. Natomiast VanEste nie miał żadnych wątpliwości.

- Nadal nie zrozumiesz? - Mężczyzna uśmiechnął się.
- Jak myślisz, kto ich zabił?

Annie spojrzała ponad jego ramieniem, oceniając odległość. Mogłaby dobiec do Dulcie...

VanEste wyjął rewolwer z kieszeni płaszcza i wycelował prosto w jej pierś.

- Lepiej nie próbuj, moja droga.

Annie przełknęła ślinę. Pomyślała o swoich rewolwerach, które ostatnio przestała nosić. Czekają na nią w hotelu, upchnięte w szufladzie stolika nocnego.

- Czego chcesz ode mnie, VanEste? - zapytała, odsuwając się od niego niepostrzeżenie.

- Oczywiście pieniędzy. Dwudziestu pięciu tysięcy z dyliżansu pocztowego. Zniknęły po śmierci Pete'a. Należą do mnie. Jak sądzisz, kto zaplanował wszystkie napady?

- Co?

Reporter odwiódł kurek.

- Jeszcze jeden krok, a zabiję cię.

Annie zamarła, nie odrywając wzroku od mężczyzny. Zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć, żeby zyskać na czasie.

- Dlaczego to zrobiłeś, VanEste? Dlaczego zabiłeś Pete'a i chłopców, skoro wykonywali dla ciebie robotę?

- Z powodu chciwości. Oczywiście Pete'a, a nie mojej. Lubił robić wrażenie na barmankach, w których cią-

gle się zakochawał, więc potrzebował pieniędzy. Wpadł na niedorzeczny pomysł, że skoro biorą na siebie całe ryzyko, należy się im więcej niż pięćdziesiąt procent łupu. - Mężczyzna pokręcił głową i cmoknął. - Wyobrażasz sobie, Annie? Ja stworzyłem bandę Mundy'ego, ja uczyniłem ich sławnymi, a on żądał więcej pieniędzy.

Kobieta zadrżała. Tak, chłopcy zawsze byli skłonni raczej do drobnych kradzieży i barowych bójek niż prawdziwych napadów. Wszystko zmieniło się niemal przez jedną noc. Powinna wcześniej się domyślić, że ktoś za nich planuje, wybiera cele. Zrozumiała to dopiero teraz. Za późno. Pozostały jej do ułożenia ostatnie elementy łamigłówek.

- Widziałam, jak stróże prawa otwierają ogień z wagonu, który próbowali obrabować chłopcy.

- To nie byli stróże prawa, tylko następcy Mundy'ego, na czas akcji wyposażeni w cynowe gwiazdy. Uznałem, że nawet jeśli ktoś z pierwotnego składu bandy przeżyje, czym prędzej wyniesie się z miasta, nie oglądając za siebie, zwłaszcza gdy będzie przekonany, że szeryf depcze mu po piętach. Jak się okazało, środek ostrożności był niepotrzebny, ale nieźle sobie wszystko wymyśliłem.

- Więc dlatego zabiłeś chłopaków i stworzyłeś drugą bandę Mundy'ego. Twój plan zbyt dobrze się sprawdził, żeby z niego zrezygnować.

- Oczywiście. To ja zrobiłem z twoich przyjaciół groźnych bandziorów. Byłoby szkoda mojej pracy. - VanEste posłał jej chłodny uśmiech. - Sprytne, co? Popęłniłem tylko jeden błąd. Nie przewidziałem, że Pete okaże się takim głupcem, by zgarnąć dla siebie dwadzieścia pięć tysięcy z ostatniego napadu. Niestety odkryłem prawdę dopiero po jego śmierci. Gdybym wiedział wcześniej, zabiłbym go choćby z tego jednego powodu.

Strach Annie powoli przeradzał się we wściekłość, że VanEste wykorzystał dziecinne fantazje Pete'a do własnych celów. Zabił chłopców z zimną krwią. Skopiował najdrobniejszy szczegół ich ubioru i wyposażenia. Nic dziwnego, że nie potrafiła nikogo przekonać o śmierci członków bandy Mundy'ego.

- Tym razem nie uda ci się, VanEste - powiedziała. - Zbyt wiele osób widziało, jak wyjeżdżamy z hotelu. Jeśli nie wrócę, ruszą za tobą w pościg.

Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

- Naprawdę myślisz, że jesteś niezastąpiona, Annie? Właśnie w tej chwili kobieta bardzo podobna do ciebie pomaga bandzie Mundy'ego obrabować dyliżans z wypłatą. Po prostu nie wytrwałaś w ucziwości. Gdy odkryłaś, że twój hotel jest nędznym burdelem, wróciłaś do dawnego życia. To było do przewidzenia, prawda? Nikt nie będzie zadawał pytań ani tęsknił za tobą.

Annie oblizała wyschnięte wargi.

- Mogę usiąść? - zapytała ochrypłym szeptem.

- Po co?

- Chyba zemdleję.

Na twarzy mężczyzny odmalowała się pogarda.

- Jesteś słaba jak Pete. Rozczarowałam mnie, Annie. Myślałam, że jesteś z twardszego materiału.

Kobieta zachwiała się.

- Na litość boską, siadaj.

Annie osunęła się na ziemię, ramiona spuściła bezwładnie po bokach, oparła czoło na kolanach. W rzeczywistości nigdy nie czuła się silniejsza i bardziej skoncentrowana. Ukryła dłonie pod szeroką spódnicą i namacała broń: ostre dłuto do rozłupywania skał i duży zardzewiały gwóźdź.

- Gdzie mogą być pieniądze? - spytał po chwili mężczyzna niecierpliwym tonem.

Annie podniosła głowę.

- Chłopczy zawsze ukrywali łup w starej niedźwiedziej jaskini, w kanionie Black River - skłamała. - Zaprowadzę cię tam, VanEste, tylko nie zrób mi krzywdy, proszę.

- Wstawaj.

Kobieta spróbowała się dźwignąć, ale opadła z powrotem na ziemię.

- Chyba nie dam rady.

Reporter zaklął i brutalnie chwycił ją za ramię. Annie z całą nagromadzoną furią wbiła mu gwóźdź w rękę, a dłutem ugodziła w głowę. VanEste ryknął z bólu i wściekłości, a kobieta rzuciła się do ucieczki. Usłyszała wystrzał i świst kuli nad uchem. Po drugim strzale schyliła się odruchowo i potknęła o kamień, co kosztowało ją sporo cennych sekund.

Mężczyzna dogonił ją, złapał za ramię i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Jego krew poplamiła bluzkę Annie, gorący, urywany oddech owiał szyję. VanEste chwycił ją za włosy.

- Powiniennem cię zabić.

- Zrób to, a nie dostaniesz pieniędzy.

Oczy mężczyzny pociemniały.

- Może mimo wszystko byłoby warto.

W tym momencie rozległ się męski głos:

- Rzuć broń i puść kobietę, VanEste!

Dziesięć metrów od nich stał Moran. Twarz miał zaciętą i śmiertelnie poważną. W rękach trzymał broń gotową do strzału. Walter Pogue i dwaj zastępcy również celowali w reportera.

- Natychmiast!

VanEste uniósł rewolwer i wymierzył w Morana. Korzystając z chwili nieuwagi, kobieta nadepnęła go z ca-

łej siły i jednocześnie uderzyła pięścią w krwawiącą ranę na ramieniu. Mężczyzna krzyknął z bólu i zatoczył się do tyłu. Annie wyrwała mu się i padła na brzuch w chwili, gdy huknęły strzelby.

Peyton VanEste runął na ziemię tuż obok niej. Annie znieruchomiała w oczekiwaniu na jęki lub błagania o pomoc. Usłyszała tylko dziwny bulgot. Podniosła głowę i spojrzała na leżącego mężczyznę.

Kula przeszła mu gardło.

Jake spacerował nerwowo po sali klubowej. Nie mógł sobie wybaczyć głupoty i zaślepienia. Sam domagał się prawdy i Annie niczego przed nim nie ukrywała. On natomiast nie tylko nie chciał jej uwierzyć, ale odpłacał kłamstwami.

W ciągu ostatnich pięciu dni Annie musiała stawić czoło Garveyowi Wężowej Skórze i Peytonowi VanEstemu, a jego nie było pod ręką. Omal się nie spóźnił. Niewiele brakowało, a jego podejrzania i nieufność kosztowałyby ją życie.

W drodze powrotnej Annie zapewniała, że czuje się dobrze, ale była blada jak płótno. Nie odzywała się ani słowem. W hotelu od razu poszła na górę, żeby zmyć z siebie krew VanEstego i przebrać się. Czekając na nią, Jake chodził w tę i z powrotem. Nie mógł usiedzieć w miejscu.

Usłyszawszy za sobą lekkie kroki, odwrócił się. W progu stała Annie w świeżej bladoniebieskiej bluzce i granatowej spódnicy. Na jej oczach malowała się niepewność i wahanie. Moran podszedł do niej natychmiast.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską.

- Dobrze - odparła kobieta lekko drżącym głosem.

Jake zaprowadził ją do sofy.

- Annie...

- To VanEste zabił chłopaków - wyrzuciła z siebie pospiesznie, jakby rozpaczliwie pragnęła, żeby wreszcie jej uwierzył. - Potem założył własną bandę, wykorzystując nazwisko i rozgłos Pete'a. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale...

- Słyszeliśmy każde jego słowo.

Na twarzy kobiety odbiła się wielka ulga.

- Dzięki Bogu. Bałam się, że będę musiała jeszcze raz opowiadać całą historię od początku i znowu nikt mi nie uwierzy.

- Powinienem być wcześniej cię słuchać. Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Co masz na myśli?

Moran postanowił wyznać swoje niezliczone grzechy. Wiedział, że Annie go odtrąci, ale nie miał wyboru. Należało się jej przynajmniej tyle. Wstał z kanapy i zaczął chodzić po sali, żeby zebrać myśli.

- Sześć miesięcy temu sporo przegrałem w pokera. Gdy okazało się, że zabito człowieka, który wygrał, Harlana Beckera, byłem pewny, że właśnie mnie uznają za mordercę. To dlatego podałem Locke'emu fałszywe nazwisko. Wyznaczono nagrodę za moją głowę, Annie. Jestem poszukiwany za morderstwo.

Kobieta patrzyła na niego osłupiała.

- Zabiłeś Beckera?

- Nie, ale nie miałem jak tego udowodnić. Wiedziałem tylko, że tuż przed śmiercią Becker kłócił się z innym mężczyzną o pieniądze. Później ten człowiek pojechał na północ. Ruszyłem za nim i zauważyłem, że w każdym mieście, w którym się zatrzymywał, banda Mundy'ego wkrótce dokonywała napadu. Doszedłem do przekonania, że tropię Pete'a Mundy'ego. Niestety

wciąż mi się wymykał. Kiedy przejeżdżałem przez Stony Gulch, zobaczyłem ciebie.

- I pomyślałeś, że zaprowadzę cię prosto do bandy.

- Tak.

- Gratulacje. Twój plan się powiódł. Banda podążała za nami krok w krok.

- Próbowałem sobie wmówić, że to zbieg okoliczności, że wcale nie należysz do bandy. Potem znalazłem to.

Wyjął z kieszeni zmięty świstek papieru znaleziony w bagażu Annie i położył go na stole.

Kobieta wzięła karteczkę do ręki, rozwinęła i przeczytała. Na jej ustach pojawił się niewesoły uśmiech.

- Musiał ją podrzucić VanEste albo któryś z jego ludzi. Gdzie to znalazłeś?

- Wypadła z twojego juku tamtego ranka, kiedy opuściliśmy Abundance.

- Rozumiem. To dlatego...

Zachowywał się jak kompletny łajdak. Odpychał ją, gdy potrzebowała go najbardziej. Nie musiał teraz pytać kobiety, o czym myśli. Oboje milczeli. Wreszcie Annie spojrzała mu w oczy.

- Szkoda, że wtedy nie pokazałeś mi kartki. Od razu by się wyjaśniło, że to nie od Pete'a.

Moran westchnął.

- Wiem. Powiedziałaabyś, że Pete nie żyje, więc nie mógł przysłać ci wiadomości.

- Nie. Powiedziałabym, że Pete nie umiał pisać. Nie był w stanie się nauczyć. Litery widział odwrócone, a za bardzo się wstydził, żeby prosić o pomoc. Nikt nie znał jego sekretu. Ja mu wszystko czytałam i za niego pisałam.

Jake'owi nie przychodziła do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc tylko obserwował profil Annie. Przypomniawszy sobie chwilę, kiedy pierwszy raz zobaczył ją

bez kapelusza, z twarzą wystawioną do słońca. Pomyślał wtedy, że jest piękna. Teraz dokonał ponownej oceny tamtego wrażenia. Panna Annabel Lee Foster była obdarzona czymś więcej niż urodą. Czuło się w niej wewnętrzna siłę, odwagę i upór.

Mężczyzna uświadomił sobie z bólem, że nie ma sensu zapamiętywać jej oczu, śmiechu, sposobu chodzenia czy unoszenia podbródka. Obraz tej kobiety na zawsze pozostanie mu w pamięci. Nigdy nie uwolni się od niego, choćby nie wiadomo jak próbował. Wiedział, że żal będzie mu towarzyszył do końca dni. Już teraz w jego sercu zapanała bolesna pustka i niewypowiedziane poczucie straty.

- I co dalej? - zapytała Annie. - Wciąż jesteś poszukiwany?

Jake potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Dzisiaj rano Walter Pogue i jego zastępcy schwytali ludzi, którzy udawali bandę Mundy'ego. Potem słyszeliśmy, co mówił VanEste. Jest dość dowodów, żeby powiązać go ze śmiercią Beckera i oczyścić moje imię.

- W takim razie wszystko skończone? - powiedziała Annie.

- Tak.

Kobieta wstała z sofy. Przez długą chwilę wyglądała przez okno, całkowicie opanowana.

- Więc wszystko, co między nami zaszło, Jake, było tylko częścią twojego planu dotarcia do bandy?

Serce zatłukło się Moranowi w piersi.

- Nie, Annie, przysięgam, że nie. - Zbliżył się do niej trzema długimi krokami. - Nigdy nie chciałem cię zranić. Przynajmniej w to uwierz, proszę. - Wziął głęboki oddech. - Próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, ale bezskutecznie. Mimo przeświadczenia, że należysz

do szajki, nie mogłem wyrzucić cię z myśli, choćbym nie wiem jak się starał.

Annie odwróciła ku niemu twarz. W złotobrazowych oczach malował się ból i oszołomienie.

- Dlaczego, Jake?

- Bo zakochałem się w tobie, moja piękna Annabel Lee. Byłem tak oszalały z miłości do ciebie, że nie mogłem myśleć jasno. Wiedziałem tylko, że chcę być z tobą za wszelką cenę. - Samolubne wyznanie wręcz cisnęło mu się na usta. - Oddałbym wszystko na świecie, żeby cofnąć czas i zachować się inaczej.

Musnął palcami policzek kobiety, czując, że serce mu pęka. Wiedział, że jest za późno, by prosić ją o wybaczenie. Annie traktowała go jak najlepszego przyjaciela i uwielbianego kochanka, a on odwzajemnił się brakiem zaufania i gruboskórnością.

- Wyprowadzę się dzisiaj, jeśli chcesz - zaproponował ochrypłym głosem.

- Chyba tak będzie najlepiej.

Jake przełknął ślinę i skinął głową.

- Dobrze.

- Możesz przenieść rzeczy do mojego pokoju.

Mężczyzna zamarł.

- Myślisz, że tylko ty się zakochałeś, Moran? - powiedziała Annie z drżącym uśmiechem i łzami w oczach.

Jake jęknął cicho i przyciągnął ją do siebie.

- Co sądzisz o wynajęciu kogoś na stałe do prowadzenia baru?

Kobieta zaśmiała się perliście i uściskała go mocno.

- Zależy, co to za facet.

- Wystarczy, że będzie reagował na nazwisko Jake Moran i w twojej obecności zachowywał się jak kompletny osioł.

- Znam takiego człowieka,

Jake pocałował ją namiętnie. Gdy się wyprostował, oboje byli bez tchu. Z uśmiechem pogłaskał jedwabiste włosy kobiety.

- Pewnie znudzimy się sobą w ciągu roku.

Annie uśmiechnęła się.

- Nie założyłabym się o to na twoim miejscu.

Mężczyzna przesunął dłońmi po jej plecach, jakby zapamiętywał każdy cal ukochanego ciała.

- Ja również, kochanie. Ja również.

Epilog

Annie uśmiechnęła się, wyjmując synka z kołyski. Nie było wątpliwości, kto ubrał go dzisiaj rano. Pucowałowy, sześciomiesięczny chłopczyk o lśniących, czarnych włosach i błyszczących, niebieskich oczach miał na sobie drogi, szyty na miarę garniturek, dokładną kopię wyjściowego stroju ojca. Doskonale skrojone i uszyte, miniaturowe ubranko składało się z czarnej marynarki, długich czarnych spodni, białej wykrochmalonej koszuli - nieco zmoczonej śliną - i wąskiego kobaltowego krawata, starannie zawiązanego pod brodą.

- Spójrz na siebie, wytwornisiu - powiedziała pieszczotliwie Annie, unosząc go wysoko nad głowę. - Jaki wystrojony i przystojny.

Dziecko zamachało maleńkimi piąstkami i zagulgotało radośnie. Matka przytuliła synka do piersi i lekko pocałowała puszyste włoski. Jej serce wezbrało dumą.

- I do tego wygadany jak tatuś, co?

- Jesteś gotowa, Annie? - zawołał Jake, wsadzając głowę do pokoju dziecinnego.

Kobieta poprawiła szmaragdową suknię. Oczy męża przesunęły się po niej z zachwytem i czułością.

- Wyglądasz pięknie, kochanie.

- Ty też. - Annie uniosła brew. - Twój strój wygląda mi znajomo.

Jake uśmiechnął się szeroko i wszedł do pokoju. Muśnął wargami usta Annie i cmoknął synka w policzek.

- Jemu też się podoba.
- Wyrośnie z niego za miesiąc, Jake. Jesteś głuptasem.
- Wtedy kupię mu następny. To jego pierwszy publiczny występ. Musiałem zadbać, żeby zrobił dobre wrażenie.

Wyjął z kołyski czarny kapelusik i nałożył go dziecku na głowę. Na pulchne stópki wsunął śmieszne kowbojki na obcasach. Annie musiała zagryźć wargę, żeby się nie roześmiać.

Wyszli przed hotel. Był pogodny czerwcowy dzień. Minęło dokładnie półtora roku od chwili, kiedy Annie przybyła do Cooperton. W tym czasie jej życie zmieniło się całkowicie. Miała teraz kochanego męża i synka, którego uwielbiała. Otaczali ją przyjaciele.

Gdy powiodła wzrokiem po tłumie, który przybył na uroczystość nadania hotelowi nazwy i na tańce, zaskoczyła ją liczba zgromadzonych osób. Dostrzegła burmistrza z żoną, szeryfa i kilku zastępców, z których jeden wytrwale dotrzymywał towarzystwa Jennie Mae i jej małej córeczce.

Po frontowym trawniku biegały roześmiane dzieci i ściągały ciastka z długich stołów, uginających się od jedzenia. Kobiety gawędzące i plotkujące w małych grupkach przyjaźnie machały do Annie, gdy je mijała. Dora, Francine, Carlotta i Belle przechadzały się wśród gości, a ranczerzy i górnicy, którzy szukali żon, obrzucali je zachwyconym wzrokiem. Kot zwinął się w kłębek na ganku i wygrzewał w słońcu.

- Teraz możesz spojrzeć, Annie - powiedział Jake, obejmując ją w talii.

Kobieta odwróciła się w stronę hotelu. Okienne i drzwi pomalowane na zielono kontrastowały z białą odnowionych ścian. W skrzynkach kwitły różnobarw-

ne prymulki. Annie ogarnęła całość jednym spojrzeniem i... dostrzegła jeszcze jedną rzecz.

Już dawno postanowiła zmienić nazwę hotelu, ale nie umiała zdecydować się na żadną. Jake na ochotnika zgłosił się z pomocą. Zamówił nową tablicę, ale nic więcej nie chciał jej powiedzieć.

Na jego znak malarze z dumą zdjęli płótno, które zasłaniało ich dzieło. Szyld załśnił w słońcu.

Moran przyjrzał się uważnie twarzy żony.

- Podoba ci się, kochanie?

Annie kiwnęła głową i ścisnęła go za rękę. Przepełniała ją taka radość, że omal serce jej nie pękło.

- Bardzo.

Jake nazwał hotel Koniec Tęczy.